

SIDNEY SHELDON

PIASKI CZASU

Z angielskiego przełożyła Hanna Szajowska

Tytuł oryginału THE SANDS OF TIME

Dla Frances Gordon, z wyrazami miłości

Specjalne podziękowania dla Alice Fisher za nieocenioną pomoc w zbieraniu materiałów do tej książki.

„Życie wielkich wciąż przywodzi nam na pamięć,
Że i nasze może być podniosłym,
Że i my, odchodząc, zostawiamy
Ślady stóp na piaskach czasu lotnych”.

Henry Wadsworth Longfellow, *A Psalm of Lite*

„Zmarli nie muszą powstawać. Są teraz częścią ziemi, której nie da się podbić, gdyż będzie bronić się wiecznie i przetrwa wszelką tyranie. Ci, którzy odeszli jako ludzie honoru, a nie ma bardziej honorowych niż polegli w Hiszpanii, już zyskali nieśmiertelność”.

Ernest Hemingway

OD AUTORA

Zdarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. A jednak...

Romantyczny kraj flamenco, Don Kichota i señorit o egzotycznej urodzie z szylkretowymi grzebieniami we włosach jest jednocześnie krajem Torquemady, Inkwizycji i jednej z najbardziej krwawych w dziejach ludzkości wojen domowych. W Hiszpanii w czasie walk o władzę między republikanami a zbuntowanymi nacjonalistami straciło życie ponad pół miliona ludzi. Od lutego do czerwca 1936 roku popełniono dwieście sześćdziesiąt dziewięć morderstw na tle politycznym, a nacjonaści dokonywali egzekucji tysiąca republikanów miesięcznie, nie zezwalając na żałobę po nich. Doszczętnie spalono sto sześćdziesiąt kościołów, z klasztorów zaś siłą usuwano zakonnice, które, „jakby”, używając słów Duca de Saint - Simona odnoszących się do wcześniejszego konfliktu między hiszpańskim rządem a Kościołem, „były dziwkami z burdelu”. Napadano na redakcje gazet i całkowicie je plądrowano. Zresztą zamieszki były zjawiskiem powszechnym w całym kraju. Wojna domowa zakończyła się zwycięstwem nacjonalistów pod przywództwem Franco, po śmierci którego Hiszpania stała się monarchią, jednakże dwie biorące w niej udział strony nigdy się nie pojednały.

Dziś trwa w tym kraju inna zaciekle wojna, partyzancka, prowadzona przez Basków pragnących odzyskać autonomię, uzyskaną w czasach Republiki i utraconą pod reżimem Franco. Co jakiś czas wybuchają krwawe rozruchy i zamieszki, zdarzają się zabójstwa polityczne, zamachy bombowe oraz napady na banki służące sfinansowaniu wszystkich akcji.

Gdy w madryckim szpitalu w wyniku stosowanych przez policję tortur zmarł jeden z członków ETA, baskijskiej podziemnej organizacji partyzanckiej, zaczęły się ogólnokrajowe rozruchy, które doprowadziły do rezygnacji naczelnego komendanta hiszpańskich sił policji, pięciu szefów bezpieczeństwa i dwustu wysokich rangą oficerów.

W roku 1986 w Barcelonie Baskowie publicznie spalili flagę hiszpańską, a w Pampelunie wzbudzili powszechną panikę serią zamachów skierowanych przeciw policji. Zapoczątkowane tymi wystąpieniami zamieszki rozprzestrzeniły się na całą Hiszpanię i zagroziły stabilności rządu. Ogarnięte wściekłością paramilitarne oddziały policji odwzajemniały się ostrzałem przypadkowo wybranych baskijskich domów i sklepów. Powtarzające się nadal akcje terrorystyczne są obecnie bardziej brutalne niż kiedykolwiek.

Zdarzenia opisane w tej książce są fikcyjne. A jednak...

Pampeluna, Hiszpania 1976

„Jeśli plan się nie powiedzie, wszyscy zginiemy”. Analizował go po raz ostatni, sondując, sprawdzając, szukając słabych punktów. Nie znalazł żadnych. Plan był śmiały i wymagał perfekcyjnej synchronizacji. Jeśli się powiedzie, będzie spektakularnym wyczynem, godnym wielkiego Cyda. Jeśli nie...

„Cóż, nie ma już czasu na wątpliwości” - pomyślał filozoficznie Jaime Miro. - „Nadszedł czas działania”.

Jaime Miro był legendą, bohaterem narodu Basków i przekleństwem hiszpańskiego rządu. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu, muskularne ciało, inteligentną, zdradzającą siłę charakteru twarz i zamyśloną, ciemną oczy. Opisujący go ludzie zwykle przedstawiali Miro jako wyższego, bardziej posępnego i gwałtownego niż był w rzeczywistości. Ten człowiek o skomplikowanym charakterze, realista świadomy swych znikomych szans, był jednocześnie romantykiem, gotowym umrzeć za idee, w które wierzył.

Pampeluna popadła w szaleństwo. Był ranek przepędu byków; rozpoczynał Fiesta de San Fermin, coroczną uroczystość trwającą od 7 do 14 czerwca. Miasto zalała fala trzydziestu tysięcy turystów z całego świata. Niektórzy z nich przybyli jedynie, by obejrzeć niebezpieczny spektakl przepędu byków, inni, by dowieść swej męskości przez wzięcie udziału w biegu przed stadem szarżujących bestii.

Wszystkie pokoje hotelowe zostały zarezerwowane z dużym wyprzedzeniem, studenci z Nawarry obozowali na klatkach schodowych, w przedsionkach banków, w samochodach, na trawnikach, a nawet na ulicach i chodnikach.

Turyści tłoczyli się w kawiarniach i hotelach, obserwując hałaśliwe, barwne parady *cigantes*¹ z papier mache, słuchając muzyki maszerujących zespołów. Uczestnicy parad nosili fioletowe płaszcze z zielonymi, purpurowymi lub złotymi kapturami, więc przesuwanie się ulicami korowody przypominały ruchliwe tęcze. Hałas i zamieszanie potęgowały eksplozje fajerwerków umieszczonych wzdłuż trakcji tramwajowych.

Tłumy przybyły, by wziąć udział w wieczornych walkach byków, ale najbardziej ekscytującym wydarzeniem było *encierro* - odbywający się wczesnym rankiem przegon przez miasto zwierząt, które miały walczyć później.

Poprzedniej nocy, dziesięć minut przed dwunastą, zaciemnionymi ulicami dolnej części miasta skierowano byki z *corrales de gas*, zagród, w których je trzymano, w stronę

¹* Cigantes - (hiszp.) olbrzymów.

mostu na rzece i dalej na wybieg przy końcu Calle Santo Domingo, gdzie zostały przetrzymane przez noc. Rankiem puszczano je wolno na wąską Calle Santo Domingo, zamkniętą na każdym rogu drewnianą przegrodą. Z ulicy miały wbiec do zagród na Plaža de Hemingway i tam doczekać popołudniowych walk.

Goszczący w mieście od północy do szóstej rano byli na nogach, pili, śpiewali i kochali się, zbyt ożywieni, by spać. Mężczyźni, biorący udział w przepędzie byków, mieli pozawiązywane na szyjach czerwone chustki.

Za piętnaście szósta po ulicach zaczęły krążyć zespoły grające podniecającą muzykę z Nawarry. Dokładnie o siódmej w niebo wleciała rakietą, sygnalizująca otwarcie bram wybiegu. Tłum wrzał w gorączkowym oczekiwaniu. Chwilę później wystrzelono drugą raketę, ostrzegającą miasto, że byki nadbiegają.

Rozpoczęło się niezapomniane widowisko.

Najpierw był tętent. Początkowo słaby i odległy, ledwie słyszalny jak szmer wiatru, a potem rósł i rósł, aż zmienił się w huk grzmiących kopyt, i nagle ukazało się sześć wołów i sześć ogromnych byków. Każdy z nich ważył dwieście pięćdziesiąt kilo i wszystkie pędziły w dół Calle Santo Domingo jak zabójcze pociągi ekspresowe. Przed drewnianymi przegrodami, umieszczonymi na rogach bocznych ulic, czekały setki zapalczywych, zdenerwowanych młodych mężczyzn, którzy pragnęli dowieść swej odwagi, mierząc się z rozszalałymi zwierzętami.

Byki gnały z odległego końca ulicy, mijając Calle Estrafeta i Calle de Javier, *farmacias**, sklepy z odzieżą i stragany z owocami. Biegły w stronę Plaža de Hemingway, a z podnieconego tłumu słychać było krzyki: „Ole”. Kiedy zwierzęta zbliżyły się, rozpoczęła się szaleńcza walka o umknienie ostrym rogom i zabójczym kopytom. Groźba zbliżającej się śmierci sprawiła, że niektórzy z uczestników widowiska szukali ratunku na klatkach schodowych i schodach przeciwpożarowych. Uragano im, krzycząc „*Cobardon!*” - tchórz. Tych, którzy potknęli się i upadli na drogę byków, szybko odciągano w bezpieczne miejsce.

Za jedną z przegród stali mały chłopiec i jego dziadek, obaj bez tchu obserwujący rozgrywające się zaledwie kilka metrów od nich widowisko.

- Patrz na nich! - wykrzyknął stary człowiek. - *Magnifico!***

Chłopiec zadrzał.

- *Tengo miedo, Abuelo.* Boję się. Stary człowiek otoczył wnuka ramieniem.

- *Si, Manolo.* To przerażające. Ale i cudowne. Kiedyś biegłem z bykami. Nic nie może

**Farmacias - (hiszp.) apteki.

***Magnifico - (hiszp.) wspaniale.

się z tym równać. Sprawdzasz się w obliczu śmierci i dzięki temu czujesz się jak mężczyzna.

Przebiegnięcie ośmiusetmetrowej Calle Santo Domingo zwykle zabierało zwierzętom dwie minuty i w chwili gdy bezpiecznie znajdowały się w zagrodzie, posyłano w powietrze trzecią raketę. Tego dnia nie została wystrzelona, gdyż zdarzył się wypadek, jaki nigdy wcześniej nie miał miejsca, w całej czterystuletniej pampeluńskiej tradycji przepędów.

Kiedy bestie dotarły do końca wąskiej uliczki, sześciu młodych ludzi, ubranych w barwne kostiumy, uniosło drewnianą zaporę, tak że byki zostały zmuszone do opuszczenia wyznaczonej trasy i wtargnęły w samo serce miasta. To, co chwilę wcześniej było wesołym świętem, natychmiast zmieniło się w koszmar. Oszalałe zwierzęta zaczęły szarżować na oszołomionych widzów. Mały chłopiec i jego dziadek zginęli jako jedni z pierwszych, zbici z nóg i stratowani przez pędzące potwory. Potem zdradliwe bycze rogi rozerwały dziecięcy wózek, zabijając niemowlę, a jego matkę przewróciły na ziemię, gdzie została zmiażdżona.

Śmierć czaiła się wszędzie. Zwierzęta wdarły się między bezradnych widzów, tratując kobiety i dzieci, biorąc na długie, śmiertelne rogi przechodniów, stoiska z jedzeniem, dekoracje, słowem wszystko, cokolwiek nieszczęśliwym trafem znalazło się w ich zasięgu. Prerażeni ludzie, krzycząc, usiłowali umknąć przed zabójczymi bestiami.

Jaskrawoczerwona ciężarówka, która niespodziewanie pojawiła się w pobliżu, sprawiła, że byki skręciły i pognały w jej stronę, w dół Calle de Estrella, ulicy prowadzącej do *carcel* - pampeluńskiego więzienia.

*Carcel** w Pampelunie jest odpychającym, dwupiętrowym kamiennym budynkiem z gęsto zakratowanymi oknami. Na każdym z jego czterech rogów znajduje się wieżyczka wartownicza, a przed wejściem powiewa czerwono - żółta flaga hiszpańska. Kamienna brama prowadzi na małe podwórze. W szeregu cel pierwszego piętra przetrzymuje się więźniów skazanych na śmierć.

W budynku więzienia potężnie zbudowany strażnik w mundurze Policia Armada prowadził korytarzem tego właśnie piętra księdza, odzianego w prostą, czarną sutannę. Policjant miał ze sobą pistolet maszynowy.

Zauważywszy pytający wzrok duchownego, skierowany na broń, strażnik powiedział:

- Ostrożności nigdy za wiele, ojcze. Mamy tu zbieraninę najgorszych wyrzutków.

Potem polecił księdzu przejść przez wykrywacz metali, bardzo podobny do urządzeń stosowanych na lotniskach.

- Przykro mi, ojcze, ale takie przepisy...

- Oczywiście, mój synu. Kiedy ksiądz minął bramkę, ciszę przerwał przeraźliwy

*Carcel - (hiszp.) więzienie.

dźwięk syreny. Strażnik instynktownie ścisnął broń. Duchowny odwrócił się z uśmiechem.

- Mój błąd - powiedział. Zdjął z szyi ciężki, metalowy krzyż na srebrnym łańcuchu i wręczył go swemu przewodnikowi, po czym ponownie przeszedł przez bramkę wykrywacza. Tym razem alarm się nie włączył. Policjant zwrócił krzyż właścicielowi i obaj mężczyźni podjęli przerwana wędrówkę w głąb budynku.

W pobliżu cel na korytarzu panował przytłaczający zaduch. Strażnik był w filozoficznym nastroju:

- Traci tu ksiądz czas. Te bydlaki nie mają dusz, które można by zbawić.
- Mimo wszystko musimy próbować, mój synu. Strażnik pokręcił głową.
- Na obu czekają już w piekle. Duchowny spojrzał na policjanta zaskoczony.
- Obu? Powiedziano mi, że mam wyspowiadać trzech. Ten wzruszył ramionami.
- Zaoszczędziliśmy ojcu czasu. Zamora wczoraj rano zmarł w szpitalu. Atak serca.

Doszli do końca korytarza.

- To tutaj, ojcze. Strażnik otworzył celę i kiedy spowiednik wchodził do środka, ostrożnie cofnął się o krok. Potem zamknął drzwi i stanął obok, gotowy do błyskawicznej reakcji w razie kłopotów.

Ksiądz podszedł do postaci leżącej na brudnej więziennej pryczy.

- Jak ci na imię, synu?

- Ricardo Mellado. Duchowny spojrzał na mówiącego. Trudno było stwierdzić, jak mężczyzna wygląda. Twarz miał opuchniętą i zakrwawioną, oczy w półprzymknięte. Z trudem poruszając obrzmiałymi wargami, więzień wyszeptał:

- Cieszę się, że ojciec przyszedł.
- Troska o twoje zbawienie jest obowiązkiem Kościoła synu - odparł ksiądz.
- Czy dziś mnie powieszą? Duchowny delikatnie poklepał mężczyznę po ramieniu.
- Skazano cię na garotę. Ricardo Mellado podniósł wzrok.

- Nie!

- Przykro mi. Premier osobiście wydał rozkaz. - Następnie ksiądz położył rękę na głowie więźnia i zaintonował - *Dime tus pecados...**

Ricardo Mellado powiedział:

- Ciężko zgrzeszyłem myślą, mową i uczynkiem i żałuję tego z całego serca.
- *Ruego a nuestro Padre celestiai por la salvacion de ti alma. En el nombre del Padre,*

*Dime tus pecados... - (łac.) Żałuj za grzechy...

*del Hijo y del Espiritu Santo...**

Przysłuchujący się temu strażnik pomyślał: „Co za głupia strata czasu. Bóg nawet na niego nie spojrzy”.

Ksiądz skończył.

- *Adios*, mój synu. Niech Bóg łaskawie przyjmie twą duszę - powiedział i podszedł do drzwi. Strażnik otworzył je i cofnął się z bronią wymierzoną w więźnia. Kiedy cela ponownie została zamknięta, policjant podszedł i przekręcił klucz w zamku kolejnego pomieszczenia.

- Proszę, ojczu. Ksiądz wkroczył do drugiej celi. Przebywający w niej więzień również był ciężko pobity. Duchowny przypatrywał mu się przez długą chwilę.

- Jak ci na imię, mój synu?

- Felix Carpio. - Był to krzepki, brodaty mężczyzna z siną blizną na policzku, widoczną mimo zarostu. - Nie boję się umrzeć, ojczu.

- To dobrze, synu. W końcu nikogo z nas to nie minie.

Kiedy ksiądz słuchał spowiedzi Carpia, w budynku zaczęły rozbrzmiewać najpierw odległe i przytłumione, a potem coraz głośniejsze dźwięki. To stukały kopyta i rozlegały się wrzaski uciekającego tłumu. Strażnik słuchał, zaskoczony. Źródło hałasu przybliżało się gwałtownie.

- Proszę się pośpieszyć, ojczu. Na zewnątrz dzieje się coś dziwnego.

- Już skończyłem. Policjant pośpiesznie otworzył drzwi. Duchowny wyszedł na korytarz i cela znów została zabezpieczona. Przed budynkiem więzienia rozległ się donośny trzask. Strażnik odwrócił się, żeby wyrzucić przez wąskie, zakratowane okno.

- Skąd, do diabła, był ten hałas? Ksiądz powiedział :

- Brzmi, jakby ktoś chciał się z nami zobaczyć. Czy mogę to pożyczyć?

- Co pożyczyć?

- Pańską broń, *por favor***. Mówiąc to, duchowny zbliżył się do strażnika i ujmując ramiona swego dużego krzyża, ujawnił długi, o niebezpiecznym wyglądzie sztylet. Jednym płynnym ruchem zatopił broń w piersi policjanta.

- Widzisz, mój synu - kontynuował, zabierając z rąk umierającego pistolet maszynowy

- Bóg i ja zdecydowaliśmy, że nie potrzebujesz już tej broni. *In Nomine Pater...** - zakończył Jaime Miro, żegnając się pobożnie.

Strażnik osunął się na cementową posadzkę. Jaime Miro zabrał mu klucze i szybko

***Ruego a nuestro Padre... - (łac.) Proś Pana naszego niebieskiego o zbawienie dla twej duszy. W imię Ojca, Syna i Ducha Świętego...*

****Por favor - (hiszp.) bardzo proszę.*

***In Nomine Pater... - (łac.) W imię Ojca...*

otworzył obie cele. Dobiegający z ulicy hałas nasilił się.

- Chodźmy - zakomenderował. Ricardo Mellado chwycił pistolet i spróbował uśmiechnąć się spuchniętymi wargami.

- Cholernie dobrze zagrałeś księdza. Prawie mnie przekonałeś.

- Nieźle wam dołożyli, co? Bez obaw. Zapłacą za to.

Jaime objął obu mężczyzn i pomógł im iść.

- Co się stało z Zamorą?

- Strażnicy go zatłukli. Słyszeliśmy, jak krzyczał. Potem zabrali go do szpitala, a nam powiedzieli, że zmarł na serce.

Przed nimi były zamknięte stalowe drzwi.

- Zaczekajcie tu - polecił Jaime. Podeszedł do judasza i odezwał się do stojącego po drugiej stronie wartownika:

- Już skończyłem. Strażnik otworzył i powiedział:

- Lepiej proszę się pośpieszyć, ojcie. Na dworze coś się dzieje...

Nie dokończył zdania. Jaime pchnął mówiącego nożem i usta mężczyzny wypełniły się krwią. Miro dał znak swym towarzyszom.

- Chodźcie. Felix Carpio zabrał broń zabitego i uciekinierzy zaczęli schodzić po schodach.

Na dole panował chaos. Policjanci biegali jak szaleni, usiłując zobaczyć, co się dzieje, i starali się poradzić sobie z kotłującym się na podwórzu rozwrzeszczanym tłumem, który próbował umknąć przed szarżującymi bykami. Jedno ze zwierząt atakowało frontową część budynku, rozbijając kamienne wejście, drugie rozrywało ciało umundurowanego strażnika.

Czerwona ciężarówka z włączonym silnikiem stała na podwórzu. W ogólnym zamieszaniu trzech mężczyźni przeszli prawie nie zauważeni. Nawet ci, którzy widzieli zbiegów, byli zbyt zajęci ratowaniem własnego życia, żeby zapobiec ucieczce.

Bez słowa Jaime i jego ludzie wskoczyli na tył ciężarówki, która natychmiast ruszyła, rozpędzając tłoczących się przerażonych pieszych.

Członkowie Guardia Civil, paramilitarnej formacji porządkowej, noszący zielone mundury i czarne kapelusze z lakierowanej skóry, bezskutecznie próbowali zapanować nad rozhisteryzowanym tłumem. Również stacjonująca we wszystkich stolicach prowincji Policia Armada była bezsilna w obliczu tak niespodziewanego rozwoju wydarzeń. Ludzie biegali na wszystkie strony, za wszelką cenę chcąc umknąć przed rozwścieczonymi zwierzętami. Uciekając tratowali się nawzajem, stanowiąc tym samym niebezpieczeństwo większe od byków. Ofiarami tłumy padali zwłaszcza ludzie starsi.

Jaime z konsternacją obserwował oszłamiający spektakl.

- To nie miało tak wyglądać! - krzyknął. Bezradnie przypatrywał się trwającej rzezi; nie mógł zrobić nic, by ją powstrzymać. Wreszcie zamknął oczy, żeby nie widzieć.

Ciężarówka dotarła na peryferie miasta i skierowała się na południe, zostawiając za sobą hałas i zamęt.

- Dokąd jedziemy, Jaime? - zapytał Ricardo Mellado.

- Za Torre jest bezpieczny dom. Zostaniemy tam do zmroku, a potem ruszymy dalej.

Felix Carpio drżał z bólu.

Jaime Miro obserwował go ze współczuciem.

- Niedługo będziemy na miejscu, przyjacielu - powie dział cicho.

Wciąż nie był w stanie wyrzucić z pamięci potwornych scen, które rozegrały się w Pampelunie.

Pół godziny później dojechali do małej wioski Torre, a następnie okrążyli ją, by dotrzeć do odosobnionego domu, usytuowanego w górach powyżej wsi. Jaime pomógł swym towarzyszom opuścić czerwoną ciężarówkę.

- Ktoś przyjedzie po was o północy - oznajmił kierowca.

- Niech przywiozą lekarza - odparł Jaime. - I pozbądź się wozu. Cała trójka weszła do domu. Był skromny i wygodny, z kominkiem w saloniku o belkowanym suficie. Na stole leżała kartka, Jaime Miro przeczytał ją i uśmiechnął się na słowa powitania: *Mi casa es su casa*. Na barze stała butelka wina. Jaime nalał dla wszystkich. Ricardo Mellado stwierdził:

- Nie ma słów, by ci podziękować, przyjacielu. Twoje zdrowie. Jaime uniósł szklanke.

- Za wolność! Nagle z wiszącej obok klatki dobiegł ich świergot kanarka. Jaime podszedł bliżej i przez chwilę przyglądał się ptasiemu trzepotaniu. Potem otworzył drzwiczki, delikatnie wyjął ptaszka i wypuścił przez otwarte okno.

- Odlatuj, *pajarito** - powiedział miękko. - Wszystkie stworzenia powinny być wolne.

*Pajarito - (hiszp.) ptaszku.

Madryt

Premiera Leopoldo Martineza ogarnęła wściekłość. Był to mały, chudy okularnik. Kiedy mówił, trzęsło się całe jego ciało.

- Jaime Miro musi zostać zatrzymany - krzyczał. Głos miał wysoki i piskliwy. - Rozumiecie? - Obrzucił spojrzeniem sześciu zebranych w pokoju mężczyzn. - Szukamy jednego terrorysty, a cała armia i policja nie są w stanie go znaleźć.

Spotkanie odbywało się pięć kilometrów od centrum Madrytu, w pałacu Moncloa, gdzie premier mieszkał i pracował. Rezydencja mieściła się przy nie oznakowanej bocznej drodze Carretera de Calicia. Był to budynek z zielonej cegły, z kutymi żelaznymi balkonami, zielonymi roletami w oknach i wieżyczką wartowniczą na każdym rogu.

Dzień był gorący i suchy, toteż przez szyby, jak daleko sięgnąć wzrokiem, widoczne były fale rozpalonego powietrza, przesuwające się niczym bataliony widmowych żołnierzy.

- Wczoraj Miro zmienił Pampelunę w pole bitwy. - Martinez uderzył pięścią w biurko. - Zamordował dwóch strażników i uprowadził z więzienia swoich dwóch towarzyszy. Poza tym byki, które wypuścił, zabiły wielu niewinnych ludzi.

Przez chwilę w gabinecie panowała cisza. Gdy premier objął urząd, pełen samozadowolenia oświadczył:

- Moim pierwszym posunięciem będzie powstrzymanie separatystów. Madryt jest wielkim spoiwem. Zmienia Andaluzyjczyków, Basków, Katalończyków i Galicjan w Hiszpanów.

Okazał się przesadnym optymistą. Zawzięcie dążący do niezależności Baskowie byli odmiennego niż premier zdania i zamachy bombowe, napady na banki oraz demonstracje organizowane przez terrorystów z ETA nie straciły na intensywności.

Wreszcie cichym głosem odezwał się mężczyzna siedzący po prawej stronie Martineza:

- Znajdę go. Był to pułkownik Ramon Acoca, szef GOE, Grupy do Zadań Specjalnych, utworzonej w celu zwalczania baskijskich terrorystów. Ponadześciodziesięcioletni Acoca odznaczał się ogromnym wzrostem, poznaczoną bliznami twarzą i chłodnym spojrzeniem stalowych oczu. Jako młody oficer w czasie wojny domowej, służył pod rozkazami Francisca Franco i pozostał fanatycznym wyznawcą jego filozofii, zamykającej się w zdaniu: „Jesteśmy odpowiedzialni tylko przed Bogiem i historią”.

Ramon Acoca był doskonałym oficerem, w swoim czasie jednym z najbardziej

zaufanych pomocników Franco. Pułkownik tęsknił do żelaznej dyscypliny, bezzwłocznego karania tych, którzy kwestionowali czy naruszali prawo. Przeżył zamieszanie wojny domowej z koalicją nacjonalistów, monarchistów, zbuntowanych generałów, właścicieli ziemskich, Kościoła i faszystowskich falangistów po jednej i republikańskich sił rządowych z socjalistami, komunistami, liberałami oraz baskijskimi i katalońskimi separatystami po drugiej stronie. Był to straszliwy okres niszczenia i zabijania, szaleństwa, które zgromadziło ludzi i sprzęt wojenny z wielu krajów i pozwoliło śmierci zebrać przerażające żniwo. I oto Baskowie znów walczyli i zabijali.

Pułkownik Acoca dowodził oddziałem wyszkolonych, bezwzględnych komandosów. Jego ludzie w obawie przed odwetem działali w ukryciu, w przebraniu i nigdy nie występowali publicznie, a nawet nie byli fotografowani.

„Jeśli ktokolwiek może powstrzymać Miro, to pułkownik Acoca” - pomyślał premier. Rozwiązanie to rodziło jednak pewien problem: „Tylko kto powstrzyma Acoce?”

Powierzenie pułkownikowi dowództwa GOE nie było pomysłem premiera. O wszystkim zadecydował telefon, który Leopoldo Martinez odebrał w środku nocy. Natychmiast rozpoznał głos w słuchawce.

- Jesteśmy bardzo zaniepokojeni działalnością Jaimego Miro i jego ludzi. Proponujemy, żeby dowódcą GOE został pułkownik Ramon Acoca. Czy to jasne?

- Tak jest. I natychmiast zostanie załatwione. Połączenie przerwano. Głos ze słuchawki należał do członka OPUS MUNDO. Była to tajna organizacja skupiająca bankierów, prawników, dyrektorów potężnych korporacji i członków rządu. Krążyły plotki, że ma do dyspozycji ogromne fundusze, jednak pozostawało tajemnicą, skąd pochodziły i do czego ich używano. Uważano bowiem, że zadawanie na ten temat zbyt wielu pytań byłoby niezdrowe.

Premier załatwił Acoce nominację, tak jak mu polecono, a ten zmienił się w nieobliczalnego fanatyka. Pod jego przywództwem GOE wprowadziło rządy terroru.

Martinez pomyślał o baskijskich rebeliantach, schwytanych przez ludzi Acoki w pobliżu Pampeluny. Zostali osądzeni i skazani na powieszenie. Pułkownik Acoca nalegał jednak na dokonanie egzekucji za pomocą barbarzyńskiej garoty, żelaznego kołnierza, który był połączony ze specjalnym szpikulcem. Przyrząd ten, stopniowo zaciskany, łamał kręgosłup, a następnie przerywał rdzeń kręgowy ofiary.

Obsesją pułkownika stał się Jaime Miro.

- Chcę jego głowy - powiedział Acoca. - Wystarczy ją uciąć, a powstrzyma to ruch Basków.

„Przesada” - w myślach skomentował premier. Musiał jednak przyznać, że w tym stwierdzeniu kryło się źdźbło prawdy. Jaime był charyzmatycznym przywódcą, fanatycznie pewnym swych racji, a przez to niebezpiecznym. „W pewien sposób - pomyślał - pułkownik Acoca jest równie niebezpieczny”. Odezwał się Primo Casado, szef służby bezpieczeństwa:

- Ekscelencjo, nikt nie był w stanie przewidzieć tego, co stało się w Pampelunie. Jaime Miro jest...

- Wiem, kim jest - sucho przerwał premier. - Teraz chcę dowiedzieć się, gdzie jest - zwrócił się do Acoki.

- Jestem na jego tropie - stwierdził pułkownik. Ton głosu wojskowego zmroził obecnych. - Chciałbym przypomnieć panu premierowi, że nie walczymy z jednym człowiekiem. Walczymy z Baskami. To oni zaopatrują Jaimego Miro i jego ludzi w żywność, broń i zapewniają schronienie. Ten człowiek jest dla nich bohaterem. Ale proszę się nie niepokoić. Wkrótce będzie martwym bohaterem: Oczywiście po procesie, który mu wytoczę.

„Nie my. Ja”. - Premier był ciekaw, czy inni też to zauważyli. - „Tak - pomyślał nerwowo - już niedługo z pułkownikiem trzeba będzie coś zrobić”. Wstał.

- Na razie to wszystko, panowie.

Zebrani podnieśli się i ruszyli do wyjścia. Wszyscy z wyjątkiem Acoki. Leopoldo Martinez zaczął chodzić po pokoju.

- Do diabła z tymi Baskami. Czemu nie wystarczy im bycie Hiszpanami? Czego jeszcze chcą?

- Władzy - odparł Acoca. - Chcą autonomii, własnego języka i flagi.

- Nie. Przynajmniej dopóki ja sprawuję ten urząd. Nie zamierzam im pozwolić na oderwanie się od Hiszpanii. To rząd postanowi, co mogą mieć, a czego nie. Ten motłoch...

Do gabinetu wszedł asystent premiera.

- Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo - powiedział przepraszająco - ale przybył biskup Ibanez.

- Przyślij go tu. Oczywiście pułkownika zwięźli się.

- Może pan być pewien, że za tym wszystkim stoi Kościół. Nadszedł czas, żebyśmy dali mu nauczkę.

„Postawa Kościoła to czysta ironia losu” - gorzko zamyślił się pułkownik Acoca.

Po rozpoczęciu wojny domowej Kościół katolicki stał po stronie nacjonalistów. Papież popierał generalissimusa Franco, który od razu to wykorzystał i ogłosił, że Bóg jest po jego stronie. Jednak kiedy zaatakowano baskijskie kościoły, klasztory i duchownych, Kościół wycofał swe poparcie.

- Musicie zapewnić Baskom i Katalończykom więcej swobody - zażądał. - Musicie również zaprzestać egzekucji baskijskich księży.

Franco wpadł w furję. Jak Kościół śmiał stawiać warunki rządowi?

Zaczęła się próba sił. Wojska Franco atakowały coraz nowe kościoły i klasztory. Mordowano księży i zakonnice. Biskupów osadzano w aresztach domowych, a księży, których kazania rząd uznał za wywrotowe, musieli uiszczać kary pieniężne. Ataków zaprzestano dopiero, gdy Kościół zagroził generalissimusowi ekskomuniką.

„Cholerny Kościół!” - pomyślał Acoca. Po śmierci Franco znów zaczął mieszać się do polityki.

Wojskowy zwrócił się do premiera.

- Czas pokazać biskupowi, kto rządzi Hiszpanią. Biskup Calvo Ibanez był chudy, wątłej budowy, z głową otoczoną chmurą siwych włosów. Przez okrągłe okulary badawczo spojrzał na obu mężczyzn.

- *Buenas tardes**. Pułkownik Acoca poczuł w ustach smak żółci. Już sam widok duchownego przyprawiał go o mdłości. Wszyscy księży to judasze wiodący swe głupie owieczki na rzeź.

Biskup stał w progu, czekając, aż poproszą go, żeby usiadł. Zaproszenie jednak nie nastąpiło, nie został również przedstawiony pułkownikowi. Z premedytacją okazywano mu lekceważenie.

Premier spojrzał na pułkownika w oczekiwaniu na instrukcje.

Acoca odezwał się szorstko:

- Dotarły do nas pewne niepokojące wiadomości. Poinformowano nas mianowicie, że baskijscy rebelianci spotykają się w katolickich klasztorach. Dostaliśmy też meldunki, że Kościół pozwala zakonom na przechowywanie broni dla buntowników. - W głosie wojskowego zadźwięczała stal. - Jeśli pomaga się wrogom Hiszpanii, samemu staje się jej wrogiem.

Biskup Ibanez przez chwilę patrzył na pułkownika, a potem zwrócił się do premiera Martineza:

- Z całym szacunkiem, wasza ekscelencjo, wszyscy jesteśmy dziećmi Hiszpanii. Baskowie nie są wrogami ojczyzny, proszą tylko o wolność dla...

- Oni nie proszą - ryknął Acoca. - Oni żądają! Grabią, rabują banki i zabijają policjantów w całym kraju, a pan ośmiela się mówić, że nie są naszymi wrogami?

- Przyznaję, że miały miejsce niewybaczalne nadużycia, ale czasami podczas walki o

*Buenas tardes - (hiszp.) dobry wieczór.

to, w co się wierzy...

- Oni nie wierzą w nic poza sobą. Nie obchodzi ich Hiszpania. Jest tak, jak powiedział jeden z naszych wielkich pisarzy: „W Hiszpanii nikogo nie obchodzi wspólne dobro. Każde ugrupowanie dba tylko o siebie. Kościół, Baskowie, Katalończycy. Każdy z nich mówi «pieprzyć innych»».

Biskup zdawał sobie sprawę, że Acoca błędnie zacytował Ortegę y Gassetę, gdyż pełen cytat wymieniał również wojsko i rząd, roztropnie jednak zmilczał. Ponownie zwrócił się do premiera, mając nadzieję na podjęcie bardziej racjonalnej dyskusji.

- Wasza ekscelencjo, Kościół katolicki... Premier wyczuł, że Acoca powiedział już dostatecznie wiele.

- Proszę nas źle nie zrozumieć, księżę biskupie. Zasadniczo rząd w zupełności popiera Kościół.

- Ale nie możemy pozwolić - włączył się Acoca - żeby kościoły i klasztory wykorzystywano przeciw nam. Jeśli nadal będziecie pozwalać Baskom na przechowywanie w nich broni i odbywanie spotkań, będziecie musieli ponieść tego konsekwencje.

- Jestem pewien, że raporty, które pan otrzymał, są mylne - gładko odparł duchowny. - Ale oczywiście mimo to natychmiast zarządzę śledztwo.

- Dziękuję, księżę biskupie, to wszystko - półgłosem rzekł premier.

Obaj, Martinez i Acoca, odprowadzili wychodzącego wzrokiem.

- Co pan o tym sądzi? - zapytał Martinez.

- Wie, o co tu chodzi. Premier westchnął. „I bez zadzierania z Kościołem mam teraz dość problemów”.

- Jeśli Kościół popiera Basków, jest przeciw nam. - Głos Acoki stwardniał. - Chciałbym, za pańskim pozwoleniem, dać biskupowi nauczkę.

Premiera uderzyło fanatyczne spojrzenie wojskowego i stał się ostrożny.

- Czy naprawdę otrzymał pan meldunki o udzielaniu przez kościoły pomocy rebeliantom?

- Oczywiście, wasza ekscelencjo. Nie było sposobu, by stwierdzić, czy pułkownik mówi prawdę. Martinez wiedział, jak bardzo Acoca nienawidzi Kościoła. Ale może dobrze byłoby dać klechom nauczkę? Pilnując, oczywiście, żeby pułkownik nie posunął się za daleko. Premier Martinez stał zamyślony. Acoca przerwał milczenie.

- Jeśli księża udzielają schronienia terrorystom, muszą zostać ukarani.

Premier niechętnie skinął głową.

- Gdzie pan zacznie?

- Jaimego Miro i jego ludzi widziano wczoraj w Avila. ^v Prawdopodobnie ukrywają się w tamtejszym klasztorze.

Martinez podjął decyzję.

- Przeszukać go - powiedział. Decyzja ta zapoczątkowała łańcuch wydarzeń, które wstrząsnęły całą Hiszpanią i zaszokowały świat.

Avila

Panowała tam cisza podobna towarzyszącej delikatnemu spadaniu płatków śniegu, miękka i kojąca jak szept letniego wiatru, dostojna jak obroty gwiazd. Klasztor sióstr cysterek znajdował się poza murami Avila, najwyżej położonego miasta Hiszpanii, sto dwanaście kilometrów na północny wschód od Madrytu, i całkowicie tonął w ciszy. Obowiązująca w nim reguła przyjęta została w 1601 roku i przez stulecia przetrwała nie zmieniona: liturgia, ćwiczenia duchowe, ścisła klauzura, pokuta i milczenie. Zawsze milczenie.

Klasztor składał się z uformowanej w czworobok grupy budynków z nie obrobionego kamienia, w środku której znajdował się dom zakonny. Nad wszystkim górował kościół.

Przez łukowate zwieńczenia krużganków na wielkie kamienne płyty centralnego dziedzińca, po których bezgłośnie sunęły zakonnice, wlewało się światło. Sióstr modlących się w kościele i mieszkających w domu zakonnym było czterdzieści.

Klasztor w Avila był jednym z siedmiu, jakie ocalały w Hiszpanii. Ostał się wśród setek zniszczonych w czasie wojny domowej, podczas której, jak to się już w ciągu wieków zdarzało, zaczęły się ruchy antykościelne.

Mieszkanki tego miejsca poświęciły swe życie modlitwie. Siostry żyły poza czasem i te, które wstępowały do zgromadzenia, na zawsze usuwały się ze świata. Życie cysterek w ścisłej i niezmiennej klauzurze upływało na kontemplacji, pokucie i codziennie odprawianych nabożeństwach.

Wszystkie zakonnice ubierały się identycznie, a ich odzienie, podobnie jak wszystko inne w klasztorze, stanowiło odbicie narosłego przez stulecia symbolizmu. Habit - okrycie z kapturem - symbolizował niewinność i prostotę, lniana tunika - wyrzeczenie się światowego życia i umartwienie ciała, szkaplerz - niewielkie kwadraty sukna połączone na ramionach tasiemkami - gotowość do pracy. Stroju dopełniał kwef - ułożone w fałdy lniane nakrycie głowy, otaczające twarz i zakrywające szyję aż do podbródka.

Mury klasztoru kryły system wewnętrznych przejść i klatek schodowych, łączących jadalnię, świetlicę, cele i kaplicę - pomieszczenia zimne, czyste i przestronne. Witrażowe okna o grubych szybach wychodziły na otoczony wysokim murem ogród. Wszystkie były zakratowane i znajdowały się powyżej linii wzroku, by wyglądanie przez nie nie rozpraszało uwagi. W długim, o surowym wystroju refektarzu - sali jadalnej - dodatkowo zabezpieczono je okiennicami i zasłonami. Świece, umieszczone w zabytkowych lichtarzach, rzucały na sufit i ściany migotliwe cienie.

W klasztorze w przeciągu czterystu lat jego istnienia zmieniały się tylko twarze.

Siostry nie posiadały własności osobistej, jako że chcąc naśladować Chrystusa, ślubowały ubóstwo. Nawet kościół klasztorny był pozbawiony ozdób. Jedynym wyjątkiem był bezcenny masywny złoty krzyż, ufundowany dawno temu przez bogatą postulantkę. Ponieważ jednak nie pasował do surowego wnętrza, trzymano go w ukryciu, w szafie w refektarzu. Nad ołtarzem natomiast wisiał prosty, drewniany krzyż.

Kobiety, które wspólnie żyły w Chrystusie, razem pracowały, jadły i modliły się, ale nigdy się nie dotykały ani ze sobą nie rozmawiały. Jedynym dozwolonym odstępstwem było uczestnictwo we mszy i rozmowy z wielebną matką przeoryszą, siostrą Betiną, w zaciszu jej gabinetu. Nawet wtedy jednak, gdy tylko zaistniała taka możliwość, używano starodawnego języka znaków.

Rumiana, pogodna i energiczna przeorysza miała ponad siedemdziesiąt lat. Chlubila się poświęceniem życia Bogu i wysoko ceniła spokojną radość klasztornego życia. Jej niezwykła opiekuńczość w stosunku do zakonnic sprawiała, że gdy musiała zarządzać karę chłosty, cierpiała bardziej niż ukarana.

Zakonnice chodziły po klasztornych korytarzach ze spuszczonej oczami. Złożone na wysokości piersi ręce kryły w rękawach. Siostry mijały się bez słowa czy choćby znaku rozpoznania. Jedynym głosem klasztoru były dzwony - dźwięk, który Wiktor Hugo nazwał „operą dzwonnicy”.

Zakonnice pochodziły z różnych środowisk i wielu rozmaitych krajów, z rodzin arystokratów, rolników, wojskowych... Wstąpiły do zakonu jako kobiety bogate i biedne, wykształcone i ciemne, nieszczęśliwe i zadowolone. Teraz jednak stały się jednością w Bogu, połączone pragnieniem wiecznego związku z Jezusem.

Warunki życia w klasztorze były wprost spartańskie. Zimą panował tam przejmujący chłód, a przez osadzone w ołowiu szybki przesączało się jedynie słabe światło.

Siostry spały na siennikach kompletnie ubrane, okryte szorstkimi wełnianymi kocami. Każda zakonnica zajmowała oddzielną, maleńką celę, wyposażoną tylko w siennik i drewniane krzesło z prostym oparciem. Cele nie miały umywalk, jedynie stojące na podłodze niewielkie gliniane dzbanki i miednice.

Żadnej zakonnicy, z wyjątkiem wielebnej matki Betiny, nie wolno było wejść do celi innej siostry. Zakazem objęto wszelkie rozrywki, czas wypełniała jedynie praca i modlitwa. Siostry zajmowały się robotą na drutach, oprawianiem książek, tkactwem i pieczeniem chleba. W ciągu dnia ośmiokrotnie odmawiały godzinki: jutrznię, laudę, prymę, tercję, sekstę, nonę, nieszpory i kompletę. Recytowały również inne modlitwy, hymny i litanie.

Jutrznię odprawiano, gdy połowa świata spała, druga zaś pogrążała się w grzechu.

Lauda, modlitwa o świcie, następowała po jutrzni, gdy wschodzące słońce padało na figurę Chrystusa tryumfującego.

Pryma była modlitwą poranną, w której proszono o błogosławieństwo na nowy dzień pracy.

Tercję odmawiano o godzinie dziewiątej, poświęconej przez świętego Augustyna Duchowi Świętemu.

Seksta, odprawiana o wpół do dwunastej, miała ugasić żar ludzkich namiętności.

Nonę recytowano milcząco o trzeciej, w godzinie śmierci Chrystusa.

Nieszpory to modlitwa wieczorna, taka jak lauda o świcie.

Kompleta kończyła godzinki. Była modlitwą nocną, przygotowaniem do snu, ale i do śmierci, podsumowaniem dnia słowami poddania pełnymi miłości: *Manus tuas, Domine, commendo spiritum meum. Redemisti nos, domine, deus, veritatis**

W niektórych zakonach zaprzestano biczowania się, w klasztorach cystersów jednak zwyczaj ten przetrwał. Przynajmniej raz w tygodniu, czasami nawet codziennie, zakonnice zadawały swym ciałom ból za pomocą dyscypliny, trzydziestocentymetrowego bicia z cienkiego, nawoskowanego sznura o sześciu związanych w supły końcówkach. Przyrządu tego używano do chłostania pleców, nóg i pośladków. Bernard z Clairvaux, asceta, opat klasztoru cystersów, zachęcał: „Ciało Chrystusa jest ubiczowane... musimy upodobnić nasze ciało do poranionego ciała naszego Pana”.

Było to życie surowsze niż w jakimkolwiek więzieniu, a przecież wiodące je kobiety żyły w ekstazie, jakiej nigdy nie doznały w świecie poza murami. Wyrzekły się miłości fizycznej, wszelkiej własności i wolności wyboru, ale rezygnując z tych rzeczy, pozostawiły za sobą również żądzę, rywalizację, nienawiść i zazdrość, wszelkie trudności oraz pokusy, jakie krył w sobie świat. W klasztorze panowały wszechogarniający spokój i niewysłowiona radość, wynikające z obcowania z Bogiem. Serca mieszkanek świętego przybytku wypełniało niezwykle wesele. Jeśli klasztor był więzieniem, to rajskim, a więźniowie mieli świadomość wiecznej szczęśliwości przeznaczonej tym, którzy dobrowolnie w nim pozostali.

Siostrę Lucię obudziło bicie klasztornych dzwonów. Otworzyła oczy, przestraszona i zdezorientowana. W małej celi, w której spała, było zupełnie ciemno. Dźwięk dzwonu powiedział siostrze, że jest trzecia rano, godzina rozpoczęcia czuwania wśród ciemności.

„Cholera! Ten tryb życia mnie wykończy” - pomyślała.

Leżała na swym cienkim, niewygodnym pośłaniu, rozpaczliwie pragnąc zapalić

*Manus tuas... - (łac.) W Twoje ręce, Panie, powierzam ducha mego. Wybaw nas Panie, Boże...

papierosa. Wreszcie niechętnie zmusiła się do wstania. Ciężki habit, który nosiła na co dzień i w którym również spała, drażnił delikatną kobiecą skórę jak papier ścierny. Lucia przypomniawszy sobie o wszystkich pięknych strojach, wiszących w jej apartamencie w Rzymie i garderobie w Gstaad.

Za drzwiami dobiegały ją miękkie, posuwiste kroki gromadzących się zakonnice. Nieuważnie posłała łóżko i wyszła na długi korytarz, na którym siostry ze spuszczoneymi oczyma ustawiały się w szeregu. Z wolna wszystkie zaczęły przesuwać się w stronę kaplicy.

„Wyglądają jak stado głupich pingwinów” - pomyślała siostra Lucia. Nie była w stanie zrozumieć, dlaczego te wszystkie kobiety porzuciły życie, rezygnując z seksu, ładnych ciuchów i wykwintnego jedzenia. „Jaki mają wobec tego powód do życia? I te cholerne reguły!”

Gdy siostra Lucia przybyła do klasztoru, wielbna matka powiedziała do niej:

- Musisz chodzić z pochyloną głową. Ręce trzymaj złożone pod habitem. Rób małe kroki. Poruszaj się powoli. Nie wolno ci nawiązywać kontaktu wzrokowego z innymi siostrami, a nawet na nie spoglądać. Nie wolno ci mówić. Masz słuchać tylko słowa Bożego.

- Tak, wielbna matko. Miesiąc później Lucia ponownie została pouczona:

- Siostry przychodzą tu nie po to, by dołączyć do innych, ale samotnie obcować z Bogiem. Osamotnienie ducha jest niezbędne dla związku z Bogiem. Pomaga w tym reguła milczenia.

- Tak, wielbna matko.

- Twoje oczy również muszą milczeć. Patrzenie w oczy innym rozproszyłoby twą uwagę, prowokując bezużyteczne wyobrażenia.

- Tak, wielbna matko.

- Twoim pierwszym zadaniem będzie zapomnienie o przeszłości, pozbycie się dawnych nawyków i ziemskich pragnień. Odrzucisz wszelkie obrazy przeszłości. Oddasz się oczyszczającej pokucie i umartwieniom, by wyzbyć się uporu i egoizmu. Nie wystarczy żałować za przeszłe występki. Odkrywając nieopisane piękno i świętość Boga, pragniemy odbyć pokutę za grzechy nie tylko własne, również za wszystkie kiedykolwiek popełnione.

- Tak, matko.

- Musisz walczyć ze zmysłowością; święty Jan od Krzyża nazywa to „nocą zmysłów”.

- Tak, matko.

- Każda z zakonnice żyje w milczeniu i samotności, jakby już przebywała w niebie. W tej nieskażonej, kompletnej ciszy może wsłuchiwać się w ciszę wieczną i poznawać Boga.

Pod koniec pierwszego miesiąca pobytu w klasztorze Lucia złożyła śluby wstępne.

Tego samego dnia została ostrzyżona. Było to bolesne doświadczenie. Wielebna matka osobiście dokonała tego dzieła. Wezwała Lucię do swego gabinetu i poleciła jej usiąść. Następnie stanęła za krzesłem i zanim Lucia zorientowała się, o co chodzi, usłyszała szcęk nożyc i poczuła szarpnięcie za włosy. Zaczęła protestować, ale nagle zdała sobie sprawę, że dzięki temu jej przebranie stanie się bardziej przekonujące.

„Później zawsze mogę je zapuścić z powrotem” - pomyślała. - „Za to na razie będę wyglądać jak oskubany kurczak”.

Potem wróciła do przydzielonej jej ponurej klitki.

„Co za nora” - powiedziała w duchu. Gołe deski tworzyły podłogę, a posłanie i twarde krzesło zajmowały większość miejsca.

Lucia wiele dałaby, żeby móc przejrzeć gazetę.

„Bez szans” - oceniła. Nikt tu nie słyszał o gazetach, nie mówiąc już o radiu czy telewizorze. Ze światem zewnętrznym nie istniało żadne połączenie.

Najbardziej jednak działała jej na nerwy nienaturalna cisza. Jedynym sposobem porozumiewania się było sygnalizowanie dłońmi, a nauka tego języka doprowadzała Lucię do szału. Gdy potrzebowała miotły, miała przesuwając wyciągniętą prawą ręką z prawa na lewo, jakby zamiatając. Gdy wielebna matka była niezadowolona, trzykrotnie łączyła opuszki małych palców, pozostałe palce trzymając zaciśnięte. Gdy Lucia zbyt wolno wykonywała swą pracę, wielebna matka przyciskała dłoń prawej ręki do swego lewego ramienia, by zaś upomnieć opieszalą pracownicę, przesuwała wszystkie palce prawej ręki w dół po policzku, w pobliżu prawego ucha.

„Na miłość boską - złościła się Lucia - wygląda, jakby drapała miejsce po ugryzieniu pchły”.

Zakonnice dotarły do kaplicy i modliły się w milczeniu. Siostra Lucia myślała w tym czasie o sprawach ważniejszych niż Bóg.

„Za miesiąc, dwa, kiedy policja przestanie mnie szukać, wyniosę się z tego domu wariatów”.

Po porannych modłach siostra Lucia wraz z innymi udała się do jadalni. Jak co dzień łamała regułę zakonu, przyglądając się twarzom współtowarzyszek. Była to jej jedyna rozrywka. Uważała za niewiarygodny fakt, że żadna z sióstr nie wie, jak wyglądają pozostałe. Lucię fascynowały twarze zakonnice, stare, młode, ładne i brzydkie. Nie mogła zrozumieć, czemu na wszystkich malowało się takie szczęście.

Za szczególnie interesujące uznała trzy fizjonomie. Pierwsza należała do siostry Teresy, kobiety mniej więcej sześćdziesięcioletniej. Zakonnica ta zdecydowanie nie była

piękna, ale otaczała ją aura uduchowienia, nadająca jej rysom wyraz prawie nieziemskiej urody. Wydawała się zawsze rozjaśniona wewnętrznym uśmiechem, jakby posiadała jakiś cudowny sekret.

Drugim obiektem zainteresowania Lucii była siostra Graciela, uderzająco piękna, o oliwkowej skórze, subtelnych rysach i pełnych blasku czarnych oczach. Mogła mieć około trzydziestu lat.

„Powinna być gwiazdą filmową - myślała Lucia. - Jakie są jej dzieje? Czemu żywcem pogrzebała się w takiej dziurze?”

Trzecia zakonnica, która intrygowała Lucię, miała na imię Megan. Wyróżniały ją błękitne oczy o szczerym, otwartym spojrzeniu oraz jasne brwi i rzęsy. Musiała już skończyć dwudziestkę.

„Co tu robi? Co one wszystkie tu robią? Zamknięte za murami, skazane na maleńkie cele, nędzne jedzenie, ośmiogodzinne modlitwy, ciężką pracę, zbyt krótki sen? Muszą być *pazzo** - wszystkie”.

Lucia uważała, że jest w sytuacji o niebo od nich lepszej. Tamte kobiety utknęły w klasztorze na resztę życia, podczas gdy ona wyjdzie stąd za miesiąc czy dwa.

„Może trzy - wahała się. - To doskonała kryjówka. Musiałabym być głupia, żeby się spieszyć. Za parę miesięcy policja przestanie mnie szukać. Kiedy się stąd wyniosę i zdobędę pieniądze ze Szwajcarii, może napiszę książkę o tym domu wariatów”.

Kilka dni wcześniej siostra Lucia została posłana przez wielbną matkę do gabinetu po papier i będąc tam, skorzystała z okazji, by poprzeglądać akta. Niestety, została przyłapana na myszkowaniu.

- Ukarzesz się za pomocą dyscypliny - zasygnalizowała przeorysza Betina.

Lucia potulnie spuściła głowę i odpowiedziała językiem znaków:

- Tak, wielbna matko. Następnie wróciła do swej celi i parę minut później przechodzące korytarzem zakonnice usłyszały okropny świst bata, przecinającego powietrze. Nie wiedziały jednak, że siostra Lucia biczuje łóżko.

„Takie zabawy mogą być dobre dla sado - masochistów, a nie dla mnie”.

Czterdzieści zakonnice siedziało przy dwóch długich stołach w refektarzu.

Cysterki przestrzegały diety wegetariańskiej. Ponieważ ciało pragnęło mięsa, było ono zakazane. Na długo przed świtem zakonnice wypijały kubek herbaty lub kawy i zjadały kilka kawałków suchego chleba. Główny posiłek miał miejsce o jedenastej, a składała się na niego cienka zupka i trochę jarzyn, czasem jakiś owoc.

*Pazzo - (wł.) szalone.

Wielebna matka pouczyła Lucię:

- Jesteśmy tu, by zadowolić Boga, nie nasze ciała.

„Takim śniadaniem nie pożywiłby się nawet mój kot - skomentowała w myślach siostra Lucia. - Jestem tu dwa miesiące, a już straciłam z pięć kilo. To boża wersja czasów odchudzających”.

Po posiłku dwie zakonnice przynosiły miednice i stawiały je na końcu obu stołów. Talerze podawano siostronom, które przyniosły miski, a te myły naczynia, wycierały i oddawały właścicielkom. Woda w miednicach stawała się coraz ciemniejsza i bardziej tłusta.

„One chcą w ten sposób spędzić resztę życia - zdumiewała się siostra Lucia przepełniona obrzydzeniem. - Cóż. Właściwie nie mogę narzekać. To i tak bije na głowę dożywocie”.

Myślała też, że oddałaby swą nieśmiertelną duszę za papierosa.

Na drodze przebiegającej pięćset metrów niżej pułkownik Ramon Acoca i dwudziestu czterech starannie dobranych ludzi z GOE, Grupo de Operaciones Especiales, przygotowywało się do ataku na klasztor.

Pułkownik Ramon Acoca miał instynkt łowcy. Uwielbiał pościg, ale głęboką wewnętrzną satysfakcję sprawiało mu zabijanie. Kiedyś zwierzył się przyjacielowi:

- Przeżywam orgazm, gdy zabijam. Bez różnicy - jelenia, królika czy człowieka. W odbieraniu życia jest coś, co sprawia, że czujesz się jak Bóg.

Acoca pracował kiedyś w wywiadzie wojskowym i szybko zdobył sobie opinię błyskotliwego. Nieustraszony, bezwzględny i inteligentny, zaraz zwrócił na siebie uwagę jednego z zaufanych ludzi Franco.

Acoca przystał do frankistów jako porucznik i w niespełna trzy lata dosłużył się stopnia pułkownika, co było wyczynem prawie nieprawdopodobnym. Został dowódcą falangistów, grupy specjalnej, wykorzystywanej do zastraszania tych, którzy sprzeciwiali się Franco.

To w czasie wojny po Acocę posłał jeden z członków OPUS MUNDO.

- Chcę, żeby miał pan świadomość, że rozmawiamy z panem za pozwoleniem generała Franco.

- Tak jest.

- Obserwowaliśmy pana, pułkowniku. Jesteśmy zadowoleni z tego, co zobaczyliśmy.

- Dziękuję panu.

- Od czasu do czasu mamy do wypełnienia pewne zadania, nie muszę chyba mówić, że wyjątkowo poufne. I bardzo niebezpieczne.

- Rozumiem, proszę pana.

- Mamy wielu wrogów. Ludzi nie rozumiejących znaczenia naszych działań.

- Tak, proszę pana.

- Czasami stają nam oni na przeszkodzie. Nie możemy pozwalać, by miało to miejsce.

- Tak jest.

- Sądzę, że moglibyśmy użyć człowieka pańskiego pokroju, pułkowniku. Chyba się rozumiemy.

- Byłbym zaszczycony, mogąc pomóc.

- Chcielibyśmy, żeby pozostał pan w armii. Będzie to nam przydatne. A od czasu do czasu polecimy panu wykonanie tych specjalnych zadań.

- Dziękuję panu.

- Nie wolno panu nigdy o tym opowiadać.

- Zrozumiałem. Człowiek za biurkiem zdenerwował wtedy Acocę. Stwarzał wokół

siebie atmosferę przytłaczającego lęku.

Pułkownika Acoce sześciokrotnie poproszono, by wypełnił misję dla OPUS MUNDO. Tak jak go uprzedzono, wszystkie były bardzo niebezpieczne. I bardzo poufne.

Podczas wykonywania jednego z zadań Acoca poznał śliczną, młodą dziewczynę z dobrej rodziny. Do tej pory zadawał się tylko z dziwkami i markietankami, które traktował z miażdżącą pogardą. Niektóre z nich naprawdę kochały pułkownika, zafascynowane jego siłą, i te traktował najgorzej.

Susana Cerredilla należała do innego świata. Jej ojciec był profesorem Uniwersytetu Madryckiego, a matka prawnikiem. Susana w siedemnastym roku życia miała ciało kobiety i anielską twarz Madonny. Ramon Acoca nigdy wcześniej nie spotkał nikogo podobnego do tej kobiety - dziecka. Jej delikatność budziła w nim czułość, o jaką się nie podejrzewał. Zakochał się w Susanie jak szaleniec i choć ani jej rodzice, ani sam Acoca nie wiedzieli dlaczego, ona również go pokochała.

Podczas miesiąca miodowego Acoca czuł się, jakby nie miał innych kobiet. Znał żądę, ale miłości połączonej z namiętnością doświadczał po raz pierwszy.

Trzy miesiące po ślubie Susana wyjawiała mężowi, że jest w ciąży. Acoca był tym niezwykle podniecony. W dodatku został odkomenderowany do ślicznej małej wioski Castilblanco, położonej w kraju Basków. Miało to miejsce jesienią 1936 roku, gdy między republikanami a nacjonalistami toczyły się szczególnie zawzięte walki.

Spokojnego niedzielnego ranka, gdy Ramon Acoca i jego młoda żona pili kawę na rynku, pojawił się tłum baskijskich demonstrantów.

- Chcę, żebyś poszła do domu - powiedział Acoca. - Będą kłopoty.

- Ale ty...?

- Proszę cię. Mnie nic się nie stanie. Demonstranci zaczęli być agresywni. Acoca z ulgą obserwował, jak jego ukochana mija tłum i oddała się w stronę stojącego w dalszej części rynku klasztoru. A gdy do niego doszła, drzwi domu zakonnego otworzyły się gwałtownie i na zewnątrz wypadli uzbrojeni Baskowie, którzy się w nim ukrywali. Bezradny Acoca patrzył na żonę padającą pod gradem pocisków. Tego właśnie dnia poprzysiągł zemstę Baskom i Kościołowi.

I oto znajdował się w Avila, u podnóża innego klasztoru. „Tym razem oni zginą” - myślał.

W klasztorze, w przedranych ciemnościach, siostra Teresa biczowała się, mocno ściskając w ręku dyscyplinę. Odmawiając akt skruchy, czuła spadające na plecy suplaste końce bata. Omal nie krzyknęła głośno, ale hałas był zabroniony, więc stłumiła okrzyk w

sobie.

„Jezu, odpuść mi moje grzechy. Bądź świadkiem, że karzę się, jak Ty byłeś karany, i zadaję sobie ból, jaki Tobie zadano. Pozwól mi cierpieć, jak i Ty cierpiełeś”.

Już prawie mdlała z bólu. Smagnęła się jeszcze trzy razy i wycieńczona padła na posłanie. Nie krwawiła jednak. To było zabronione. Zmagając się z bólem, jaki wywoływał każdy ruch, siostra Teresa schowała dyscyplinę do futerału i postawiła w kącie. Była tam zawsze - stałe przypomnienie, że za każdy najlżejszy nawet grzech trzeba zapłacić.

Występek siostry Teresy miał miejsce rano, gdy zawracając w końcu korytarza ze spuszczonej oczyma, zderzyła się z siostrą Gracielą. Zaskoczona, spojrzała siostrze Gracieli w twarz. Potem natychmiast zgłosiła swe przewinienie. Wielebna matka z dezaprobatą zmarszczyła brwi i nakazała karę chłosty, trzykrotnie przesuwając zaciśniętą, jakby trzymała w niej dyscyplinę, prawą ręką z opuszką kciuka przyciśniętą do wewnętrznej strony palca wskazującego, z ramienia na ramię.

Leżąca na sienniku siostra Teresa nie mogła wyrzucić z pamięci obrazu cudownie pięknej twarzy młodej dziewczyny. Wiedziała, że nigdy z nią nie porozmawia ani nawet nie spojrzy po raz drugi, ponieważ najlżejszy przejaw zażyłości między zakonniceami był surowo karany. W atmosferze ścisłej moralnej i fizycznej czystości nie zezwalano na wytworzenie się żadnych związków uczuciowych. Jeśli dwie pracujące w pobliżu zakonnice zdawały się czerpać przyjemność ze swej milczącej bliskości, wielebna matka bezzwłocznie je rozdzielała. Nawet przy stole siostronom nie wolno było siadać dwukrotnie przy tej samej osobie. Wzajemną fascynację zakonnice Kościoła delikatnie określał mianem „szczególnej przyjaźni” i karał ją surowo. Łamiąc regułę zakonu, siostra Teresa zasłużyła na karę.

Teraz z wielkiej odległości dotarł do siostry Teresy dźwięk dzwonu. Był to głos gromiącego ją Boga.

W sąsiedniej celi dzwonienie wkradło się w sny siostry Gracieli i wygrywana przez dzwon melodia zmieszała się z lubieżnym trzeszczeniem sprężyn łóżka. Zbliżał się Maur, nagi, z nabrzmiewającą męskością, i wyciągał ręce, żeby pochwycić dziewczynę. Graciela, rozbudzona, otworzyła oczy. Rozejrzała się dokoła przerażona, z walącym sercem, ale była sama w maleńkiej celi, a jedynym słyszalnym dźwiękiem było uspokajające bicie dzwonu.

Siostra Graciela ukłękła przy posłaniu.

„Jezu, dziękuję, że mnie wybawiłeś. Dziękuję Ci za radość, którą odczuwam, przebywając tutaj, w Twoim blasku. Pozwól mi wysławiać szczęście Twego istnienia. Pomóż mi, mój Umiłowany, w pełni odpowiedzieć na Twe wezwanie. Pozwól mi ulżyć Twemu zbolełemu sercu”.

Zakonnica podniosła się i starannie pościeliła łóżko, a potem dołączyła do sióstr, udających się w milczącej procesji do kaplicy na jutrznię.

Po wstąpieniu do klasztoru siostra Graciela z początku nie rozumiała słów matki przeorszy, że zakonnica jest kobietą, która oddała wszystko, by wszystko osiąść. Graciela miała wtedy czternaście lat. Teraz, po siedemnastu latach, sens tych słów stał się dla niej jasny. Zyskiwała wszystko w kontemplacji, gdyż kontemplacja była odpowiedzią umysłu na wołanie duszy. Życie siostry Gracieli wypełniał cudowny spokój.

„Dziękuję, że pozwoliłeś mi zapomnieć, Ojczy. Dziękuję, że przy mnie stoisz. Bez Ciebie nie stawiałabym czoła mojej okropnej przeszłości... dziękuję... dziękuję...”

Po skończonej jutrzni zakonnice wróciły do swych cel, by spać aż do odprawianej o wschodzie słońca laudy.

Na zewnątrz pułkownik Ramon Acoca i jego żołnierze szybko posuwali się w ciemności. Gdy podeszli pod klasztor, Acoca powiedział:

- Jaime Miro i jego ludzie będą uzbrojeni.

Nie ryzykujcie. - Spojrzał na fasadę kościoła i zobaczył klasztor, z którego wybiegają baskijscy partyzanci i Susanę padającą pod gradem pocisków. - Nie trudźcie się, żeby wziąć Miro żywcem - dodał.

Siostrę Megan zbudziła cisza. Cisza inna niż zwykle, pełna ruchu, spieszego pędu powietrza i szeptów. Były to dźwięki, jakich podczas swego piętnastoletniego pobytu w klasztorze nigdy nie słyszała. Nagle naszło ją przeczucie, że stało się coś potwornego.

Wstała i cicho poruszając się w ciemności, otworzyła drzwi. Z niedowierzaniem zobaczyła, że długi kamienny korytarz zapełniają mężczyźni. Z celi przeorszy wychodził olbrzym z blizną na twarzy, ciągnąc wielebną matkę za ramię. Megan patrzyła zaszokowana.

„Mam zły sen - pomyślała. - Ci ludzie nie mogą tu być”.

Na twarzy wielebnej matki Betiny malowało się przerażenie zmieszane ze zdumieniem.

- Cśśś! To świątynia Boża. Profanujecie ją. - Głos przeorszy drżał. - Musicie natychmiast wyjść.

Pułkownik chwycił zakonnice mocniej i potrząsnął nią.

- Chcę Miro, siostrze. Koszmar okazał się rzeczywistością. W otwierających się drzwiach cel zaczęły stawać inne zakonnice, wszystkie z widocznym na twarzach wyrazem zupełnego zaskoczenia. W żaden sposób nie były przygotowane na podobnie niezwykle wydarzenia.

Pułkownik Acoca odepchnął wielebną matkę i zwrócił się do Patricia Arriety, jednego

ze swych głównych pomocników:

- Przeszukać klasztor. Ludzie rozbiegli się na wszystkie strony, zaglądając do kaplicy, refektarza i cel, budząc te zakonnice, które jeszcze spały. Brutalnie zmuszając siostry do wstania, spędzali je do kaplicy. Kobiety poddały się ich woli bez słowa, nawet w takiej sytuacji przestrzegając ślubów milczenia. Wyglądało to jak scena z niemego filmu.

Żołnierze przepelnieni byli chęcią zemsty. Wszyscy należeli do falangistów i aż za dobrze pamiętali, że podczas wojny domowej Kościół zwrócił się przeciw nim i chronił lojalistów, sprzeciwiając się umiłowanemu generalissimusowi Franco. Teraz mieli szansę, by się za to odegrać. Siła i spokój zakonnice tylko potęgowały ich wściekłość.

Mijając jedną z cel, Acoca usłyszał dobiegający z niej krzyk. Zajrzał do środka i zobaczył żołnierza zdzierającego habit z zakonnicy. Po chwili odszedł.

Siostrę Lucię obudziły męskie krzyki. Usiadła przerażona.

„Policja mnie znalazła - przyszło jej na myśl. - Muszę się stąd wynieść w cholerę”.

Poza frontowymi drzwiami z klasztoru nie było wyjścia.

Lucia szybko wstała i wyrzała na korytarz. To, co zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie. Korytarz był pełen nie policji, ale mężczyzn w cywilnych ubraniach, uzbrojonych, rozbijających lampy i stoły. Panował kompletny zamęt.

Pośrodku tego chaosu stała matka Betina, która w milczeniu modliła się i patrzyła, jak jest profanowany jej ukochany klasztor. Do przeoryszy podeszła siostra Megan i Lucia dołączyła do tej pary.

- Co do di... co się dzieje? Kim oni są? - zapytała Lucia. Były to pierwsze od czasu wstąpienia do klasztoru słowa, jakie wypowiedziała na głos.

Wielebna matka trzykrotnie wsunęła prawą rękę pod lewą pachę, co oznaczało „kryć się”.

Lucia spojrzała na przeoryszkę z niedowierzaniem.

- Teraz chyba można mówić. Wynośmy się stąd, na litość boską.

Do Acoki podbiegł Patricio Arrieta.

- Przeszukaliśmy wszystko, panie pułkowniku. Nie ma śladu Miro i jego ludzi.

- Przeszukać jeszcze raz - z uporem powiedział Acoca. Wtedy właśnie wielebna matka przypomniała sobie o jedynym skarbie, jaki miał klasztor. Szybko zbliżyła się do siostry Teresy i wyszeptała:

- Mam dla ciebie zadanie. Weź złoty krzyż z refektarza i zanieś go do klasztoru w Mendavii. Trzeba go stąd zabrać. Pospiesz się!

Siostra Teresa drżała tak mocno, że chwiało się jej kwef. Sparaliżowana, patrzyła na

wielebną matkę. Spędziła w klasztorze trzydzieści lat i nie umiała sobie wyobrazić opuszczenia jego murów. Podniosła rękę i zasygnalizowała „nie mogę”. Jednak przeorysza była jak oszalała.

- Krzyż nie może wpaść w ręce tych sług szatana. Zrób to dla Jezusa.

Oczy siostry Teresy zajaśniały. Wyprostowała się. „Dla Jezusa” zasygnalizowała, odwróciła się i pospieszyła do refektarza.

Do grupki skupionej wokół matki Betiny podeszła siostra Graciela, niepewnie rozglądająca się dokoła.

Mężczyźni stawali się coraz bardziej brutalni, demolując wszystko, co wpadło im w oko. Pułkownik Acoca przyglądał się im z aprobatą.

Lucia zwróciła się do Megan i Gracieli: - Nie wiem jak wy, ale ja się stąd zrywam. Idzicie?

Zakonnice patrzyły na nią, zbyt oszołomione, by odpowiedzieć.

Szybkim krokiem zbliżyła się do nich siostra Teresa, niosąca coś owiniętego w kawałek płótna. Żołnierze zaganiali kobiety do refektarza.

- Chodźcie - zarządziła Lucia. Siostry Teresa, Megan i Graciela wahały się przez chwilę, a potem poszły za Lucią w stronę wyjścia. Gdy doszły do końca korytarza, zobaczyły, że olbrzymie frontowe drzwi zostały wyważone.

Nagle tuż przed grupką zakonnice pojawił się jeden z ludzi Acoki.

- Gdzieś się wybieracie, panie? Proszę się cofnąć. Moi przyjaciele mają w stosunku do was pewne plany.

- Mamy dla ciebie prezent - odparła Lucia. Chwyliła jeden z ciężkich metalowych lichtarzy, które stały na stołach w korytarzu, i uśmiechnęła się.

Mężczyzna ze zdumieniem spojrział na świecznik.

- Co z tym można zrobić?

- To. - Lucia zamachnęła się kandelabrem i uderzyła żołnierza w głowę, a on, nieprzytomny, upadł na ziemię. Trzy zakonnice przyglądały się temu z przerażeniem.

- Ruszcie się! - rozkazała Lucia. Chwilę później Lucia, Megan, Graciela i Teresa znalazły się na dziedzińcu i przez bramę wyszły w rozgwieżdżoną noc. Lucia zatrzymała się.

- Zostawię was teraz. Będą was szukać, więc lepiej się stąd zabierajcie.

Odwróciła się i spojrzała na majaczące w oddali, ponad klasztorem, góry.

„Ukryję się tam, dopóki nie zaniechają poszukiwań, a potem spróbuję dostać się do Szwajcarii. Co za parszywy pech. Te gnoje zepsuły mi idealną kryjówkę”.

Kiedy weszła spory kawałek pod górę, obejrzała się. Miała dogodny widok na trzy

zakonnice. Było to niewiarygodne, ale wciąż stały przed klasztorną bramą jak czarno odziane posągi.

„Na litość boską - pomyślała. - Wynoście się stamtąd, zanim was złapią. Ruszcie się!”

Nie mogły się ruszyć. Ich zmysły były jakby sparaliżowane: siostry nie rozumiały, co się wydarzyło. Stały i patrzyły w ziemię, zbyt oszołomione, by myśleć. Tak długo były zamknięte za murami świętego przybytku, odizolowane od świata, że gdy opuściły bezpieczny klasztor, ogarnęły je niepewność i strach. Nie miały pojęcia, dokąd się udać ani jak postąpić. Tam, w środku, ich życie było zorganizowane. Karmiono je, odziewano, mówiono, co i kiedy mają robić. Żyły według reguły. I nagle reguły zabrakło. Czego chciał od nich Bóg? Jaki był Jego plan? Stały zbite w gromadkę, bojąc się odezwać, bojąc się podnieść wzrok.

Wreszcie siostra Teresa z wahaniem wskazała na odległe światła Avili i zasygnalizowała „tędy”. Zakonnice zaczęły niepewnie posuwać się w stronę miasta.

Przyglądająca się im ze wzgórza Lucia pomyślała:

„Nie, wy idiotki! Tam przede wszystkim będą was szukać. Ale cóż, to wasz kłopot. Ja mam własne problemy”.

Stała jeszcze przez chwilę, patrząc, jak idą na pewną zgubę. „Cholera”.

Z trudem, potykając się na osypiskach, zeszła z góry i w krępującym ruchu habicie niezręcznie popędziła za nimi.

- Zaczekajcie - zawołała. - Stójcie! Zakonnice zatrzymały się i odwróciły. Lucia podbiegła do nich bez tchu.

- Idziecie w złą stronę. Pierwsze miejsce, gdzie będą was szukać, to miasto. Musicie się gdzieś ukryć.

Trzy kobiety wpatrywały się w Lucię w milczeniu.

- Córy. Idźcie w góry. Chodźcie za mną - zakończyła niecierpliwie.

Odwróciła się i zaczęła iść z powrotem w stronę wzgórza. Zakonnice śledziły Lucię wzrokiem, a po chwili, jedna za drugą, podążyły jej śladem.

Lucia od czasu do czasu oglądała się, by upewnić się, że za nią idą.

„Czemu nie umiem troszczyć się tylko o siebie? - zastanawiała się. - To nie moja sprawa. Niebezpiecznie jest być razem”.

Wspinała się dalej, sprawdzając, czy ma zakonnice w zasięgu wzroku.

Siostry szły z trudem. Za każdym razem, kiedy zwalniały, Lucia zatrzymywała się, żeby mogły ją dogonić.

„Rano się ich pozbędę”.

- Chodźmy szybciej - zawołała.

Akcja w klasztorze dobiegła końca. Oszołomione zakonnice w podartych, poplamionych krwią habitach zapędzono do nie oznakowanych, zamkniętych ciężarówek.

- Zabrać je do kwatery głównej w Madrycie - polecił pułkownik Acoca. - Trzymać w odosobnieniu.

- Pod jakim zarzutem?

- Ukrywania terrorystów.

- Tak jest, panie pułkowniku - odparł Patricio Arrieta. Zawahał się i dodał: - Cztery zakonnice zagięły.

Oczy pułkownika Acoki zlodowaciały. - Znaleźć je.

Acoca przyleciał do Madrytu, żeby złożyć raport premierowi.

- Jaime Miro uciekł, zanim weszliśmy do klasztoru. Premier Martinez skinał głową.

- Tak, słyszałem. - Zastanawiał się, czy Jaime Miro w ogóle kiedykolwiek tam przebywał. Nie było wątpliwości, że pułkownik Acoca zaczyna niebezpiecznie wymykać się spod kontroli. Brutalny atak na klasztor wywołał stanowcze protesty. Premier ostrożnie dobierał słowa: - Gazety nie dają mi wytchnienia z powodu tego, co zaszło.

- Gazety gloryfikują terrorystę - odparł Acoca z kamienną twarzą. - Nie wolno dopuścić, by wywierali na nas nacisk.

- On przyczynia rządowi niemałych kłopotów, pułkowniku. A te cztery zakonnice... jeśli zaczną mówić...

- Proszę się nie martwić. Nie zjadą daleko. Złapię je i znajdę Miro. Premier podjął właśnie decyzję, że więcej nie może sobie pozwolić na podjęcie żadnego ryzyka.

- Chcę, żeby te trzydzieści sześć zakonnice dobrze traktowano, pułkowniku. I zarządzam włączenie armii do poszukiwań Miro. Będzie pan współpracował z pułkownikiem Sostelo.

Zapanowała długa, pełna napięcia cisza.

- Który z nas będzie dowodził operacją? - Oczy Acoki przypominały lód.

Premier nerwowo przełknął ślinę.

- Pan, oczywiście.

Lucia i trzy zakonnice wędrowały do świtu, idąc w góry na północny wschód, oddalając się od Avila i klasztoru. Przyzwyczajone do poruszania się w milczeniu, robiły niewiele hałasu. Słysząc było jedynie szelest ich szat, stukanie różańców, czasem trzask zdeptanej gałązki i chwytny oddech, kiedy wspinały się wyżej i wyżej.

Dotarli do płaskowyzu w masywie Guadarrama i poszły pokrytą koleinami drogą,

ograniczoną przez kamienne ściany. Mijały pola z pasącymi się owcami i kozami. Do wschodu słońca przeszły ładnych kilka kilometrów i znalazły się w lasach w pobliżu małej wioski Villacastin.

„Tu je zostawię - postanowiła Lucia. - Teraz może się nimi zająć ich Bóg. Mną rzeczywiście świetnie się zaopiekował - pomyślała gorzko. - Od Szwajcarii jestem dalej niż kiedykolwiek. Nie mam pieniędzy, nie mam paszportu i jestem ubrana jak przedsiębiorca pogrzebowy. Tamci ludzie wiedzą już, że uciekłyśmy. Będą nas szukać aż do skutku. Im prędzej się stąd oddalę, tym lepiej”.

I wtedy stało się coś, co całkowicie zmieniło jej plany.

Idąca między drzewami siostra Teresa potknęła się i paczka, której tak troskliwie pilnowała, upadła na ziemię. Z płóciennego zawiniątka coś się wysunęło i Lucia zorientowała się, że widzi duży, subtelnie rzeźbiony złoty krzyż, błyszczący w promieniach wschodzącego słońca.

„Prawdziwe złoto - zdała sobie sprawę. - Ktoś tam na górze jednak się o mnie troszczy. Ten krzyż to moja manna. Niebieska manna. To mój bilet do Szwajcarii”.

Lucia uśmiechnęła się do siebie, przyglądając się, jak siostra Teresa podnosi krzyż i starannie go owija. Dostanie go z łatwością. Te zakonnice zrobią wszystko, co im każe.

W Avila wrzało. Wiadomości o ataku na klasztor rozprzestrzeniły się błyskawicznie. Wybrano ojca Berrendo, żeby stawił czoło pułkownikowi Acoce. Wydelegowany ksiądz miał ponad siedemdziesiąt lat i sprawiał wrażenie słabego staruszka, co stało w sprzeczności z jego wewnętrzną siłą. Dla swych parafian był miłym, wyrozumiałym duszpasterzem, ale w tej chwili przepelniała go zimna furia.

Pułkownik Acoce kazał księdzu czekać godzinę, zanim poprosił go do swego biura.

Ojciec Berrendo zaczął bez wstępów:

- Pan i pańscy ludzie zaatakowali klasztor bez powodu. To był akt szaleństwa.

- Wykonywaliśmy po prostu swój obowiązek - krótko odparł pułkownik. - Klasztor udzielał schronienia Jaimemu Miro i jego bandzie morderców, więc siostry same są sobie winne. Zatrzymaliśmy je dla uzyskania wyjaśnień.

- Czy znalazł pan Jaimego Miro w klasztorze? - ze złością zapytał ksiądz.

Pułkownik gładko odrzekł:

- Nie. Uciekł, zanim się tam dostaliśmy. Ale znajdziemy go i sprawiedliwości stanie się zadość.

„Mojej sprawiedliwości” - dodał w myślach z wściekłością.

Zakonnice posuwały się wolno. Ich strój nie nadawał się do wędrówek w górskim terenie. Miały zbyt cienkie sandały, by ochroniły ich stopy przed ostrymi kamieniami, a habity zaczepiały o wszystko dookoła. Siostra Teresa zdała sobie sprawę, że nie może nawet odmawiać różańca. Potrzebowała obu rąk do przytrzymywania gałęzi, które inaczej uderzałyby ją w twarz.

W świetle dnia wolność wydawała się jeszcze bardziej zatrważająca. Bóg wypędził siostry z Edenu w dziwny, przerażający świat i pozbawił je swej opieki, na której tak długo polegały. Znalazły się w nieznanym kraju bez mapy czy kompasu. Mury, które chroniły je tak długo, zniknęły i zakonnice czuły się nagie, wystawione na czyhające zewsząd niebezpieczeństwa.

Siostry były wyobcowane. Niezwykłe widoki i dźwięki wprawiały je w zakłopotanie. Ich zmysły atakowało brzęczenie insektów, ptasie śpiewy i widok gorącego, niebieskiego nieba. Ale nie tylko to peszyło zakonnice.

Tuż po ucieczce z klasztoru Teresa, Graciela i Megan starannie unikały patrzenia na siebie, instynktownie przestrzegając reguły, teraz jednak każda z nich z ciekawością studiowała twarze towarzyszek. Po długich latach milczenia zakonnice mówiły z trudem, zacinając się, z wolna ponownie nabierając wprawy, a własne głosy dziwnie brzmiały im w uszach. Jedynie Lucia sprawiała wrażenie nieskrępowanej i pewnej siebie, pozostałe więc kobiety automatycznie uznały ją za przywódczynię.

- Równie dobrze możemy się przedstawić - stwierdziła. - Jestem siostra Lucia.

Po chwili krępującej ciszy odezwała się zawstydzona Graciela:

- Siostra Graciela. „Uderzająco piękna brunetka”.

- Siostra Megan. „Młoda blondynka o intensywnie błękitnych oczach”.

- Siostra Teresa.

„Najstarsza z grupy. Ma pięćdziesiąt lat? A może sześćdziesiąt!? Kiedy odpoczywały w lasach w pobliżu wioski, Lucia pomyślała: „Są jak pisklęta, które wypadły z gniazda. Same nie przetrwają nawet pięciu minut. Tym gorzej dla nich. Ja z krzyżem ruszam do Szwajcarii”.

Podeszła do skraju polany, na której się zatrzymały, i spomiędzy drzew spojrzała na leżącą w dole wioskę. Na ulicach było niewielu ludzi i ani śladu mężczyzn, którzy napadli na klasztor.

„Teraz - postanowiła Lucia. - Oto moja szansa”.

Zwróciła się do zakonnice:

- Schodzę do wioski, żeby zdobyć dla nas coś do jedzenia. Zaczekajcie tutaj. - Skinęła na starszą kobietę. - Siostra pójdzie ze mną.

Siostra Teresa poczuła zakłopotanie. Przez trzydzieści lat była posłuszna jedynie rozkazom wielbnej matki Betiny, a teraz nagle ta siostra przejęła dowodzenie.

„Dzieje się tak z woli Boga - pomyślała. - Wyzaczył ją, żeby nam pomogła, więc przemawia w Jego imieniu”.

- Muszę zanieść krzyż do klasztoru w Mendavii naj szybciej jak to możliwe.

- Słusznie. Na dole zapytamy o drogę.

Zacęły razem schodzić w stronę miasteczka, Lucia uważnie rozglądała się dokoła. Wszędzie panował zupełny spokój.

„To będzie łatwe” - stwierdziła w duchu.

Dotarły do skraju osady i zobaczyły znak z napisem *Villacastin*. Przed sobą miały główną ulicę, z lewej wąski, opustoszały zaułek.

„Świetnie” - ucieszyła się Lucia. Nie będzie nikogo, kto mógłby dostrzec to, co zaraz się stanie.

Skręciła w boczną uliczkę.

- Chodźmy tędy. Tu mamy mniejsze szanse, że ktoś nas zobaczy.

Siostra Teresa skinęła głową i posłusznie poszła za młodszą kobietą. Teraz problem polegał na tym, jak odebrać jej krzyż.

„Mogłabym go chwycić i uciec - pomyślała Lucia - ale prawdopodobnie narobiłaby krzyku i zamieszania. Nie, muszę być pewna, że będzie cicho”.

Na ziemi leżała spora gałąź. Lucia zawahała się, a potem stanęła, żeby ją podnieść. Była ciężka.

„Doskonała”.

Dziewczyna poczekała, aż siostra Teresa się z nią zrówna.

- Siostrzo Tereso...

Zakonnica zwróciła się w stronę mówiącej, a kiedy Lucia zaczęła unosić konar, rozległ się męski głos:

- Bóg z wami, siostry.

Lucia odwróciła się, gotowa do ucieczki. Za nimi stał mężczyzna ubrany w długą brązową mnisią szatę z kapturem. Był wysoki i szczupły, a jego twarz z orlim nosem miała najbardziej uduchowiony wyraz, jaki Lucii zdarzyło się widzieć. Oczy mężczyzny zdawało się rozjaśniać wewnętrzne światło, głos miał miękki i cichy.

- Jestem brat Miguel Carrillo.

Myśli Lucii pędziły jak szalone. Jej pierwotny plan przepadł. Nagle znalazła lepsze rozwiązanie.

- Dzięki Bogu, że nas brat znalazł - powiedziała. Ten człowiek będzie jej ucieczką. Będzie znał najprostszy sposób opuszczenia Hiszpanii. - Pochodzimy z klasztoru cysterek w pobliżu Avila - wyjaśniła. - Zeszłej nocy napadli na nas jacyś mężczyźni. Wszystkie zakonnice zabrano. Czterem z nas udało się uciec.

Gdy zakonnik odpowiedział, jego głos przepełniał gniew.

- Ja pochodzę z klasztoru w San Generro, gdzie przebywałem ostatnie dwadzieścia lat. Nas zaatakowano przedwczorajszej nocy. - Westchnął. - Wiem, że Bóg ma plan dotyczący wszystkich Jego dzieci, ale muszę wyznać, że w tej chwili nie rozumiem, o co Mu chodzi.

- Ci ludzie nas szukają - dodała Lucia. - Musimy opuścić Hiszpanię najszybciej jak się da. Czy brat wie, jak to zorganizować?

Brat Carrillo uśmiechnął się łagodnie.

- Chyba mogę wam pomóc, siostró. To Bóg nas połączył. Zabierzcie mnie do pozostałych.

W ciągu kilku minut Lucia zaprowadziła zakonnik na polanę.

- To brat Carrillo - wyjaśniła. - Był w klasztorze przez dwadzieścia lat. Przybył, żeby nam pomóc.

Reakcje zakonnice były różne. Graciela nie śmiała na niego patrzeć, Megan obrzuciła szybkim, zaciekawionym spojrzeniem, a siostra Teresa uznała za posłańca Bożego, który zaprowadzi je do klasztoru w Mendavii.

Brat Carrillo powiedział:

- Ludzie, którzy zaatakowali klasztor, bez wątpienia was poszukują. Będą się rozglądać za czterema zakonicami, więc pierwsze, co musicie zrobić, to zmienić ubrania.

- Nie mamy rzeczy do przebrania - przypomniała Megan. Brat Carrillo uśmiechnął się słodko.

- Nasz Pan ma dużą garderobę. Nie martw się, moje dziecko. On zatroszczy się o nas. Wracajmy do miasta.

O drugiej po południu, w czasie sjesty, brat Carrillo i cztery zakonnice posuwali się główną ulicą miasteczka, czujnie wypatrując śladu swych prześladowców. Sklepy były zamknięte, ale restauracje i bary pracowały. Dobiegała z nich dziwna muzyka, ostra, pełna dysonansów, śpiewana ochryplymi głosami.

Brat Carrillo dostrzegł wyraz twarzy siostry Teresy.

- To rock'n'roll - wyjaśnił. - Obecnie bardzo popularny wśród młodzieży.

Przed jednym z barów stały dwie młode kobiety, które odprowadziły wzrokiem przechodzące zakonnice. Siostry z rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma wpatrywały się w ich dziwne stroje. Jedna z dziewczyn miała na sobie spódniczkę tak krótką, że ledwie zakrywała jej uda, druga trochę dłuższą, ale za to wysoko rozciętą. Obie nosiły obcisłe, robione na drutach bluzeczki bez rękawów.

„Równie dobrze mogłyby być nagie” - pomyślała przerażona siostra Teresa.

W drzwiach stał mężczyzna w golfie, dziwacznej marynarce bez kołnierza i z wysadzonym kamieniami wisiosem na szyi.

Gdy zakonnice mijaly winiarnię, uderzyły je dawno zapomniane zapachy. Nikotyna i whisky.

Megan zapatrzyła się w coś po drugiej stronie ulicy i zatrzymała się.

Brat Carrillo zapytał:

- Co takiego? Co się stało? - Odwrócił się, żeby popatrzeć.

Megan przypatrywała się kobiecie niosącej dziecko. Ile to lat upłynęło, odkąd widziała niemowlę czy choćby małe dziecko? Ostatni raz w sierocińcu, czternaście lat temu. Nagły wstrząs sprawił, że Megan uświadomiła sobie, jak dalece usunęła się ze świata.

Również siostra Teresa przyglądała się dziecku, ale myślała o czymś innym.

„To dziecko Moniki”. - Maleństwo zapłakało. - „Płacze, ponieważ je opuściłam. Ale nie, to niemożliwe. To było trzydzieści lat temu”.

Siostra Teresa odwróciła się, lecz krzyk dziecka dźwięczał w jej uszach.

Idąc dalej, minęli kino. Napis na reklamie głosił *Troje kochanków*, a zdjęcia ukazywały skapo odzianą kobietę obejmującą mężczyznę o nagiej piersi.

- Ależ oni... oni są prawie nady! - wykrzyknęła siostra Teresa.

Brat Carrillo skrzywił się z dezaprobatą.

- Tak. To haniebne, co wolno dziś pokazywać w kinie. Ten film to czysta pornografia. Najbardziej osobiste, prywatne akty są wystawione na widok publiczny. Zmienili dzieci Boże w zwierzęta.

Przechodzili obok sklepu z narzędziami, salonu fryzjerskiego, kwiaciarni i sklepu ze słodyczami, zamkniętych z powodu sjeisty. Przed każdym oknem wystawowym siostry zatrzymywały się i oglądały wyłożone, dawniej znajome, a teraz ledwie pamiętane towary.

Gdy zbliżyli się do sklepu z damskimi ubraniami, brat Carrillo powiedział:

- Stójcie. Okna magazynu były zasłonięte roletami, a na drzwiach tkwiła plakietka z napisem *Zamknięte*.

- Zaczekajcie tu na mnie, siostry. Cztery kobiety patrzyły, jak zniknął za rogiem.

Spojrzały po sobie niepewnie.

Dokąd idzie i co dalej, jeśli nie wróci?

Kilka minut później usłyszały, że otwierają się frontowe drzwi sklepu. Stanął w nich rozpromieniony brat Carrillo. Gestem polecił zakonnicom wejść, dodając:

- Szybko. Gdy wszyscy znaleźli się wewnątrz i zakonnik zamknął drzwi, Lucia zapytała:

- Jak brat...?

- Bóg daje zarówno frontowe, jak tylne drzwi - odparł brat uroczyście, ale w jego głosie dźwięczał jakiś szelmowski ton, który zmusił Megan do uśmiechu.

Siostry lękliwie rozglądały się po sklepie. Przywodził na myśl róg obfitości, wypełniony wielobarwnymi sukienkami, swetrami, stanikami i pończochami, butami na wysokich obcasach i zakietami, przedmiotami nie widzianymi od lat. Ich fasony wydawały się dziwaczne. Były tam torebki, chustki, puderniczki, bluzki... Wszystkiego zbyt wiele, by to ogarnąć. Kobiety patrzyły na to różnorodne bogactwo z otwartymi ustami.

- Musimy się spieszyć - ostrzegł je brat Carrillo - i wyjść stąd przed ponownym otwarciem sklepu po sjeście. Obsłużcie się, wybierzcie to, co na was pasuje.

„Dzięki Bogu, że wreszcie znów mogę ubrać się jak kobieta” - pomyślała Lucia. Podeszła do stojaka z sukienkami i zaczęła je przeglądać. Wkrótce znalazła beżową spódnicę i odpowiednią do niej brązową, jedwabną bluzkę. - „To nie Balenciaga, ale na razie wystarczy”. - Wzięła jeszcze figi, stanik i parę miękkich mokasynów, a potem weszła między Wieszaki, rozebrała się i po kilku minutach była już przebrana i gotowa do drogi.

Pozostała trójka wolno kompletowała stroje.

Graciela wybrała białą bawełnianą sukienkę, podkreślającą jej czarne włosy i ciemną cerę, oraz parę sandałów.

Megan zdecydowała się na wzorzystą niebieską sukienkę, sięgającą poniżej kolan, i buty na niskim obcasie.

Największe problemy miała siostra Teresa. Wybór był oszałamiający: jedwabie, flanele, tweedy i skóra, bawełny i wełny oraz sztruks: gładkie, w kratkę lub paski, w każdym kolorze. I wszystkie te rzeczy wydawały się dziwnie „kuse”, to właśnie słowo przyszło siostrze Teresie na myśl. Przez ostatnie trzydzieści lat dokładnie okrywały ją ciężkie szaty zakonne, a teraz ma je zdjąć i włożyć któryś z tych skąpych strojów. Ostatecznie zakonnica zdecydowała się na najdłuższą, jaką mogła znaleźć, spódnicę oraz bluzkę z długim rękawem i wysokim kołnierzykiem.

Brat Carrillo popędzał:

- Szybciej, siostry. Przebierajcie się. Popatrzyły na siebie zmieszane.

- Ja, oczywiście, poczekam na zapleczu - uśmiechnął się zakonnik. Odszedł na tył sklepu i wkroczył do mieszczącego się tam biura.

Siostry zaczęły się rozbierać, wszystkie niezwykle zakłopotane obecnością towarzyszek.

Na zapleczu brat Carrillo podstawił krzesło pod świetlik i obserwował przez niego rozbierające się kobiety. Zastanawiał się: „Którą zerznę najpierw?”.

Miguel Carrillo rozpoczął swą złodziejską karierę w wieku zaledwie dziesięciu lat. Miał kręcone blond włosy i anielską twarzyczkę, co w wybranym przez niego zawodzie było po prostu bezcenne. Zaczął od podstaw, kradnąc portfele i towary w sklepach, ale gdy podrośł, jego pozycja zawodowa uległa poprawie; obrabiał pijaków i wykorzystywał bogate kobiety. Ze względu na swą aparycję odniósł wielki sukces. Obmyślił kilka oryginalnych numerów, jeden bardziej pomysłowy od drugiego. Niestety, przy ostatnim powinęła mu się noga.

Udając zakonnika z odległego klasztoru, Carrillo podróżował od kościoła do kościoła, prosząc o schronienie na noc. Zawsze je uzyskiwał i rankiem, gdy gościnny ksiądz przychodził, by otworzyć drzwi kościoła, przekonywał się, że brakuje zarówno wartościowych przedmiotów, jak i dobrodusznego braciszka.

Wreszcie oszusta opuściło szczęście. Dwie noce wcześniej, w Bejar, małym miasteczku w pobliżu Avila, ksiądz niespodziewanie przyłapał Miguela Carrillo na okradaniu kościelnego skarbcza. Ponieważ był potężnym, silnym mężczyzną, powalił Carrillo na ziemię i oznajmił, że odda go w ręce policji. Carrillo podniósł leżący na podłodze ciężki, srebrny kielich i uderzył nim księdza. Nie wiadomo czy kielich był zbyt ciężki, czy czaszka duchownego zbyt słaba, w ostatecznym jednak' rozrachunku ksiądz legł martwy. Miguel Carrillo uciekł w popłochu, chcąc jak najszybciej oddalić się z miejsca zbrodni. Przechodząc przez Avila, usłyszał opowieść o ataku na klasztor oddziału GOE pod dowództwem pułkownika Acoki, a los zetknął go z czterema zbiegłymi zakonnicami.

Teraz, drżąc z niecierpliwości, oglądał ich nagie ciała i myślał:

„Istnieje pewna interesująca możliwość. Skoro Acoca i jego ludzie szukają siostrzyczek, wyznaczili pewnie za nie sporą nagrodę. Najpierw je przelecę, a potem wydam Acoco”.

Kobiety, z wyjątkiem Lucii, która była już gotowa stały zupełnie nagie. Carrillo obserwował, jak niezgrabnie zakładają bieliznę, a potem niezdarnie zapinają nieposłuszne guziki i zamki błyskawiczne i kończą ubieranie, spiesząc się, by ich nie schwytano.

„Czas zacząć działać” - pomyślał radośnie. Zeskoczył z krzesła i wszedł do sklepu. Zbliżył się do kobiet, przyglądając się im z aprobatą, i powiedział:

- Doskonale. Nikt nie weźmie was za zakonnice. Na głowy proponowałbym założyć chustki. - Wybrał i wręczył im apaszki i poczekał, aż zostaną zawiązane.

Miguel Carrillo podjął decyzję, że Graciela będzie pierwsza. Bez wątpienia była jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie widział. I to ciało!

„Jak mogła marnować je dla Boga? Pokażę jej, co z nim robić”. Zwrócił się do Lucii, Megan i Teresy:

- Musicie być głodne. Idźcie do kawiarni, którą minęliśmy, i tam na nas zaczekajcie. Pójdę do kościoła pożyczyć trochę pieniędzy na jedzenie. - Do Gracieli powiedział: - Chcę, żeby siostra poszła ze mną i wyjaśniła księdzu, co się stało w klasztorze.

- Ja... dobrze.

- Niedługo wrócimy. Sugerowałbym skorzystanie z tylnych drzwi - dodał Carrillo.

Począł, aż Lucia, Teresa i Megan wyjdą, zamknął za nimi drzwi i odwrócił się do Gracieli.

„Jest fantastyczna - pomyślał. - Może zatrzymam ją przy sobie i nauczę paru sztuczek. Byłaby bardzo przydatna”.

Graciela obserwowała go.

- Jestem gotowa.

- Jeszcze nie. - Carrillo udał, że przygląda się jej przez chwilę. - Obawiam się, że to się nie nadaje. Ta sukienka jest nieodpowiednia. Proszę ją zdjąć.

- Ale... dlaczego?

- Nie pasuje na siostrę - odparł bez namysłu. - Ludzie to zauważą, a chyba nie chce siostra zwracać na siebie uwagi.

Zakonnica zawahała się, a potem weszła między wieszaki.

- Proszę się pospieszyć, mamy bardzo mało czasu. Graciela niezgrabnie zdjęła sukienkę przez głowę. Stała tylko w figach i staniku, gdy nagle pojawił się Carrillo.

- Zdejmij wszystko - rozkazał ochryłym głosem. Graciela spojrzała zaskoczona.

- Co? Nie! - krzyknęła. - Nie mogę. Proszę, ja... Miguel przysunął się do niej.

- Pomogę ci, siostrzyczko. Sięgnął i zdarł z niej stanik, jednocześnie rozrywając figi.

- Nie! - wrzasnęła. - Nie wolno! Przestań! Carrillo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- *Carita**, dopiero zaczynamy. Spodoba ci się to. Otoczył ją silnymi ramionami, przewrócił na podłogę i uniósł habit.

*Carita - (hiszp.) kochanie.

Na umysł Gracieli nagle jakby opadła zasłona. To Maur próbował się w nią wedrzeć, wepchnąć w jej wnętrze, a matka krzyczała przenikliwie. I Graciela pomyślała, przerażona:

„Tylko nie to. Proszę, tylko nie to...”

Walczyła jak szalona, usiłując zrzucić Carrilla z siebie i podnieść się.

- Do cholery - krzyknął, uderzając ją pięścią w twarz. Graciela upadła ogłuszona. Poczula, że cofa się w czasie. Dalej., dalej...

Las Navas del Marques, Hiszpania 1950

Do jej najwcześniejszych wspomnień z czasów, gdy miała pięć lat, należała procesja nagich mężczyzn, wchodzących i wychodzących z łóżka matki.

- To twoi wujkowie. Musisz okazywać im szacunek - wyjaśniła mama.

Mężczyźni byli ordynarni, brutalni i pozbawieni zdolności odczuwania głębszych uczuć. Zostawali przez noc, tydzień, miesiąc, a potem znikali. Kiedy odchodzili, Dolores Piñero bez zwłoki znajdowała zastępców.

W młodości Dolores Piñero uchodziła za piękność, a Graciela odziedziczyła urodę matki. Już jako dziecko, zwracała uwagę wystającymi kośćmi policzkowymi, oliwkową cerą, lśniącymi czarnymi włosami i długimi rzęsami. Jej młode ciało było pełne kuszących obietnic.

Dolores z biegiem lat roztyła się, a jej niegdyś uroczą twarz pokryła sieć zmarszczek. Ale choć nie była już piękna, pozostała chętna i zachowała opinię namiętnej kochanki. Swój jedyny talent, umiejętność uprawiania miłości, wykorzystywała, by zadowalać mężczyzn, mając nadzieję, że płacąc swym ciałem, kupi ich miłość i zatrzyma przy sobie. Na życie zarabiała jako szwaczka, ale ponieważ nie była w tym zbyt dobra, korzystały z jej usług tylko te kobiety, które nie mogły sobie pozwolić na nic lepszego.

Dolores Piñero miała swą córkę w pogardzie, bowiem dziecko stale przypominało jej o jedynym mężczyźnie, którego kochała. Ojciec Gracieli był przystojnym młodym mechanikiem. Oświadczył się pięknej Dolores, a ta radośnie pozwoliła mu się uwieść. Kiedy jednak okazało się, że młoda narzeczona jest w ciąży, chłopak zniknął, pozostawiając wybrankę z przekleństwem swego nasienia.

Dolores, z natury złośliwa, odgrywała się za swą krzywdę na dziecku. Ilekroć Graciela zrobiła coś, co ją zirytowało, matka biła małą i krzyczała: „Jesteś głupia jak twój ojciec!”.

Dziecko nie widziało sposobu uniknięcia razów i krzyków. Co rano Graciela modliła się: „Proszę, Boże, nie pozwól, żeby mama dziś mnie biła. Proszę, niech dziś mama będzie szczęśliwa. Proszę, Boże, niech mama powie mi dziś, że mnie kocha”.

Kiedy Dolores nie atakowała córki, ignorowała ją. Mała sama gotowała sobie posiłki i troszczyła się o ubranie, sama przygotowywała kanapki do szkoły, a potem mówiła nauczycielowi:

- Mama zrobiła dziś dla mnie *empanadas**. Wie, że bardzo je lubię.

*Empanadas - (hiszp.) paszteciki.

Albo:

- Rozdarłam sukienkę, ale mama mi ją zszyła. Mama bardzo lubi robić dla mnie różne rzeczy.

Albo:

- Jutro idziemy z mamą do kina. Nauczycielowi krajało się serce. Las Navas del Marques było małą wioską, położoną godzinę drogi od Avila, i jak w każdej małej wiosce, wszyscy wiedzieli tam wszystko o wszystkich. Sposób życia Dolores Piñero uważano za haniebnym i odbijało się to na stosunku do Gracieli. Matki nie pozwalały swym dzieciom bawić się z małą, bojąc się, by nie miała na nie demoralizującego wpływu.

Graciela chodziła do szkoły, ale nie miała tam przyjaciół ani towarzyszy zabaw. Była jedną z najbystrzejszych uczennic, jednak stopnie dostawała słabe, gdyż często nie mogła się skoncentrować. Zawsze była zmęczona.

- Musisz kłaść się wcześniej, Gracielo. Wtedy będziesz miała siłę, żeby się uczyć - radził dziewczynce nauczyciel.

Jednak wyczerpanie Gracieli nie miało nic wspólnego z późnym kładzeniem się spać. Dolores Piñero i jej córka zajmowały niewielkie, dwupokojowe *casa*^{**}. Dziewczynka sypiała na kanapie w mniejszym z dwóch pomieszczeń, oddzielnym od sypialni jedynie cienką, podartą zasłoną. Jak miała opowiedzieć nauczycielowi o obscenicznym dźwiękach, które budziły ją w nocy i nie pozwalały ponownie zasnąć? Które zmuszały do przysłuchiwania się, jak matka kocha się ' z przygodnymi znajomymi?

Gdy przynosiła do domu świadectwa, matka krzyczała:

- Wiedziałam, że dostaniesz te przekłete dwóje! A wiesz czemu? Bo jesteś głupia. Głupia!

Graciela wierzyła słowom matki i ze wszystkich sił starała się nie płakać.

Popołudniami, po lekcjach, Graciela włóczyła się po wąskich, krętych uliczkach, obrośniętych akacjami i sykomorami, mijając zbiegające na słońcu kamienne domki, w których mieszkali ze swymi rodzinami kochający ojcowie. Towarzyszyli jej wówczas liczni koledzy. Niewidzialni. Były to śliczne dziewczynki i ładni chłopcy, zapraszający ją na urodzinowe przyjęcia, podczas których podawano pyszne ciastka i lody. Ci niewidzialni towarzysze zabaw byli mili i kochający i wszyscy uważali, że Graciela jest bardzo mądra. Gdy matki nie było w pobliżu, prowadziła z nimi długie rozmowy.

„Pomożesz mi odrobić lekcje, Gracielo? Nie umiem policzyć słupków, a tobie zawsze wychodzą”.

^{**}Casa - (hiszp.) mieszkanie.

„Co dzisiaj robimy, Gracielo? Może pójdziemy do kina albo do miasta na coca - colę?”

„Czy mama pozwoli ci przyjść do nas na kolację, Gracielo? Mamy dziś *palle*.

„Chyba nie. Beze mnie mama jest samotna. Wiesz, że ma tylko mnie”.

W niedziele Graciela wstawiała wcześniej i ubierała się cichutko, żeby nie zbudzić matki i wujka, który akurat był z nią w łóżku. Potem szła do kościoła San Juan Bautista, by posłuchać, jak ojciec Perez opowiada o radościach życia po śmierci i bajkowym bytowaniu z Jezusem. Graciela wprost nie mogła się doczekać, kiedy umrze i spotka Jezusa.

Ojciec Perez był przystojnym czterdziestolatkiem. Odkąd przybył do Las Navas del Marques, służył bogatym i biednym, chorym i zdrowym i mała wioska nie miała przed nim tajemnic. Znał Gracielę jako gorliwie praktykującą, wiedział też o rzece nieznanym, przepływającej przez łóżko Dolores Piñero. Nie było to miejsce odpowiednie dla małej dziewczynki, ale cóż można na to poradzić? Księżdz zdumiewało, że Graciela wyrosła na taką miłą i delikatną osobkę, która nigdy nie skarżyła się na kłopoty w domu.

Dziewczynka co niedziela zjawiała się w kościele w czystym stroju, który, ksiądz był tego pewien, sama sobie przygotowała. Duchowny wiedział również, że dzieci z miasteczka unikają Gracieli, i krajało mu się serce. Dbał więc o to, by spędzać z nią kilka minut po niedzielnej mszy, a gdy pozwalał mu czas, zabierał małą do kafejki na *helado**.

Zimą życie Gracieli przypominało posępność zimowej aury, mrocznej i monotonnej. Las Navas del Marques było położone w górskiej dolinie i zima trwała tam sześć miesięcy. Lata były łatwiejsze do zniesienia, gdyż przyjeżdżali turyści i napelniali miasto śmiechem i tańcami, ożywiając ulice. Wczasowicze gromadzili się na Plaža de Manuel Delgado Barredo, wokół małej kamiennej estrady, przysłuchiwali się orkiestrze i podziwiali miejscowych, którzy boso, trzymając się za ręce, zgrabnie wirowali w barwnym kręgu tańcząc *sardane*, tradycyjny taniec ludowy. Graciela przyglądała się, jak turyści pili *apeñtivos* w kawiarnianych ogródkach, albo robili zakupy na *pescadeña* - targu rybnym - czy w *farmacia*. O pierwszej po południu zawsze wypełniała się przyjezdnymi winiarnia - pili tam *chateo* i przebierali w *tapas*** - skorupiakach, oliwkach i prażynkach.

Ulubioną rozrywką Gracieli było obserwowanie co wieczór *paseo** - Chłopcy i dziewczęta pod baczny okiem rodziców, dziadków i znajomych, przesiadujących w kawiarenkach, grupkami schodzili się na Plaža Major. Był to tradycyjny rytuał zalotów,

*Helado - (hiszp.) lody.

**Tapas - (hiszp.) przekąski.

*Paseo - (hiszp.) tradycyjny spacer wieczorny

zachowany przez stulecia. Graciela pragnęła przyłączyć się do młodzieży, ale matka zakazała jej tego.

- Chcesz być *puta***? - krzyczała. - Trzymaj się z daleka od chłopców. Chcą tylko jednego. Wiem to z własnego doświadczenia - dodawała gorzko.

Dnie dało się jakoś znieść, noce stanowiły udrękę. Przez cienką zasłonę rozdzielającą łóżka Graciela słyszała dzikie krzyki, jęki i przyspieszone oddechy. I oczywiście sprośności.

- Szybciej... mocniej!

- *Cógeme!*

- *Mamame la verga!*

- *Metelo en el culo!*

Zanim skończyła dziesięć lat, znała wszystkie wulgarne słowa, jakie są w języku hiszpańskim. Słyszała je szeptane, wykrzykiwane, mrużane i wystękiwane. Odgłosy namiętności napępiały dziewczynkę odrazą ale i budziły w niej dziwne pragnienia.

Gdy Graciela miała czternaście lat, wprowadził się Maur. Był największym mężczyzną jakiego kiedykolwiek widziała. Miał lśniąca czarną skórę i wygoloną głowę, niewiarygodnie szerokie potężne ramiona i ogromną pierś. Maur pojawił się „w środku nocy, kiedy dziewczynka spała. Pierwszy raz zobaczyła go rankiem, odsuwającego zasłonę i przechodzącego nago obok jej łóżka, by wyjść do wygodki.

Graciela spojrzała na niego i niemal krzyknęła. Był ogromny, wszędzie.

„To zabije mamę” - pomyślała.

Maur gapił się na nią.

- No, no. Kogo my tu mamy?

Dolores Piñero pospiesznie wstała z łóżka i stanęła obok mężczyzny.

- Moją córkę - odparła szorstko.

Graciela poczuła przyływ zakłopotania na widok matki nagiej w obecności obcego.

Maur uśmiechnął się, pokazując białe, równe zęby.

- Jak ci na imię, *guapa****?

Graciele zbyt zawstydzona jego nagością, by mogła się odezwać.

- Na imię ma Graciela. Jest niedorozwinięta.

- Jest piękna. Założę się, że tak właśnie wyglądałaś, kiedy byłaś młoda.

- Wciąż jestem młoda - warknęła Dolores. Zwróciła się do córki. - Ubieraj się.

Spóźnisz się do szkoły.

**Putas - (hiszp.) dziwka.

***Cuapa - (hiszp.) ślicznotka.

- Tak, mamó. Maur stał i patrzył.

Starsza kobieta wzięła go pod rękę i powiedziała przymilnie:

- Wracaj do łóżka, *querido**. Jeszcze nie skończyliśmy.

- Później - odparł Maur. Wciąż przyglądał się Gracieli.

Maur został. Codziennie, wracając ze szkoły do domu, Graciela modliła się, żeby go nie było. Z niewiadomych powodów ten człowiek ją przerażał. Zawsze był dla niej miły i nie robił żadnych niestosownych propozycji, ale sama myśl o nim przyprawiała dziewczynkę o dreszcze.

Sposób, w jaki traktował jej matkę, stanowił odrębny rozdział. Przez większość dnia przebywał w małym mieszkaniu, ostro pijąc. Zabierał wszystkie pieniądze zarobione przez Dolores. Czasami w nocy Graciela słyszała, że podczas miłosnych uniesień bije matkę, która rano pojawiała się z podbitym okiem czy przeciętą wargą.

- Czemu go znosisz, mamó? - pytała Graciela.

- Nie zrozumiesz tego - posepnie odrzekła zapytana. - To prawdziwy mężczyzna, nie taki pokurcz jak inni. Wie, jak zadowolić kobietę. - Kokieteryjnie poprawiła włosy. - A poza tym jest we mnie zakochany do szaleństwa.

Graciela nie wierzyła. Wiedziała, że Maur wykorzystuje jej matkę, ale nie śmiała protestować. Zbyt bała się wybuchowego temperamentu matki. Gdy Dolores Piñero była naprawdę wściekła, ogarniało ją coś w rodzaju szaleństwa. Kiedyś nawet gonila Gracielę z kuchennym nożem w rękę za to, że ośmieliła się podać jednemu z „wujków” herbatę.

Pewnego niedzielnego poranka Graciela wstała, żeby przygotować się do kościoła. Matka wyszła już wcześniej, miała odnieść jakieś gotowe suknie. Kiedy Graciela zsunęła nocną koszulę, zasłona poruszyła się i wszedł Maur. Nagi.

- Gdzie jest twoja matka, *guapa*?

- Mama wyszła. Miała coś do załatwienia. Maur przyglądał się nagiemu ciału Gracieli.

- Jesteś naprawdę piękna - powiedział miękko.

Graciela oblała się rumieńcem. Wiedziała, co powinna zrobić. Powinna zakryć swą nagość, włożyć spódnicę i bluzkę i wyjść. Stała jednak bez ruchu. Patrzyła, jak jego męskość zaczyna nabrzmiwać i rosnąć. W uszach dźwięczały jej głosy wołające:

- Szybciej... mocniej!

Miała wrażenie, że zaraz zemdleje. Maur powiedział chrapliwie:

- Jesteś jeszcze dzieckiem. Weź ubranie i wynoś się stąd.

Graciela zorientowała się, że idzie. Idzie w jego stronę. Objęła go w pasie i poczuła

*Querido - (hiszp.) najdroższy, ukochany.

dotyk męskiej twardości.

- Nie - wyszeptała. - Nie jestem dzieckiem. Ból, który nastąpił, był niepodobny do niczego, co знаła. Rozdzierający, nie do zniesienia. Cudowny, napełniający radością, piękny. Obejmowała mężczyznę z całych sił, krzycząc z rozkoszy. Przeżywała orgazm za orgazmem myśląc:

„Więc to jest ta tajemnica”.

Jak cudownie było nareszcie znać sekret wszelkiego stworzenia, stać się w końcu częścią życia, na zawsze wiedzieć, czym jest radość.

- Co się tu, kurwa, dzieje? To krzyczała Dolores Piñero. Natychmiast wszystko zastygło jak zmrożone. A ona stała przy łóżku, patrząc z góry na córkę i Maura.

Graciela wpatrywała się w matkę zbyt przerażona, by się odezwać. Oczy Dolores pały szaleńczą furia.

- Ty dziwko! - wrzeszczała. - Ty przeklęta dziwko!

- Mamo, proszę...

Dolores chwyciła ciężką szklaną popielniczkę i zdzieliła córkę w głowę. Było to ostatnie, co Graciela zapamiętała.

Obudziła się w dużej, białej sali szpitalnej, w której stało ponad dwadzieścia łóżek, wszystkie zajęte. Udręczone pielęgniarki biegały tam i z powrotem, usiłując sprostać potrzebom pacjentów.

Głowa Gracieli tętniła rozdzierającym bólem. Za każdym razem, gdy dziewczynka poruszała się, zalewały ją rzeki ognia. Leżała więc, nasłuchując płaczu i jęków innych chorych.

Późnym popołudniem przy jej łóżku zatrzymał się młody internista. Miał zaledwie trzydziestkę, a wyglądał na starego i zmęczonego.

- No - powiedział - obudziłaś się nareszcie.

- Gdzie jestem? - Każde słowo sprawiało ból.

- W przytułku szpitalnym w Avila. Przywieziono cię wczoraj. Byłaś w strasznym stanie. Musieliśmy zszyć ci czoło - mówił dalej lekarz. - Naczelnny chirurg sam założył szwy. Powiedział, że jesteś zbyt piękna, żeby mieć blizny.

„Nieprawda - pomyślała Graciela. - Będę mieć blizny do końca życia”.

Następnego dnia przyszedł ją odwiedzić ojciec Perez. Pielęgniarka przystawiła mu krzesło. Ksiądz patrzył na śliczną dziewczynkę, bladą, leżącą bezwładnie, i drżało mu serce. To, co ją spotkało, wywołało w Las Navas del Marques skandal, ale nic nie można było zrobić. Dolores Piñero powiedziała *policii*, że córka zraniła się w głowę przy upadku.

Ojciec Perez zapytał:

- Czujesz się lepiej, dziecko? Graciela skinęła głową i ruch ten przyprawił ją o pulsujący ból.

- *Policia* zadaje pytania. Chcesz, żebym im coś prze kazał?

Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie dziewczynka odpowiedziała:

- To był wypadek. Duchowny nie mógł znieść jej spojrzenia.

- Rozumiem. Teraz musiał przekazać najgorsze.

- Gracielo, rozmawiałem z twoją matką... Ale Graciela wiedziała.

- Nie mogę wrócić do domu, prawda?

- Nie, obawiam się, że nie. Jeszcze o tym porozmawiamy. - Ojciec Perez ujął małą za rękę. - Przyjdę do ciebie jutro.

Gdy odszedł, Graciela zaczęła się modlić:

„Dobry Boże, proszę, pozwól mi umrzeć. Nie chcę już żyć”. Nie miała dokąd pójść ani do kogo się zwrócić. Już nigdy nie zobaczy domu, szkoły, znajomych twarzy nauczycieli. Nic jej nie zostało. Przy łóżku zatrzymała się pielęgniarka.

- Potrzebujesz czegoś? Graciela spoglądała na nią w rozpacz. Co miała odpowiedzieć?

Nazajutrz ponownie zjawił się młody internista.

- Mam dobre wieści - odezwał się wyraźnie skrepowany. - Twój stan poprawił się na tyle, że możesz wyjść ze szpitala. - Było to kłamstwo, ale potem powiedział prawdę. - Potrzebujemy tego łóżka.

Mogła odejść - tylko dokąd?

Godzinę później przyszedł ojciec Perez w towarzystwie drugiego księdza.

- To ojciec Berrendo, mój stary przyjaciel. Graciela podniosła oczy na wątego duchownego.

- Ojczce.

„Miał rację - pomyślał ojciec Berrendo. - Jest piękna”. Perez opowiedział przyjacielowi, co spotkało Gracielę. Ksiądz Berrendo spodziewał się, że środowisko, w jakim żyło dziecko, odcisnęło na nim swe piętno. Oczekiwał twardości rysów, wyzywającego spojrzenia, może roztkliwiania się nad sobą. Jednak na twarzy dziewczynki nie zauważył śladu podobnych uczuć.

- Przykro mi, że tyle przeszłaś - odezwał się ojciec Berrendo i nie był to tylko zwrot grzecznościowy.

- Muszę wracać do Las Navas del Marques, Gracielo - stwierdził ojciec Perez. - Zostawiam cię pod opieką księdza.

Gracielę ogarnęła panika. Poczuli się, jakby ktoś przecinał ostatnią nitkę łączącą ją z domem.

- Jeszcze nie - poprosiła.

Do łóżka podeszła pielęgniarka, niosąca tobolek. Wręczyła go dziewczynce.

- To twoje rzeczy. Musisz już opuścić szpital. Strach niemal sparaliżował Gracielę.

- Teraz? Księża wymienili spojrzenia.

- Może ubierzesz się i pójdziesz ze mną? - zaproponował ojciec Berrendo. -

Porozmawiamy.

Piętnaście minut później duchowny pomógł Gracielę wyjść na dwór w ciepły, słoneczny blask. W szpitalnym ogrodzie kwitły barwne kwiaty, ale dziewczynka była zbyt oszołomiona, by je zauważyć.

Gdy usiedli w biurze, rozmowę zaczął ojciec Berrendo.

- Ojciec Perez powiedział mi, że nie masz dokąd pójść. Graciela skinęła głową.

- Nie masz krewnych?

- Tylko... - Ciężko było to mówić. - Tylko... - matkę.

- Ojciec Perez mówił, że w swojej wiosce regularnie uczęszczałaś do kościoła.

W wiosce, której nigdy nie zobaczy.

- Tak. Graciela wspomniała niedzielne poranki, piękno kościelnych obrządków i pragnienie bycia z Jezusem, ucieczki od bólu życia.

- Czy myślałaś kiedyś o wstąpieniu do klasztoru, Gracielo?

- Nie. - Pomysł ten zaskoczył ją.

- Tu, w Avila, jest klasztor cysterek. Zająłoby się tobą.

- Ja... nie wiem. - Była przestraszona.

- To trudny wybór - powiedział ksiądz Berrendo. - Muszę cię ostrzec, że mają bardzo surową regułę. Kiedy przekroczysz bramę i złożysz śluby, podejmiesz wobec Boga zobowiązanie, że nigdy nie odejdziesz.

Graciela siedziała, wpatrując się w okno, a przez głowę przebiegały jej sprzeczne myśli. Idea zamknięcia się gdzieś z dala od świata była przerażająca. „To jak pójść do więzienia”.

Z drugiej strony, co świat miał jej do zaoferowania? Ból i rozpacz nie do zniesienia. Często myślała o samobójstwie, a to może być wyjście z nędzy, w jakiej się znalazła.

- Wszystko zależy od ciebie, dziecko. Jeśli chcesz, zabiorę cię na spotkanie z matką przełożoną.

Graciela skinęła głową.

- Dobrze.

Wielebna matka uważnie studiowała twarz młodej dziewczyny. Zeszłej nocy, po raz pierwszy od wielu, wielu lat, usłyszała głos. *Przyjdzie do ciebie dziecko. Chroń je.*

- Ile masz lat, moja droga?

- Czternaście. „Jest dostatecznie duża”. W czwartym wieku papież ogłosił, że dziewczynki mogą wstępować do klasztoru od dwunastego roku życia począwszy.

- Boję się - powiedziała Graciela do wielebnej matki Betiny.

„Boję się”. Słowa te zadźwięczały w myślach Betiny: „Boję się...” Było to tyle lat temu. Rozmawiała ze swym duszpasterzem.

- Nie wiem, czy mam powołanie, ojcze. Boję się.

- Betino, pierwszy kontakt z Bogiem może być bardzo deprymujący, a decyzja, by poświęcić Mu życie, nie jest łatwa.

„Jak odnalazłam swoje powołanie”? - zastanawiała się Betina.

Nawet przelotnie nie interesowała się religią. Będąc małą dziewczynką, unikała udziału we mszy i chodzenia do niedzielnej szkółki. Jako nastolatkę bardziej zajmowały ją przyjęcia, stroje i chłopcy. Gdyby jej przyjaciół w Madrycie poproszono o wybranie potencjalnych kandydatek na zakonnice, Betina znalazłaby się na końcu listy. A dokładniej, nie byłoby jej na takiej liście. Ale kiedy Betina skończyła dziewiętnaście lat, miały miejsce pewne wydarzenia, które zmieniły jej życie.

Spała w swoim łóżku, gdy głos powiedział:

Betino, wstań i wyjdź na dwór.

Przestraszona, otworzyła oczy. Włączyła lampkę stojącą przy łóżku i zdała sobie sprawę, że jest sama.

„Co za dziwny sen”.

Jednak głos był taki rzeczywisty. Położyła się, ale nie mogła już zasnąć.

Betino, wstań i wyjdź na dwór.

„To moja podświadomość - pomyślała. - Po co miałabym wychodzić na dwór w środku nocy”?

Wyłączyła światło i w chwilę później włączyła je z powrotem.

„To głupota”.

Ale włożyła szlafrok i pantofle i zeszła na dół. Cały dom spał.

Otworzyła kuchenne drzwi, a kiedy to zrobiła, ogarnęła ją fala lęku, bowiem skądś wiedziała, że ma pójść na koniec podwórza. Rozejrzała się w ciemnościach i uchwyciła błysk księżycowego światła odbitego od starej lodówki, wystawionej na zewnątrz i używanej jako

szafa na narzędzia.

Nagle Betina zrozumiała, po co tu jest. Jak zahipnotyzowana podeszła do lodówki i otworzyła drzwiczki. W środku był jej trzyletni braciszek, nieprzytomny.

Tak wyglądało zdarzenie pierwsze. Z czasem Betina uznała je za zupełnie naturalne.

„Musiałam usłyszeć, jak mały wstaje i wychodzi na podwórze, a ponieważ wiedziałam, że stoi tam lodówka, martwiłam się o niego, więc poszłam sprawdzić, co robi”.

Następne wydarzenie nie było tak łatwe do wyjaśnienia. Nastąpiło miesiąc później.

We śnie Betina usłyszała głos:

Musisz ugasić pożar.

Usiadła, natychmiast rozbudzona, z walącym sercem. Znowu nie mogła zasnąć. Włożyła szlafrok i pantofle i wyszła na korytarz. Żadnego dymu. Żadnego ognia. Otworzyła drzwi sypialni rodziców. Wszystko w porządku. W pokoju dziecinnym również nie było ognia. Zeszła na dół i sprawdziła pozostałe pokoje. Ani śladu pożaru.

„Idiotka ze mnie - pomyślała Betina. - To był tylko sen”. Akurat w chwili, gdy dotarła do łóżka, domem wstrząsnęła eksplozja. Betinie z rodziną udało się uciec, a strażacy ugасili pożar.

- Zaczął się w piwnicy - wyjaśnił strażak. - Wybuchł bojler.

Kolejny wypadek miał miejsce trzy tygodnie później. Tym razem już nie we śnie.

Betina siedziała na patio i czytała, gdy zobaczyła idącego przez podwórze nieznanego. Spojrzała na nią i w jednej chwili wyczuła jego niemal namacalną niechęć. Potem odwrócił się i zniknął.

Betina nie mogła o nim zapomnieć.

Trzy dni potem czekała na windę w wysokim biurowcu. Kabina nadjechała, jej drzwi otworzyły się i gdy dziewczyna już miała wejść do środka, zwróciła uwagę na windziarza. Był to mężczyzna, którego widziała w ogrodzie. Betina cofnęła się, przestraszona. Drzwi windy zostały zamknięte i kabina ruszyła. W chwilę później urwała się i spadła. Wszyscy jadący zginęli.

W najbliższą niedzielę Betina poszła do kościoła.

„Dobry Boże, nie wiem, co się dzieje, i boję się. Pokieruj mną, podpowiedz, co chcesz, żebym zrobiła”.

Odpowiedź przyszła jeszcze tej nocy, gdy Betina spała. Głos wyrzekł jedno słowo.

Poświęcenie.

Dziewczyna zastanawiała się nad tym do rana, a o świcie poszła pomówić z księdzem.

Duchowny uważnie wysłuchał tego, co miała do powiedzenia.

- Ach. Jesteś jedną z grona szczęśliwych. Zostałaś wybrana.

- Wybrana? Do czego?

- Czy chcesz poświęcić swoje życie Bogu, dziecko?

- Ja... nie wiem. Boję się. Ale w końcu wstąpiła do klasztoru.

„Wybrałam właściwą drogę - pomyślała wielebna matka Betina. - Nigdy wcześniej nie zaznałam takiego szczęścia...”

A teraz to zmalretowane dziecko mówiło „boję się”. Wielebna matka wzięła Gracielę za rękę.

- Nie spiesz się, Gracielo. Bóg nie ucieka. Pomyśl o tym, a potem wróc i przedyskutujemy to.

Ale czy było się nad czym zastanawiać?

„Nigdzie indziej na świecie nie ma dla mnie miejsca - pomyślała Graciela. - Słyszałam już zbyt wiele okropnych dźwięków”. Spojrzała na wielebna matkę i odparła:

- Z radością powitam ciszę.

Było to siedemnaście lat temu. Od tamtej pory Graciela odnalazła spokój. Swoje życie poświęciła Bogu. Przeszłość nie miała już znaczenia. Odpuszczono jej winy dzieciństwa. Była oblubienicą Chrystusa i połączy się z Nim po śmierci.

W głębokiej ciszy, z rzadka tylko przerywanej sennymi koszmarami, mijały lata i okropne dźwięki stopniowo cichły.

■

Siostrę Gracielę wyznaczono do pracy w ogrodzie, gdzie troszczyła się o maleńkie, tęcze cuda Boże, stale oczarowana ich pięknnością. Mury klasztoru wznosiły się nad nią wysoko jak góry, ale Graciela nie czuła się w nich zamknięta. ' One chroniły ją przed potwornym światem, światem, którego nigdy już nie chciała oglądać.

Życie w klasztorze upływało cicho i spokojnie. Ale teraz, nagle, ziściły się najstraszliwsze koszmary Graciel. W jej świat wtargnęli barbarzyńcy. Wygnali ją z sanktuarium w rzeczywistość, której wyrzekła się na zawsze, w grzech, napelniający przerażeniem. Wrócił Maur. Czuła na twarzy jego gorący oddech. Walcząc z nim, Graciela otworzyła oczy i zobaczyła usiłującego ją zgwałcić zakonnika.

- Przestań ze mną walczyć, siostrzyczko - mówił. - Spodoba ci się to!

- Mamo! - krzyknęła Graciela. - Mamo! Pomóż mi!

Lucia Carmine czuła się wspaniale idąc ulicą z Megan i siostrą Teresą. Cudownie było znów nosić kobiece ubranie i słyszeć szelest jedwabiu ocierającego się o skórę. Lucia spojrzała na swe towarzyszki. Były niespokojne, najwyraźniej skrepowane nowymi strojami. Sprawiały wrażenie niepewnych i zawstydzonych noszeniem spódnic i pończoch.

„Wyglądają jak przybysze z innej planety. Bo z tej z pewnością nie pochodzą - pomyślała. - Równie dobrze mogłyby mieć na plecach napis ZŁAP MNIE”.

Najbardziej zakłopotana była siostra Teresa. Trzydzieści lat w klasztorze wydatnie pogłębiło jej wrodzoną wstydlivość. Siłą wtrącona w świat, do którego kiedyś należała, nie uznała go za realny. To klasztor był prawdziwy, a ona pragnęła jak najszybciej powrócić między jego opiekuńcze ściany.

Megan wiedziała, że kiedy tak idzie ulicą, obserwują ją mężczyźni, i płonęła rumieńcem. Tak długo żyła w świecie kobiet, że zapomniała, jak to jest patrzeć na nich i pozwalać im uśmiechać się do siebie. Było to kłopotliwe, nieprzyzwoite... podniecające. Mężczyźni wyzwali w Megan uczucia, które pogrzebała dawno temu. Po raz pierwszy od lat miała świadomość swej kobiecości.

Mijały właśnie bar, obok którego przechodziły wcześniej. Muzyka dudniła aż na ulicy. Jak nazwał ją brat Carrillo? „Rock'n'roll. Bardzo popularny wśród młodzieży”. Coś nie dawało Megan spokoju. I nagle zdała sobie sprawę co to takiego. Gdy przeszli obok kina, zakonnik stwierdził: „To haniebne, co wolno dziś pokazywać w kinie. Ten film to czysta pornografia. Najbardziej osobiste, prywatne akty są wystawione na widok publiczny”.

Serce Megan zaczęło uderzać szybciej. Jeśli brat Carrillo przebywał przez ostatnie dwadzieścia lat w klasztorze, skąd mógł dowiedzieć się o muzyce rockowej i co grają w kinach? Coś tu się nie zgadzało.

Odwróciła się do Lucii i Teresy i powiedziała gwałtownie:

- Musimy wrócić do sklepu. Kobiety przez chwilę patrzyły, jak Megan zawraca i biegnie z powrotem, a potem pospiesznie podążyły za nią.

Na podłodze Graciela desperacko walczyła, by się wyswobodzić, drapiąc i odpychając Carrilla.

- Do cholery! Nie ruszaj się! - Mężczyzna zaczynał być zasapany.

Nagle usłyszał hałas i podniósł wzrok. Zobaczył obcas, który mierzył w jego głowę, a potem nie widział już nic.

Megan podniosła trzęsącą się Gracielę i trzymała ją w ramionach.

- Cśśś. Już dobrze. Już nic ci nie zrobi. Minęło kilka minut, zanim Graciela była w stanie się odezwać.

- On... on... tym razem to nie była moja wina - po wiedziała błagalnie.

Do sklepu weszły Lucia i Teresa. Lucia oceniła sytuację jednym spojrzeniem.

- Drań! Zmierzyła wzrokiem nieprzytomną, półnągą postać na podłodze. Potem chwyciła z wieszaka kilka pasków i podczas gdy pozostałe kobiety przyglądały się, ciasno skrepowała Miguelowi Carrillo ręce na plecach.

- Zwiąż mu nogi - poleciała Megan. Dziewczyna zabrała się do dzieła. Wreszcie Lucia podniosła się zadowolona.

- No. Kiedy po południu otworzą sklep, będzie mógł im wyjaśnić, co tu robił. - Uważnie spojrzała na Gracielę. - Nic ci nie jest?

- Ja... nic. - Próbowiła się uśmiechnąć.

- Lepiej wynośmy się stąd - przypomniała Megan. - Ubieraj się. Szybko.

Były już gotowe do wyjścia, gdy Lucia powiedziała:

- Poczekajcie chwilę. Podeszła do kasy i uderzyła w odpowiedni klawisz. W środku było kilka banknotów stupezetowych. Zgarnęła je, wzięła z kontuaru torebkę i włożyła do niej pieniądze. Na twarzy siostry Teresy dostrzegła dezaprobatę.

- Proszę na to spojrzeć w ten sposób, siostrzo. Gdyby Bóg nie chciał, żebyśmy zabrały te pieniądze, nie zostawiłby ich tu dla nas - stwierdziła.

Siedziały w kawiarni i rozmawiały.

- Musimy jak najszybciej zanieść krzyż do klasztoru w Mendavii. Tam będziemy bezpieczne - powiedziała siostra Teresa.

„Nie ja - pomyślała Lucia. - Moim zabezpieczeniem jest szwajcarski bank. Ale wszystko po kolei. Najpierw muszę dorwać się krzyża”.

- Klasztor w Mendavii jest na północ stąd, tak? - zagadnęła.

- Tak.

- Ci ludzie będą nas szukać w każdym mieście, więc zanocujemy dziś na wzgórzach.

„Tam nikt jej nie usłyszy, nawet jeśli zaczniesz krzyczeć”.

Kelnerka podała im kartę. Zakonnice przejrzały ją z zakłopotaniem. Nagle Lucia zrozumiała. Tyle lat upłynęło, odkąd miały prawo wyboru czegokolwiek. W klasztorze machinalnie zjadały proste pożywienie, jakie przed nimi stawiano, a teraz musiały się zdecydować na coś z długiej listy nieznanych przysmaków.

Pierwsza podjęła decyzję siostra Teresa:

- Poproszę o kawę i chleb. Siostra Graciela zgodziła się z tym wyborem.

- Ja też.

- Czekaj nas dłużej, trudna podróż. Proponuję, żebyśmy zamówiły coś bardziej pożywnego, na przykład jajka - odezwała się Megan.

Lucia ujrzała ją w nowym świetle. „Muszę mieć na nią oko” - zdecydowała. Głośno zaś powiedziała:

- Siostra Megan ma rację. Pozwólcie, że ja za was zamówię, siostry.

Poprosiła o pokrojone pomarańcze, *tortillas de patatas**, bekon, gorące rogaliki, dżem i kawę.

- Spieszymy się - poinformowała kelnerkę. Sjesta kończy się o wpół do piątej, do tej pory miasto się zbudzi. Lucia chciała je opuścić, zanim ktoś w sklepie z ubraniami znajdzie Miguela Carrillo. Zakonnice zapatrzyły się na podane potrawy.

- Czestujcie się - popędziła je Lucia.

Zacząły jeść, najpierw ostrożnie, a potem, tłumiąc poczucie winy, z apetytem. Jedyne siostra Teresa nie mogła się przełamać. Przełknęła jeden kęs i powiedziała:

- Ja... nie mogę. To... tak nie można.

- Chce siostra dotrzeć do klasztoru, prawda? Więc proszę jeść, żeby podtrzymać siły - odezwała się Megan.

- A więc dobrze. Zjem. Ale zapewniam cię, że nie będę czerpać z tego przyjemności - afektowanym tonem stwierdziła starsza zakonnica.

- Dobrze. Niech siostra je. - Tylko tyle mogła powiedzieć Lucia, zachowując powagę.

Gdy skończyły, Lucia uregulowała rachunek pieniędzmi zabranymi ze sklepowej kasy i wyszły na gorące słońce.

Ulice zaczynały ożywać, otwierano sklepy.

„Pewnie już znaleźli Miguela Carrillo” - przemknęło przez myśl Lucii.

Lucia i siostra Teresa chciały jak najprędzej opuścić miasto, ale Graciela z Megan szły powoli, zafascynowane miejskimi widokami, dźwiękami i zapachami.

Dopiero gdy opuściły przedmieście i skierowały się w stronę gór, Lucia zaczęła oddychać swobodniej. Stałe posuwały się na północ, wolno przemieszczając się w pagórkowatym terenie. Lucię kusiło, by zaproponować siostrze Teresie, że pomoże jej nieść pakunek, ale nie chciała niepotrzebnie budzić podejrzeń starszej kobiety.

Wreszcie dotarły do położonej między drzewami małej poręby i Lucia zasugerowała:

- Możemy zostać tu na noc. Rano pójdziemy do klasztoru w Mendavii.

Ufające jej zakonnice zgodziły się.

*Tortillas de patatas - (hiszp.) placki ziemniaczane.

Słońce wolno przesuwało się po błękitnym niebie. Na polanie panowała cisza, jeśli nie liczyć kojących dźwięków lata. W końcu zapadła noc.

Jedna po drugiej kobiety układały się na zielonej trawie.

Lucia leżała, oddychając spokojnie, nasłuchując, czekając, aż jej towarzyszki zapadną w sen i będzie mogła zacząć działać.

Siostra Teresa nie mogła zasnąć. Dziwnie było tak leżeć pod gwiazdami w otoczeniu sióstr. Wszystkie miały teraz imiona, twarze i głosy. Bała się, że Bóg ukarze ją za tę zakazaną wiedzę. Czuła się straszliwie zagubiona.

Również siostra Megan bezskutecznie próbowała usnąć. Była podniecona wydarzeniami dnia.

„Skąd wiedziałam, że zakonnik jest oszustem? - zastanawiała się. - I skąd miałam odwagę, żeby uratować siostrę Graciele?”

Uśmiechnęła się, nie mogąc powstrzymać uczucia zadowolenia z siebie, mimo świadomości, że duma jest grzechem.

Graciela spała, wyczerpana emocjonalnie ciężkimi przejściami. Wierciła się i przewracała, dręczona snami o tym, że ktoś goni ją poprzez ciemne, nieskończenie długie korytarze.

Lucia Carmine leżała nieruchomo czekając. Przeczekała tak prawie dwie godziny, a potem cicho usiadła i przesunęła się w ciemnościach w stronę siostry Teresy.

Weźmie pakunek i zniknie.

Zbliżywszy się zobaczyła, że zakonnica klęczy i modli się.

„Cholera!”

Cofnęła się pospiesznie.

Ponownie położyła się, zmuszając do cierpliwości. Siostra Teresa nie może modlić się całą noc. Musi odpocząć.

Lucia postanowiła zaplanować swoje posunięcia. Pieniądze zabrane z kasy wystarczą na autobus czy pociąg do Madrytu. Tam bez trudu znajdzie pasera. Widziała się wchodzącą i wręczającą mu złoty krzyż. Paser będzie podejrzewał, że jest kradziony, ale to bez znaczenia. Znajdzie na niego aż zbyt wielu nabywców.

- Dam za niego sto tysięcy peso. Ona podniesie krzyż z lady.

- Prędzej sprzedałabym własne ciało.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy.

- Wolałabym go stopić i pozwolić złotu spłynąć do rynsztoka.

- Dwieście tysięcy. Moja ostateczna oferta.

- To jawny rozbój, ale zgadzam się. Paser skwapliwie sięgnie po krzyż.

- Pod jednym warunkiem.

- Warunkiem?

- Tak. Zapodziałam gdzieś swój paszport. Zna pan kogoś, kto może mi załatwić nowy?

- Ręce wciąż będzie trzymać na złotym krzyżu.

On się zawaha, a potem powie:

- Tak się składa, że mam przyjaciela, który się tym zajmuje.

Umowa zostanie zawarta. Lucia wyruszy w stronę wolności, do Szwajcarii. Pamiętała wciąż słowa swego ojca:

- Jest tam więcej pieniędzy, niż mogłabyś wydać przez całe życie.

Zaczęły jej opadać powieki. To był długi dzień.

Do pogrążonej w półśnie Lucii dotarł z odległej wioski dźwięk kościelnych dzwonów.

Wywołał wspomnienia innego miejsca, innego czasu...

Taormina, Sycylia 1968

Co rano budził ją odległy dźwięk dzwonów kościoła San Domenico, położonego wysoko w górach Peloritani otaczających Taorminę. Lubiła powolne przebudzenia, leniwie przeciągała się jak kot. Nie otwierała oczu, wiedząc, że musi sobie przypomnieć coś cudownego. Co takiego? Pytanie drażniło umysł, a ona odpychała je, nie chcąc jeszcze znać odpowiedzi, pragnąc przedłużyć przyjemność. I nagle zjawiało się radosne przypomnienie. Była Lucią Marią Carmine, córką Angelo Carmine, a to uszczęśliwiłoby każdego na świecie.

Mieszkali w obszernej, bajkowej willi, po której kręciło się tylu służących, że piętnastoletnia Lucia nie mogła się ich doliczyć. Co rano opancerzoną limuzyną ochroniarz odwoził dziewczynkę do szkoły. Lucia miała najładniejsze stroje i najdroższe zabawki na całej Sycylii, stanowiła obiekt zawiści szkolnych kolegów.

Jednak punktem centralnym w świecie Lucii był ojciec; w jej oczach - najprzystojniejszy mężczyzna świata.

Angelo Carmine, niski i przysadzisty, z twarzą o wyrazistych rysach i chmurnych brunatnych oczach, które promieniowały siłą. Miał dwóch synów, Arnalda i Victora, ale to córkę darzył uwielbieniem. A Lucia oddawała mu cześć niemal boską. W kościele, gdy ksiądz opowiadał o Bogu, Lucia zawsze myślała o swoim ojcu.

Stawał rano przy jej łóżku i mówił:

- Czas wstawać do szkoły, *faccia d'angelo**.

Anielska twarzyczka. Oczywiście nie było to prawdą. Lucia wiedziała, że naprawdę nie jest piękna.

„Jestem atrakcyjna” - stwierdzała obiektywnie, przeglądając się w lustrze. Tak. Raczej interesująca niż piękna. Odbicie pokazywało młodą dziewczynę o owalnej twarzy, kremowej skórze, równych, białych zębach, zdecydowanym podbródku - zbyt zdecydowanym? - zmysłowych, pełnych - zbyt pełnych? - ustach i ciemnych, mądrych oczach. Ale jeśli twarzy zbywało na urodzie, ciało nadrabiało to z nadatkiem. W wieku piętnastu lat Lucia miała ciało kobiety; krągłe, ciężkie piersi, szczupłą talię i podniecająco wygięte biodra.

- Musimy wcześniej wydać cię za mąż - drażnił się z nią ojciec. - Niedługo będziesz doprowadzać młodych mężczyzn do szału, moja mała dziewico.

- Chcę wyjść za kogoś podobnego do ciebie, papa, ale nikogo takiego nie ma.

Angelo Carmine roześmiał się.

*Faccia d'angelo - (wł.) tu: Aniołku.

- Nic nie szkodzi. Znajdziemy dla ciebie księcia. Urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą i pewnego dnia poznasz, jak to jest, gdy mężczyzna trzyma cię w ramionach.

Lucia zarumieniła się.

- Tak, papa. Prawdą było, że nikt się z nią nie kochał - w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

Benito Patas, jeden z ochroniarzy, odwiedzał ją w sypialni, gdy ojciec wyjeżdżał z miasta.

Kochanie się z Benitem we własnym domu przyprawiało Lucię o przyjemny dreszczyk. Wiedziała, że ojciec zabiłby ich oboje, gdyby odkrył, co robią.

Patas miał trzydziestkę i pochlebiało mu, że został wybrany przez piękną, młodą córkę wielkiego Angela Carmine, by pozbawić ją dziewictwa.

- Było tak, jak się spodziewałaś? - zapytał po ich pierwszym razie.

- O tak - westchnęła Lucia. - Nawet lepiej. A myślała: „Nie jest taki dobry jak Mario, Tony czy Enrico, ale i tak lepszy od Roberto i Leo”.

Imion pozostałych nie mogła sobie przypomnieć.

Skończywszy trzynaście lat, Lucia uznała, że była dziewicą dostatecznie długo. Po zastanowieniu zdecydowała, że szczęśliwym wybrańcem zostanie Paolo Costello, syn domowego lekarza. Siedemnastoletni Paolo, wysoki i silny, był gwiazdą szkolnej drużyny piłkarskiej. Lucia zakochała się w nim nieprzytomnie od pierwszego wejrzenia. Starła się widywać go najczęściej jak to możliwe. Paolo nie zorientował się, że ich częste spotkania są starannie zaplanowane. Uważał atrakcyjną córkę Angela Carmine za dziecko. Wreszcie, pewnego upalnego sierpniowego dnia, Lucia postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce. Zadzwoiła do Paola.

- Paolo, mówi Lucia Carmine. Mój ojciec chce coś z tobą omówić i pyta, czy mógłbyś spotkać się z nim po południu w naszym domku kąpielowym.

Paolo był jednocześnie zaskoczony i mile polechtany. Podziwiał Angela Carmine, ale nie miał pojęcia, że potężny mafioso wie o jego istnieniu.

- To dla mnie zaszczyt - odparł. - O której godzinie mam przyjść? - O trzeciej.

Sjesta, cały świat pogrążony we śnie. Odosobniony domek kąpielowy, położony w odległym końcu wielkiej posiadłości. Ojciec wyjechał z miasta. Nie ma obaw, że ktoś mógłby im przeszkodzić.

Paolo zjawił się punktualnie o wyznaczonej godzinie. Brama prowadząca do ogrodu stała otworem, więc poszedł prosto w stronę domku. Stanął przed zamkniętymi drzwiami i zapukał.

- *Signore Carmine? Pronto...?* Odpowiedzi nie było. Paolo zerknął na zegarek. Ostrożnie otworzył drzwi i wszedł do środka. Wewnątrz panowały ciemności.

- *Signore Carmine?* Zbliżyła się do niego jakaś postać.

- Paolo... Poznał głos Lucii.

- Szukam twojego ojca, Lucia. Jest tutaj? Podeszła bliżej, na tyle blisko, by Paolo zorientował się, że jest zupełnie naga.

- Mój Boże! - jęknął. - Co...?

- Chcę, żebyś się ze mną kochał.

- Jesteś *pazzo!* Jesteś jeszcze dzieckiem. Wychodzę stąd. - Zaczął iść w stronę drzwi.

- Idź. Powiem ojcu, że mnie zgwałciłeś.

- Nie powiesz.

- Wyjdź, to się przekonasz. Paolo zatrzymał się. Nie miał złudzeń co do swego losu, gdyby Lucia spełniła tę groźbę. Kastracja stanowiłaby zaledwie początek.

Podszedł do dziewczyny, chcąc wyperswadować jej szalony pomysł.

- Lucia, kochanie...

- Podoba mi się, że mówisz do mnie kochanie.

- Nie... posłuchaj. To poważna sprawa. Twój ojciec zabije mnie, jeśli powiesz mu, że cię zgwałciłem.

- Wiem. Podjął jeszcze jedną próbę.

- Mój ojciec popadnie w niełaskę. Cała moja rodzina popadnie w niełaskę.

- Wiem. Beznadziejne.

- Czego ode mnie chcesz?

- Chcę, żebyś to ze mną zrobił.

- Nie, niemożliwe. Jeżeli twój ojciec się dowie, zabije mnie.

- Jeśli wyjdiesz, także to zrobi. Nie masz specjalnego wyboru, prawda? Patrzył na nią ogarnięty paniką.

- Dlaczego ja, Lucia?

- Bo jestem w tobie zakochana, Paolo! - Wzięła go za rękę i delikatnie wsunęła dłoń chłopca między uda. - Jestem kobietą. Spraw, żebym czuła się jak kobieta.

W słabym świetle Paolo widział bliźniacze pagórki jej piersi, twarde sutki i ciemny trójkąt miękkich włosów u zbiegu nóg.

„Jezu - powiedział w duchu Paolo - i co ma zrobić mężczyzna”?

Zaprowadziła go do kanapy, pomogła pozbyć się spodni i szortów. Potem uklękła, wzięła w usta jego męską twardość i zaczęła ssać ją delikatnie.

„Robiła to już wcześniej” - przemknęło mu przez myśl.

A kiedy leżał na niej, zatopiony głęboko, i czuł napór spragnionych kobiecych bioder, pomyślał:

„Ona jest wspaniała”.

Lucia była wniebowzięta. Zupełnie jakby po to się urodziła. Instynktownie wiedziała, co zrobić, żeby zadowolić siebie i jego. Ciało dziewczyny trawił pożar. Czują, ja narasta w niej rozkosz, wyżej i wyżej, i gdy wreszcie się spełniła, Lucia krzyknęła głośno z czystej radości. Potem leżeli zaspokojeni, ciężko oddychając.

Wreszcie dziewczyna się odezwała:

- Jutro o tej samej porze.

Lucia skończyła szesnaście lat i Angelo Carmine zdecydował, że czas już, by córka zobaczyła trochę świata. Ze starszą ciotką Rosą jako przewodniczką Lucia spędziła szkolne wakacje na Capri, w Ischia, Wenecji, Rzymie i paru innych miejscach.

- Musisz być osobą kulturalną, nie taką wieśniaczką jak twój papa. Podróż uzupełni twoje wykształcenie. Na Capri ciotka Rosa pokaże ci klasztor Kartuzów pod wezwaniem świętego Jakuba, Villa San Michele i Palazzo a Mare...

- Tak, papa.

- W Wenecji jest Bazylika św. Marka, Pałac Dożów, kościół San Ciorgio i muzeum akademickie.

- Tak, papa.

- Rzym to skarbiec świata. Tam musisz odwiedzić Watykan, Bazylikę Santa Maria Maggiore i galerię Borghese, oczywiście.

- Oczywiście.

- I Mediolan! Pójdiesz do konserwatorium na koncert. Załatwię też bilety do La Scali dla ciebie i ciotki. We Florencji obejrzysz miejskie muzeum sztuki, galerię Uffizi i kilka innych ważnych kościołów i muzeów.

- Tak, papa. Dzięki starannemu planowaniu, Lucii udało się nie zobaczyć żadnego z tych miejsc.

Ciotka Rosa pilnowała codziennego przestrzegania sjesty i wczesnego kładzenia się spać.

- Ty też musisz odpocząć, dziecko.

- Oczywiście, ciociu.

I gdy opiekunka spała, Lucia tańczyła w *Quisisana* na Capri, jeździła *carozza* ciągniętą przez przybranego piórami konia w kapeluszu, bawiła się na Marina Piccola z grupą

uczniów męskiego college'u, pojechała na piknik do Bagni di Tiberio, przejechała się *funicolare** do Anacapri i tam na Piazza Umberto I piła drinki z francuskimi studentami.

W Wenecji przystojny gondolier zabrał ją na dyskotekę, a młody rybak na połów w Chioggia. A ciocia Rosa spała.

W Rzymie Lucia piła wino z Apulii i odkryła awangardowe, zabawne restauracje, takie jak *Marte i Ranieri* czy *Giggi Fazi*.

Lucia wszędzie znajdowała małe, ukryte bary i kluby nocne, spotykała romantycznych, przystojnych mężczyzn i myślała:

„Kochany papa miał rację. Podróż uzupełniła moje wykształcenie”.

W łóżku nauczyła się mówić kilkoma językami i doszła do wniosku, że ta metoda jest dużo zabawniejsza od lekcji języków w szkole.

Gdy wróciła do Taorminy, zwierzyła się najbliższym przyjaciółkom:

- Naćpałam się w Neapolu, nachlałam w Salerno, macałam w Mediolanie i pieprzyłam w Padwie.

Sama Sycylia, wyspa greckich świątyń, rzymskich i bizantyjskich amfiteatrów i kaplic, arabskich łaźni i szwabskich zamków, była cudem godnym zbadania.

Lucia odkryła hałaśliwe i pełne życia Palermo, z przyjemnością wałęsała się w pobliżu Kalsa, starej dzielnicy arabskiej, odwiedziła też Opera del Pupi, teatr lalkowy. Jednak ulubionym przez dziewczynę miastem była jej rodzinna Taormina. Położone w górach nad Morzem Jońskim śliczne jak z pocztówki miasto spoglądało na świat z wysoka. Pełne sklepów z modną odzieżą i biżuterią, barów i uroczych skwerów, *trattoñas*** i kolorowych hoteli, takich jak Excelsior Pałace czy San Domenico.

Prowadząca do miasta z portu Naxos kręta droga biegła nad urwiskiem, wąska i niebezpieczna. Lucia jeździła tamtędy od czasu, gdy na piętnaste urodziny dostała samochód, łamiąc każdy zawarty w kodeksie przepis, ale *carabinieri* nigdy jej nie zatrzymali. Była przecież córką Angela Carmine.

Na użytek ciekawskich, dostatecznie odważnych bądź głupich, by pytać, Angelo Carmine zajmował się nieruchomościami. Nie całkiem mijало się to z prawdą, gdyż rodzina Carmine posiadała willę w Taorminie, dom nad jeziorem Como w Cernobbio, domek myśliwski w Gstaad, apartament w Rzymie i dużą farmę w pobliżu Wiecznego Miasta. W gruncie „rzeczy jednak Carmine był zaangażowany w bardziej rozrywkowe interesy. Należało do niego kilka domów publicznych, dwa kasyna gry, a także sześć statków, przewożących

*Funicolare - (wł.) kolejka linowa

**Trattorias - (wł.) tu: knajpki.

kokainę z plantacji w Kolumbii, oraz szereg innych, bardzo zyskownych przedsiębiorstw. Angelo Carmine był *capo* sycylijskich mafiosów, więc stwierdzenie, że dobrze mu się powiodło, można określić mianem niedopowiedzenia. Jego życie było dla innych inspiracją, podnoszącym na duchu dowodem na to, że ubogi, ale ambitny sycylijski rolnik, pracując ciężko, może się wzbogacić i odnieść sukces.

Carmine w wieku dwunastu lat zaczął pracować dla mafii jako chłopak na posyłki. Mając lat piętnaście, był już nadzorcą lichwiarzy, a jako szesnastolatek, przeszedł chrzest bojowy, zabijając po raz pierwszy. Wkrótce potem ożenił się z matką Luci, Anną. W następnych latach Carmine wspiał się po chwiejnej drabinie mafijnych zależności na szczyt, znacząc swą wędrówkę grobami wrogów. Angelo zyskał pozycję, ale Anna pozostała tą samą prostą wieśniaczką, z którą się ożenił. Dała mu troje dzieci, lecz na tym skończył się jej wkład w życie męża. Jakby wiedząc, że w życiu rodziny nie ma już dla niej miejsca, dyskretnie, nie wywołując niepotrzebnego zamieszania, umarła.

Araldo i Victor zajmowali się interesami wraz z ojcem i Lucia, już jako mała dziewczynka, przysłuchiwała się podniecającym rozmowom ojca i braci, chłonąc opowieści o tym, jak rodzina przechytryła lub pokonała wrogów. Lucia uważała ojca za rycerza bez skazy. Nie widziała nic złego w jego i braci działalności. Przeciwnie, była zdania, że jej najbliżsi pomagają ludziom. Jeśli ktoś chce oddawać się hazardowi, dlaczego mu tego zabraniać? Jeśli mężczyźni znajdują przyjemność w kupowaniu miłości, czemu im nie dopomóc? A jak hojna jest jej rodzina, pożyczając pieniądze biedakom, których z niczym odesłali bezlitośni bankierzy! Według Lucii ojciec i bracia byli wzorowymi obywatelami. Wystarczyło spojrzeć na ludzi, którymi otaczał się papa. Raz w tygodniu Angelo Carmine wydawał proszony obiad dla wielu gości i kogóż wtedy nie było przy rodzinnym stole! Na biesiadach pojawiał się burmistrz, bywali na nich i radni miejscy, i sędziowie, a obok dostojników siadywali śpiewacy operowi oraz gwiazdy filmowe, często szef policji i *monsignor*. Parę razy zjawiał się nawet sam gubernator.

Życie Lucii było idyllą pełną przyjęć, pięknych strojów i biżuterii, samochodów, służących i możliwych przyjaciół. Aż pewnego dnia, w lutym, gdy dziewczyna obchodziła swe dwudzieste trzecie urodziny, wszystko skończyło się jak nożem uciął.

Zaczęło się zupełnie niewinnie. Do domu przyszło dwóch ludzi, którzy chcieli zobaczyć się z ojcem. Byli to jego przyjaciele - szef policji oraz podległy mu porucznik.

- Proszę mi wybaczyć *padrone** - przepraszał szef policji - ale to zwykła formalność, na której dopełnienie nalega komisarz. Błagam o wybaczenie *padrone*, ale jeśli zechce pan

*Padrone - (wł.) pan.

udać się z nami na posterunek, dopilnuję, by zdążył pan na uroczystość urodzinową córki.

- Ależ oczywiście - jowialnie odparł Carmine. - Służba nie drużba. - Wykrzywił twarz w uśmiechu. - Ten nowo mianowany komisarz to służbista, co? Pracowity jak pszczołka, jak to mówią.

- Obawiam się, że tak - westchnął szef policji. - Ale proszę się nie obawiać, *padrone*. Obaj wiemy, że nadgorliwcy nie robią kariery.

Śmiejąc się poszli na posterunek.

Angelo Carmine nie wrócił do domu na przyjęcie ani tego, ani następnego dnia. Ściśle biorąc, nigdy już nie zobaczył żadnego ze swych domów. Prokuratura skierowała przeciw Carmine stustronicowy akt oskarżenia, zarzucający mu morderstwa, handel narkotykami, sutenerstwo, podpalenia oraz popełnienie szeregu innych przestępstw. Nie wyrażono zgody na zwolnienie za kaucją. Policyjna obława zmiotła całą organizację rodziny Carmine. Angelo sądził, że jego rozległe koneksje na Sycylii pomogą w wycofaniu oskarżeń, ale niespodziewanie, w środku nocy, przewieziono go do Rzymu i osadzono w znanym więzieniu Regina Coeli. Znalazł się w maleńkiej celi z zakratowanym oknem, wyposażonej w grzejnik, łóżko i prymitywną ubikację. Była to oburzająca, niewyobrażalna wręcz zniewaga.

Z początku Carmine był pewien, że Tommaso Contorno, rodzinny adwokat, spowoduje jego natychmiastowe zwolnienie. Gdy prawnik zjawił się w więziennej rozmównicy, Angelo naskoczył na niego:

- Zamknęli moje burdele, zlikwidowali siatki przetrzutu narkotyków i wiedzą wszystko o operacjach prania pieniędzy. Ktoś sypie. Dowiedz się kto i przynieś mi jego język.

- Możesz być spokojny, *padrone* - zapewniał adwokat. - Znajdziemy go. Optymizm ten okazał się nieuzasadniony. Pragnąc chronić swych świadków, prokuratura stanowczo odmówiła podania ich nazwisk przed rozpoczęciem procesu.

Dwa dni przed jego początkiem Angelo Carmine i inni członkowie mafii zostali przeniesieni do Rebibbia Prigione, więzienia o zaostrozonym rygorze, położonego dwadzieścia kilometrów od Rzymu. Pobliski sąd zmieniono w twierdzę. Stu sześćdziesięciu oskarżonych, skutych kajdankami, przetransportowano na salę rozpraw podziemnym korytarzem, a następnie umieszczono w trzydziestu klatkach ze stali i kuloodpornego szkła. Od zewnątrz, a także w środku, sądu pilnowali uzbrojeni strażnicy. Chcących obserwować proces przeszukiwano, zanim pozwolono im wejść.

Gdy Angelo Carmine wkroczył na salę, serce zabiło mu z radości. Urzędującym sędzią okazał się Giovanni Buscetta, człowiek od piętnastu lat znajdujący się na jego listach płac, częsty gość przy rodzinnym stole. Carmine wiedział teraz, że sprawiedliwość jest po jego

stronie.

Rozpoczął się proces. Angelo Carmine spodziewał się, że będzie go chronić *omerta*, sycylijska reguła milczenia. Ku jego zdziwieniu jednak głównym świadkiem oskarżenia okazał się nie kto inny jak Benito Patas, ochroniarz. Patas pracował dla rodziny Carmine tak długo i obdarzony był takim zaufaniem, że pozwalano mu przebywać w pokoju podczas spotkań, na których omawiano poufne przedsięwzięcia. Ponieważ interesy rodziny były w znacznej mierze nielegalne, Patas zgromadził wiele cennych dla policji informacji. Gdy został aresztowany w parę minut po okaleczeniu i zamordowaniu z zimną krwią przyjaciela swej dawnej kochanki, zagrożono mu dożywociem. Wtedy Patas w zamian za łagodniejszy wyrok zgodził się, niechętnie co prawda, pomóc policji w sformułowaniu oskarżenia przeciw Angelowi Carmine. I teraz, siedząc na ławie oskarżonych, Carmine z pełnym niedowierzaniem przysłuchiwał się, jak Patas ujawnia najgłębsze tajemnice rodzinnego imperium.

Również Lucia była codziennie obecna w sądzie i widziała dawnego kochanka, pogrążającego jej ojca i braci.

Zeznania Benita Patasa zerwały wszelkie tamy. Gdy komisarz rozpoczął śledztwo, zgłosiło się kilkunastu świadków, którzy opowiedzieli o tym, co spotkało ich ze strony Angela Carmine i jego bandziorów. Mafia mieszała się do ich interesów, szantażowała, zmuszała do prostytucji, mordowała lub okaleczała ich bliskich, sprzedawała ich dzieciom narkotyki. Lista tych okropności nie miała końca.

Jeszcze bardziej obciążające okazały się zeznania *pentiti*, skruszonych członków organizacji, którzy zdecydowali się mówić.

Lucii pozwolono odwiedzić ojca w więzieniu. Powitał ją pełen otuchy. Uścisnął córkę i wyszeptał: - Nie martw się, *faccia d'angelo*. Sędzia Giovanni Buscetta to mój as w rękawie. Zna wszystkie kruczki prawne i wykorzysta je, żeby uniewinnić mnie i twoich braci.

Angelo Carmine okazał się złym prorokiem.

Opinia publiczna była oburzona ekscesami mafii. Gdy proces wreszcie dobiegł końca, sędzia Giovanni Buscetta, posiadający znakomite wyczucie chwili, pomniejszych członków mafii skazał na wieloletnie więzienie, a dla Angela Carmine i jego dwóch synów orzekł najwyższy dopuszczalny przez włoskie prawo wymiar kary - dożywocie, w praktyce oznaczające dwadzieścia osiem lat zamknięcia.

Dla Angela Carmine równało się to wyrokowi śmierci.

Włochy świętowały. W końcu zatryumfowała sprawiedliwość! Ale dla Lucii rozpoczął się niewyobrażalny koszmar. Trzej mężczyźni, których kochała najbardziej na świecie, za

życia zostali skazani na piekło.

Lucii po raz drugi pozwolono odwiedzić ojca w celi. Zmiana, jaka zaszła w nim w ciągu jednej nocy, była wstrząsająca. Z dnia na dzień stał się starym człowiekiem, zapadł się w sobie, a jego czerstwa cera nabrała ziemistego zabarwienia.

- Zdradzili mnie - jęknął Angelo Carmine. - Wszyscy mnie zdradzili. Sędzia Buscetta... miałem go w kieszeni, Lucia! Uczyniłem go bogatym, a on odplacił mi taką potwornością. I Patas. Byłem dla niego jak ojciec. Dokąd zmierza ten świat? Co się stało z honorem? To przecież Sycylijczycy, jak ja.

Lucia wzięła w dłonie rękę ojca i powiedziała przyciszonym głosem:

- Ja też jestem Sycylijką, papa. Będiesz pomszczony, przysięgam na swe życie.

- Moje życie jest skończone - odparł na to - ale przed tobą jeszcze wiele dni. Mam w Zurychu konto na hasło. W banku Leu. Jest tam więcej pieniędzy, niż mogłabyś wydać przez całe życie. - Wyszeptał córce do ucha kombinację liczb. - Opuść przeklętą Italię. Weź pieniądze i baw się dobrze.

Lucia przytuliła go mocno.

- Papa...

- Gdybyś kiedyś potrzebowała przyjaciela, możesz zaufać Dominikowi Durellowi. Jesteśmy jak bracia. Ma dom w Beziers we Francji, w pobliżu hiszpańskiej granicy.

- Będę pamiętać.

- Obiecuj mi, że wyjedziesz z Włoch.

- Dobrze, papa. Ale najpierw muszę coś załatwić.

Pałące pragnienie zemsty to jedna sprawa, natomiast znalezienie sposobu na jej przeprowadzenie - to druga strona medalu. Lucia była zdania tylko na siebie, a stało przed nią trudne zadanie. Dziewczyna pomyślała o włoskim powiedzeniu *Rubare ii mestiere* - znaczącym tyle, co „wejść w cudzą skórę”.

„Muszę zacząć myśleć jak oni” - postanowiła.

Kilka tygodni po skazaniu Angela Carmine i jego synów, Lucia zjawiała się w domu sędziego. Giovanni Buscetta osobiście otworzył jej drzwi.

Wpatrywał się w dziewczynę zaskoczony. Bywając gościem rodziny Carmine, często widywał Lucię, ale nigdy nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia.

- Lucia Carmine! Co tu robisz? Nie powinnaś być...

- Przyszłam panu podziękować, panie sędzio. Przyglądał się jej podejrzliwie.

- Podziękować? Za co? Lucia spojrzała mu prosto w oczy.

- Za zdemaskowanie mojego ojca i braci. Byłam owieczką między wilkami. Nie

miałam pojęcia, jakie potwory... Dziewczynie załamał się głos i wybuchnęła płaczem.

Sędzia niezdecydowanie stał na progu, a potem poklepał Lucię po ramieniu.

- No, no. Wejdz, napijemy się herbaty.

- Dzień... dziękuję. Gdy usadowili się w salonie, sędzia Buscetta powiedział:

- Nie wiedziałem, że masz taki stosunek do ojca. Odniosłem wrażenie, że byliście bardzo zżyci.

- Tylko dlatego, że nie miałam pojęcia, jacy byli naprawdę on i moi bracia. Gdy się dowiedziałam... - Zadrżała. - Nie wyobraża pan sobie, co czułam. Chciałam uciec, ale nie miałam dokąd.

- Nie wiedziałem. - Poglaskał ją po ręce. - Obawiam się, że niewłaściwie cię oceniłem, moja droga.

- Byłam przerażona - Głos dziewczyny drżał z emocji. Sędzia Buscetta zauważył, nie pierwszy raz zresztą, że Lucia wyrosła na piękną kobietę. Miała na sobie prostą czarną sukienkę, podkreślającą bujne kształty młodego ciała. Sędzia, patrząc na krągłe piersi panny Carmine, nie mógł powstrzymać myśli, że nie jest już małą dziewczynką.

„Zabawnie byłoby - rozmyślał Buscetta - przespać się z córką Angela Carmine. Teraz już nie może mi zaszkodzić. Stary drań sądził, że ma mnie w kieszeni, ale byłem na to za sprytny. Lucia jest pewnie dziewicą. Mógłbym nauczyć ją paru rzeczy”.

Starsza gospodyni wniosła tacę z herbatą oraz talerz ciastek i postawiła wszystko na stole.

- Czy mam nalać? - zapytała.

- Proszę mi pozwolić tym się zająć - powiedziała Lucia. Głos miała ciepły i zachęcający.

Sędzia uśmiechnął się do dziewczyny.

- Możesz odejść - polecił gospodyni.

- Tak, proszę pana. Buscetta przyglądał się, jak Lucia podchodzi do małego stolika, na którym stała taca, i ostrożnie nalewa dwie herbaty.

- Mam przecucie, że zostaniemy przyjaciółmi - ode zwał się, usiłując wybadać grunt.

Lucia uśmiechnęła się do mężczyzny kusząco.

- Bardzo bym tego chciała, panie sędzio.

- Proszę, mów mi Giovanni.

- Giovanni. - Dziewczyna wręczyła mu jedną filiżankę, drugą wznosząc toast. - Śmierć łajdakom!

Uśmiechając się Buscetta unióśł naczynie.

- Śmierć łajdakom! - Pociągnął łyk i skrzywił się. Herbata była gorzka.

- Czy zbyt...?

- Nie, nie. W porządku, moja droga. Lucia ponownie wzniosła filiżankę.

- Za naszą przyjaźń! Upiła łyczek, sędzia również.

- Za... Buscetta nie skończył toastu. Chwycił go nagły skurcz, poczuł, jakby w serce wbił mu się rozpalony do czerwoności pogrzebacz. Złapał się za pierś.

- Boże! Wezwij lekarza... Lucia siedziała spokojnie, sącząc herbatę, i patrzyła, jak sędzia potyka się, a potem pada na podłogę. Jego ciałem wstrząsały drgawki, wreszcie zeszywniał.

- To pierwszy, papa - powiedziała dziewczyna.

Benito Patas układał w swej celi pasjansa, gdy strażnik oznajmił:

- Masz gościa w celi małżeńskiej. Benito rozpromienił się. Jako informator traktowany był w sposób wyjątkowy, przyznano mu wiele przywilejów, a wizyty kobiet były jednym z nich. Patas miał kilka przyjaciółek, które odwiedzały go na zmianę. Był ciekaw, która przysła tym razem.

Przejrzał się w lusterku, wiszącym na ścianie celi, nałożył na włosy trochę brylantyny i przyglądził je. Potem udał się za strażnikiem do części więzienia, w której mieściły się samodzielne pokoje.

Strażnik gestem nakazał mu wejść. Patas, pełen radosnego oczekiwania, dumnym krokiem wszedł do pokoju. Za drzwiami stanął zaskoczony.

- Lucia! Co tu, do diabła, robisz? Jak się tu dostałaś?

- Powiedziałam im, że jesteśmy zaręczeni, Benito - odparła miękko. Dziewczyna miała na sobie oszałamiającą, czerwoną, głęboko wyciętą jedwabną suknię, opinającą jej krągłe ciało.

Benito Patas cofnął się o krok.

- Wynoś się.

- Jak chcesz. Ale najpierw powinieneś się o czymś dowiedzieć. Gdy patrzyłam, jak zeznajesz przeciw mojemu ojcu i braciom, nienawidziłam cię. Chciałam cię zabić. - Przynęła się do mężczyzny. - I nagle zdałam sobie sprawę, że to, co robisz, jest aktem odwagi. Ośmieliłeś się powiedzieć prawdę. Ojciec i bracia nie są złymi ludźmi, ale ich czyny były złe. A ty, jako jedyny, miałeś dość siły, żeby się im przeciwstawić.

- Uwierz mi, Lucia - powiedział Patas - policja mnie zmusiła, żebym...

- Nie musisz mi nic wyjaśniać - odparła czule. - Nie mnie. Pamiętasz, jak kochaliśmy się pierwszy raz? Zrozumiałam wtedy, że cię kocham i że zawsze będę cię kochać.

- Lucia, nigdy nie zrobiłbym tego, co...

- *Caro**, chcę, żebyśmy zapomnieli o tym, co się stało. Już po wszystkim. Teraz liczymy się tylko ty i ja.

Była już zupełnie blisko i czuł jej mocne perfumy. W głowie miał zamęt.

- Naprawdę tak myślisz?

- Jestem tego pewna, jak niczego na świecie. Dlatego przyszedłam dzisiaj, żeby ci to udowodnić. Dowieść, że jestem twoja. Nie tylko słowami.

Dłonie dziewczyny powędrowały do ramiączek i po chwili suknia osunęła się na podłogę. Lucia stała naga.

- Czy teraz mi wierzysz? Na Boga, ależ była piękna.

- Tak, wierzę ci - odrzekł schrypniętym głosem. Lucia przysunęła się, ocierając o mężczyznę.

- Rozbierz się - szepnęła. - Szybko! Patrzyła, jak Patas zdejmuje ubranie. Gdy się go pozbył, wziął dziewczynę za rękę i poprowadził do wąskiego łóżka, stojącego w rogu pokoju. Mężczyzna nie zawracał sobie głowy grą wstępną. W jednej chwili znalazł się na Lucii, rozchylając jej nogi i penetrując ją głęboko, z aroganckim uśmiechem na twarzy.

- Jak dawniej - stwierdził zadowolony z siebie. - Nie mogłaś o mnie zapomnieć, co?

- Nie - szepnęła mu w prosto w ucho. - A wiesz, czemu nie mogłam cię zapomnieć?

- Nie, *mi amore***. Powiedz mi.

- Bo pochodzę z Sycylii, jak mój ojciec.

Sięgnęła w tył i wyjęła długą, ozdobną szpilę, która podtrzymywała jej włosy. Benito Patas poczuł, że coś dźgnęło go między żebra, i porażony nagłym bólem chciał krzyknąć, ale pocałunki dziewczyny zamknęły mu usta. Gdy ciało Benita drgało i wiło się na jej ciele, Lucia przeżyła orgazm.

Kilka minut później dziewczyna znów była ubrana, a szpilka wróciła na swe miejsce w jej włosach. Benito leżał z zamkniętymi oczyma, przykryty prześcieradłem. Lucia zapukała do drzwi pokoju i uśmiechnęła się do strażnika, który ją wypuścił.

- Zasnął - wyszeptała. Strażnik popatrzył na piękną młodą kobietę i odwzajemnił uśmiech.

- Pewnie go wykończyłaś.

- Mam nadzieję - odparła.

* * *

**Caro - (wł.) kochany.

***Mi amore - (wł.) moja ukochana.

Brawura, z jaką dokonane zostały te dwa morderstwa, z miejsca oczarowała Włochy. Piękna, młoda córka mafiosa pomściła swego ojca i braci i sympatia pobudliwej włoskiej opinii publicznej była po jej stronie. Trzymano kciuki za powodzenie ucieczki dziewczyny. Policja, jak nietrudno się domyślić, przyjęła odmienny punkt widzenia. Lucia Carmine najpierw zamordowała szanowanego sędziego, a potem popełniła drugie morderstwo, i to w murach więzienia. Fakt, że zakpiła sobie z wymiaru sprawiedliwości, był w oczach policji przestępstwem równie ciężkim, jak dwie zbrodnie. Gazety miały teraz ich kosztem niezłe używanie.

- Przynieście mi jej głowę - ryknął na swego zastępcę komisarz policji. - I to dzisiaj!

Obława nabierała rozmachu, a sprawczyni całego zamieszania ukrywała się w domu Salvatora Giuseppe, jednego z ludzi jej ojca, któremu udało się umknąć z pogromu. Z początku Lucia myślała jedynie o pomszczeniu rodzinnego honoru. Spodziewała się, że zostanie schwytana, i gotowa była się poświęcić. Kiedy jednak udało się jej opuścić więzienie i uciec, przestała myśleć o zemście, a zaczęła zastanawiać się, ^v jak przeżyć. Teraz, gdy zrealizowała swe zamierzenia, życie nagle znów stało się cenne.

„Nie pozwolę, żeby mnie złapali - postanowiła uroczyście. - Nigdy”.

Salvatore Giuseppe i jego żona zrobili, co mogli, żeby odmienić Lucię. Rozjaśnili jej włosy, przyciemnili zęby, zaopatrzyli w okulary i źle leżące, niemodne ubranie.

Salvatore krytycznie ocenił efekt swoich i żony starań.

- Nieźle - powiedział. - Ale to nie wystarczy. Musimy wywieźć cię z Włoch. Musisz pojechać gdzieś, gdzie nie wszystkie gazety zamieszczają na pierwszych stronach twoje zdjęcie. Gdzie mogłabyś się ukryć na kilka miesięcy.

Lucia przypomniała sobie słowa ojca:

„Gdybyś kiedyś potrzebowała przyjaciela, możesz zaufać Dominikowi Durellowi. Jesteśmy jak bracia. Ma dom w Beziers we Francji, w pobliżu hiszpańskiej granicy”.

- Wiem, dokąd mogę pojechać - stwierdziła. - Będzie mi potrzebny paszport.

- Załatwię to.

Dwadzieścia cztery godziny później Lucia miała w ręku paszport ze zdjęciem przedstawiającym ją w nowym wcieleniu, na nazwisko Lucia Roma.

- Dokąd pojedziesz?

- Ojciec ma we Francji przyjaciela, który mi pomoże.

- Jeżeli chcesz, żebym odwiózł cię do granicy... - odezwał się Salvatore.

Oboje wiedzieli, czym to mogło grozić.

- Nie, Salvatore - odparła Lucia. - Dość już dla mnie zrobiłeś. Muszę poradzić sobie

sama.

Następnego ranka Salvatore Giuseppe wynajął w imieniu Lucii Romy fiata i wręczył dziewczynie kluczyki.

- Bądź ostrożna - poprosił.

- Nie martw się. Urodziłam się pod szczęśliwą gwiazdą. Czy nie to ciągle powtarzał jej ojciec? Na granicy włosko - francuskiej czekające na wjazd do Francji samochody wolno przesuwają się w długiej kolejce. Im bardziej Lucia przybliżała się do budki straży granicznej, tym mocniej się denerwowała. Będą jej szukać na wszystkich przejściach granicznych. Wiedziała, że jeśli zostanie złapana, skazą ją na dożywocie.

„Raczej się zabiję” - pomyślała.

Podjechała do oficera.

- Paszport, *signorina*. Przez okno wręczyła mu czarną książeczkę. Biorąc ją, zerknął na dziewczynę.

Lucia spostrzegła, jak oczy wojskowego napędniają się zdziwieniem. Przeniósł spojrzenie z paszportu na jej twarz, a potem znów zerknął na zdjęcie, tym razem uważniej. Lucia zdrętwiała.

- Jesteś Lucia Carmine - powiedział.

- Nie! - krzyknęła Lucia. Zbladła. Rozejrzała się dokoła w poszukiwaniu drogi ucieczki. Nie było dokąd uciekać. I nagle, ku zdziwieniu dziewczyny, oficer uśmiechnął się. Pochylił się ku niej i wyszeptał:

- Pani ojciec był dobry dla mojej rodziny, *signorina*. Może pani jechać. Powodzenia. Nagle ulga przyprawiła Lucię o zawrót głowy.

- *Grazie**. Wcisnęła gaz i przejechała dwadzieścia metrów dzielące ją od francuskiej granicy.

Francuski pracownik straży granicznej uważał się za znawcę kobiecej urody, a kobieta, która do niego podjechała, z pewnością nie była ładna. Miała włosy mysiego koloru, grube szkła, brzydkie zęby i była ubrana bez śladu gustu.

„Czemu Włoszki nie mogą wyglądać tak pięknie, jak Francuzki”? - pomyślał z niechęcią. Podstemplował paszport Lucii i machnął ręką, że może jechać. Do Beziars dotarła sześć godzin później.

Telefon został odebrany po pierwszym sygnale i odezwał się w nim łagodny męski głos.

- Halo?

- Proszę z Dominikiem Durrellem.

- Przy telefonie. Kto mówi?

- Lucia Carmine. Ojciec powiedział mi...

- Lucia! - Głos zadźwięczał życzliwym powitaniem. - Miałem nadzieję, że się odezwiesz.

- Potrzebuję pomocy.

- Możesz na mnie liczyć. Lucii zrobiło się ciepło na sercu. Ta pierwsza od długiego czasu dobra wiadomość sprawiła, że dziewczyna nagle zdała sobie sprawę, jak była wyczerpana.

- Muszę się gdzieś ukryć przed policją.

- Nie ma sprawy. Żona i ja mamy dla ciebie doskonałą kryjówkę. Możesz z niej korzystać, jak długo zechcesz.

Niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

- Dziękuję.

- Gdzie jesteś, Lucia?

*Grazie - (wł.) dziękuję.

- W...

W tym momencie w słuchawce zatrzeszczała policyjna krótkofalówka i natychmiast została wyłączona.

- Lucia... W głowie dziewczyny rozległ się dzwonek alarmowy.

- Lucia? Gdzie jesteś? Przyjadę po ciebie. „Czemu miałby mieć w domu policyjne radio”? I odebrał telefon po pierwszym sygnale. Zupełnie jakby czekał na tę rozmowę.

- Lucia, słyszysz mnie? Była pewna, bez cienia wątpliwości, że mężczyzna przy telefonie to policjant.

Więc pogoń zbliżała się. Rozmowa była namierzana.

- Lucia...

Odłożyła słuchawkę i pospiesznie opuściła budkę. „Muszę wyjechać z Francji” - pomyślała. Wróciła do samochodu i ze schowka na rękawiczki wyjęła mapę. Hiszpańska granica była zaledwie o parę godzin jazdy. Lucia włożyła mapę na miejsce i ruszyła, kierując się na •południowy zachód, do San Sebastian.

Na granicy sprawy, niestety, przybrały niewłaściwy obrót.

- Paszport, proszę. Lucia wręczyła oficerowi hiszpańskiej straży granicznej żądany dokument.

Przejrzał go pobieżnie i już chciał jej oddać, gdy nagle zawahał się. Uważniej spojrzął na dziewczynę i zmienił się na twarzy.

- Proszę chwileczkę poczekać. Muszę go podstemplować w biurze.

„Rozpoznał mnie” - zrozumiała przerażona Lucia Patrzyła, jak mężczyzna wchodzi do małego budynekczku straży i pokazuje paszport drugiemu oficerowi. Obaj zaczęli mówić coś z podnieceniem. Musiała uciekać. Otworzyła drzwi od strony kierowcy i wysiadła. Grupa niemieckich turystów, którzy właśnie zakończyli formalności celne, hałaśliwie pakowała się do stojącego obok autobusu wycieczkowego. Tablica z przodu pojazdu głosiła „Madryt”.

- *Achtung!** - nawoływał przewodnik. - *Schnell!**. Lucia obejrzała się na barak. Oficer, który zabrał jej paszport, krzyczał coś do telefonu.

- Wszyscy wsiadać, *bitte***!. Lucia bez zastanowienia podeszła do roześmianej, rozgadanej grupy i wsiadła do autobusu, odwracając twarz od przewodnika. Usiadła w tyle pojazdu, ze spuszczoną głową.

„Niech już jedzie! - modliła się. - Niech jedzie”.

**Achtung - (niem.) uwaga.

***Schnell - (niem.) szybko.

****Bitte - (niem.) proszę.

Przez okno zobaczyła, że do wartowników dołączył trzeci oficer i wszyscy razem oglądają jej paszport.

Jakby w odpowiedzi na modły dziewczyny drzwi autobusu zamknęły się i ożył silnik. Chwilę później pojazd wytoczył 'się z San Sebastian w stronę Madrytu.

Co będzie, kiedy straż graniczna zorientuje się, że wysiadła z samochodu? Najpierw pomyślała, że poszła do toalety. Będą czekać, wreszcie kogoś po nią pošlą. Następnym ich krokiem będzie przeszukanie całego terenu, żeby upewnić się, czy gdzieś się nie ukryła. W tym czasie przez granicę przejedzie kilkanaście samochodów i autobusów. Policja nie będzie miała pojęcia, gdzie się podziała ani w jakim kierunku zmierza.

Wycieczkowicze najwyraźniej spędzali udane wakacje.

„Czemu nie? - gorzko pomyślała Lucia. - Im policja nie depta po piętach. Czy warto było tak ryzykować?” - zastanawiała się, wracając pamięcią do zajęć z sędzią Buscettem i Benitem.

„Mam przeczucie, że zostaniemy przyjaciółmi, Lucia... Śmierć łajdakom!”.

I Benito Patas:

„Jak dawniej. Nie mogłaś o mnie zapomnieć, co?”

A ona sprawiła, że dwaj zdrajcy zapłacili za swe grzechy względem rodziny.

„Czy było warto?”

Byli martwi, ale ojciec i bracia tak czy inaczej przez resztę życia będą cierpieć. „O, tak - stwierdziła Lucia. - Było warto”.

W autobusie ktoś zaintonował niemiecką piosenkę, a pozostali ją podchwycili: *In Munchen ist ein Hofbrau Haus, ein, zwei, sufa...**

„Z tą grupą na razie jestem bezpieczna - zdecydowała Lucia. - Co dalej, postanowię, gdy dostanę się do Madrytu”. Nie dotarła tam jednak.

W otoczonym murami Avila wycieczka zatrzymała się na planowy postój, by coś przekąsić i udać się, jak to delikatnie określił przewodnik, w ustronne miejsce.

- *Alles raus vom bus*** - zarządził teraz. Lucia nie ruszyła się z miejsca, obserwując pasażerów wstających i gramolących się na zewnątrz. „Bezpieczniej będzie, jeśli zostanę”. Ale zauważył ją przewodnik.

- Proszę wysiąść, *fraulein* - powiedział. - Mamy tylko piętnaście minut.

Lucia zawahała się, potem niechętnie wstała i podeszła do drzwi. Gdy mijała przewodnika, ten odezwał się:

*In Munchen ist ein Hofbrau Haus, ein, zwei, sufa... - (niem.) W Monachium jest hotelik, raz, dwa...

**Alles raus vom bus - (niem.) Wszyscy wychodzić z autobusu.

- *Warten Sie bitte!** Pani nie jest z tej wycieczki. Lucia obdarzyła go ciepłym uśmiechem.

- Nie - przyznała. - Widzi pan, w San Sebastian zepsuł mi się samochód, a jest bardzo ważne, żebym dostała się do Madrytu, więc...

- *Nein!* - wrzasnął mężczyzna. - To nie jest możliwe. To prywatna wycieczka.

- Wiem - odparła Lucia - ale, widzi pan, muszę...

- Musi pani uzgodnić to z głównym biurem w Monachium.

- Nie mogę. Ogromnie się spieszę i...

- *Nein, nein.* Przez panią będę miał kłopoty. Proszę odejść albo wezwę policję.

- Ale...

Nic, co mówiła, nie zdołało go poruszyć. Dwadzieścia minut później zobaczyła, jak autobus z rykiem silnika odjeżdża i kieruje się w stronę Madrytu. Była całkiem sama, bez paszportu i niemal bez pieniędzy, poszukiwana przez policję kilku krajów, i w każdej chwili mogła zostać aresztowana za popełnione morderstwa.

Postanowiła rozejrzeć się po okolicy. Autobus zatrzymał się przed frontem okrągłego budynku, na którym umieszczono napis *Estacion de Autobuses*.

„Mogę tu złapać następny autobus” - pomyślała dziewczyna.

Weszła na dworzec. Był to spory budynek o marmurowych ścianach i porozmieszczanych wokół rozlicznych kasach biletowych, na których napisano: *Segovia, Muhogalindo, Valladolid, Salamanka, Madrid*. Schody zwykle i ruchome prowadziły na niższy poziom dworca, skąd odjeżdżały autobusy. Była tu i *pasteleria*** , w której sprzedawano pączki, cukierki, a także owinięte w woskowany papier kanapki, i Lucia nagle zdała sobie sprawę, że umiera z głodu.

„Lepiej nie będę niczego kupować, zanim nie dowiem się, ile kosztuje bilet” - postanowiła.

Gdy ruszyła w stronę okienka oznaczonego *Madrid*, na dworzec pospiesznie weszło dwóch umundurowanych policjantów. Jeden z nich trzymał w ręku zdjęcie. Przechodzili od kasy do kasy, pokazując fotografię urzędnikom.

„Szukają mnie. Ten cholerny kierowca na mnie doniósł”.

Ruchomymi schodami wjeżdżali na górę świeżo przybyli pasażerowie. Lucia zmieszała się z tłumem zmierzających do wyjścia i opuściła dworzec.

Szła brukowanymi uliczkami Avila, bojąc się zwrócić na siebie uwagę. Skręciła w

***Warten Sie, bitte* - (niem.) Proszę zaczekać.

****Pasteleria* - (hiszp.) cukiernia.

Calle de la Madre Soledad, z granitowymi budynkami o kutyh z żelaza balkonach i wreszcie dotarła do Plaza de la Santa. Tam usiadła na ławce, starając się wymyślić, co robić dalej. W parku, jakieś sto metrów od niej, siedziało kilka kobiet i par, korzystających z popołudniowego słońca.

Po chwili nadjechał samochód policyjny. Zatrzymał się na odległym końcu skweru. Z wozu wysiadło dwóch policjantów. Podeszli do jednej z siedzących samotnie kobiet i zaczęli ją wypytywać. Lucia poczuła, jak jej serce przyspiesza.

Zmusiła się, żeby wstać powoli, z walącym sercem odwróciła się od przedstawicieli władzy i odeszła. Następną ulica nazywała się zupełnie niewiarygodnie „ulica Życia i Śmierci”.

„Ciekawe, czy to znak”.

Umieszczone na placu kamienne Iwy z wywieszonymi językami, ożywione rozgorączkowaną wyobraźnią dziewczyny, zdawały się kłapać na nią zębami. Na wprost miała wielką katedrę o fasadzie ozdobionej medalionem, na którym wykuto młodą kobietę i szczerzącą zęby czaszkę. Każdy powiew wiatru tchnął śmiercią.

Lucia usłyszała bicie kościelnych dzwonów i przez otwartą bramę miejską spojrzała na wzgórze. Tam, daleko, wysoko na zboczu, wznosiły się mury klasztoru. Stała i zapatrzyła się na nie.

- Czemu do nas przychodzisz, córko? - łagodnie zapytała wielebna matka Betina.

- Potrzebuję schronienia.

- I postanowiłaś poszukać go u Boga? „Dokładnie”.

- Tak. - Lucia zaczęła improwizować. - Zawsze tego pragnęłam - poświęcić życie na chwałę Bożą.

- W duchu wszyscy tego pragniemy, czyż nie, córko? „Jezu, ona naprawdę to kupuje” - pomyślała Lucia uszczęśliwiona”.

- Musisz zrozumieć, że reguła cysterek jest najsurowszą ze wszystkich, moje dziecko. Jesteśmy całkowicie odizolowane od świata zewnętrznego - ciągnęła wielebna matka.

Słowa te były muzyką dla uszu dziewczyny.

- Wchodzące w te mury ślubują nigdy ich nie opuścić.

- - Nie będę chciała stąd odejść - zapewniła swą rozmówczynię Lucia. - „Przynajmniej przez ładnych kilka miesięcy”. Wielebna matka wstała.

- To poważna decyzja. Proponuję, żebyś wróciła do siebie i przemyślała wszystko gruntownie, zanim ją podejmiesz.

Lucia poczuła, że sytuacja wymyka się jej spod kontroli, i wpadła w panikę. Nie miała

dokąd pójść. Jedyłą nadzieję ' dawało pozostanie za tymi murami.

- Już o tym myślałam - odparła pospiesznie. - Proszę mi wierzyć, wielebna matko, że nie pragnę niczego innego. - Spojrzała zakonnicy prosto w oczy. - Najbardziej na świecie chcę tu zostać. - W głosie Lucii zadźwięczała szczerłość.

Wielebna matka nie wiedziała, co począć. W tej młodej kobiecie było jakieś wzburzenie i szaleństwo, a to napawało niepokojem. A z drugiej strony, czy nie dlatego właśnie przybyła tutaj, gdzie jej duszę ukoją modlitwy i medytacja?

- Czy jesteś katoliczką?

- Tak. Wielebna matka ujęła staromodne, gęsie pióro.

- Powiedz mi, jak się nazywasz, dziecko.

- Lucia Car... Roma.

- Czy twoi rodzice żyją?

- Ojciec.

- Czym się zajmuje?

- Był biznesmenem. Przeszedł na emeryturę. - Pomyślała o tym, jaki był blady i wyczerpany, gdy widziała go po raz ostatni, i przeszył ją gwałtowny ból.

- Masz braci lub siostry?

- Dwóch braci.

- Czym się zajmują? Lucia zdecydowała, że musi wzmocnić swoją pozycję.

- Są księżmi.

- Wspaniale. Dokładny wywiad trwał trzy godziny. W końcu wielebna matka powiedziała:

- Znajdę ci miejsce na noc. Rano rozpoczniesz nauki, a jeśli po ich ukończeniu nie zmienisz zdania, wstąpisz do zakonu. Ale ostrzegam cię, że droga, którą wybrałaś, jest bardzo trudna.

- Proszę mi wierzyć - z pełnym przekonaniem odparła Lucia - że nie mam wyboru.

Nocny wiatr, przemykający przez leśną porębę, był delikatny i ciepły. Lucia spała. Znajdowała się na przyjęciu w pięknej wili, razem z ojcem i braćmi. Wszyscy wspaniale się bawili, dopóki do pokoju nie wszedł obcy, który zapytał: „Co tu, do diabła, robicie?”. Pogaszono lampy i jasny snop światła padł jej na twarz. Wtedy obudziła się i usiadła, oślepiona blaskiem.

Zakonnice otaczało kilku mężczyzn. Ze światłem bijącym jej prosto w oczy, Lucia ledwie mogła dostrzec ich sylwetki.

- Kim jesteście? - powtórzył mężczyzna. Głos miał głęboki i surowy.

Lucia całkiem się już rozbudziła i z miejsca oprzytomniała. Była w pułapce. Ale ci ludzie nie należeli do policji, bo policjanci wiedzieliby, z kim mają do czynienia. Co więc robili w lesie w środku nocy? Postanowiła zaryzykować.

- Jesteśmy zakonnicami z klasztoru w Avila - powie działa. - Zjawili się jacyś rządowi...

- Słyszeliśmy o tym - przerwał jej mężczyzna. Teraz zaczęły się podnosić również pozostałe zakonnice, czujne i przerażone.

- Kim jesteś? - zapytała Megan.

- Nazywam się Jaime Miro.

Było ich sześciu, ubranych w spodnie z szorstkiej tkaniny, skórzane kurtki, golfy, płócienne buty na sznurkowej podeszwie i tradycyjne baskijskie berety. Wszyscy uzbrojeni, w słabym świetle księżyca sprawiali nieomal demoniczne wrażenie. Dwóch mężczyzn wyglądało, jakby zostali ciężko pobici.

Ten, który przedstawił się jako Jaime Miro, był wysoki i szczupły; miał dzikie, czarne oczy.

- Ktoś mógł je śledzić. - Zwrócił się do jednego z członków swojej grupy. - Rozejrzyj się.

- *Si*. Lucia zdała sobie sprawę, że odpowiedziała kobieta. Odprowadziła wzrokiem znikającą cicho między drzewami postać.

- Co z nimi zrobimy? - zagadnął Ricardo Mellado.

- *Nada**. Zostawimy je i ruszymy dalej.

- To siostrzyczki Jezusa, Jaime - zaprotestował ktoś.

- Więc niech Jezus się nimi zajmie - krótko uciął Miro. - My mamy coś do zrobienia.

Wszystkie zakonnice już stały, czekając na rozwój sytuacji. Mężczyźni zgromadzili się wokół Jaimego i kontynuowali sprzeczkę.

- Nie możemy pozwolić, żeby je złapano. Szukają ich ludzie Acoki.

- Nas też szukają, *amigo*. Bez naszej pomocy siostry nie mają szans.

- Nie. Nie będziemy dla nich” ryzykować życia. Mamy własne kłopoty - stanowczo stwierdził Jaime Miro.

Odezwał się Felix Carpio, jeden z zastępców Miro:

- Moglibyśmy eskortować je przez część drogi, Jaime. Tylko dopóki się stąd nie oddalą. - Odwrócił się do zakonnic. - Dokąd siostry zmierzają?

Odpowiedziała siostra Teresa, z oczyma rozjaśnionymi wewnętrznym światłem.

*Nada - (hiszp.) noc.

- Muszę wypełnić świętą misję. W Mendavii jest klasztor, który udzieli nam schronienia.

- Moglibyśmy je tam odprowadzić. Mendavia jest nam po drodze do San Sebastian - powiedział Felix do Jaimego Miro.

- Ty dumniu! Może rozstawisz drogowskazy z informacją, dokąd idziemy? - wsiadł na niego rozwścieczony Jaime.

- Ja tylko chciałem...

- *Mierda!** - zaklął z rozgoryczeniem Miro. - Teraz nie mamy wyboru. Musimy je zabrać ze sobą. Jeżeli znajdzie je Acoca, na pewno zmusi do mówienia. A tak będą nas opóźniać i tym rzeźnikom łatwiej będzie nas wytropić.

Lucia słuchała rozmowy jednym uchem. Złoty krzyż leżał tuż obok i kuśił, by po niego sięgnąć.

„Co za cholerni faceci! Masz, panie Boże, parszywe wycucie czasu i dziwaczne poczucie humoru”.

- Dobra - mówił Jaime Miro. - Musimy zrobić, co się da. Podprowadzimy je aż do klasztoru, ale nie możemy iść wszyscy razem jak jakiś cholerny cyrk. - Zwrócił się do zakonnic. Nie umiał ukryć przebijającej w głosie wrogości. - Czy któraś z was wie przynajmniej, gdzie jest Mendavia?

Zakonnice spojrzały po sobie.

- Niezupełnie - odparła Graciela.

- Więc jak, do cholery, chciałyście tam dotrzeć?

- Bóg nas poprowadzi - z mocą powiedziała siostra Teresa. Jeden z Basków, Rubio Arzano, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Macie szczęście. - Wskazał na Jaimego. - Zstąpił, żeby poprowadzić was osobiście, siostro.

Jaime uciszył go jednym spojrzeniem.

- Rozdzielimy się. Pójdziemy trzema różnymi trasami.

Wyciągnął z plecaka mapę i mężczyźni przykucnęli, oświetlając ją latarkami.

- Klasztor w Mendavii jest tutaj, na południowy wschód od Logroño. Ja pójdę na północ, przez Valladolid, a potem do Burgos. - Przesunął palcem po płachcie papieru i zwrócił się do Rubia, wysokiego mężczyzny, o sympatycznym wyglądzie. - Ty przejdiesz przez Olmedo, Peñafiel i Aranda de Duero.

*Mierda - (hiszp.) tu: cholera.

- Dobrze, *amigo**. Jaime Miro ponownie skoncentrował uwagę na mapie. Potem spojrzał na Ricarda Mellado, jednego z dwóch mężczyzn o posiniaczonych twarzach.

- Ricardo, idź do Segovii, potem przez góry do Cerezo de Abajo, a później do Soria. Spotkamy się w Logroño. - Odłożył mapę. - Logroño leży dwieście dziesięć kilo metrów stąd.

- Liczył w milczeniu. - Zobaczymy się za siedem dni. Trzymajcie się z dala od szos.

- Gdzie się spotkamy w samym mieście? - zapytał Felix.

- W przyszłym tygodniu występuje tam *Cyrk Japoński* - powiedział Ricardo.

- Świetnie. Tam się spotkamy. Na przedpołudniowym przedstawieniu.

- Z kim pójdą zakonnice? - odezwał się Felix Carpio.

- Rozdzielimy je. Lucia zdecydowała, że czas z tym skończyć.

- Jeżeli poszukują pana żołnierze, *señor*, będziemy bezpieczniejsze, wędrując same.

- Ale my nie, siostró - stwierdził Jaime. - Teraz za dużo wiecie o naszych planach.

- Poza tym - wtrącił mężczyzna nazywany Rubiem - nie miałybyście szans. My znamy teren. Jesteśmy Baskami i ludzie na północ stąd są naszymi przyjaciółmi. Pomogą nam i ukryją przed żołnierzami nacjonalistów. Same nigdy nie dotarłybyście do Mendavii.

„Wcale nie chcę tam dotrzeć, ty idioto”.

- Więc dobrze, ruszajmy - z niechęcią powie dział Jaime Miro. - Chcę, żebyśmy do świtu byli daleko stąd.

Megan stała w milczeniu, przysłuchując się mężczyźnie wydającym rozkazy. Był gwałtowny i arogancki, ale jednocześnie zdawał się promieniować pokrzepiającą siłą.

Jaime obrzucił spojrzeniem siostrę Teresę i wskazał na Tomasa Sanjuro i Rubia Arzano. - Oni będą odpowiedzialni za siostrę.

- Za mnie odpowiedzialny jest Bóg - odparła.

- Jasne - sucho odrzekł Jaime. - Pewnie dlatego właśnie tu się siostra znalazła.

Rubio podszedł do starszej zakonnicy.

- Rubio Arzano, do usług, siostró. Jak pani na imię?

- Jestem siostra Teresa.

- Pójdę z siostrą Teresą - pospiesznie powiedziała Lucia. Była zdecydowana, że nie pozwoli rozdzielić się ze złotym krzyżem.

Jaime kiwnął głową.

- Dobrze. - Wskazał na Gracielę. - Ty weźmiesz tę, Ricardo.

- *Bueno** - zgodził się Ricardo Mellado. Do grupy dołączyła kobieta, którą Miro posłał

**Amigo - (hiszp.) przyjaciel.

**Bueno - (hiszp.) dobrze.

na zwiady.

- Teren czysty - stwierdziła.

- Świetnie. - Jaime spojrział na Megan. - Siostra idzie z nami. Skinęła twierdząco. Zafascynował ją ten mężczyzna. A i w towarzyszącej mu kobiecie było coś intrygującego. Ciemnowłosa, o fanatycznym spojrzeniu, orlich rysach, miała w sobie jakąś drapieżność. Jej usta wyglądały jak czerwona rana. Roztaczała wokół siebie wyraźną aurę zmysłowości. Teraz podeszła do Megan i powiedziała:

- Jestem Amparo Jirón. Niech siostra nie otwiera ust, a obędzie się bez kłopotów.

- Ruszajmy - zwrócił się do pozostałych Jaime. - W Logroño, za siedem dni. Nie spuszczać oka z zakonnic.

Siostra Teresa i mężczyzna nazwiskiem Rubio Arzano zaczęli już oddalać się ścieżką. Lucia pospieszyła za nimi. Zauważyła mapę, którą Rubio schował do plecaka.

„Wezmę ją - postanowiła - gdy zaśnie”. Zaczęła się wędrowka przez Hiszpanię.

Miguel Carrillo był zdenerwowany. Prawdę mówiąc, był nawet bardzo zirytowany. Dzień nie należał do udanych. To, co rano zaczęło się tak obiecująco, gdy natknął się na cztery 'zakonnice i przekonał je, że jest mnichem, skończyło się uderzeniem w głowę, utratą przytomności i pozostawieniem ze związanymi rękoma oraz nogami na podłodze sklepu z ubraniami.

Obecność intruza odkryła żona właściciela. Była to postawna starsza kobieta, wąsata i o gwałtownym charakterze. Spojrzała z góry na ciasno skrupowanego Carrilla i wykrzyknęła:

- *Madre de Dios!** A to kto? Co tu robisz? Carrillo uruchomił cały swój wdzięk.

- Dzięki Bogu, że pani przysła, *señorita*. - Nigdy nie spotkał osoby, która w sposób bardziej oczywisty byłaby *señora*. Staralem się wyswobodzić z tych więzów, żeby zadzwonić po policję.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Spróbował znaleźć wygodniejszą pozycję.

- Wyjaśnienie jest proste, *señorita*. Jestem brat Gonzales. Pochodzę z klasztoru pod Madrytem. Przechodząc obok pani pięknego sklepu, zauważyłem włamujących się do niego dwóch młodych ludzi. Uznałem, że moim obowiązkiem jako sługi Bożego jest ich powstrzymać. Wszedłem do środka, mając nadzieję wyjaśnić im, że obrali niewłaściwą drogę, ale pokonali mnie i związali. A teraz, gdyby była pani tak dobra i uwolniła...

- *Mierda!*

- Przepraszam? - zagapił się na kobietę Carrillo.

- Kim jesteś?

- Już powiedziałem, jestem...

- Jesteś najgorszym kłamcą, jakiego spotkałam. - Podeszła do porzuconych szat zakonnych. - A to co?

- Ach, tak. To, Ci młodzieńcy, widzi pani, mieli je na sobie jako kamuflaż i...

- Tu są cztery habity. Mówiłeś, że było ich dwóch.

- Owszem. Pozostali dwaj przyłączyli się później i... Żona właściciela ruszyła w stronę telefonu.

- Co pani robi?

- Wzywam policję.

- Zapewniam, że to niepotrzebne. Gdy tylko mnie pani uwolni, idę prosto na posterunek, żeby złożyć szczegółowe zeznanie.

**Madre de Dios* - (hiszp.) Matko Boska!

Kobieta spojrzała na niego z góry.

- Ma brat rozpięty habit.

Policja wykazała jeszcze mniej zrozumienia niż żona właściciela. Carrilla przesłuchiwało czterech członków Guardia Civil. Ich zielone mundury i tradycyjne od osiemnastego wieku kapelusze z czarnej, lakierowanej skóry wystarczały, żeby wzbudzić strach w całej Hiszpanii, i z pewnością ich magia podziałała również na Miguela.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że dokładnie odpowiadasz rysopisowi człowieka, który na północ stąd zamordował księdza?

Carrillo westchnął.

- Nie jestem zaskoczony. Mam brata bliźniaka, niech go piekło pochłonie. To z jego powodu wstąpiłem do klasztoru. Nasza biedna matka...

- Daruj sobie. Do pokoju wszedł olbrzym z blizną na twarzy.

- Dzień dobry, pułkowniku.

- To ten człowiek?

- Tak, panie pułkowniku. Z powodu znalezionych przy nim w sklepie habitów, pomyśleliśmy, że może pan być zainteresowany przesłuchaniem go osobiście. Romón Acoca podszedł do nieszczęśliwego Carrilla.

- Tak. Jestem bardzo zainteresowany. Braciszek obdarzył pułkownika swym najbardziej ujmującym uśmiechem.

- Cieszę się, że pan tu jest, pułkowniku. Wypełniam misję na rzecz mojego kościoła i jest niezwykle ważne, żebym najszybciej jak to możliwe znalazł się w Barcelonie. Jak już próbowałem wyjaśnić tym miłym panom, padłem ofiarą niefortunnego zbiegu okoliczności, tylko dlatego, że chciałem być dobrym samarytaninem.

Pułkownik Acoca uprzejmię pokiwał głową.

- Skoro brat się spieszy, postaram się nie marnować cennego czasu.

Carrillo rozjaśnił się.

- Dziękuję panu, pułkowniku.

- Zamierzam zadać kilka prostych pytań. Jeśli odpowie brat zgodnie z prawdą, wszystko będzie w porządku. W razie kłamstwa będzie to dla brata bardzo bolesne. - Wsunął coś na rękę.

- Słudzy Boży nie kłamią - z godnością odparł Carrillo.

- Miło mi to słyszeć. Niech mi brat opowie o czterech zakonnicach.

- Nic nie wiem o czterech za... Pięść, która uderzyła go w usta, była zaopatrzona w kastet i na pokój bryzgnęła krew.

- Mój Boże! Co pan robi? - wymamrotał Carrillo. Pułkownik Acoca powtórzył swe polecenie:

- Opowiedz o czterech zakonnicach.

- Nic... Carrillo otrzymał kolejny cios pięścią, który zgruchotał mu zęby.

- Dość. Ja... - Miguel dławił się własną krwią.

- Opowiedz mi o czterech zakonnicach. - Acoca mówił miękko i bez emocji.

- Ja... - Carrillo zobaczył wznoszącą się pięść. - Tak! Ja... ja... - Słowa popłynęły bezładnie. - Były w Villacastin, uciekły z klasztoru. Proszę, nie bij mnie więcej.

- Mów dalej.

- Obiecałem, że im pomogę. Musiały zmienić stroje.

- Więc włamałeś się do sklepu...

- Nie. Ja... tak. Ja... one ukradły trochę ubrań, a potem rozbiły mi głowę i zostawiły.

- Mówiły dokąd idą? Carrillo poczuł nagły przypływ swoistego poczucia godności.

- Nie. - Nie wspominając o Mendavii, nie miał zamiaru chronić zakonnice. Guzik go obchodziły. Zrobił to, ponieważ pułkownik zrujnował mu twarz. Po wyjściu z więzienia bardzo ciężko będzie zarobić na życie.

Pułkownik Acoca zwrócił się do członków Guardia OH.

- Widzicie, co może zrobić odrobina przyjacielskiej perswazji? Odesłać go do Madrytu i zatrzymać za morderstwo.

Lucia, siostra Teresa, Rubio Arzano i Tomas Sanjuro szli na północny zachód, w stronę Olmedo, trzymając się z dala od szos. Przechodzili przez pola zbóż, mijali stada owiec i kóz. Sielskość pasterskiego kraju ironicznie kontrastowała z zagrażającym im śmiertelnym niebezpieczeństwem. Wędrowali całą noc, a o świcie wyszukali zaciszne miejsce na wzgórzach.

- Olmedo mamy przed sobą. Zatrzymamy się tu do zapadnięcia zmroku. Obie wyglądacie, jakby przydało się wam trochę snu.

Siostra Teresa była wyczerpana fizycznie, ale daleko bardziej uciążliwe było to, co działo się z jej psychiką. Czuła, że traci kontakt z rzeczywistością. Wszystko zaczęło się od zniknięcia drogocennego różańca. Zgubiła go, czy ktoś go ukradł? Nie była pewna. Przez ile lat szukała w nim pociechy? Ile to tysięcy Zdrowaś Mario, Ojczy nasz i Witaj, Niebieska Królowo? Stał się jej nieodłączną częścią, jej zabezpieczeniem. I oto zaginął.

Czy zgubiła go w klasztorze podczas ataku? I czy naprawdę zdarzył się jakiś atak? Teraz wydawało się to nierealne. Nie była już pewna, co jest rzeczywiste, a co sobie uroiła. Dziecko, które widziała. Czy to było dziecko Moniki? A może Bóg stroił sobie z niej żarty?

Wszystko tak się pogmatwało. Kiedy była młoda, wszystko wydawało się takie proste. Kiedy była młoda...

Eze. Francja 1924

Większość szczęścia, którego zaznała w swym ośmioletnim życiu Teresa De Fosse, miała źródło w religii. W kościele dziewczynka czuła się, jakby ogarniał ją święty płomień. Odwiedzała Chapelle des Penitents Blanes, modliła się w katedrach w Monako i Notre Dame Bon Voyage w Cannes, najczęściej jednak uczestniczyła w nabożeństwach w Eze.

Teresa mieszkała w obszernym domu, położonym powyżej średniowiecznej wioski Eze, znajdującej się na *Côte d'Azur*^{*}, w pobliżu Monte Carlo. Wioskę wybudowano wysoko na skałach i Teresie zdawało się, że wystarczy spojrzeć w dół, żeby zobaczyć cały świat. Na szczycie góry mieścił się klasztor, a ze zbocza kaskadami spływały rzędy domów, aż do wybrzeża błękitnego Morza Śródziemnego.

Rodzinną piękność, Monika, o rok młodsza od Teresy już w czasach dzieciństwa miała zadatki na śliczną kobietę. Odnaczała się delikatnymi rysami i błyszczącymi niebieskimi oczami, a urodę jej podkreślała spokojna pewność siebie.

Teresa była brzydkim kaczątkiem. Prawdę mówiąc, De Fossowie czuli się zakłopotani z powodu starszej córki. Dziecko po prostu brzydkie mogliby posłać do chirurga plastycznego, żeby skrócił mu nos, uwydatnił podbródek czy poprawił kształt oczu. Problem polegał jednak na tym, że rysy dziewczynki były jakby lekko skrzywione. W jej twarzy wszystko zdawało się przesunięte, jak u komedianta, który wykrzywił się w śmiechu.

Bóg, rozdając urodę, zapomniał o starszej De Fossównie, lecz wynagrodził jej to, błogosławiąc wspaniałym darem. Teresa miała bowiem głos anioła. Zostało to zauważone, gdy po raz pierwszy zaśpiewała w kościelnym chórze. Parafianie w zadziwieniu słuchali czystych, jasnych tonów, wyśpiewywanych przez małe dziecko.

Teresa rosła, a jej głos stawał się coraz piękniejszy. W parafialnym chórze powierzano dziewczynie wszystkie partie solowe. Tam też czuła się na swoim miejscu. Jednak poza kościołem, zdając sobie sprawę z własnego wyglądu, cierpiała męki chorobliwej nieśmiałości.

W szkole to Monikę otaczali przyjaciele. Cieszyła się sympatią zarówno chłopców, jak dziewczynek. Wszyscy chcieli się z nią bawić, przebywać w jej towarzystwie. Zapraszano ją na wszystkie przyjęcia. Teresę również, ale zawsze po namyśle, wypełniając towarzyskie zobowiązanie, i dziewczynka miała tego bolesną świadomość.

- Nie, Renee. Nie możesz zaprosić tylko jednej De Fossówny. To by świadczyło o złym wychowaniu.

^{*}Côte d'Azur - Lazurowe Wybrzeże.

Monika wstydziła się, że ma brzydką siostrę. Uważała, że w pewien sposób przynosi jej to ujmę.

Rodzice zachowywali się w stosunku do starszej córki bez zarzutu. Skrupulatnie wypełniali względem niej rodzicielskie obowiązki, ale oczywiste było, że tylko Monikę darzą wielkim uwielbieniem. Teresie brakowało tego, czego pragnęła najbardziej - miłości.

Była dzieckiem posłusznym, pełnym dobrej woli i chęci dogodzenia innym, wzorową uczennicą kochającą muzykę, historię i języki obce, zaangażowaną w naukę. Nauczyciele, służący i mieszkańcy miasteczka współczuli Teresie. Jak kiedyś powiedział pewien kupiec, gdy wyszła z jego sklepu: „Bóg nie zastanowił się, co robi, gdy ją stwarzał”.

Dziewczynka znalazła miłość jedynie w kościele. Kochali ją księża i kochał Jezus. Każdego ranka brała udział we mszy i odprawiała wszystkie czternaście stacji drogi krzyżowej. Klęcząc w chłodnej, wysoko sklepionej kaplicy, Teresa czuła Bożą obecność. Gdy tam śpiewała, ogarniał ją nastrój nadziei i oczekiwania. Jakby za moment miało się stać coś cudownego. Tylko dzięki tym chwilom życie stawało się znośne.

Nigdy nie przyznała się rodzicom czy siostrze, że jest nieszczęśliwa, gdyż nie chciała obarczać ich swymi kłopotami. Trzymała również w tajemnicy to, jak bardzo kocha ją Bóg i jak bardzo ona kocha Boga.

Teresa uwielbiała siostrę. Gdy bawiły się razem na terenach otaczających dom, przeważnie pozwalała Monice „wygrywać”. Razem podejmowały odkrywcze wyprawy w dół stromych, prowadzących do Eze kamiennych schodów, które wcięły się w zbocze góry. Razem włóczyły się po wąskich uliczkach, wśród sklepów, by popatrzeć na artykuły sprzedających na dworze swe wyroby.

Dziewczynki podrosły i sprawdziły się przepowiednie mieszkańców wioski. Monika była coraz ładniejsza i otaczały ją chmary chłopców, podczas gdy Teresa miała niewiele przyjaciół i przebywała głównie w domu, szyjąc lub czytając.

Pewnego dnia, przechodząc przez salon, usłyszała, jak ojciec i matka rozmawiają na jej temat.

- Zostanie starą panną. Będziemy ją mieli na głowie do końca życia.
- Teresa sobie kogoś znajdzie. Jest słodka i miła.
- Nie tego oczekują dzisiejsi młodzi ludzie. Chcą kogoś, z kim mogliby się zabawić w łóżku.

Uciekła.

Nadal śpiewała w kościele i dzięki temu miało miejsce zdarzenie, które zdawało się zapowiadać w jej życiu zmianę.

Do parafii należała madame Neff, ciotka dyrektora stacji radiowej z Nicei. Pewnego niedzielnego poranka zaczepiła Teresę.

- Marnujesz tu życie, moja droga. Masz niezwykły głos i powinnaś go wykorzystać.

- Ależ wykorzystuję. Ja...

- Nie mówię o - starsza dama rozejrzała się po kościele - o tym. Mam na myśli śpiew profesjonalny. Szczycę się tym, że potrafię rozpoznać talent, gdy go słyszę. Chcę, żebyś zaśpiewała dla mojego bratanka. Może zainstalować cię w radio. Jesteś zainteresowana?

- Nie... nie wiem. - Sama myśl o tym przerażała dziewczynę.

- Przedyskutuj tę sprawę z rodziną.

- Wspaniały pomysł - stwierdziła matka.

- To może być coś dla ciebie - zgodził się ojciec. Tylko Monika wysuwała zastrzeżenia.

- Nie jesteś zawodową śpiewaczką - oponowała. - Możesz zrobić z siebie pośmiewisko.

To nie siostrzana troska kazała Monice zniechęcać Teresę do projektu. Obawiała się ona mianowicie, że Teresa mogłaby odnieść sukces. A to na nią zawsze musiały padać światła rampy.

„Nie jest w porządku - myślała Monika - że Bóg dał Teresie taki głos. A jeżeli stanie się sławna? Ja zostałabym wtedy w cieniu, zlekceważona”.

Zatem starała się wyperswadować siostrze przesłuchanie.

Ale następnej niedzieli w kościele madame Neff zatrzymała Teresę i powiedziała:

- Rozmawiałam z bratankiem. Chce cię przesłuchać. Czeka w środę o trzeciej.

Tak więc w najbliższą środę bardzo zdenerwowana Teresa udała się do siedziby radia w Nicei na spotkanie z dyrektorem.

- Jestem Louis Bonnet - oznajmił szorstko. - Mogę pani poświęcić pięć minut.

Wygląd dziewczyny potwierdził najgorsze obawy Bonnet, bowiem ciotka już wcześniej podsyłała mu talenty.

„Powinienem jej powiedzieć, żeby raczej zajęła się garami” - myślał. Ale wiedział, że tego nie zrobi. Ciotka była bardzo bogata, a on miał zostać jej jedynym spadkobiercą.

Wąskim korytarzem Teresa udała się za dyrektorem do maleńkiego studia.

- Czy kiedykolwiek śpiewała pani zawodowo?

- Nie, proszę pana. „Dlaczego w ogóle dałam się na to namówić?” - zachodziła w głowę dziewczyna. Bluzkę miała przesiąkniętą potem. Czowała narastającą panikę i chciała uciec.

Bonnet ustawił Teresę przed mikrofonem.

- Nie mamy dziś pianisty, więc zaśpiewa pani a capella. Wie pani, co to znaczy?

- Tak, proszę pana.

- Cudownie. - Zastanawiał się, nie po raz pierwszy zresztą, czy ciotka jest dostatecznie bogata, żeby opłaciły się te wszystkie idiotyczne przesłuchania.

- Będę za konsolą. Ma pani czas na jedną piosenkę.

- Proszę pana, co powinnam...? Już go nie było. Teresa, samotna w niewielkim pomieszczeniu, wpatrywała się w stojący przed nią mikrofon. Nie miała pojęcia, co zaśpiewać. Po prostu jedź się z nim spotkać - powiedziała starsza pani. - Jego stacja ma w sobotnie wieczory program muzyczny i... „Muszę się stąd wydostać”. - Nie poświęcę ci całego dnia. - Nie wiadomo skąd doleciał głos Louisa. - Przykro mi, ale nie mogę...

Dyrektor jednak postanowił ukarać dziewczynę za zmarnowanie jego cennego czasu.

- Tylko kilka tonów - nalegał. Chciał usłyszeć dość, by zakomunikować ciotce, że dziewczyna zupełnie się nie popisała. Może to powstrzyma starą przed przysyłaniem kolejnych protegowanych.

- Czekam - przypomniał. Rozsiadł się na krześle i zapalił gitane'a. Jeszcze cztery godziny. Yvette będzie czekać. Chyba da radę wpaść do niej przed powrotem do domu, do żony. Może nawet znajdzie czas na...

I wtedy usłyszał. Nie wierzył własnym uszom. Głos był tak czysty i tak słodki, że Bonneta przeszył dreszcz. Głos przepełniony tęsknotą i pożądaniem, śpiewający o samotności i rozpacz, minionych miłościach i utraconych złudzeniach, głos, który sprawił, że oczy mężczyzny wypełniły się łzami. Śpiew wzbudził w Louisie uczucia, które, jak sądził, dawno już obumarły. Dyrektor był w stanie tylko powiedzieć do siebie: „Jezu Chryste! Gdzie ona się podziewała?”

Inżynier, który przypadkiem wstąpił do pokoju nagrań, stał nieruchomo jak zahipnotyzowany. Drzwi studia były otwarte i zwabieni głosem Teresy zaczęli schodzić się także inni pracownicy. Stawali w milczeniu, przysłuchując się przejmującemu wołaniu serca rozpaczliwie łaknącego miłości. Poza śpiewem nie rozlegał się żaden dźwięk.

Gdy piosenka dobiegła końca, przez długą chwilę panowała cisza, a potem odezwała się jedna z zebranych kobiet:

- Kimkolwiek jest, nie pozwólcie jej odejść. Louis Bonnet pospieszył do studia. Teresa przygotowywała się do wyjścia.

- Przepraszam, że zajęłam tyle czasu. Widzi pan, nigdy nie...

- Usiądź, Mario.

- Tereso.

- Przepraszam. - Bonnet wziął głęboki wdech. - W sobotnie wieczory nadajemy audycje muzyczne.

- Wiem. Słucham ich.

- Czy chciałabyś w którejś wystąpić? Dziewczyna wpatrywała się w swego rozmówcę, nie mogąc uwierzyć w to, co słyszy.

- To znaczy, że pan... pan chce mnie zatrudnić?

- Począwszy od tego tygodnia. Zaczniemy od minimalnej pensji. Zorganizujemy pani wspaniałą promocję.

Niemal zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. „Chcą mi zapłacić za śpiewanie”.

- Zapłacić ci? Ile? - zapytała Monika.

- Nie wiem. Nie dbam o to. - Prawie powiedziała „najważniejsze, że ktoś chce mnie”, ale powstrzymała się.

- Co za wspaniała wiadomość. Będiesz w radiu! - wykrzyknął ojciec.

Matka z miejsca zaczęła robić plany.

- Dopilnujemy, żeby wszyscy nasi znajomi słuchali i wysłali listy, w których napiszą, jaka nasza córka jest świetna.

Teresa spojrzała na siostrę, mając nadzieję, że ta powie: „Nie musicie tego robić. Teresa jest dobra”. Ale Monika milczała. Myślała właśnie: „Cała sprawa szybko ucichnie”. Nie miała racji.

W sobotni wieczór ogarnięta paniką Teresa znalazła się w rozgłośni.

- Wierz mi - uspokajał ją Bonnet - że to zupełnie naturalne. Wszyscy artyści przez to przechodzą.

Siedzieli w niewielkim, wymalowanym na zielono pomieszczeniu, z którego korzystali artyści.

- Będiesz gwiazdą.

- Będę wymiotować.

- Nie ma na to czasu. Zaczynasz za dwie minuty. Po południu Teresa ćwiczyła z małą orkiestrą, która miała jej akompaniować.

Próba stała się niezwykle wydarzeniem. Na podium w studiu, skąd nadawano, tłoczyli się pracownicy stacji. Doszły ich plotki o młodej dziewczynie z nieprawdopodobnym głosem. W pełnym napięcia milczeniu przysłuchiwali się Teresie, odbywającej próby piosenek, które chciała zaśpiewać podczas audycji. Nikt z zebranych nie miał wątpliwości, że uczestniczy w narodzinach wielkiej gwiazdy.

- Szkoda, że nie jest ładniejsza - skomentował kierownik produkcji. - Ale w radiu to żadna różnica.

Występ Teresy tego wieczora był doskonały. Miała świadomość, że nigdy nie śpiewała lepiej. A kto wie, do czego to mogło doprowadzić? Może stanie się sławna i mężczyźni na kolanach będą błagali, by któregoś z nich poślubiła? Tak jak błagali Monikę?

Jakby czytając w myślach siostry, Monika powiedziała:

- Bardzo się cieszę z twojego sukcesu, ale nie daj się ponieść emocjom. Takie rzeczy nie trwają długo.

„Ta przetrwa - myślała Teresa radośnie. - Nareszcie coś znaczę, jestem kimś”.

W poniedziałek rano do Teresy była rozmowa międzymiastowa.

- To prawdopodobnie jakiś głupi dowcip - ostrzegł ją ojciec. - Ten ktoś twierdzi, że jest Jacques'em Raimu.

„Najlepszy francuski producent” - myślała dziewczyna, z rezerwą biorąc słuchawkę.

- Halo?

- Panna De Fosse?

- Tak.

- Teresa De Fosse?

- Tak.

- Mówi Jacques Raimu. Słyszałem panią w sobotę w radiu. Dokładnie kogoś takiego szukam.

- Ja... nie rozumiem.

- Kompletuję obsadę do musicalu dla Comedie Francaise. Próby zaczynam w przyszłym tygodniu. Szukałem kogoś z głosem takim jak pani. Prawdę mówiąc, do tej pory nikogo nie znalazłem. Kto jest pani agentem?

- Agentem? Nie mam agenta. <

- W takim razie przyjadę i osobiście omówimy szczegóły.

- *Monsieur* Raimu, ja... ja nie jestem ładna. - Ciężko było wyrzec te słowa, ale wiedziała, że to konieczne.

„Nie może obiecywać sobie zbyt wiele”. Mężczyzna roześmiał się.

- Będzie pani, gdy z nią skończę. Teatr jest sztuką iluzji. Charakteryzacja może zdziałać cuda.

- Ale...

- Do zobaczenia jutro.

Szczyt marzeń! Zagrać w sztuce Raimu!

- Zajmę się kontraktem - stwierdził ojciec. - Negocjacje z ludźmi teatru wymagają ostrożności.

- Musimy ci sprawić nową suknię - powiedziała matka - i zaproszę go na kolację.

Monika nie odzywała się. To wszystko było nie do zniesienia. Teresa zostanie gwiazdą, co za ironia losu! Ale może jest sposób...

Gdy tego popołudnia Jacques Raimu przybył do willi De Fossów, Monika postarała się zejść na dół jako pierwsza.

Producenta powitała młoda panna tak piękna, że drgnęło mu serce. Ubrana była w prostą białą sukienkę, wspaniale podkreślającą figurę.

„Mój Boże - pomyślał Raimu. - Ten wygląd i taki głos! Jest doskonała. Będzie wielką gwiazdą”.

- Nie umiem wyrazić, jaki jestem szczęśliwy, że mogę panią poznać - powiedział.

Monika uśmiechnęła się uroczo.

- Ja także się cieszę. Jestem pańską zagorzałą wielbicieleką, *monsieur* Raimu.

- A więc dobrze, będziemy razem pracować. Przywiozłem ze sobą scenariusz. To piękna historia miłosna i sądzę...

W tym momencie do pokoju weszła Teresa. Miała na sobie nową suknię, ale nie wyglądała w niej korzystnie. Dziewczyna zatrzymała się, gdy dostrzegła gościa.

- O, dzień dobry. Nie wiedziałam, że już pan przyjechał. To znaczy... jest pan trochę wcześniej.

Raimu pytająco spojrzał na Monikę.

- To moja siostra - stwierdziła. - Teresa. Obie De Fossówny widziały, jak zmienia się wyraz twarzy producenta. Od zaskoczenia, poprzez rozczarowanie, do obrzydzenia.

- Pani jest śpiewaczką?

- Tak. Mężczyzna zwrócił się do młodszej.

- A pani?

- Jestem siostrą Teresy - niewinnie uśmiechnęła się Monika.

Raimu ponownie przyjrzał się Teresie, a potem potrząsnął głową.

- Przykro mi - stwierdził. - Jest pani zbyt... - za jąknął się - zbyt... młoda. Proszę mi wybaczyć, ale muszę wracać do Paryża.

Stały i patrzyły, jak gość wychodzi. „Zadziało - pomyślała Monika tryumfalnie. - Zadziało”.

Teresa nigdy już nie wystąpiła. Louis Bonnet błagał, by zmieniła zdanie, ale rana była zbyt głęboka.

„Czy ktokolwiek, spojrzawszy najpierw na moją siostrę, może mnie chcieć? Jestem taka brzydka”.

Do końca życia nie zapomni wyrazu twarzy Jacques'a Raimu.

„Moja wina, że robiłam sobie głupie nadzieje. Bóg mnie za to karze” - mówiła w duchu.

Po całej tej historii śpiewała już tylko w kościele i bardziej niż kiedykolwiek stroniła od ludzi.

W ciągu następnych dziesięciu lat Monika odrzuciła kilkanaście propozycji zawarcia małżeństwa. Oświadczali się jej synowie burmistrzów, bankierów, lekarzy, kupców z wioski. Konkurowali o nią ludzie młodzi, świeżo po ukończeniu nauki, i poważni przedsiębiorcy, czterdziesto - czy pięćdziesięcioletni. Miała wielbicieli bogatych i biednych, przystojnych i brzydkich, wykształconych i bez wykształcenia. I wszystkim mówiła *non**.

- Czego ty szukasz? - pytał zakłopotany ojciec.

- Wszyscy tu są tacy nudni, tato. Eze to zaścianek. Mój wymarzony książe jest w Paryżu.

I troskliwy tata wysłał ją do Paryża. Po zastanowieniu wyprawił tam również Teresę. Dziewczęta zatrzymały się w małym hoteliku na Bois de Boulogne.

Każda z sióstr widziała inny Paryż. Monika bywała na balach dobroczynnych, wystawnych kolacjach i herbatkach z tytułowanymi młodzieńcami. Teresa zwiedzała Pałac Inwalidów i Luwr. Monika oglądała wyścigi na torach Long - champs i gale w Malmaison. Teresa chodziła się modlić w katedrze Notre Dame i spacerowała po ocienionych platanami brzegach kanału St. Martin. Monika odwiedzała *Maxima* i *Moulin Rouge*, podczas gdy Teresa przechadzała się po nabrzeżach między straganami z książkami i sprzedawcami kwiatów, wstępując do bazyliki St. Denis. Teresie miasto się podobało, natomiast Monika uznała podróż za niewypał.

Po powrocie do domu młodsza De Fossówna oznajmiła:

- Nie mogę trafić na mężczyznę, za którego chciałabym wyjść.

- Nie poznałaś nikogo interesującego? - zapytał ojciec.

- Właściwie nie. Był tylko pewien młody człowiek, który zabrał mnie na kolację do *Maxima*. *lego* ojciec jest właścicielem kopalni węgla.

- Opowiedz nam o nim - skwapliwie podchwyciła temat matka.

- Och. Był bogaty, przystojny, uprzejmy i uwielbiał mnie.

- Oświadczył się?

*Non - (fr.) nie.

- Co dziesięć minut. W końcu po prostu przestałam się z nim widywać. Matka wpatrywała się w Monikę z osłupieniem.

- Dlaczego?

- Bo umiał rozmawiać tylko o węglu: kamiennym, brunatnym, w brykietach, łupkach bitumicznych... Nudy, nudy, nudy.

Następnego roku Monika stwierdziła, że chce wrócić do Paryża.

- Zaraz się spakuję - powiedziała Teresa. Monika przecząco pokręciła głową.

- Nie. Tym razem chyba pojedę sama. Tak więc młodsza siostra wyjechała, a starsza została w domu i codziennie rano odwiedzała kościół, modląc się, by Monika znalazła swego księcia. Aż pewnego dnia stał się cud. Cud, gdyż chodziło o Teresę. Nazywał się Raoul Ciradot.

Którejś niedzieli poszedł do kościoła i usłyszał, jak Teresa śpiewa. Czegoś takiego nie doświadczył nigdy w życiu.

„Muszę ją poznać” - postanowił.

W poniedziałek, wcześniej rano, Teresa wstąpiła do domu towarowego w wiosce, żeby kupić materiał na sukienkę, którą zamierzała uszyć. Za ladą stał Raoul Ciradot.

Gdy dziewczyna weszła, podniósł wzrok i twarz mu się rozjaśniła.

- Ten głos! Teresa zagapiła się na mężczyznę, oszołomiona.

- Przepraszam?

- Wczoraj w kościele słyszałem pani śpiew. Jest pani wspaniała. Był przystojny i wysoki, miał iskrzące się inteligencją, ciemne oczy i cudowne, zmysłowe usta. Skończył już trzydziestkę, musiał być rok lub dwa starszy od Teresy. Dziewczynę tak zaskoczyła obecność Raoula, że zaczęła się jąkać. Patrzyła na sprzedawcę i serce jej waliło.

- Dzie... dziękuję - powiedziała. - Chcia... chcia... chciałabym prosić o trzy metry muślinu.

Raoul uśmiechnął się.

- Proszę bardzo. Tędy. Teresa ledwo mogła myśleć o zakupie, którego chciała dokonać. Aż za dobrze zdawała sobie sprawę z wyglądu obsługującego ją młodego człowieka, urodziwego, czarującego, emanującego męskością.

Gdy wybrała materiał i Raoul go pakował, ośmieliła się zapytać:

- Pan jest tu od niedawna, prawda? Sprzedawca spojrział na nią z uśmiechem, który wprawił dziewczynę w zakłopotanie.

- *Qui**. Przyjechałem do Eze parę dni temu. Moja ciotka jest właścicielką tego sklepu,

**Qui* - (fr.) tak.

a ponieważ potrzebowała po mocy, pomyślałem, że trochę tu popracuję.

„Co to znaczy trochę?” - zaczęła się zastanawiać Teresa.

- Powinna pani zostać zawodową śpiewaczką - kontynuował Raoul.

Pamiętała wyraz twarzy Raimu, gdy ją zobaczył. Nie, nigdy więcej nie zaryzykuje pokazania się publicznie.

- Dziękuję - wymamrotała. Ciradota poruszyło zakłopotanie i nieśmiałość dziewczyny i próbował wciągnąć ją do rozmowy.

- To moja pierwsza wizyta w Eze. Co za śliczne małe miasteczko.

- Owszem - wyjąkała Teresa.

- Czy pani tu się urodziła?

- Tak.

- Podoba się pani tutaj?

- Tak.

Potem chwyciła paczkę i uciekła. Nazajutrz znalazła pretekst, by ponownie pójść do sklepu. Pół nocy nie spała, przygotowując się do rozmowy z Raulem. „Cieszę się, że podoba się panu w Eze...” „Wie pan, klasztor zbudowano w czternastym wieku...” „Czy był pan w Saint - Paul - de - Vence? Jest tam cudowna kaplica...” „Lubię Monte Carlo, a pan? Wspaniale, że leży tak blisko. Czasami jedziemy z siostrą przez Grandę Corniche, żeby pójść do Fort Antoine Theatre. Zna go pan? To wielki teatr pod gołym niebem...”

„Wiedział pan, że Niceę nazywano kiedyś Nikaia? Nie? Dawno temu zamieszkiwali ją Grecy. Jest tam muzeum, w którym można obejrzeć szczątki człowieka jaskiniowego. Czy to nie ciekawe, że ludzie żyli tu od tysiącleci?”

Teresa przygotowała sobie kilkanaście takich gambitów słownych, kiedy jednak weszła do sklepu i zobaczyła Raoula, wszystko umknęło jej z pamięci. Patrzyła tylko na mężczyznę, niezdolna, by wymówić choć słowo.

- *Bonjour* - powitał ją Giradot pogodnie. - Miło znów panią widzieć, *mademoiselle* De Fosse.

- *M... merci*. - Czuła się jak idiotka. „Mam trzydzieści lat - myślała - a zachowuję się jak niemądra pensjonarka. Muszę z tym skończyć”. Jednak nie mogła.

- Czym dziś mogę pani służyć?

- Chciałabym jeszcze trochę muślinu. Była to oczywiście ostatnia rzecz, jakiej potrzebowała. Teresa obserwowała młodego sprzedawcę, biorącego belę materiału. Położył ją na ladzie i zaczął odwijać tkaninę.

- Ile metrów? Chciała powiedzieć, że dwa, ale wyszło z tego pytanie:

- Czy jest pan żonaty? Raoul spojrział na dziewczynę z łagodnym uśmiechem.

- Nie - odparł. - Jeszcze nie dostąpiłem tego szczęścia.

„Dostąpisz - pomyślała Teresa. - Gdy tylko moja siostra wróci z Paryża”.

Monika będzie zachwycona tym mężczyzną. Są dla siebie stworzeni. Na myśl o spotkaniu Moniki i Raoula Teresę ogarnęła radość. Cudownie będzie mieć Raoula Giradota za szwagra.

Gdy następnego dnia przechodziła obok domu towarowego, Giradot zauważył ją i pospiesznie wyszedł na zewnątrz.

- Dzień dobry, *mademoiselle*. Właśnie miałem zrobić sobie przerwę. Może wypijemy razem herbatę, jeśli nie jest pani zajęta?

- Ja... ja... tak, chętnie. Raoul był niezwykle miły, chociaż w jego obecności nie mogła wydusić nawet słowa. Dołożył wszelkich starań, by dziewczyna poczuła się swobodnie, tak że wkrótce przyłapała się na opowiadaniu nieznanemu rzeczy, z których nigdy nikomu się nie zwierzała. Zaczęli rozmawiać o samotności.

- Nawet w tłumie można jej doświadczyć - powie działa Teresa. - Wśród morza ludzi czuję się zawsze jak samotna wyspa.

Raoul uśmiechnął się.

- Rozumiem.

- Ależ pan musi mieć wielu przyjaciół.

- Znajomych. Któż zresztą ma wielu przyjaciół? Teresie zdawało się, że rozmawia ze swoim *alter ego*.

Godzina przerwy minęła błyskawicznie i nadszedł czas, by Raoul wrócił do pracy. Gdy wstali, Giradot zagadnął:

- Czy jutro zje pani ze mną obiad? Oczywiście pyta tylko z uprzejmości. Teresa wiedziała, że żaden mężczyzna nie może się nią zainteresować. Zwłaszcza tak wspaniały jak Raoul Giradot. Z pewnością jest tak samo uprzejmy dla wszystkich.

- Z przyjemnością - odparła. Gdy następnego dnia przybyła na umówione spotkanie, powiedział z miną urwisa:

- Wziąłem wolne popołudnie. Może wybralibyśmy się do Nicei, jeśli nie jest pani zbyt zajęta?

Samochodem Raoula, z opuszczonym dachem, pojechali przez Moyenne Corniche. Widziane stamtąd miasto rozłożyło się przed nimi jak czarodziejski dywan. Teresa odprężyła się na siedzeniu i pomyślała.

„Nigdy nie byłam tak szczęśliwa”. - A potem, z poczuciem winy: „Cieszę się ze

względu na Monikę”.

Młodsza siostra miała wrócić z Paryża nazajutrz. Raoul będzie jej prezentem powitalnym. Teresa patrzyła na życie dostatecznie trzeźwo, by wiedzieć, że Raoulowie tego świata nie są dla niej. Zaznała już dość bólu i dawno temu zrozumiała, co jest możliwe, a co nieprawdopodobne. Prowadzący samochód przystojny mężczyzna na siedzeniu obok należał do sfery marzeń, na które nie śmiała sobie pozwalać.

Obiad zjedli w *Le Chantecler*, w nicejskim hotelu *Negresco*. Posiłek był wspaniały, lecz nigdy później Teresa nie potrafiła sobie przypomnieć, co jadła. Zdawało się jej, że nie przestawali rozmawiać. Mieli sobie tyle do powiedzenia. Raoul okazał się nie tylko czarujący, ale i rozumny. Zachowywał się, jakby uważał Teresę za interesującą - naprawdę interesującą. Zasięgał jej opinii w wielu kwestiach i z uwagą wysłuchiwał odpowiedzi. Zgadzał się niemal we wszystkim, jak prawdziwe bratnie dusze. Jeśli nawet Teresa ubolewała nad tym, co miało się stać, ukrywała swe żale w głębi serca.

- Czy wstąpisz do nas jutro, na kolację? Z Paryża wraca moja siostra. Chciałabym, żebyś ją poznał.

- Z największą przyjemnością.

Teresa pospieszyła powitać Monikę przy drzwiach. Mimo silnego postanowienia nie zdołała powstrzymać się od zadania pytania:

- Czy spotkałaś w Paryżu jakiegoś interesującego mężczyznę? - I bez tchu czekała na odpowiedź.

- Tych samych nudziarzy - odparła Monika. Więc Bóg podjął ostateczną decyzję.

- Zaprosiłam kogoś na dzisiejszą kolację - powiedziała Teresa. - Myślę, że go polubisz.

„Nie mogę dać po sobie poznać, jak bardzo mi na nim zależy” - postanowiła.

Wieczorem, dokładnie o wpół do ósmej, lokaj wprowadził Raoula Giradota do salonu, w którym czekały Teresa i Monika z rodzicami.

- To moja matka, a to ojciec. *Monsieur* Raoul Giradot.

- Miło mi. Teresa wzięła głęboki wdech.

- A to moja siostra.

- Miło mi. - Na twarzy Moniki gościł uprzejmy uśmiech, nic więcej. Teresa spojrzała na Raoula, spodziewając się, że będzie oszołomiony urodą jej młodszej siostry.

- Jestem oczarowany. - Zdawkowa uprzejmość. Stała, wstrzymując oddech, czekając na oznaki sympatii, które, wiedziała, zaczynać sobie okazywać. Ale Raoul patrzył tylko na Teresę.

- Ślicznie dziś wyglądasz. Zarumieniła się i wyjąkała:

- Dzień... dziękuję. Tego wieczoru wszystko stało na głowie. Teresa planowała połączyć Monikę i Raoula, być na ich ślubie, mieć Raoula za szwagra - nic z tego nie wyszło. Trudno pojąć, ale uwaga mężczyzny skupiona była na niej. Zupełnie jakby spełnił się sen. Czuła się jak postać z bajki o Kopciuszku - była brzydką siostrą, którą niespodziewanie wybrał książę. Działo się niemożliwe, i Teresa z całych sił opierała się urokowi Raoula, ponieważ wiedziała, że to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Bała się, że znów zostanie zraniona. Przez lata ukrywała swe uczucia, w ten sposób broniąc się przed bólem płynącym z odrzucenia. I teraz instynktownie próbowała zachować się tak samo. Ale Raoulowi nie można było się oprzeć.

- Słyszałem śpiew państwa córki - powiedział Giradot. - Jest cudowna!

Teresa spłonęła rumieńcem.

- Wszyscy zachwycają się jej głosem - słodko rzekła Monika.

To był niesamowity wieczór. Ale najważniejsze dopiero miało się wydarzyć. Po kolacji Raoul odezwał się do państwa De Fosse:

- Co za wspaniała posiadłość. - Następnie zwrócił się do Teresy: - Czy oprowadzisz mnie po ogrodzie?

Dziewczyna spojrzała na siostrę, próbując zgłębić jej uczucia, ale ta zdawała się zupełnie obojętna.

„Musi być głucha i ślepa” - stwierdziła Teresa.

A potem przypomniała sobie, ile to razy Monika wyprawiała się do Paryża, Cannes i St. Tropez w poszukiwaniu księcia z bajki. I nigdy go nie znalazła.

„Więc to nie mężczyźni są winni. To вина mojej siostry. Ona nie ma pojęcia, czego chce”.

Z tą myślą odpowiedziała na zadane pytanie:

- Bardzo chętnie.

Gdy wyszli, nie mogła porzucić nurtującego ją tematu:

- Jak ci się podobała Monika?

- Wydaje się bardzo miła - odparł Raoul. - Ale zapytaj, jak mi się podoba jej siostra.

I wzięwszy ją w ramiona, pocałował. Teresa nigdy wcześniej nie doświadczyła podobnego uczucia. Drżąc w męskich ramionach, myślała: „Dzięki ci, Boże. O, dzięki Ci”.

- Czy jutro zjesz ze mną kolację? - zapytał Raoul.

- Tak. - Westchnęła. - Och, tak.

Gdy dziewczęta zostały same, Monika stwierdziła:

- On chyba naprawdę cię lubi.

- Chyba tak - wstydliwie odrzekła Teresa.

- A ty go lubisz?

- Tak.

- Cóż, uważaj, siostrzyczko - roześmiała się Monika. - Nie strać głowy. „Za późno - pomyślała Teresa bezradnie. - Za późno”.

Od tamtej pory Teresa i Raoul całe dni spędzali razem. Zwykle w charakterze przyzwoitki towarzyszyła im Monika. We trójkę spacerowali po promenadach i plażach Nicei i zaśmiewali się z przypominających torty weselne hoteli. Zjedli obiad w uroczym bistro w Cap d'Antibes, zwiedzili kaplicę Matisse w Vence. Byli na kolacji w *Chateau de la Chevre d'Or* i słynnej *La Ferme St. Michael*. Któregoś ranka wstali o piątej i poszli na targ, rozkładający się na ulicach Monte Carlo, żeby kupić świeży chleb, warzywa i owoce.

W niedzielę, gdy Teresa śpiewała w kościele, pozostała dwójka przychodziła jej słuchać, a po nabożeństwie Raoul tulił dziewczynę i mówił:

- Jesteś naprawdę cudowna. Mógłbym słuchać twego śpiewu przez resztę życia.

Oświadczył się po czterech tygodniach, licząc od chwili, gdy się poznali.

- Jestem pewien, że mogłabyś mieć każdego mężczyznę, którego byś zapragnęła, Tereso - powiedział. - Ale byłbym zaszczycony, gdybyś wybrała mnie.

Przez jedną, okropną chwilę myślała, że Raoul z niej kpi, ale zanim zdołała się odezwać, on zaczął mówić dalej.

- Moja kochana, muszę ci wyznać, że znałem wiele kobiet, ale ty jesteś z nich najwrażliwszą, najbardziej utalentowaną, najzyczliwszą...

Każde słowo było muzyką dla uszu Teresy. Chciało się jej śmiać i płakać jednocześnie.

„Cóż to za błogosławieństwo - myślała - kochać i być kochaną”.

- Czy wyjdiesz za mnie? Jedno jej spojrzenie wystarczyło za odpowiedź.

Gdy Raoul wyszedł, pobiegła do biblioteki, gdzie siostra, ojciec i matka pili kawę.

- Raoul poprosił mnie o rękę. Była zarumieniona i zdawała się niemal piękna. Rodzice tylko patrzyli na córkę, zaszokowani. Wreszcie przemówiła Monika.

- Tereso, jesteś pewna, że nie chodzi mu o rodzinny majątek?

Zupełnie jakby ktoś wymierzył jej policzek.

- Nie chcę być niegrzeczna - kontynuowała młodsza siostra - ale wszystko dzieje się tak szybko...

Teresa była zdecydowana. Nie pozwoli, żeby cokolwiek zakłóciło jej szczęście.

- Wiem, że chcesz mnie chronić - powiedziała - ale Raoul ma pieniądze. Dostał niewielki spadek po ojcu. I nie boi się pracy. - Ujęła dłonie siostry w swoje ręce i poprosiła błagalnie: - Proszę, ciesz się ze mną, Moniko. Nie przypuszczałam, że doświadczę takich uczuć. Jestem taka szczęśliwa, że mogłabym umrzeć.

Wtedy wszyscy troje zaczęli ją ścisnąć, wykrzykiwać, jak bardzo się cieszą, i pełni podniecenia robić plany wesela.

Następnego ranka Teresa wstała bardzo wcześnie i poszła do kościoła, by się pomodlić.

„Dziękuję ci, Ojczy. Dziękuję, że obdarowałeś mnie takim szczęściem. Zrobię wszystko, by stać się godną miłości Twojej i Raoula. Amen”.

Potem jak na skrzydłach pomknęła do domu towarowego.

- Jeśli byłby pan tak uprzejmy - powiedziała - chciałabym zamówić materiał na ślubną suknię.

Raoul roześmiał się i wziął Teresę w ramiona.

- Będiesz piękną panną młodą.

A ona wiedziała, że naprawdę tak myśli. I to był cud.

Ślub miał się odbyć miesiąc później w kościele w Eze. Monika, oczywiście, wybrana została na druhenę.

W piątek po południu, o piątej, Teresa rozmawiała z Raulem po raz ostatni. W sobotę, o wpół do pierwszej, stała w zakrystii, czekając na narzeczonego, który spóźnił się już pół godziny, gdy podszedł do niej ksiądz. Wziął ją pod rękę i odprowadził na bok. Zaskoczona była poruszeniem duchownego. Serce dziewczyny zaczęło walić gorączkowo.

- O co chodzi? Czy coś się stało? Czy coś się stało Raoulowi?

- O, moja droga - powiedział ksiądz. - Moje drogie biedactwo. Teresę ogarnęła panika.

- Co się stało? Niech mi ksiądz powie!

- Właśnie otrzymałem tę wiadomość. Raoul...

- Miał wypadek? Jest ranny?

- ...Ciradot wcześniej rano wyjechał z miasta.

- Co takiego? Musiało mu wypaść coś pilnego i...

- Z twoją siostrą. Widziano ich w pociągu do Paryża. Zakrystia zaczęła wirować.

„Nie - pomyślała Teresa - nie wolno mi zemdleć. Nie mogę skompromitować się przed Bogiem”.

Z późniejszych chwil pozostały jej jedynie mgliste wspomnienia. Głos księdza, przemawiającego do gości weselnych, zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Ledwie słyszała

szum, który podniósł się w kościele.

Matka objęła ją mocno i szepnęła:

- Moje biedactwo. Jak rodzona siostra mogła być dla ciebie tak okrutna. Strasznie mi przykro.

Teresę nagle ogarnął spokój. Wiedziała, już jak się zachować.

- Nie martw się, mamo. Nie mam pretensji do Raoula. Monice nikt się nie oprze. Powinnam była wiedzieć, że żaden mężczyzna nie może mnie pokochać.

- Mylisz się! - wykrzyknął ojciec. - Jesteś warta dziesięciu takich Monik. Ale zrozumienie przyszło całe lata za późno.

- Chciałabym już wrócić do domu. Przeszli przez tłum gości, którzy rozsuwali się, by ich przepuścić, i w milczeniu odprowadzali wychodzących wzrokiem.

Po powrocie do rodzinnego domu, Teresa odezwała się cichutko:

- Nie martwcie się o mnie, proszę. Obiecuję, że wszystko się ułoży.

Potem poszła na górę, do pokoju ojca, wyjęła brzytwę i podcięła sobie żyły.

Gdy Teresa otworzyła oczy, przy jej łóżku stali rodzinny lekarz i miejscowy proboszcz.

- Nie! - krzyknęła. - Nie chcę żyć. Pozwólcie mi umrzeć. Pozwólcie mi umrzeć!

- Samobójstwo to grzech śmiertelny - odezwał się ksiądz. - Bóg dał ci życie, Tereso, i tylko On może zdecydować, kiedy czas je zakończyć. Jesteś młoda. Przed tobą jeszcze wiele dni.

- Po co mi one? - łkała dziewczyna. - Żeby więcej cierpieć? Nie mogę znieść już więcej bólu. Nie mogę tego znieść!

- Jezus zniósł przeznaczony Mu ból i umarł za nas. Nie odwracaj się do Niego plecami - łagodnie powiedział duchowny.

Lekarz skończył badać pacjentkę.

- Musisz wypocząć. Poleciłem, by trzymano cię przez jakiś czas na lekkiej diecie. - Żartobliwie pogroził palcem. - A to wyklucza wszystko, co ostre. Zwłaszcza brzytwy.

Następnego ranka Teresa zwlokła się z łóżka. Gdy weszła do salonu, zaniepokojona matka zapytała:

- Czemu jesteś na nogach? Doktor powiedział, że... Dziewczyna odparła chrapliwie:

- Muszę pójść do kościoła. Muszę porozmawiać z Bogiem.

Matka zawahała się.

- Pójdę z tobą.

- Nie. Muszę pójść sama.

- Ale...

- Pozwól jej iść - włączył się ojciec. Patrzyli, jak przytłoczona nieszczęściem córka opuszcza dom.

- Co się z nią stanie? - jęknęła pani De Fosse.

- Tylko Bóg wie. Weszła do tak dobrze znanego kościoła i uklękła przed ołtarzem.

- Przyszłam do Twego domu, bo mam Ci coś do powiedzenia, Panie Boże. Gardzę Tobą. Gardzę Tobą, bo pozwoliłeś, żebym urodziła się taka brzydka. Gardzę Tobą, bo pozwoliłeś, żeby moja siostra urodziła się piękna. Gardzę Tobą, bo pozwoliłeś, żeby zabrała jedynego mężczyznę, którego kochałam. Pluję na Ciebie.

Ostatnie słowa wyrzekła tak głośno, że obecni w kościele ludzie zaczęli na nią patrzeć, gdy wstawała i potykając się wychodziła.

Teresa nie przypuszczała, że można aż tak cierpieć. Wszystko stało się nie do

zniesienia. Nie potrafiła myśleć o niczym innym. Nie mogła jeść ani spać. Świat zdawał się zszarzały i daleki. Przez jej umysł stale przemykały wspomnienia, jak pojedyncze sceny z filmu.

Przypomniała sobie pewien dzień, gdy ona, Raoul i Monika spacerowali po plaży w Nicei.

- Wspaniała pogoda na pływanie - odezwał się Raoul.

- Też chętnie bym się wykąpała, ale nie możemy. Teresa nie pływa.

- Nie mam nic przeciw temu, żebyście poszli we dwoje. Poczekam na was w hotelu.

I jeszcze była zadowolona, że Raoul i Monika tak się polubili. Jedli obiad w małej knajpce w pobliżu Cannes. Kelner zasugerował:

- Dziś szczególnie polecam langustę.

- W takim razie poproszę - stwierdziła Monika. - Teresa, biedactwo, nie może. Po skorupiakach ma pokrzywkę.

St. Tropez.

- Tęsknię za jazdą konno. W domu co rano wybierałem się na przejażdżkę. Chcesz się ze mną przejechać, Tereso?

- Niestety nie jeżdżę konno, Raoulu.

- Chętnie dotrzymam ci towarzystwa - włączyła się Monika. - Uwielbiam konie.

I zniknęli na całe przedpołudnie.

Tysiące znaków, a ona przeoczyła je wszystkie. Była ślepa, bo chciała być ślepa. Te spojrzenia, które Raoul i Monika wymieniali, to niewinne branie się za ręce, szepty i śmiechy.

„Jak mogłam być taka głupia”?

Nocą, gdy w końcu udało się jej zdrzemnąć, miewała sny. Za każdym razem sen był inny, a jednak wciąż ten sam.

Raoul i Monika w pociągu, nadzy, spleceni w miłosnym uścisku. Pociąg przejeżdża nad głębokim wąwozem, most zarywa się i wszyscy spadają w otchłań śmierci.

Raoul i Monika w hotelu, nadzy w łóżku. Raoul zapala papierosa i pokój eksploduje. Obydwoje ponoszą śmierć w płomieniach, krzycząc i budząc tym Teresę.

Raoul i Monika spadali z górskich szczytów, tonęli w rzekach, ginęli w katastrofach samolotowych.

Za każdym razem sen był inny.

Za każdym razem był ten sam.

Państwo De Fosse odchodzili od zmysłów. Widzieli, jak córka marnieje w oczach, i w żaden sposób nie umieli jej pomóc. Aż pewnego dnia dziewczyna zaczęła jeść. Jadła bez

końca, jakby nie mogąc się nasycić. Odzyskała dawną wagę, ale nadal jadła i jadła, aż jej ciało przybrało monstrualne rozmiary.

Gdy ojciec czy matka chcieli porozmawiać o tym, co się stało, odpowiadała:

- Już nic mi nie jest. Nie martwcie się o mnie. Prowadziła takie życie, jakby nic się nie stało. Chodziła do miasta po zakupy i załatwiała te same sprawy, co zwykle. Co wieczór jadła z rodzicami kolację, a potem czytała lub szyła. Wznosiła wokół siebie fortecę, przez mur której, jak postanowiła, nie przebiją się żadne uczucia.

„Żaden mężczyzna nie zechce na mnie spojrzeć. Już nigdy”.

Pozornie zdawała się w dobrej formie. W rzeczywistości tonęła jednak w głębinach straszliwej, potwornej samotności. Nawet gdy otaczali ją ludzie, samotnie siedziała na krześle, w samotnym pokoju, samotnym domu, samotnym świetle.

Nieco ponad rok po ucieczce Raoula, ojciec Teresy szykował się, by pojechać do Avila.

- Mam tam interes do załatwienia - powiedział córce - ale potem będę wolny. Może wybrałabyś się ze mną? To fascynujące miasto. Mała zmiana otoczenia dobrze ci zrobi.

- Nie, dziękuję, ojcze. Pan De Fosse spojrział na żonę i westchnął:

- Jak chcesz. Do salonu wszedł lokaj.

- Przepraszam, panno De Fosse. Przed chwilą przyniesiono list do pani.

Teresa, zanim otworzyła kopertę, nabrała pewności, że grozi jej coś okropnego. List brzmiał:

Tereso, moja kochana Tereso!

Po tym, jak potwornie Cię skrzywdziłem, nie mam prawa używać tego zwrotu, ale Bóg świadkiem, że wszystko Ci wynagrodzę, choćby zajęło mi to całe życie.

Nie wiem, od czego zacząć.

Monika uciekła, zostawiając mnie z naszą dwumiesięczną córeczką. Szczerze mówiąc, odczułem ulgę. Muszę Ci wyznać, że od dnia, w którym Cię opuściłem, przeżywam piekło. Nigdy nie pojmę, czemu to zrobiłem. Monika musiała chyba rzucić na mnie urok, jednak od początku zdałem sobie sprawę, że małżeństwo z nią jest okropną pomyłką. To Ciebie zawsze kochałem. Teraz wiem, że tylko u Twego boku mogę znaleźć szczęście. W chwili, gdy otrzymasz ten list, będę już w drodze do Ciebie.

Kocham Cię i zawsze Cię kochałem, Tereso. W imię naszej wspólnej przyszłości, błagam Cię o przebaczenie. Chcę...

Nie mogła dokończyć lektury. Myśl o ponownym zobaczeniu Raoula, a także dziecka jego i Moniki, była nie do zniesienia. Gwałtownie rzuciła list na podłogę.

- Muszę się stąd wydostać - krzyczała histerycznie - natychmiast, teraz. Proszę... proszę!

Rodzice nie mogli jej uspokoić.

- Skoro Raoul tu przyjeżdża - perswadował pan De Fosse - powinnaś przynajmniej z nim porozmawiać.

- Nie! Zabiję go, jeśli go zobaczę. - Teresa chwyciła ojca za rękę, łzy strumieniami ciekły jej po twarzy. - Zabierz mnie z sobą - błagała. Pojechałaby dokądkolwiek, byle tylko uciec daleko stąd. I tak, jeszcze tego wieczora, Teresa wraz z ojcem wyruszyła do Avila.

Pana De Fosse przytłaczało nieszczęście córki. Z natury nie był tkliwy, ale w ciągu ubiegłego roku Teresa swym mężnym zachowaniem zyskała jego podziw. Z wysoko uniesioną głową stawiała czoło mieszkańcom miasteczka i nigdy nie narzekała. Nie potrafiąc jej w żaden sposób pocieszyć, czuł się bezradny.

Przypomniał sobie, że kiedyś córka znalazła pociechę w religii i gdy przyjechali do Avila, zwrócił się do Teresy:

- Ojciec Berrendo, miejscowy ksiądz, jest moim stałym przyjacielem. Może on ci pomoże. Czy porozmawiasz z nim?

- Nie. - Nie chciała mieć nic wspólnego z Bogiem. Pan De Fosse załatwiał swoje interesy, a Teresa została sama w hotelowym pokoju. Gdy wrócił, zastał ją siedzącą wciąż na tym samym krześle i wpatrującą się w ścianę.

- Tereso, proszę cię, zobacz się z ojcem Berrendo.

- Nie. Pan De Fosse czuł się zagubiony. Teresa odmówiła opuszczenia hotelu, a także powrotu do Eze.

Ostatecznie poszukał ratunku u księdza, ściągając go z wizytą do córki.

- Twój ojciec wspominał, że kiedyś regularnie uczęszczałaś do kościoła.

Dziewczyna spojrzała księdzu w oczy i zimno powiedziała:

- Już mnie to nie interesuje. Kościół nie ma mi nic do zaoferowania.

Ojciec Berrendo uśmiechnął się.

- Kościół każdemu ma coś do zaoferowania, dziecko. Daje nam nadzieję i marzenia...

- Ja się już namarzyłam. Z tym koniec.

Ksiądz wziął ręce Teresy w swoje szczupłe dłonie i na nadgarstkach zobaczył białe blizny po brzytwie, niewyraźne jak odległe wspomnienie.

- Bóg w to nie wierzy. Porozmawiaj z Nim, a sam ci to powie.

Dalej siedziała, wpatrując się w ścianę, i nawet nie spostrzegła, że duchowny wreszcie wyszedł.

Następnego ranka Teresa weszła do zimnego, wysokiego kościoła i niemal natychmiast ovladnęło ją stare, dobrze znane uczucie spokoju. Ostatnio przysłała do kościoła, by przeklinać Boga. Poczula dojmujący wstyd. Bóg jej nie zdradził, to ona była zbyt słaba.

- Wybacz mi - wyszeptała. - Zgrzeszyłam. Żyłam w nienawiści. Pomóż mi. Proszę, pomóż mi.

Gdy podniosła wzrok, zobaczyła ojca Berrendo. Po skończonej modlitwie zaprowadził Teresę do swego biura za zakrystią.

- Nie wiem, co robić, ojczu. W nic już nie wierzę. Straciłam wiarę. - Głos dziewczyny przepełniała rozpacz.

- Czy wierzyłaś, będąc małą dziewczynką?

- Tak. Bardzo.

- Więc wciąż wierzysz, dziecko. Wiara jest rzeczywista i niezmienna. To wszystko inne przemija.

Tego dnia rozmawiali kilka godzin. Gdy późnym popołudniem Teresa wróciła do hotelu, ojciec powiedział do niej:

- Muszę wracać do Eze. Jesteś gotowa do wyjazdu?

- Nie, tato. Pozwól mi trochę tu zostać. Zawahał się.

- Nic ci nie będzie?

- Nic, ojczu. Obiecuję.

Teresa i ojciec Berrendo spotykali się codziennie. Księdzu rwało się serce do dziewczyny. Widział w niej nie grubą, brzydką kobietę, lecz pięknego, nieszczęśliwego ducha. Rozmawiali o Bogu i jego dziełach, o znaczeniu życia i stopniowo, prawie mimo woli, Teresa zaczęła doznawać pociechy. Pewnego dnia ojciec Berrendo powiedział coś, co wywołało w dziewczynie głęboki odzew.

- Jeśli nie wierzysz w rzeczy tego świata, moje dziecko, uwierz w świat mający nadejść. Uwierz w świat, w którym Jezus czeka, aby cię przyjąć.

Po raz pierwszy od dnia, który miał być dniem jej ślubu, Teresa zaczęła odczuwać spokój. Odnalazła schronienie w kościele, jak dawniej. Ale musiała postanowić jeszcze coś w sprawie swej przyszłości.

- Nie mam dokąd pójść.

- Mogłabyś wrócić do domu.

- Nie. Nigdy tam nie wrócę. Nie mogłabym spojrzeć w twarz Raoulowi. Nie wiem, co robić. Chcę się ukryć i nie mam gdzie.

Ojciec Berrendo milczał przez dłuższą chwilę. Wreszcie odezwał się:

- Mogłabyś zostać tutaj. Teresa rozejrzała się po biurze, zbita z tropu.

- Tutaj?

- W pobliżu jest klasztor cysterek. - Duchowny pochylił się ku swej rozmówczyni. -
Pozwól, że ci o nim opowiem. To osobny świat, w którym wszyscy poświęcili się Bogu.
Miejsce spokoju i odosobnienia.

Teresie żywiej zabiło serce.

- Brzmi cudownie.

- Muszę cię jednak ostrzec. Obowiązująca tam reguła należy do najsurowszych na świecie. Te, które zgadzają się jej poddać, składają śluby czystości, milczenia i posłuszeństwa. Kto raz wstępuje do zakonu, nie może stamtąd odejść.

Słowa księdza wprowadziły Teresę w drżenie.

- Nie będę chciała odejść. Właśnie tego szukałam, ojcze. Gardzę światem, w którym żyję.

Jednak ojciec Berrendo wciąż nie był przekonany. Wiedział, że w zakonie Teresa zetknęłaby się z życiem różnym od wszystkiego, czego do tej pory doświadczyła.

- Będąc tam, nie możesz się już wycofać.

- Nie zechcę.

Nazajutrz, rankiem, ojciec Berrendo zabrał pannę De Fosse do klasztoru na spotkanie z wilebną matką Betiną. Potem zostawił kobiety same, by porozmawiały. Teresa w chwili wejścia do klasztoru zyskała pewność. „Nareszcie - pomyślała. - Nareszcie”. Po spotkaniu z przełożoną pełna zapału zadzwoniła do rodziców.

- Tak się martwiłam - powiedziała matka. - Kiedy wracasz do domu?

- Jestem w domu.

Obrządek wypełniał biskup Avila.

- Panie nasz, Stwórco, ześlij Swe błogosławieństwo na tę oto służebnicę Twoją, umocnij ją niebiańską mocą, by mogła zachować czystą wiarę i niezłomną wierność.

Teresa odpowiedziała:

- W imię miłości Pana naszego, Jezusa Chrystusa, wyrzekam się tego świata i wszystkich jego ziemskich uciech.

Biskup uczynił na nią znak krzyża.

- *De largitatis tuae fonte defluxit ut cum honorem nuptiarum nulla interdicta minuissent ac super sanctum conjugium nuptialis benedictio permaneret existerent conubium, concupiscerent sacramentum, nec imitentur quod nuptiis agitur, sed diligenter quod*

praenotatur. Amen.

- Amen.

- Udzielam ci zaślubin z Jezusem Chrystusem, synem Najwyższego Ojca. Dlatego przyjmij tę pieczęć Ducha Świętego, abyś mogła nazywać się oblubienicą Pańską. A jeśli służyć Mu będziesz wiernie, otrzymasz koronę wieki. - Biskup wstał. - Bóg, Ojciec Wszechmogący, Stworzyciel nieba i ziemi, który łaskawie raczył wybrać cię na Swą oblubienicę, jak świętą Maryję, matkę Pana naszego, Jezusa Chrystusa, wyświęcił cię, byś w obecności Jego i Jego aniołów mogła pozostać nietknięta i nieskalana i wytrwała w swym postanowieniu miłości, czystości i cierpliwości, abyś mogła dostąpić łaski otrzymania korony Jego błogosławieństwa, przez Chrystusa, Pana naszego. Bóg doda ci siłę, gdy się zachwiejesz, wzmocni cię, gdy osłabiesz, pocieszy, napelni twego ducha pokorą i pokieruje twymi krokami. Amen.

Teraz, gdy od tamtej chwili minęło trzydzieści lat, leżąc wśród drzew i obserwując wznoszące się nad horyzontem słońce, siostra Teresa pomyślała:

„Wstąpiłam do klasztoru z zupełnie niewłaściwych przyczyn. Nie szukałam Boga, tylko uciekałam od świata. Ale Bóg mnie zrozumiał”.

Miała sześćdziesiąt lat, z których przez ostatnie trzydzieści zaznała szczęścia większego, niż przypuszczała, że istnieje. A teraz nagle wypuszczona została w świat, z którego uciekła. I umysł płatał jej dziwne figle.

Nie była już pewna, co jest realne, a co nie. Przeszłość i teraźniejszość zlały się w jedną, dziwną, wirującą plamę.

„Co się ze mną dzieje? Co Bóg mi przeznaczył?”

Siostra Megan uważała całą tę wyprawę za przygodę. Przywykła już do widoków i dźwięków, które ją otaczały, i zaskoczona była szybkością swego przystosowania do nowej sytuacji.

Fascynowali ją towarzysze wędrówki.

Amparo Jirón, dostatecznie silna, by bez trudu dotrzymać kroku mężczyznom, jednocześnie emanowała kobiecością.

Felix Carpio, o twarzy zeszpeconej blizną, krzepki i rudobrody, sprawiał wrażenie wesołego i przyjacielskiego.

Jednak największe wrażenie wywarł na zakonnicę Jaime Miro. Cechowała go nieugięta moc, niewzruszona wiara w głoszone przekonania, co przywodziło na myśl siostry z klasztoru.

Gdy wyruszali, Jaime, Amparo i Felix zarzucili na plecy śpiwory i strzelby.

- Dajcie mi śpiwór do niesienia - zaproponowała Megan.

Jaime Miro spojrział na nią, zaskoczony, a potem wzruszył ramionami.

- Jak siostra chce. I wręczył Megan worek. Pakunek okazał się cięższy niż przypuszczała, nie narzekała jednak.

„Dopóki jestem z nimi, będę robić wszystko, co trzeba”.

Zdawało się jej, że idą od wieków, potykając się w ciemnościach, przedzierając przez krzaki, uderzani przez gałęzie, atakowani przez insekty, prowadzeni jedynie światłem księżyca.

„Kim są ci ludzie? - zastanawiała się. - I czemu ktoś na nich poluje”?

Czuła ze swymi towarzyszami tym mocniejszy związek, że ona i pozostałe zakonnice również były ścigane.

Idąc nie rozmawiali zbyt wiele, tylko od czasu do czasu wymieniali tajemnicze uwagi.

- Czy w Valladolid wszystko przygotowane?

- Oczywiście, Jaime, Rubio i Tamas spotkają się z nami pod bankiem w czasie walk byków.

- Dobrze. Poślij wiadomość, żeby Largo Cortez nas oczekiwał, ale nie podawaj żadnej daty.

- *Comprendo**. „Kim są Largo Cortez, Rubio i Tomas”? - rozważała Megan. - I co ma się stać w banku podczas walki byków”?

*Comprendo - (hiszp.) rozumiem.

Już miała zapytać, ale po zastanowieniu zrezygnowała. „Mam wrażenie, że nie spodobałyby się im pytania”.

Tuż przed świtem poczuli zapach dymu, dochodzący z pobliskiej doliny.

- Zaczekajcie tu - wyszeptał Jaime. - Tylko cicho.

Zobaczyli, jak Miro zbliżył się do skraju lasu, a potem znikł im z oczu.

- O co chodzi? - zapytała Megan.

- Zamknij się! - syknęła Amparo Jirón. Jaime wrócił piętnaście minut później.

- Żołnierze. Ominiemy ich. Cofnęli się po własnych śladach niespełna kilometr, a potem ostrożnie przeszli lasem do jakiejś bocznej drogi. Przed nimi rozpościerała się wiejska okolica, pachnąca świeżym sianem i dojrzałymi owocami.

Ciekawość Megan wzięła górę i zakonnica zapytała:

- Czemu szukają was żołnierze? Jaime odparł:

- Powiedzmy, że nie chcemy się z nimi spotkać. I tym musiała się zadowolić.

„Na razie” - pomyślała.

Była zdecydowana dowiedzieć się o tym człowieku czegoś więcej. Pół godziny później, gdy dotarli do dobrze osłoniętej polanki, Jaime stwierdził:

- Słońce już weszło. Zostaniemy tu do zmroku. - Potem spojrzał na Megan i dodał: - Dziś w nocy będziemy musieli iść szybciej.

Skinęła głową.

- Świetnie. Miro wyjął i rozwinął śpiwory.

- Niech siostra weźmie mój - zwrócił się do zakonnicy Felix Carpio. - Jestem przyzwyczajony do sypiania na ziemi.

- Ależ nie mogłabym... - zaczęła Megan.

- Na litość Boską - warknęła Amparo. - Włóż do śpiwora. Nie chcemy, żebyś nas pobudziła, wrzeszcząc z powodu jakiś cholernych pajaków. Ze słów kobiety przebijała niezrozumiała dla zakonnicy złość. Bez dalszych protestów ułożyła się wygodnie. „Co ją gnębi”? - zastanawiała się.

Jaime rozłożył swój śpiwór kilka metrów od Megan i wczołgał się do środka. Amparo Jirón wślizgnęła się na miejsce obok niego. „Rozumiem” - pomyślała zakonnica. Miro podniósł głowę i powiedział:

- Lepiej niech się siostra prześpi. Przed nami długa droga.

Megan obudziło jęczenie. Brzmiało tak, jakby ktoś cierpiał straszliwe bóle. Zaniepokojona usiadła. Dźwięki dochodziły ze śpiwora Jaime. „Musi być bardzo chory” - pomyślała w pierwszej chwili. Jęki wzmogły się, a potem usłyszała głos Amparo Jirón,

mówiącej:

- O tak! O tak! Daj mi go, *querido*. Mocniej! O tak! Teraz! Teraz!

Megan poczuła wypływający na twarz rumieniec. Starła się zatkać uszy, aby nie słyszeć tego, co działo się obok, ale nic to nie dało. I zaczęła się zastanawiać, jak by to było kochać się z Jaimem Miro.

Gdy tylko zdała sobie sprawę ze swych grzesznych myśli, natychmiast przeżegnała się i zmówiła modlitwę:

„Przebacz mi, Ojcze. Spraw, byś Ty jedynie wypełniał moje myśli. Niech dusza moja podąża za Tobą, by w Tobie odnalazła źródło wszelkiego dobra”.

A dźwięki nie ustawały. Wreszcie, gdy była już pełna obaw, że nie zniesie ich ani chwili dłużej, skończyły się. Jednak inne hałasy nadal nie pozwalały Megan zasnąć. Szum lasu, kakofoniczna mieszanka głosów nawołujących się ptaków i grania świerszczy, piski oraz gardłowe porykiwania mniejszych i większych zwierząt. Zapomniała już, jak zgiełkliwy może być świat. Zatęskniła za ciszą klasztoru. Ale, ku swemu zdumieniu, zatęskniła też za sierocińcem. Okropnym i cudownym sierocińcem...

Avila 1957

Nazywano ją „straszna Megan”.

Nazywano ją „Megan niebieskooka diablica”.

Nazywano ją „nieznośna Megan”.

Miała dziesięć lat.

Do sierocińca trafiła jako niemowlę, gdyż porzucono ją na progu domostwa farmera, który nie mógł zająć się dzieckiem.

Dom dziecka mieścił się w skromnym, bielonym wapnem dwupiętrowym budynku na peryferiach Avila, w biedniejszej części miasta, przy Plaža de San Vicente. Prowadziła go Mercedes Angeles, kobieta o naturze Amazonki i zapalczywym charakterze, który kłócił się z serdecznością okazywaną swym podopiecznym.

Megan wyglądała inaczej niż pozostałe dzieci, obco, jasnymi włosami i niebieskimi oczyma zdecydowanie wyróżniała się na tle ciemnowłosych i ciemnookich chłopców i dziewczynek. Od początku zresztą wyróżniał ją nie tylko wygląd.

Była niezwykle samodzielna, posiadała zdolności przywódcze i sprawiała masę kłopotów. Za każdym razem, gdy w sierocińcu coś się działo, Mercedes Angeles mogła być pewna, że Megan maczała w tym palce.

W czasie pobytu w domu dziecka zorganizowała bunt z powodu niesmacznego jedzenia, próbowała założyć organizację dziecięcą i nie ustawała w wynajdowaniu pomysłów sposobów dręczenia swych opiekunów, wliczając w to kilka prób ucieczki. Nie trzeba więc dodawać, że wśród dzieci cieszyła się wielką popularnością. Była urodzoną przywódczynią, toteż wszyscy, nawet starsi wychowankowie, szukali w niej oparcia. A maluchy uwielbiały, gdy Megan coś im opowiadała, posiadała bowiem niezwykle bujną wyobraźnię.

- Kim byli moja mama i tata, Megan?

- Ach. Twój ojciec był sprytnym złodziejem drogich kamieni. W środku nocy wspiął się na dach hotelu, żeby ukraść diament, który należał do sławnej aktorki. Kiedy już wkładał klejnot do kieszeni, aktorka obudziła się. Zapaliła światło i zobaczyła go.

- Czy kazała go aresztować?

- Nie. Był bardzo przystojny.

- A co się stało potem?

- Zakochali się w sobie i wzięli ślub. A później ty się urodziłeś.

- Ale czemu oddali mnie do sierocińca? Nie kochali mnie? To zawsze było najtrudniejsze.

- Oczywiście, że cię kochali. Tylko pojechali do Szwajcarii na narty i oboje zginęli w strasznej lawinie...

- Co to jest straszna lawina?

- To masa śniegu, która szybko spada i zagrzebuje cię w środku.

- I moja mama i mój tata umarli?

- Tak. Przed śmiercią zdążyli powiedzieć, że cię kochają. Ale nie było nikogo, kto mógłby się tobą zająć, więc przysłano cię tutaj.

Podobnie jak inne dzieci, także Megan bardzo chciała dowiedzieć się czegoś o swych rodzicach i wieczorami, na dobranoc, opowiadała sobie o nich różne historie:

„Mój tata był żołnierzem i brał udział w wojnie domowej. Był kapitanem i był bardzo dzielny. Został ranny w bitwie, a moja mama była pielęgniarką, która się nim opiekowała. Wzięli ślub, a potem tata wrócił na front. Mama była za biedna, żeby mnie zatrzymać, i musiała zostawić mnie na farmie, i miała złamane serce”.

A później płakała z żalu nad swym poległym odważnym ojcem i osamotnioną matką.

„Mój tata był matadorem, najlepszym na świecie. Uwielbiała go cała Hiszpania. Wszyscy go podziwiali. Moja mama była piękną tancerką flamenco. Pobrali się, ale jednego dnia tatę zabił wielki, niebezpieczny byk. Mama była zmuszona mnie oddać”.

„Mój tata był sprytnym szpiegiem z innego kraju...”

Nie kończące się fantazje.

W sierocińcu znajdowało się trzydzieścioro dzieci, od porzuconych niemowląt do czternastolatków. Większość stanowili Hiszpanie, ale kilkoro wychowanków pochodziło z innych krajów i Megan nauczyła się swobodnie mówić różnymi językami.

Dziewczynki sypiały w oddzielnej sali. Późnym wieczorem prowadziły szeptane dialogi o lalkach i strojach, a gdy podrosły, także o seksie. Wkrótce temat ten zyskał w rozmowach absolutne pierwszeństwo.

- Słyszałam, że to bardzo boli.

- I co z tego. Nie mogę się doczekać, żeby to robić.

- Wyjdę za mąż, ale nigdy nie pozwolę, żeby mąż mi to robił. Uważam, że to obrzydliwe.

Którejś nocy, gdy wszyscy już spali, do sypialni dziewcząt wkradł się jeden z młodszych chłopców, Primo Conde. Podszedł do łóżka Megan.

- Megan... - wyszeptał. Natychmiast się obudziła.

- Primo? Co się stało? Szlochał, przestraszony.

- Mogę się położyć obok ciebie?

- Tak, tylko bądź cicho. Chłopiec skończył trzynaście lat, tak jak i ona, ale był niski na swój wiek. Kiedyś został wykorzystany seksualnie. Cierpiał z powodu koszmarów i z krzykiem budził się w środku nocy. Koledzy często mu dokuczali, ale Megan zawsze biedaka broniła. Primo wsunął się na miejsce obok niej i dziewczynka zorientowała się, że buzię ma mokrą od łez. Przytuliła go mocno.

- Już dobrze - szeptała. - Już dobrze. Kołysała chłopca delikatnie i łkanie z wolna cichło. Przylegał do Megan całym ciałem i poczuła, że zaczyna być podniecony.

- Primo...

- Przepraszam. Ja... nic nie mogę na to poradzić. Przyciskał się do dziewczynki, nabrzmiały.

- Kocham cię, Megan. Z całego świata zależy mi tylko na tobie.

- Jeszcze nie widziałeś świata.

- Proszę, nie śmiej się ze mnie.

- Nie śmieję się.

- Nie mam nikogo, tylko ciebie.

- Wiem.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham, Primo.

- Megan... czy ty... pozwolisz, żebym się z tobą pokochał? Proszę.

- Nie. Chwila ciszy.

- Przepraszam, że cię pytałem. Wróć do swojego łóżka. - W głosie chłopca dźwięczał ból. Primo zaczął wstawać.

- Zaczekaj. - Megan mocno przytuliła przyjaciela, chcąc ulżyć jego cierpieniu i jednocześnie czując narastające podniecenie. - Nie mogę się z tobą kochać, ale może zrobię coś, po czym lepiej się poczujesz, dobrze?

- Tak - mruknął. Miał na sobie piżamę. Pociągnięciem rozwiązała sznurek, który przytrzymał spodnie, i sięgnęła do środka. „Już jest mężczyzną” - pomyślała. Delikatnie wzięła go w rękę i zaczęła głaskać. Primo jęknął i wyszeptał:

- Jak wspaniale. - A chwilę później: - Kocham cię, Megan.

Ciało dziewczynki trawił ogień. Gdyby w tej chwili chłopiec powiedział: „Chcę się z tobą kochać”, nie odmówiłaby.

Ale Primo tylko leżał, milczący, i kilka minut później wrócił do własnego łóżka.

Tej nocy Megan już nie zasnęła. I nigdy więcej nie pozwoliła Primowi położyć się obok siebie.

Pokusa była zbyt silna.

Od czasu do czasu któreś z dzieci wzywano do biura zarządzającej, by poznało swych przyszyłych przybranych rodziców. Za każdym razem była to chwila wielkiego podniecenia, gdyż zapowiadała szansę ucieczki od ponurej rutyny sierocińca, szansę posiadania prawdziwego domu, należenia do kogoś.

Przez całe lata Megan przyglądała się, jak wybierano inne dzieci, które jechały potem do domów kupców, farmerów, bankierów, sklepikarzy. Zawsze inne dzieci, nigdy ona. Megan cieszyła się złą sławą. Usłyszała kiedyś dorosłych rozmawiających między sobą:

- Jest bardzo ładna, ale podobno trudna.
- Czy to nie ona w zeszłym miesiącu przemyciła do sierocińca dwanaście psów?
- Słyszałam, że lubi przewodzić. Obawiam się, że nie pogodziłaby się z naszymi dziećmi.

Wszyscy ci ludzie nie mieli pojęcia, że dzieci ją uwielbiają.

Raz w tygodniu w odwiedzinach do wychowanków domu dziecka przychodził ojciec Berrendo. Megan z niecierpliwością wyglądała tych wizyt. Dziewczynka dosłownie pożerała książki, a ksiądz i Mercedes Angeles pilnowali, by miała ich pod dostatkiem. W dodatku z ojcem Berrendo mogła rozmawiać o sprawach, których nie śmiała poruszyć z nikim innym. To do niego zwróciło się bowiem starsze małżeństwo, które znalazło malutką Megan.

- Dlaczego nie chcieli mnie zatrzymać? - dopytywała się.
- Bardzo chcieli - odpowiadał łagodnie stary ksiądz - ale byli starzy i schorowani.
- A jak ksiądz myśli, czemu prawdziwi rodzice zostawili mnie na farmie?
- Z pewnością dlatego, że byli biedni i nie mogli sobie pozwolić, by cię zatrzymać.

Z wiekiem Megan stawała się coraz bardziej pobożna. Żywo interesował ją dorobek filozoficzny Kościoła katolickiego. Czytała *Wyznania* św. Augustyna, pisma św. Franciszka z Asyżu, Thomasa More'a, Thomasa Metona i wielu innych. Regularnie uczęszczała do kościoła i sprawiało jej przyjemność uczestnictwo w uroczystych obrzędach i mszach, przyjmowanie komunii, otrzymywanie błogosławieństwa. Jednak najbardziej ceniła sobie uczucie cudownego spokoju, które zawsze ogarniało ją w kościele.

- Chcę zostać katoliczką - oznajmiła pewnego dnia ojcu Berrendo.

Ksiądz ujął ją za rękę. Mrugając porozumiewawczo, powiedział:

- Może już nią jesteś, Megan, ale zaasekurujemy się. Czy wierzysz w Boga Ojca Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi?

- Wierzę.

- Czy wierzysz w Jezusa Chrystusa, Syna Jego jedyne, który narodził się, umarł i pogrzebion?

- Wierzę.

- Czy wierzysz w Ducha Świętego, święty Kościół powszechny, świętych obcowanie, grzechów odpuszczenie, ciała zmartwychwstanie i żywot wieczny?

- Wierzę.

Ksiądz delikatnie dmuchnął dziewczynce w twarz.

- *Exi ab ea, spiritus immunde.* Wyjdź z niej, duchu nieczysty i daj miejsce Duchowi Świętemu, Pocieszycielowi. - Ponownie chuchnął. - Megan, przyjmij z tym tchnieniem dobrego Ducha i błogosławieństwo Boże. Pokój z tobą.

W wieku piętnastu lat Megan stała się piękną młodą kobietą o długich blond włosach i mlecznej cerze, wyróżniającej ją spośród większości towarzyszek.

Pewnego dnia dziewczynę wezwano do biura Mercedes Angeles. Zastała tam ojca Berrendo.

- Witam księdza.

- Witaj, Megan.

- Obawiam się, że mamy pewien problem - powiedziała Mercedes.

- Tak? - Megan gorączkowo usiłowała sobie przypomnieć, jakie to ostatnio popełniła wykroczenie.

- Obowiązuje nas limit wiekowy - kontynuowała zarządzająca - a ty skończyłaś już dozwolone piętnaście lat.

Oczywiście Megan od dawna znała tę regułę. Jednak usunęła ją z myśli, nie chcąc mierzyć się z faktem, że nie ma się gdzie podziać, że nikt jej nie chce i że raz jeszcze zostanie opuszczona.

- Czy... czy muszę odejść?

Życzliwa Amazonka była wytrącona z równowagi, ale nie miała wyboru. - Obawiam się, że musimy być posłuszni obowiązującym zasadom. Możemy znaleźć ci posadę służącej. Megan zabrakło słów.

- Dokąd chciałabyś pójść? - zapytał ojciec Berrendo. Gdy dziewczynka zastanowiła się, przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Istniało miejsce, do którego mogłaby się udać.

Od chwili ukończenia dwunastego roku życia Megan dorabiała do swego utrzymania, roznosząc po mieście przesyłki. Wiele przeznaczonych było dla klasztoru cysterek. Zawsze dostarczała je wielebnej matce Betinie. Czasem dziewczynce udawało się zerknąć na

zakonnice, modlące się lub przechodzące korytarzem, i wyczuwała wtedy ich przemożny spokój i pogodę. Zazdrościła siostrze radości, którą zdawały się promieniować. Klasztor wydawał się jej domem miłości.

Wielebna matka polubiła jasnowłosą doręczycielkę i w ciągu trzech lat odbyły wiele długich rozmów.

- Czemu ludzie wstępują do klasztoru? - zapytała kiedyś Megan.

- Przychodzą do nas z różnych powodów. Większość chce poświęcić się Bogu. Ale są i tacy, którzy nie mają nadziei. My im ją dajemy. Inni nie potrafią znaleźć sensu życia. My pokazujemy im, że Bóg jest tym sensem. Jeszcze inni uciekają przed czymś, czują się opuszczeni i pragną uczucia przynależności.

To właśnie zdanie wywołało w sercu młodej dziewczyny gorący odzew.

„Nigdy naprawdę do nikogo nie należałam - myślała Megan. - To moja szansa”.

- Myślę, że chciałabym wstąpić do klasztoru - powiedziała.

Sześć tygodni później złożyła śluby.

I wreszcie znalazła to, czego tak długo szukała. Przynależała. Siostry stały się rodziną, której nigdy nie miała, i wszystkie należały do jednego Ojca.

W klasztorze Megan pracowała jako księgowa. Naprawdę jednak fascynował ją język znaków, używany przez zakonnice, gdy musiały porozumieć się z wielbłądą matką. Składał się on z czterystu siedemdziesięciu dwóch znaków, wystarczających, by przekazać wszystko co siostry chciały wyrazić.

Gdy któraś z zakonnice miała odkurzyć długie korytarze, przeorysza Betina wyciągała w przód ustawioną pionowo prawą dłoń i dmuchała na jej grzbiet. Zakonnica mająca gorączkę zgłaszała się do wielbnej matki i przyciskała opuszki palców wskazującego i środkowego prawej ręki do lewego nadgarstka. Jeśli coś miało się opóźnić, przeorysza unosiła prawą pięść na wysokość barku i wolno opuszczała ją, prostując ramię. „Jutro”.

Pewnego listopadowego ranka Megan zapoznała się z obrzędami towarzyszącymi śmierci. Umierała zakonnica i w klasztorze rozległo się klekotanie drewnianych grzechotek, sygnalizujące rozpoczęcie ceremonii nie zmienionej od roku 1030. Wszystkie mniszki, które mogły odpowiedzieć na to wezwanie, pospieszyły do infirmerii, by tam na klęczkach obserwować namaszczenie świętymi olejami i recytować psalmy. W milczeniu modliły się do świętych, prosząc o wstawiennictwo za odchodzącą duszę ich siostry.

By pokazać, że nadszedł czas na ostatnie namaszczenie, matka przełożona uniosła zwróconą ku górze lewą dłoń i kciukiem prawej ręki uczyniła na niej znak krzyża.

I wreszcie zasygnalizowano samą śmierć. Jedna z zakonnice opuszką kciuka prawej

ręki lekko uniosła brodę.

Po odmówieniu ostatnich modlitw na godzinę pozostawiono ciało bez dozoru, żeby dusza mogła opuścić je w spokoju. W nogach łóżka paliła się w drewnianym lichtarzu wielka świeca paschalna, chrześcijański symbol wiecznej światłości.

Siostra nadzorująca infirmerię umyła ciało i odziała zmarłą w jej habit, szkaplerz, biały kaptur, grube pończochy i ręcznie wykonane sandały. Któraś z zakonnice przyniosła z ogrodu wianek, uwity ze świeżych kwiatów. Gdy zmarła została ubrana, procesja złożona z sześciu sióstr zaniósła ją do kościoła i złożyła na okrytych białym prześcieradłem marach, na wprost ołtarza. Nie pozostawiono jej samotnej przed Bogiem, dwie zakonnice towarzyszyły swej siostrze, przez resztę dnia i całą noc modląc się w pobliskich stallach. Obok migotała świeca paschalna.

Następnego popołudnia, po mszy żałobnej, ciało przeniesiono przez klasztor na odosobniony, otoczony murem cmentarz. Siostry nawet po śmierci przestrzegały klauzury. Zakonnice, stojące po trzy z obu stron, delikatnie opuściły zabezpieczone białymi, lnianymi taśmami zwłoki do grobu. Zwyczajem cysterek było grzebać zmarłych bezpośrednio w ziemi, bez trumny. Ostatnią rzeczą było zasypianie ciała zmarłej przez dwie z uczestniczących w pogrzebie kobiet, zanim wszystkie powróciły do kościoła odmawiać psalmy pokutne. Trzykrotnie zwracały się do Boga, by zlitował się nad duszą ich siostry.

Domine miserere super peccatrice.

Domine miserere super peccatrice.

Domine miserere super peccatrice.

Często zdarzało się, że młodziutką siostrę Megan ogarniała melancholia. Klasztor zapewniał spokój, a jednak nie mogła całkowicie wyciszyć się wewnątrz. Miała wrażenie, że czegoś jej brakuje. Odczuwała pragnienia, których dawno już powinna była się wyzbyć. Łapała się na tym, że myśli o przyjaciółach pozostawionych w sierocińcu, że zastanawia się, jak potoczyło się ich życie. Była ciekawa, co dzieje się na świecie przez nią porzuconym, na świecie, gdzie gra muzyka, ludzie tańczą i śmieją się.

Zwróciła się do matki Betiny.

- Od czasu do czasu przydarza się to każdej z nas - zapewniła Megan przełożona. - Kościół określa ten stan słowem acedia. To rozstrój duchowy, dzieło szatana. Nie martw się, dziecko, minie.

I minął.

Nie minęła jednak głęboka, wewnętrzna potrzeba poznania prawdy o swym pochodzeniu.

„Nigdy się nie dowiem - myślała Megan z rozpaczą. - Nigdy w życiu”.

Nowy Jork 1976

Reporterzy zgromadzili się przed szarą fasadą nowojorskiego hotelu Waldorf - Astoria, obserwując pochód rozmaitych sław w strojach wieczorowych, wysiadających ze swych limuzyn i przez obrotowe drzwi zmierzających do wielkiej sali balowej na drugim piętrze. Goście pochodzili z całego świata.

Błyskały flesze, a reporterzy wołali:

- Panie wiceprezydencie, proszę spojrzeć tutaj!

- Czy mogę zrobić jeszcze jedno zdjęcie, panie gubernatorze? Senatorzy, dyplomaci z kilku krajów, magnaci przemysłowi i inni wielcy tego świata przybyli, by świętować sześćdziesiąte urodziny Ellen Scott. Właściwie oddawali cześć nie tyle Ellen Scott, co działalności filantropijnej Scott Industries, jednej z najpotężniejszych korporacji przemysłowych na świecie. W skład olbrzymiego, wciąż rozrastającego się imperium wchodziły towarzystwa naftowe, huty, przedsiębiorstwa telekomunikacyjne i banki.

Pieniądze, które planowano zebrać tego wieczoru, przeznaczono na cele charytatywne.

Scott Industries robiło interesy na całym świecie. Dwadzieścia siedem lat temu prezydent korporacji, Milo Scott, zmarł niespodziewanie na atak serca i jego żona, Ellen, przejęła kierownictwo nad kolosem. W następnych latach udowodniła, że jest znakomitą zarządzającą, w trójnasób powiększając aktywa kompanii.

Sala balowa hotelu Waldorf - Astoria była ogromnym pomieszczeniem, urządzonej w beżu i złocie, z okrytym czerwonym dywanem podwyższeniem w jednym z rogów. Wokół sali biegł balkon, mieszczący trzydzieści trzy łóżka, wszystkie oświetlone ozdobnymi zyrandolami.

Gość honorowy zajmował łóżko centralną.

Na uroczystości obecnych było co najmniej sześćset osób, które przy lśniących od sreber stolikach jadły kolację.

Po posiłku na podwyższenie wkroczył gubernator stanu Nowy Jork.

- Panie wiceprezydencie, panie i panowie, szanowni goście. Dzisiejszego wieczoru zgromadziliśmy się tu w jednym celu; złożenia daniny nadzwyczajnej kobiecie, której bezinteresowną hojność poznaliśmy przez lata. Ellen Scott odniosłaby sukces na każdym polu. Byłaby wspaniałym naukowcem czy lekarzem, także politykiem, i muszę wyznać, że jeśli Ellen postanowi ubiegać się o prezydenturę Stanów Zjednoczonych, pierwszy będę na nią głosował. Nie w najbliższych wyborach, oczywiście, a w następnych.

Rozległy się śmiechy i oklaski.

- Jednak Ellen Scott jest kimś więcej niż tylko olśniewającą kobietą. Jest życzliwym, współczującym człowiekiem, nie wahającym się zaangażować w problemy, z którymi boryka się dzisiejszy świat...

Mowa trwała jeszcze dziesięć minut, lecz Ellen Scott przestała słuchać.

„Jak bardzo się myli - myślała, krzywiąc usta. - Jak wszyscy się mylą. Scott Industries nawet do mnie nie należą. Ukradliśmy je z Milem. A ja popełniłam przestępstwo dużo poważniejsze. Ale to bez znaczenia. Już nic się nie liczy, bo wkrótce umrę”.

Dokładnie pamiętała słowa lekarza, który właśnie przeczytał wyniki badań laboratoryjnych, stanowiące jej wyrok śmierci.

- Strasznie mi przykro, pani Scott, ale obawiam się, że nie umiem przekazać tego delikatnie. Rak rozprzestrzenił się drogą limfatyczną. Jest nieoperacyjny.

Żołądek nagle zaciążył jej jak ołów.

- Ile... czasu mi zostało? Zawahał się.

- Rok... może. „Za mało czasu. Za dużo mam do zrobienia”.

- Oczywiście nikomu pan tego nie powie - stwierdziła Ellen stanowczo.

- Oczywiście.

- Dziękuję panu, doktorze. Nie pamiętała, jak wyszła z Columbia - Presbyterian Medical Center ani jak dojechała do śródmieścia. Myślała tylko o jednym: „Muszę ją odnaleźć, zanim umrę”. Mowa gubernatora dobiegała końca.

- Panie i panowie, mam zaszczyt i przyjemność przedstawić panią Ellen Scott.

Wstała przy narastającej owacji, a potem podeszła do podwyższenia: szczupła, siwowłosa, wyprostowana kobieta, starannie ubrana i zdająca się promieniować żywotnością, choć naprawdę pozostało z niej tylko wspomnienie.

„Jestem jak dawno zgasła gwiazda, której światło wciąż jeszcze dociera na Ziemię - pomyślała gorzko. - Naprawdę już mnie tu nie ma”.

Na scenie zaczekała, aż umilkną oklaski.

„Oklaskują potwora. Co by zrobili, gdyby wiedzieli?”

Gdy przemówiła, głos miała pewny.

- Panie wiceprezydencie, panie gubernatorze, panowie senatorzy...

„Rok - rozważała. - Zastanawiam się, gdzie ona jest i czy żyje. Muszę się dowiedzieć”.

Nie przerywała wypowiedzi, automatycznie mówiąc to, czego spodziewało się audytorium.

- Z wdzięcznością przyjmuję państwa datki, nie dla siebie, ale dla ciężko pracujących, by ulżyć doli tych, którym powiodło się gorzej niż nam...

Myślą cofnęła się o czterdzieści dwa lata, do Gary w stanie Indiana.

■

W wieku osiemnastu lat Ellen Dudash zatrudniona była w zakładach samochodowych Scott Industries w Gary, w stanie Indiana. Atrakcyjna, bezpośrednia dziewczyna cieszyła się sympatią męskiej części załogi. Gdy na inspekcję przyjechał Milo Scott, wybrano Ellen, by towarzyszyła gościowi podczas zwiedzania.

- Hej! A może ty, Ellie? Wyjdiesz za brata szefa i wszyscy będziemy pracować dla ciebie.

Dziewczyna roześmiała się.

- Jasne. A świniom wyrosną skrzydła. Milo Scott wyglądał zupełnie inaczej niż oczekiwała. Zaraz po trzydziestce, wysoki, szczupły.

„Nawet przystojny” - stwierdziła w myśli. Był nieśmiały, niemal potulny.

- To bardzo miło, że znalazła pani czas oprowadzić mnie, panno Dudash. Mam nadzieję, że nie odrywam pani od pracy.

- Wprost przeciwnie. - Uśmiechnęła się szeroko. Rozmowa z nim nie wymagała wysiłku. „Trudno uwierzyć, że żartuję sobie z bratem szefa. Niech no opowiem o tym mamie i tacie”.

Milo sprawiał wrażenie szczerze zainteresowanego problemami pracowników. Ellen zabrała gościa na wydział produkcji kół zębatach, potem pokazała mu pomieszczenie, w którym hartowano świeżą, miękką stal, pakownię i dział spedycji. Wydawał się pod wrażeniem.

- To faktycznie poważne przedsięwzięcie, nie sądzi pani, panno Dudash?

„Jest właścicielem tego wszystkiego, a zachowuje się jak przestraszone dziecko”.

Wypadek zdarzył się w montażowni. W transportującej metalowe pręty suwnicy puściły zaczepy i cały ładunek spadł z łoskotem. Milo znajdował się dokładnie pod nim. Ellen zorientowała się, co się dzieje, na ułamek sekundy przed upadkiem, i bez zastanowienia odepchnęła mężczyznę w bezpieczne miejsce. Zanim zdołała uciec, uderzyły ją dwa żelazne pręty i straciła przytomność.

Ocknęła się w prywatnym apartamencie, w szpitalu. Pokój dosłownie tonął w kwiatach. Gdy dziewczyna otworzyła oczy i rozejrzała się, pomyślała:

„Umarłam i poszłam do nieba”.

Dokoła łóżka stały orchidee, róże, lilie, chryzantemy i rzadkie kwiaty, których nawet

nie umiała nazwać.

Prawe ramię miała na wyciągu, żebra obandażowane i obolałe.

Weszła pielęgniarka.

- O, obudziła się pani, panno Dudash. Zawiadomię lekarza.

- Gdzie jestem?

- W prywatnym szpitalu Blake Center. Ellen ponownie rozejrzała się po obszernym pomieszczeniu. „Nigdy nie będę w stanie za to zapłacić”.

- Odbieramy za panią telefony.

- Jakie telefony?

- Prasa próbuje się tu dostać, żeby przeprowadzić z panią wywiad. Dzwonili pani przyjaciele. Kilkakrotnie telefonował pan Scott...

„Milo Scott!”

- Nic mu nie jest?

- Przepraszam?

- Czy został ranny w wypadku?

- Nie. Był tu już wcześniej rano, ale pani spała.

- Przyszedł się ze mną zobaczyć?

- Tak. - Pielęgniarka obrzuciła pokój szybkim spojrzeniem. - Większość tych kwiatów jest od niego.

„Niewiarygodne”.

- W poczekalni są pani rodzice. Czy czuje się pani na siłach, żeby z nimi porozmawiać?

- Oczywiście.

- Przyślę ich tu. „Rany, nigdy przedtem w szpitalu tak mnie nie traktowano” - pomyślała Ellen.

Rodzice weszli i zbliżyli się do łóżka. Pochodzili z Polski i ich angielski był nie całkiem poprawny. Ojciec Ellen, mechanik, był żylastym, z grubą ciosanym mężczyzną po pięćdziesiątce, matka prostoduszną wieśniaczką.

- Przyniesłam ci zupy, Ellen.

- Mamo, w szpitalach karmią ludzi.

- Ale moją zupą nie karmią w szpitalu. Zjedz, to szybko wydobrzejesz. Ojciec zapytał:

- Widziałaś gazetę? Przyniesłem ci jedną. I wręczył córce płachtę, na której widniał nagłówek: „ROBOTNICA RYZYKUJE ŻYCIE, BY OCALIĆ SZEFA”. Przeczytała artykuł dwukrotnie.

- Postąpiłaś odważnie, że go wyratowałaś. „Odważnie? Głupio. Gdybym miała czas się zastanowić, ratowałabym siebie. To była najbardziej bzdurna rzecz, jaką w życiu zrobiłam. Przecież mogłam zginąć!”

Milo Scott zjawił się u Ellen później tego samego ranka. Przyniósł jeszcze jeden bukiet kwiatów.

- To dla ciebie - odezwał się skrepowany. - Lekarz powiedział mi, że wyzdrowiejesz. Nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczny.

- Nic takiego nie zrobiłam.

- Nigdy nie widziałem, żeby ktoś postąpił tak odważnie. Ocaliłaś mi życie. Spróbowała się poruszyć, ale spowodowało to ostry ból ramienia.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne. - Słuczony bok zaczął pulsować. - Doktor mówił, co mi dolega?

- Masz złamaną rękę i trzy żebra. Nic gorszego nie mogła usłyszeć. Poczula napływające do oczu łzy.

- Co się stało? Jak mogła mu powiedzieć? Wyśmiałyby ją. Od dawna oszczędzała na wakacje w Nowym Jorku, dokąd miała pojechać z kilkoma dziewczętami z fabryki. Tak marzyła o tym wyjeździe.

„A teraz nie będę mogła pracować przez miesiąc lub dłużej. Żegnaj, Manhattanie”.

Ellen pracowała od piętnastego roku życia. Zawsze była samowystarczalna i niezwykle niezależna, ale teraz pomyślała:

„Skoro jest taki wdzięczny, może zapłaci część rachunków za szpital. Ale niech mnie diabli, jeżeli go o to poproszę”.

Zaczynała czuć się śpiąca.

„Pewnie z powodu lekarstw”.

- Dziękuję za kwiaty, panie Scott - powiedziała sennie. - Miło mi było pana poznać.

„Później pomyślę o rachunkach za szpital”. Ellen Dudash zasnęła.

Następnego ranka do apartamentu dziewczyny wszedł wysoki mężczyzna o dystyngowanym wyglądzie.

- Dzień dobry, panno Dudash. Jak się pani dzisiaj czuje?

- Dziękuję, lepiej.

- Nazywam się Sam Norton, jestem rzecznikiem prasowym Scott Industries.

- Och. - Nigdy wcześniej go nie spotkała. - Czy mieszka pan tutaj?

- Nie. Przyleciałem z Waszyngtonu.

- Żeby mnie zobaczyć?

- Żeby panią wesprzeć.

- Wesprzeć mnie? W czym?

- Na zewnątrz czeka prasa, panno Dudash. Nie wydaje mi się, by kiedykolwiek uczestniczyła pani w konferencji prasowej, i pomyślałem, że moja pomoc może okazać się przydatna.

- Czego pan chce?

- Przede wszystkim będą prosić, żeby opowiedziała pani, jak i dlaczego uratowała pana Scotta.

- To bardzo proste. Gdybym zaczęła myśleć, uciekłabym, gdzie pieprz rośnie.

Norton zagapił się na dziewczynę.

- Panno Dudash... na pani miejscu raczej bym tego nie mówił.

- Dlaczego? Przecież to prawda. Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewałem.

Dziewczyna najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy ze swej sytuacji.

Ellen dręczył pewien problem i postanowiła poruszyć go otwarcie.

- Czy zobaczy się pan z panem Scottem?

- Tak.

- A mógłby pan wyświadczyć mi przysługę?

- Naturalnie, jeśli tylko będę w stanie.

- Wiem, że wypadek nie zdarzył się z jego winy i nie prosił, żebym go ratowała, ale...

- Chęć zachowania niezależności sprawiła, że zawahała się. - O, mniejsza z tym.

„Aha, no i już” - pomyślał Norton. Jaką nagrodę zechce wymusić? Gotówkę? Lepszą pracę? Coś innego?

- Proszę mówić dalej, panno Dudash. Wydusiła wreszcie:

- Właściwie to nie mam za dużo pieniędzy i stracę też kilka pensji, więc obawiam się że nie stać mnie na zapłacenie tych wszystkich rachunków za szpital. Nie chcę zawracać panu Scottowi głowy, ale gdyby mógł załatwić mi pożyczkę, spłaciła bym ją co do centa. - Dostrzegła wyraz twarzy Nortona i zrozumiała go po swojemu. - Przepraszam. Pewnie wyszłam na wyrachowaną. To dlatego, że oszczędzałam na wycieczkę i... cóż, szpital wszystko psuje. - Westchnęła. - Ale to nie problem pana Scotta. Jakoś sobie poradzę.

Sam Norton prawie ją pocałował.

„Kiedy ostatnio zetknąłem się z prawdziwą niewinnością? Chyba odzyskam wiarę w kobiety”.

Jego profesjonalne zachowanie zniknęło. Usiadł na brzegu szpitalnego łóżka i ujął dziewczynę za rękę.

- Ellen, mam przeczucie, że zostaniemy przyjaciółmi. Obiecuję ci, że nie będziesz musiała martwić się o pieniądze. Ale przede wszystkim trzeba przebrnąć przez tę konferencję prasową. Chcemy, żebyś dobrze wypadła, więc... - Umilkł. - Będę szczery. Moja praca polega na dopilnowaniu, żeby dobrze wypadły Scott Industries, rozumiesz?

- Chyba tak. Niezbyt ładnie zabrzmiałoby, gdybym stwierdziła, że tak naprawdę nie zależało mi na uratowaniu Mila Scotta, prawda? Czy lepiej będzie, jeśli powiem coś w stylu: „Tak kocham pracę w Scott Industries, że gdy zobaczyłam Mila Scotta w niebezpieczeństwie, musiałam podjąć próbę ratowania go, choćby kosztem własnego życia”?

- Tak. Roześmiała się.

- Okay. Skoro to pomoże. Ale pana nie chcę oszukiwać, panie Norton. Nie wiem, czemu tak postąpiłam.

Sam Norton uśmiechnął się.

- Zachowamy to w tajemnicy. A teraz wpuszczę Iwy.

Zjawilo się ponad dwudziestu reporterów i fotografów z gazet, magazynów i stacji radiowych. Historia znakomicie nadawała się na pierwszą stronę, i dziennikarze nie zamierzali zmarnować takiej okazji. Nie co dzień urodziwa robotnica ryzykuje życiem dla ratowania brata swego szefa. A fakt, że chodziło o Mila Scotta, podnosił atrakcyjność zdarzenia.

- Panno Dudash, gdy zobaczyła pani całe to spadające żelastwo, jaka była pani pierwsza myśl?

Ellen zerknęła na Sama Nortona i zachowując kamienną twarz, odpowiedziała:

- Pomyślałam: Muszę uratować pana Scotta. Nie wybaczyłabym sobie do końca życia, gdybym pozwoliła mu zginąć.

Konferencja prasowa potoczyła się gładko, a gdy Sam Norton zorientował się, że Ellen zaczyna być zmęczona, stwierdził:

- To by było na tyle, panie i panowie. Dziękuję bardzo.

- Dobrze się spisałam?

- Wspaniale. A teraz się prześpij. Spała niespokojnie. Śniła, że stoi w Empire State Building i strażnik nie chce jej wpuścić, gdyż nie ma kwoty wystarczającej, by kupić bilet.

Milo Scott przyszedł odwiedzić Ellen tego samego dnia, po południu. Dziewczyne zaskoczyła jego obecność, słyszała, że brat szefa mieszka w Nowym Jorku.

- Podobno konferencja prasowa wypadła bardzo dobrze. Jest pani prawdziwą bohaterką.

- Panie Scott... muszę coś panu wyznać. Nie jestem bohaterką. Nie zastanawiałam się,

czy pana ratować. Ja... ja po prostu to zrobiłam.

- Wiem. Sam Norton mi powiedział.

- W takim razie...

- Ellen, są różne rodzaje bohaterstwa. Nie zastanawiałaś się, czy mnie ratować, ale zadziałałaś instynktownie, zamiast ratować siebie.

- Chciałam... chciałam tylko, żeby pan wiedział.

- Sam przekazał mi także, że martwisz się rachunkami za szpital.

- Coz...

- Zajęto się tym. A także sprawą utraty tych kilku pensji. - Milo uśmiechnął się. - Panno Dudash, nie zdaje pani sobie sprawy, ile jej zawdzięczam.

- Nie jest mi pan nic winien.

- Lekarz twierdzi, że jutro wychodzi pani ze szpitala. Czy mogę zaprosić panią na obiad?

„Nie rozumie - pomyślała Ellen. - Nie chcę jałmużny. Ani litości”.

- Mówiłam poważnie, że nic nie jest mi pan winien. Dziękuję za uregulowanie szpitalnych rachunków. Jesteśmy kwita.

- Świetnie. Czy w takim razie mogę zaprosić cię na obiad?

Tak się to zaczęło. Milo Scott został w Gary przez tydzień i codziennie spotykał się z Ellen. Rodzice dziewczyny ostrzegali:

- Uważaj. Szefowie nie umawiają się z dziewczętami z fabryki, chyba że coś chcą.

Z początku Ellen prezentowała takie właśnie nastawienie, ale Milo sprawił, że zmieniła zdanie. Podczas wszystkich spotkań zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen i w końcu dotarła do niej prawda:

„Rzeczywiście lubi ze mną przebywać”.

Milo był nieśmiały i powściągliwy, Ellen szczerą i bezpośrednią. Miła przez całe życie otaczały kobiety mające ambicję wejścia do potężnej dynastii Scottów, które wciągały go w swoje przewrotne gierki. Spotkał tylko jedną dziewczynę do gruntu uczciwą - Ellen Dudash. Mówiła dokładnie to, co myślała, była bystra, atrakcyjna i, przede wszystkim, w jej towarzystwie dobrze się bawił. Pod koniec tygodnia oboje wiedzieli, że są zakochani.

- Chcę się z tobą ożenić - powiedział Milo. - Nie mogę myśleć o niczym innym. Wyjdiesz za mnie?

- Nie. Ellen również nie potrafiła myśleć o niczym innym, ale zwyczajnie bała się.

Scottowie byli w Ameryce tym, czym w Europie rodziny królewskie. Popularni, bogaci, potężni.

„Nie należę do ich sfery. Zbłąźniłabym się. I wystawiłabym Mila na pośmiewisko”.

Wiedziała jednak, że broni straconej pozycji.

Ślubu udzielił im sędzia pokoju w Greenwich, w stanie Kolorado, skąd pojechali na Manhattan, by Ellen mogła poznać swą nową rodzinę.

Byron Scott powitał brata słowami:

- Coś ty, kurwa, zrobił? Ożeniłeś się z polską dziwką? Zwariowałeś?

Susan Scott także okazała się nieprzejednana.

- Oczywiście wyszła za Mila dla pieniędzy. Gdy już się dowie, że on nic nie ma, załatwimy unieważnienie. Tak czy owak to małżeństwo nie przetrwa.

Oboje fatalnie pomylili się w ocenie Ellen Dudash.

- Twój brat i szwagierka mnie nienawidzą, ale nie z nimi brałam ślub. Wyszłam za ciebie. Nie chcę jednak stawać między tobą a Byronem. Jeżeli jesteś nieszczęśliwy, Milo, powiedz, a odejdę.

Milo Scott wziął świeżo poślubioną żonę w ramiona i wyszeptał:

- Uwielbiam cię, a gdy poznacie się bliżej z Byronem i Susan, oni też będą cię wielbić.

Ellen tuliła męża mocno i myślała:

„Jest taki strasznie naiwny. I tak bardzo go kocham”.

Byron i Susan nie byli dla szwagierki niemili, ale traktowali ją protekcyjnie. Dla nich na zawsze miała pozostać dziewczuszką z Polski, która pracowała kiedyś w jednej z rodzinnych fabryk.

Ellen studiowała, czytała, uczyła się. Podpatrywała stroje żon przyjaciół Mila i naśladowała je. Postanowiła, że osiągnie poziom odpowiedni dla żony Scotta, i z czasem odniosła sukces. Jednak nie w oczach nowej rodziny. Z wolna niewinność dziewczyny zmieniła się w cynizm.

„Bogaci i potężni wcale nie są tacy wspaniali - stwierdziła. - Chcą tylko stać się bogatsi i potężniejsi”.

Ellen starannie chroniła męża, ale niewiele mogła zdziałać. Scott Industries, jeden z nielicznych na świecie konglomeratów przemysłowych pozostających w prywatnych rękach, w całości stanowił własność Byrona. Milo był tam po prostu płatnym pracownikiem i nie pozwalano mu o tym zapomnieć. Byron bezwstydnie wykorzystywał młodszego brata. To jemu dostawała się cała brudna robota, której wykonania nikt nie doceniał.

- Czemu to znosisz, Milo? Nie potrzebujesz go. Moglibyśmy stąd wyjechać. Zacząłbyś pracować na własny rachunek - namawiała Ellen.

- Nie potrafiłbym opuścić Scott Industries. Byron mnie potrzebuje. Z czasem Ellen

dostrzegła rzeczywistą przyczynę takiego postępowania. Milo był słaby. Potrzebował kogoś silnego, na kim mógłby się wesprzeć. Zrozumiała wtedy, że mąż nigdy nie znajdzie dość odwagi, by porzucić kompanię.

„Dobrze - stwierdziła z zawziętością. - Pewnego dnia kompania jednak przejdzie na własność Mila. Byron nie będzie żył wiecznie. A tylko Milo po nim dziedziczy”.

Gdy Susan Scott oznajmiła, że jest w ciąży, Ellen przeżyła wstrząs:

„Dziecko odziedziczy wszystko”. Po urodzeniu córki Byron stwierdził:

- Nic nie szkodzi, że to dziewczynka. Nauczę ją, jak prowadzić interesy.

„Drań” - pomyślała Ellen. Serce się jej krajało z powodu sytuacji męża. Milo powiedział jedynie:

- Czy to nie śliczne maleństwo?

Pilot lockheeda lodestara niepokoił się.

- Zbliża się front burzowy. To mi się nie podoba. - Kiwnął na drugiego pilota. -
Przejmij stery. - Potem opuścił kokpit i udał się do kabiny.

Poza pilotami na pokładzie znajdowało się pięciu pasażerów: Byron Scott, błyskotliwy założyciel i dyrektor generalny Scott Industries, jego atrakcyjna żona, ich roczna córeczka Patricia oraz młodszy brat Byrona Milo Scott z żoną Ellen. Lecieli jednym z firmowych samolotów z Paryża do Madrytu.

Na zabranie w podróż dziecka Susan zdecydowała się w ostatniej chwili.

- Nie cierpię rozstawać się z nią na tak długo - powiedziała do męża.

- Boisz się, że po powrocie nas nie pozna? - zakpił Byron. - Dobrze. Weźmy ją ze sobą.

Teraz, po zakończeniu drugiej wojny światowej, Scott Industries przebojem zdobywało rynek europejski. W Madrycie Byron Scott chciał zorientować się w możliwościach otwarcia nowej huty.

Pilot podszedł do dyrektora.

- Przepraszam pana. Wchodzimy w burzowe chmury i pogoda przed nami nie wygląda za dobrze. Czy chce pan zawrócić?

Byron wyjrzał przez okienko. Lecieli w masie szarych cumulusów, co kilka sekund rozświetlanych dalekimi błyskami.

- Mam dziś w Madrycie spotkanie. Możesz ominąć burzę?

- Spróbuję. Jeżeli się nie uda, będę musiał zejść z kursu. Byron Scott przyzwalająco skinął głową.

- Dobrze.

- Prosiłbym, żeby państwo zapięli pasy - dodał pierwszy pilot i pospiesznie wrócił do kokpitu.

Rozmowę tę usłyszała Susan. Wzięła na ręce dziecko i przytuliła je mocno. Nagle pożałowała, że wzięła małą ze sobą.

„Muszę powiedzieć Byronowi, żeby kazał pilotowi zawrócić” - pomyślała.

- Byron... W jednej chwili znaleźli się w centrum burzy, samolot zaczął podskakiwać i opadać, szarpany porywistymi wiatrami. Nawałnica nasilała się. O szyby walił deszcz. Burza drastycznie ograniczyła widoczność. Pasażerowie mieli wrażenie, że lecą wśród morza kłębiącej się waty.

Byron pstryknął włącznikiem interkomu.

- Gdzie jesteście, Blake?

- Dziewięćdziesiąt kilometrów na północny zachód od Madrytu, nad miastem Avila.

Starszy z braci Scottów ponownie spojrzął w okno.

- Damy sobie dziś spokój z Madrytem. Zawracajmy i wynośmy się stąd w cholerę.

- Zrozumiałem. Decyzja została podjęta o ułamek sekundy za późno. Gdy pilot zaczął przechylać samolot do skrętu, niespodziewanie wyłonił się przed nim wierzchołek góry. Zabrakło czasu na jakiegokolwiek manewry. Rozległ się dźwięk przypominający rozdieranie materiału i niebo eksplodowało, gdy lockheed zahaczył o zbocze i rozpadł się na kawałki, rozsiewając części kadłuba i skrzydeł po wysoko położonym płaskowyżu.

Po zderzeniu nastąpiła nienaturalna cisza, która zdawała się trwać całą wieczność. Przerwał ją trzask ognia liżącego podwozie samolotu.

- Ellen... Otworzyła oczy. Leżała pod drzewem. Milo pochylał się nad nią i lekko klepał po twarzy. Gdy zorientował się, że żona żyje, wyszeptał:

- Dzięki Bogu. Ellen Scott usiadła, oszołomiona, z pulsującą głową. Bolał ją każdy mięsień.

Zerknęła na ohydne szczątki wraku, który kiedyś był samolotem wypełnionym ludźmi, i zadrzała.

- A reszta? - zapytała chrapliwie.

- Nie żyją. Bezmyślnie wpatrywała się w męża.

- O mój Boże! Nie! Potwierdził, z twarzą ściągniętą z żalu.

- Byron, Susan, dziecko, piloci, wszyscy. Ellen zamknęła oczy i w duchu zmówiła modlitwę. „Dlaczego Milo i ja zostaliśmy oszczędzeni? - zastanawiała się. Z trudem mogła zebrać myśli. - Musimy zejść na dół i ściągnąć pomoc. Ale już za późno. Wszyscy zginęli”.

Nie mogła uwierzyć. Przed zaledwie kilkoma minutami byli tak pełni życia.

- Dasz radę wstać?

- Chyba tak. Milo pomógł żonie się podnieść. Ogarnęła ją fala przyprawiających o mdłości zawrotów głowy i chwilę stała nieruchomo, czekając, aż miną.

Milo odwrócił się, by spojrzeć na samolot. Płomienie zaczynały sięgać wyżej.

- Zabierajmy się stąd - powiedział. - To cholerstwo może wybuchnąć w każdej chwili.

W milczeniu odeszli kawałek i przyglądali się, jak wrak płonie. Chwilę później nastąpiła eksplozja, zbiorniki z paliwem rozerwały się z hukiem i samolot utonął w morzu ognia.

- Cud, że żyjemy - odezwał się Milo.

Ellen patrzyła na płonące szczątki lockheeda. Gdzieś na dnie umysłu zaczęła jej kiełkować jakaś myśl, ale wciąż nie myślała zbyt logicznie. Coś o Scott Industries. I nagle już wiedziała.

- Milo?

- Tak? - odezwał się, ale tak naprawdę nie słuchał.

- To przeznaczenie. Napięcie w głosie żony sprawiło, że Milo odwrócił się.

- Co?

- Scott Industries... teraz należą do ciebie.

- Nie...

- Milo, Bóg ci je przeznaczył - mówiła żarliwie. - Całe życie pozostawałeś w cieniu starszego brata. - Myślała już jasno, spójnie, zapomniała o bólu głowy i mięśni. Potok s łów, który kobieta z siebie wyrzucała, wprawiał w drżenie całe jej ciało. - Pracowałeś dla Byrona dwadzieścia lat, tworząc przedsiębiorstwo. Sukces jest dziełem tak twoim, jak Byrona, a czy... czy brat kiedykolwiek cię docenił? Nie. To zawsze była jego kompania, jego sukces, jego zyski. A teraz... teraz nareszcie masz szansę dostać, co twoje.

Milo spojrział na żonę ze zgrozą.

- Ellen... ich ciała jeszcze... jak w ogóle możesz myśleć o...

- Wiem. Ale nie my ich zabiliśmy. Teraz nasza kolej, Milo. Wreszcie dostaliśmy, co nasze. Nikt poza nami nie może rościć sobie praw do kompanii. Jest nasza! Twoja!

W tej właśnie chwili usłyszeli płacz. Ellen i Milo Scott popatrzyli na siebie z niedowierzaniem.

- To Patricia! Ona żyje! O mój Boże! Odnaleźli małą w pobliżu kępy krzewów. Jakimś cudem dziecko nie odniosło żadnych obrażeń.

Milo delikatnie podniósł maleństwo i przytulił.

- Cśśś! Już dobrze, kochanie - wyszeptał. - Wszystko będzie dobrze.

Ellen stała u boku męża, wyraźnie wstrząśnięta.

- Powiedziałaś, że nie żyje.

- Musiała stracić przytomność. Kobieta wpatrywała się w dziecko przez długą chwilę.

- Powinna była zginąć z innymi - odezwała się nie swoim głosem.

Milo spojrział na żonę przerażony.

- Co ty wygadujesz?

- Byron w testamencie wszystko zostawia Patricii. Może cieszy cię perspektywa zajmowania się nią przez następne dwadzieścia lat, żeby, gdy dorośnie, mogła traktować cię równie podle jak jej ojciec? Tego chcesz?

Milczał.

- Taka okazja nigdy więcej się nam nie trafi. - Ellen wpatrywała się w niemowlę dzikim wzrokiem. Milo do tej pory takiej jej nie widział. Zupełnie jakby chciała...

„Nie jest sobą. Cierpi na skutek wstrząsu”.

- Na litość boską, Ellen, o czym ty myślisz? Patrzyła na męża długą chwilę, a potem wyraz szaleństwa zniknął z jej oczu.

- Nie wiem - odparła spokojnie. A potem dodała: - Jest sposób. Możemy gdzieś ją zostawić. Pilot mówił, że jesteśmy w pobliżu Avila. Powinna tu być masa turystów. Nie ma powodu, żeby wiązać pojawienie się dziecka z katastrofą samolotu.

Pokręcił głową.

- Przyjaciele Byrona i Susan wiedzą, że zabrali Patricię ze sobą.

Ellen rzuciła okiem na płonący wrak.

- Żaden problem. Wszyscy spłonęli. Dyskretny pogrzeb urządzimy tutaj.

- Ellen - zaprotestował Milo - nie możemy tego zrobić. To się nie uda.

- Bóg dał nam tę okazję. Musi się udać. Milo spojrzał na maleństwo.

- Ale ona jest taka...

- Dziecku nic nie będzie - odparła kobieta uspokajająco. - Podrzucimy ją na jakąś ładną farmę za miastem. Zostanie adoptowana, dorośnie i wspaniale ułoży tu sobie życie.

Milo Scott przecząco pokręcił głową.

- Nie mogę. Nie.

- Jeśli mnie kochasz, zrobisz to dla nas. Musisz wybrać, Milo. Możesz albo mieć mnie, albo poświęcić resztę życia na pracę dla córki swojego brata.

- Proszę cię...

- Kochasz mnie?

- Nad życie - odpowiedział szczerze.

- Więc udowodnij to.

Ostrożnie schodzili z górskiego zbocza, pogrążeni w ciemnościach, smagani przez wiatr. Ponieważ katastrofa miała miejsce na terenie wysoko położonym, wśród lasów, które stłumiły huk wybuchów, mieszkańcy miasta nie wiedzieli na razie, co się stało.

Trzy godziny później Scottowie dotarli do niewielkiej farmy na przedmieściach Avila. Jeszcze nie dniało.

- Zostawimy ją tutaj - wyszeptała Ellen. Milo podjął ostatnią próbę.

- Czy nie moglibyśmy...?

- Zrób to! - rozkazała porywczo. Bez dalszych protestów zaniósł dziecko pod drzwi

domu. Mała miała na sobie jedynie podarte różowe śpioszki. Owinięta była w kocyk.

Milo przez długą chwilę patrzył na Patricię, a potem, ze łzami w oczach, delikatnie położył ją na próg.

- Niech ci się dobrze żyje, kochanie - wyszeptał.

Asunción Moras zbudził płacz. Zanim rozbudziła się na dobre, myślała, że to koźle lub jagnię.

„Jak wyszło z zagrody”?

Mrucząc pod nosem, wstała z ciepłego łóżka, włożyła stary spłowiały szlafrok i podeszła do drzwi.

Gdy zobaczyła leżące na ziemi niemowlę, które krzyczało i kopało, powiedziała:

- *Madre de Dios!* - I zawołała męża. Razem zabrali dziecko do środka i przyjrzeni mu się. Nie przestawało płakać i zaczęło sinieć.

- Musimy zawieźć je do szpitala. Pospiesznie owinęli niemowlę w jeszcze jeden koc, wsadzili do swojej ciężarówki i odtransportowali do szpitala. Tam usiedli na ławce w korytarzu, czekając, aż ktoś się nimi zajmie. Pół godziny później zjawił się lekarz, który zabrał dziewczynkę na badanie. Gdy wrócił, powiedział:

- Ma zapalenie płuc.

- Czy przeżyje? Internista wzruszył ramionami.

Milo i Ellen Scottowie ostatkiem sił dotarli na posterunek policji w Avila. Siedzący przy biurku sierżant zobaczył dwójkę obszarganych turystów.

- *Buenos dias*. Czym mogę służyć?

- Zdarzył się okropny wypadek - powiedział Milo. - Nasz samolot rozbił się w górach i...

Godzinę później oddział ratowników był już w drodze. Gdy przybyli na miejsce, nie znaleźli nic, poza tłącymi się zwęglonymi szczątkami samolotu i jego pasażerów.

Śledztwo w sprawie katastrofy samolotowej, przeprowadzone przez władze hiszpańskie, było dość pobieżne.

- Pilot nie powinien lecieć podczas takiej burzy. Musimy uznać wypadek za powstały z jego winy.

Nikt z mieszkańców Avila nie powiązał faktu rozbicia się samolotu z pozostawieniem na schodach farmerskiego domu małego dziecka. Tak wszystko się skończyło. Tak wszystko się zaczęło.

Milo i Ellen urządzili Byronowi, jego żonie Susan oraz ich córeczce Patricii dyskretny pogrzeb. Po powrocie do Nowego Jorku zorganizowali drugą uroczystość żałobną, w której

wzięli udział zszokowani przyjaciele Scottów.

- Co za potworna tragedia. I ta biedna mała Patricia.

- Tak - ze smutkiem odpowiadała Ellen. - Jedyne szczęście, że wszystko stało się tak szybko, że nikt z nich nie cierpiał.

Środowisko finansistów przeżyło wstrząs. Wszyscy niemal jednogłośnie zgodzili się, że wraz ze śmiercią Byrona Scotta, Scott Industries poniosło niepowetowaną stratę.

- Nie słuchaj tego, co mówią - powiedziała Ellen Scott mężowi. - Jesteś lepszy od Byrona. Kompania stanie się większa niż kiedykolwiek.

Milo wziął ją w ramiona.

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił. Kobieta uśmiechnęła się.

- Nie będziesz miał okazji się dowiedzieć. Od tej pory będziemy mieli wszystko, o czym marzyliśmy.

Ellen tuliła Mila i myślała:

„Kto by uwierzył, że Ellen Dudash, pochodząca z biednej polskiej rodziny w Gary, w stanie Indiana, pewnego dnia powie: «Od tej pory będziemy mieli wszystko, o czym marzyliśmy?»”

I nie wątpiła w swoje słowa.

Dziewczynka pozostawała w szpitalu przez dziesięć dni, walcząc ze śmiercią, a gdy kryzys minął, ojciec Berrendo udał się na spotkanie z farmerem i jego żoną.

- Mam dla was radosną wiadomość - oznajmił zadowolony. - Dziecku nic nie będzie.

Zakłopotani Morasowie wymienili spojrzenia.

- Cieszymy się - odparł farmer wymijająco. Ojciec Berrendo rozjaśnił się w uśmiechu.

- To dziecko jest darem od Boga.

- Z pewnością, proszę ojca. Ale żona i ja po namyśle zdecydowaliśmy, że Bóg był dla nas zbyt hojny. Jego podarunek trzeba wykarmić. Nie możemy sobie pozwolić, by go zatrzymać.

- Ale to taka śliczna dziewczynka - zwrócił uwagę duchowny. - I...

- Zgadzam się z ojcem. Ale jesteśmy z żoną starzy i schorowani. Nie możemy wziąć na siebie odpowiedzialności za wychowanie dziecka. Bóg będzie musiał zabrać swój prezent.

I tak, z braku innych możliwości, dziewczynkę posłano do sierocińca w Avila.

Państwo Scottowie siedzieli w biurze prawnika Byrona Scotta, czekając na odczytanie testamentu. Poza nimi nikt nie był obecny. Ellen ogarnęło podniecenie niemal nie do zniesienia. Kilka słów zapisanych na kawałku papieru uczyni Mila i ją bogatymi ponad wszelkie wyobrażenie.

„Kupimy dzieła sztuki, posiadłość w Southampton i zamek we Francji. A to dopiero początek”.

Prawnik zaczął mówić i Ellen na nim skupiła uwagę. Kilka miesięcy wcześniej widziała kopię ostatniej woli Byrona i dokładnie wiedziała, jak ona brzmi:

„W wypadku, gdybyśmy oboje z żoną zmarli, zapisuję wszystkie moje udziały w Scott Industries mojej jedynej córce, Patricii. Na egzekutora tego testamentu wyznaczam mego brata Mila, do czasu, gdy Patricia osiągnie pełnoletniość i będzie w stanie przejąć...”

„Teraz to nieaktualne” - myślała podekscytowana Ellen.

Prawnik, Lawrence Gray odezwał się z namaszczeniem:

- Dla nas wszystkich był to straszny wstrząs. Wiem, jak bardzo kochałeś brata, Milo, a także to kochane maleństwo... - Pokiwał głową. - Cóż, życie musi toczyć się dalej. Nie wiecie, być może, że Byron zmienił swój testament. Nie będę zawracał wam głowy szczegółami natury prawnej. Od razu przejdę do sedna. - Przesunął kciukiem po papierze aż do paragrafu, którego szukał. - *Wnoszę do testamentu poprawkę, na mocy której moja córka, Patricia, otrzyma kwotę pięciu milionów dolarów oraz dodatkowo kwotę miliona dolarów raz w roku do dnia jej śmierci. Wszystkie udziały w Scott Industries, będące w moim posiadaniu, przekazuję bratu, Milowi, jako nagrodę za wierną, nieocenioną pomoc, jaką świadczył kompanii przez lata.*

Milo poczuł, że pokój zaczyna wirować.

Pan Gray podniósł wzrok znad lektury.

- Dobrze się czujesz? Milo oddychał z trudem. „Dobry Boże, co myśmy zrobili? - myślał. - Pozbawiliśmy ją praw należnych z urodzenia, i to zupełnie niepotrzebnie. Teraz musimy jej wszystko oddać”.

Odwrócił się do Ellen, chcąc coś powiedzieć, ale powstrzymał go wyraz oczu żony.

- Musi być jakieś wyjście z tej sytuacji. Nie możemy Patricii tak po prostu tam zostawić. Nie teraz.

W znajdującym się przy Piątej Alei apartamencie ubierali się na przyjęcie dobroczynne.

- Nie zrobimy dokładnie nic - stwierdziła Ellen. - Chyba że chcesz ją tu sprowadzić i wyjaśnić, dlaczego powiedzieliśmy, że zginęła w pożarze samolotu.

Na takie stwierdzenie Milo nie znalazł odpowiedzi. Po krótkim zastanowieniu powiedział:

- Więc dobrze. Co miesiąc będziemy posyłać jej pieniądze, żeby mogła...

- Nie bądź głupi, Milo - szorstko ucięła Ellen. - Posyłać pieniądze? I mieć na karku

policję, która trafi na nasz ślad, gdy zacznie dochodzić, dlaczego ktoś przysyła jej pieniądze? Nie. Jeżeli gnębi cię sumienie, dopilnujemy, żeby kompania dawała pieniądze na dobroczynność. Zapomnij o tym dziecku, Milo. Ona nie żyje, pamiętasz?

„Pamiętasz... pamiętasz... pamiętasz...”

Słowa te zadźwięczały w myślach Ellen Scott, gdy kończąc przemowę, spojrzała na tłum zebrany w sali balowej hotelu Waldorf - Astoria. Kolejna owacja na stojąco.

„Klaszczecie martwej kobiecie” - pomyślała.

Tej nocy wróciły duchy. A była przekonana, że wyegzorczyła je dawno temu. Z początku, po nabożeństwie żałobnym za szwagra, szwagierkę i Patricię, nocami goście zjawiali się regularnie. Błede zjawy unosiły się nad łóżkiem Ellen i coś szeptały. Budziła się z walącym sercem, ale nic nie mogła dojrzeć. Nie zdradziła się z tym przed mężem. Milo był słaby i mógłby się przerazić na tyle, żeby zrobić coś głupiego, coś, co naraziłoby na szwank kompanię. Jeżeli prawda wyszłaby na jaw, skandal zniszczyłby Scott Industries. Ellen twardo postanowiła, że nigdy do tego nie dopuści. Więc znosiła wizyty duchów w milczeniu, aż wreszcie odeszły i zostawiły ją w spokoju.

Teraz, w nocy po bankiecie, wróciły. Ellen rozbudzona usiadła na łóżku i obrzuciła sypialnię wzrokiem. Pokój był pusty i cichy, ale czuła, że gdzieś tu są. Co chciały jej powiedzieć? Czy wiedziały, że niedługo do nich dołączy?

Wstała i przeszła do obszernego, zastawionego antykami salonu. Ten dom w mieście nabyła po śmierci Mila. Rozejrzała się po uroczym pomieszczeniu i pomyślała:

„Biedny Milo”.

Nie miał czasu nacieszyć się bogactwem, które zyskał dzięki śmierci brata. Zmarł na atak serca w rok po katastrofie samolotu i kompanią zajęła się Ellen Scott, prowadząc przedsiębiorstwo tak efektywnie i z taką wirtuozerią, że Scott Industries w nieprawdopodobnym tempie zyskało światowe znaczenie.

„Kompania należy do rodziny Scottów - myślała kobieta. - Nie oddam firmy w ręce jakichś obcych”.

A to przywiodło jej na myśl córkę Byrona i Susan. Prawowitą spadkobierczynią przemysłowego tronu, którą z niego okradziono.

Trudno stwierdzić, czy Ellen poczuła strach, czy zapragnęła odkupić przed śmiercią swe winy. Przesiedziała w salonie całą noc, wpatrując się w nicość, rozmyślając i planując. Ile to już lat? Dwadzieścia osiem. Patricia jest dorosłą kobietą, zakładając oczywiście, że żyje. Jakie prowadzi życie? Czy wyszła za farmera albo kupca z wioski? Czy ma dzieci? Nadal mieszka w Avila, czy przeprowadziła się gdzie indziej?

„Muszę ją odnaleźć - postanowiła Ellen. - I to szybko. Jeśli Patricia żyje, muszę ją zobaczyć, porozmawiać z nią. Muszę nareszcie wyrównać rachunki. Pieniądze mogą zmienić kłamstwa w prawdę. Znajdę sposób na rozwiązanie tej sytuacji tak, żeby nie domyśliła się, co naprawdę zaszło”.

Następnego ranka Ellen posłała po Alana Tuckera, szefa ochrony Scott Industries. Ten dawny detektyw miał czterdziestkę, był chudy, łysiejący, o ziemistej cerze. Ciężko pracował i odznaczał się błyskotliwym umysłem.

- Chcę, żebyś załatwił dla mnie pewną sprawę.

- Tak jest, pani Scott. Przez moment przyglądała się mężczyźnie, zastanawiając się, ile może mu powiedzieć.

„Nie powiem nic - postanowiła. - Dopóki żyję, nie narażę ani siebie, ani kompanii na żadne niebezpieczeństwo. Najpierw niech znajdzie Patricję, a potem zdecyduję, jak sobie z nią poradzić”.

Pochyliła się w przód.

- Dwadzieścia osiem lat temu na farmie niedaleko hiszpańskiego miasteczka Avila pozostawiono sierotkę. Chcę, żebyś ją odnalazł i sprowadził do mnie najszybciej, jak się da.

Alan Tucker zachował kamienną twarz. Pani Scott nie lubiła, gdy jej pracownicy okazywali emocje.

- Tak jest, proszę pani. Wyjeżdżam jutro.

Pułkownik Romón Acoca był w bojowym nastroju. Części łamigłówek nareszcie zaczynały do siebie pasować. Do biura wszedł ordynans.

- Przyszedł pułkownik Sostelo.

- Wprowadź. „Już go nie potrzebuję - pomyślał Acoca. - Może wracać do swoich ołowianych żołnierzyków”. W drzwiach stanął Fal Sostelo.

- Witam, pułkowniku.

- Witam. „Co za ironia - rozważał Sostelo. - Jesteśmy równi stopniem, a ten olbrzym z bliźną ma władzę mi rozkazywać. Tylko dlatego, że związał się z OPUS MUNDO”.

Sostelo czuł się upokorzony koniecznością spełniania poleceń Acoki jak pierwszy lepszy ciura, ale udało mu się zapanować nad uczuciami.

- Chciał mnie pan widzieć?

- Tak. - Acoca wskazał krzesło. - Proszę usiąść. Mam dla pana wiadomości. Zakonnice są z Jaimem Miro.

- Co?

- Owszem. Podróżują z Miro i jego ludźmi. Rozdzielili się na trzy grupy.

- Skąd te informacje? Ramon Acoca usiadł wygodniej.

- Gra pan w szachy?

- Nie.

- Szkoda. Bardzo pouczająca rozrywka. Żeby być dobrym graczem, trzeba myśleć tak, jak przeciwnik. Jaime Miro i ja rozgrywamy partię.

Fal Sostelo spojrzał na Acocę zaskoczony.

- Nie rozumiem jak...

- Proszę nie brać tego dosłownie, pułkowniku. Nie na szachownicy, a w myślach. Mam wrażenie, że rozumiem Miro lepiej niż ktokolwiek na świecie. Znam jego sposób rozumowania. Wiedziałem, że spróbuje wysadzić zaporę w Puente la Reina. I tam właśnie schwytaliśmy trzech zastępców Baska, a on sam wymknął się jedynie przypadkiem. Byłem pewien, że podejmie starania, żeby ich uwolnić, i Miro wiedział, że ja wiem. - Acoca wzruszył ramionami. - Nie przewidziałem, że dla osłonięcia akcji wykorzysta byki! - W głosie mężczyzny zabrzmiała nuta podziwu.

- Mówi pan, jakby...

- Jakbym go podziwiał? Podziwiam umysł, gardzę nim jako człowiekiem.

- Wie pan, dokąd Miro zmierza?

- Na północ. Złapię go w przeciągu najbliższych trzech dni.

Pułkownik Sostelo aż otworzył usta ze zdziwienia.

- Nareszcie szach i mat. Acoca rzeczywiście rozumiał Jaimego Miro i znał jego sposób myślenia, ale nie dawało mu to satysfakcji. Pułkownik pragnął konfrontacji i gwarancji zwycięstwa. I wreszcie uzyskał przewagę.

- Jak...?

- Jeden z terrorystów Miro - wyjaśnił Acoca - jest naszym informatorem.

Rubio, Tomas i dwie przydzielone im zakonnice omijali większe miasta i wędrowali bocznymi drogami. Przechodzili obok wiekowych kamiennych wiosek i stad owiec oraz kóz, wypasanych przez pasterzy, którzy słuchali muzyki lub transmisji meczów piłkarskich na swych tranzystorowych radiach.

Nawet to barwne zestawienie przeszłości i teraźniejszości nie mogło skierować myśli Lucii na inne tory. Trzymała się blisko siostry Teresy, by przy pierwszej dogodnej okazji zabrać krzyż i zniknąć. Jednak mężczyźni zawsze byli w pobliżu.

Wysoki, sympatyczny i pogodny Rubio Arzano sprawiał wrażenie bardziej rozgarniętego z dwójki.

„Prostoduszny wieśniak” - oceniła go Lucia.

Tomas Sanjuro był drobny i łysiejący.

„Wygląda raczej na komiwojażera niż na terrorystę. Wykiwam obu bez trudu”.

Równiny otaczające Avilę od północy przecięli nocą, drząc w zimnym wietrze wiejącym od gór Guadarrama. W świetle księżycy wyżyna ziała pustką. Mijali *granjas*^{*}, na których uprawiano pszenicę, oliwki, winogrona i kukurydzę. Podbierali z pól ziemniaki i sałatę, z kurników jaja i kurczęta, z drzew zrywali owoce.

- Cała hiszpańska wieś to jeden wielki targ - stwierdził Rubio Arzano.

Tomas Sanjuro wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- I wszystko za darmo. Siostra Teresa pozostawała całkowicie obojętna na otaczający ją świat.

Myślała tylko o tym, żeby dotrzeć do klasztoru w Mendavii. Krzyż z każdą chwilą przybierał na wadze, ale zdecydowana była nie wypuścić go z rąk ani na chwilę.

„Niedługo - obiecywała sobie. - Niedługo dojdziemy. Uciekamy przed naszymi wrogami z Cetsemani do nowego schronienia. On je dla nas przygotował”.

- Co takiego? - zapytała Lucia. Siostra Teresa nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos.

*Granjas - (hiszp.) ферmy, gospodarstwa.

- Nic, nic - wymamrotała. Lucia uważniej przyjrzała się swej towarzyszce. Starsza kobieta wyglądała na oszołomioną i jakby nie zorientowaną, co się wokół niej dzieje. Dziewczyna wskazała na niesiony przez zakonnice pakunek, owinięty w płótno.

- Musi być ciężki - zauważyła współczująco. - Może zastąpię siostrę przez chwilę?

Siostra Teresa kurczowo przycisnęła paczkę do siebie.

- Jezus dźwigał większy ciężar. Mogę to nieść dla Niego. Czyż nie jest napisane u świętego Łukasza: „Jeśli kto chce iść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech co dnia bierze krzyż swój i niech Mnie naśladuje”? Doniose - odparła z uporem.

Wypowiedź tę wygłosiła dość dziwnym tonem.

- Czy siostra dobrze się czuje?

- Oczywiście.

Stwierdzenie to dalekie było od prawdy. Siostra Teresa nie mogła spać, miała zawroty głowy i gorączkę. Wyobrażenia znów płała jej figle.

„Nie wolno mi się rozchorować - myślała. - Siostra Betina mnie zbeszta”.

Ale przeoryszy nie było w pobliżu. Jej nieobecność wprawiała Teresę w zmieszanie. I co to za mężczyźni?

„Nie ufam im. Czego ode mnie chcą”? Rubio Arzano próbował wciągnąć starszą zakonnice do rozmowy, żeby choć trochę się rozluźniła.

- Musi się siostra dziwnie czuć z powrotem w świecie. Jak długo przebywała siostra w klasztorze?

„Czemu chce wiedzieć”?

- Trzydzieści lat.

- Rany, naprawdę długo. Skąd siostra pochodzi? Ból sprawiało nawet wymówienie tej nazwy.

- Z Eze. Rubio rozjaśnił się w uśmiechu.

- Z Eze? Kiedyś byłem tam na wakacjach. Śliczne miasto, dobrze je znam. Pamiętam...

„«Dobrze je znam». Jak dobrze? Czy zna Raoula? Czy Raoul go tu przysłał”?

Prawda uderzyła Teresę jak obuchem. Ci obcy zostali przysłani, żeby sprowadzić ją z powrotem do Eze, do Raoula Giradota. Została porwana. To kara boża za opuszczenie dziecka Moniki. Miała już pewność, że niemowlę, które widziała na rynku w Villacastin, należało do jej siostry.

- Niemożliwe, prawda? To było trzydzieści lat temu - mruknęła do siebie. - Okłamują mnie.

Rubio Arzano obserwował kobietę, przysłuchując się temu mamrotaniu.

- Czy coś nie w porządku, siostrze? Zakonnica wzdrygnęła się nerwowo.

- Nie. Przejrzała ich. Nie pozwoli zaprowadzić się do Raoula i dziecka. Musi dotrzeć do klasztoru w Mendavii i donieść tam złoty krucyfiks, a wtedy Bóg odpuści jej okropny grzech, który popełniła.

„Muszę być ostrożna. Nie mogę się zdradzić, że ich przejrzałam”.

Siostra Teresa podniosła wzrok na Rubia.

- Nic mi nie jest - powiedziała. Przez suche, wypalone słońcem równiny doszli do małej wioski, gdzie odziana w czerń wieśniaczka robiła pranie przy źródle, osłoniętym daszkiem. Konstrukcja wspierała się na czterech wiekowych słupach. Woda przepływała przez długie, drewniane koryto, tak że zawsze była świeża. Kobieta tarła prane rzeczy na kamiennych płytach, a potem do czysta płukała w bieżącej wodzie.

„Co za sielankowa scena” - pomyślał Rubio. Wspomniał własną, opuszczoną farmę. - „Taka Hiszpania była dawniej. Bez bomb, bez zabijania. Czy jeszcze kiedyś zaznamy pokoju”?

- *Buenos dias.*

- *Buenos dias.*

- Moglibyśmy się napić? Wędrowniaki budzi pragnienie.

- Oczywiście. Proszę. Woda była zimna i odświeżająca.

- *Gracias. Adiós.*

- *Adiós.* Rubio odchodził z najwyższą niechęcią.

Dwie kobiety i ich eskorta poszli dalej wśród oliwek i dębów korkowych. Powietrze przesyciły zapachy dojrzałych winogron i pomarańcz. Mijali sady jabłkowe, wiśniowe i śliwkowe, z pobliskich farm dobiegało ich gdakanie, pochrząkiwanie, beczenie.

Rubio i Tomas wysforowali się naprzód i cicho rozmawiali.

„Mówią o mnie. Nie wiedzą, że znam ich plany”.

Siostra Teresa zbliżyła się do mężczyzn, by usłyszeć, o czym rozprawiają.

- ... nagrodę pięć tysięcy peso za nasze głowy. Oczywiście za Jaimego pułkownik Acoca zapłaciłby więcej, ale nie chce jego głowy, tylko *cojones**.

Roześmieli się.

Pod wpływem podsłuchanej rozmowy podejrzania zakonnicy wzmożyły się. „To mordercy na usługach szatana, posłańcy diabła, którzy zjawili się, żeby skazać mnie na wieczne piekło. Ale Bóg jest silniejszy niż oni. Nie pozwoli zabrać mnie z powrotem do domu”.

*Cojones - (hiszp.) wulg. genitalia

Przy boku kobiety zjawił się Raoul Giradot, uśmiechając się w sposób, który tak dobrze znała.

„Ten głos!”

„Przepraszam”?

- Wczoraj w kościele słyszałem pani śpiew. Jest pani wspaniała.

- Czym mogę służyć?

- Chciałabym prosić o trzy metry muślinu.

- Bardzo proszę. Tędy... Moja ciotka jest właścicielką tego sklepu, a ponieważ potrzebowała pomocy, pomyślałem, że trochę tu popracuję.

- Tereso, z pewnością mogłabyś mieć każdego mężczyznę, którego byś zapragnęła, mam jednak nadzieję, że wybierzesz mnie.

Był taki przystojny.

- Do tej pory nie znałem nikogo takiego jak ty, moja kochana.

Raoul wziął ją w ramiona i całował.

- Będziesz piękną panną młodą.

„Ale teraz jestem oblubienicą Chrystusa. Nie mogę wrócić do Raoula”. Lucia uważnie obserwowała swą towarzyszkę. Starsza kobieta mówiła coś do siebie, ale nie dało się rozróżnić słów.

„Zaczyna się załamywać - zauważyła dziewczyna. - Nie dojdzie. Muszę niedługo dostać ten krzyż w swoje ręce”.

Zapałał już zmierzch, gdy z daleka zobaczyli Olmedo.

Rubio zatrzymał się.

- Tam będą żołnierze. Wejźmy na wzgórza i obejźmy miasto.

Opuścili szosę i zostawili za sobą równinę, zmierając w stronę wzgórz nad Olmedo. Promienie słońca ślizgały się po wierzchołkach gór, niebo ciemniało.

- Musimy przejść jeszcze tylko parę kilometrów - uspokajająco zapewnił Rubio Arzano. - Potem odpoczniemy.

Osiągnęli wysoką grań, gdy Tomas Sanjuro uniósł dłoń.

- Stójcie - wyszeptał. Rubio podszedł do kolegi i razem podkradli się do skraju górskiego wału, by spojrzeć w dolinę. W dole obozowali żołnierze.

- *Mierda!* - szeptem zaklął Rubio. - Chyba cały pluton. Zostaniemy tu przez resztę nocy. Rano pewnie się zwiną i będziemy mogli ruszyć dalej. - Zwrócił się do Lucii i siostry Teresy, próbując ukryć, jak bardzo się niepokoi. - Noc spędzimy tutaj, proszę sióstr. Musimy zachowywać się bardzo cicho. Na dole są żołnierze, a nie chcemy, żeby nas znaleźli.

Najlepsza wiadomość, jakiej Lucia mogła się spodziewać.

„Doskonale - pomyślała. - W nocy zniknę z krzyżem. Z powodu żołnierzy nie ośmielą się mnie ścigać”.

Dla starszej zakonnicy informacja ta miała odmienne znaczenie. Słyszała, jak mężczyźni w rozmowie stwierdzili, że szuka ich pułkownik nazwiskiem Acoca.

„Uważają pułkownika Acocę za wroga. Ale to oni są wrogami, więc Acoca musi być moim przyjacielem. Dzięki Ci, Boże, za przysłanie pułkownika Acoki”.

Ten wysoki, imieniem Rubio, mówił coś.

- Czy siostra rozumie? Musimy zachowywać się niezwykle cicho.

- Tak, rozumiem. „Rozumiem więcej, niż przypuszczasz”. Nie mieli pojęcia, że Bóg pozwolił siostrze Teresie zajrzeć w ich złe serca.

Tomas Sanjuro odezwał się życzliwie:

- Wiem, że musi być wam ciężko, ale nie martwcie się. Dopilnujemy, żebyście bezpiecznie trafiły do klasztoru.

„Ma na myśli Eze. Ależ z niego spryciarz. Te słodkie, diabelskie słówka. Ale Bóg jest ze mną i prowadzi mnie”.

Wiedziała, co musi zrobić. Należało jednak zachować ostrożność. Mężczyźni rozłożyli dla zakonnicy swoje śpiwory.

- Prześpijcie się teraz. Lucia i siostra Teresa wyciągnęły się na zaimprovizowanym posłaniu. Noc była niezwykle jasna, na niebie pobłyskiwały migotliwe gwiazdy.

Lucia spojrzała na nie i pomyślała uradowana:

„Za kilka godzin wyruszę w drogę do wolności. Kiedy tylko tamci zasną”.

Ziewnęła. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo jest zmęczona. Długa, forsowna wędrówka i napięcie emocjonalne zrobiły swoje. Dziewczynie zaciążyły powieki.

„Odpocznę chwilę” - postanowiła.

I już spała.

Siostra Teresa leżała przy boku Lucii zupełnie rozbudzona, walcząc z demonem, który próbował osiąść jej duszę.

„Muszę być silna. Pan wystawia mnie na próbę. Zostałam skazana na wygnanie, żebym mogła odnaleźć drogę do Niego. Ale ci mężczyźni usiłują mnie powstrzymać. Nie pozwolę na to”.

O czwartej nad ranem siostra Teresa bezszelestnie usiadła i rozejrzała się. Tomas Sanjuro spał zaledwie parę metrów dalej. Wysoki, ciemnowłosa Rubio trzymał straż na skraju polany, zwrócony do zakonnicy plecami. Między drzewami dostrzegła jego sylwetkę.

Bardzo cicho wstała. Zawahała się, pomyślawszy o krzyżu.

„Może powinnam go zabrać? Ale niedługo tu wrócę. Muszę znaleźć miejsce, gdzie do tego czasu będzie bezpieczny”. - Spojrzała na śpiącą w pobliżu siostrę Lucię. - „Tak. Zostawię go mojej siostrze w Chrystusie” - postanowiła.

Bezgłośnie podeszła do śpiącej i delikatnie wsunęła pakunek do wnętrza śpiwora. Lucia nawet nie drgnęła. Siostra Teresa odwróciła się i weszła w las, trzymając się poza zasięgiem wzroku Rubia. Ostrożnie zaczęła przekradać się w stronę żołnierskiego obozu w dolinie. Zbocze było urwiste i śliskie od rosy, ale Bóg dodał zakonnicy skrzydeł i spieszyła na dół, ku swemu wybawieniu, bez potknięcia czy upadku.

W ciemności przed siostrą Teresą nagle zmaterializowała się sylwetka mężczyzny.

Jakiś głos zawołał:

- Kto idzie?

- Siostra Teresa. Dotarła do ubranego w mundur wartownika, który mierzył do niej z karabinu.

- Skąd się tu wzięłaś, starucho? - zapytał żołnierz. Zakonnica spojrzała na niego gorejącymi oczyma.

- Bóg mnie przysłał. Wartownik gapił się na kobietę.

- Tak teraz?

- Tak. Przysłał mnie, żebym zobaczyła się z pułkownikiem Acoca.

Strażnik pokręcił głową.

- Lepiej Mu powiedz, że nie jesteś w typie pułkownika. *Adios, señora.*

- Nie rozumie pan. Jestem siostra Teresa z klasztoru cysterek. Zostałam wzięta do niewoli przez Jaimego Miro i jego ludzi.

Na twarzy żołnierza odmalowało się najwyższe zdumienie.

- Jesteś... jesteś z klasztoru?

- Tak.

- Tego w Avila?

- Tak - odparła zniecierpliwiona. Co się dzieje z tym człowiekiem? Nie zdaje sobie sprawy, jak ważne jest, by została wyratowana z rąk tamtych złych ludzi?

Wartownik odpowiedział ostrożnie:

- W tej chwili pułkownika nie ma, siostrzo... Niespodziewana przeszkoda.

- ...ale zastępuje go pułkownik Sostelo. Mogę zaprowadzić siostrę do niego.

- Czy będzie w stanie mi pomóc?

- Z pewnością. Proszę za mną. Strażnik nie wierzył własnemu szczęściu. W

poszukiwaniu czterech zakonnic pułkownik Fal Sostelo rozesłał po okolicy szwadrony żołnierzy. Nie powiodło się im. A teraz jedna z sióstr zabłądziła do obozu i oddała się w jego ręce. Dowódca będzie bardzo zadowolony.

Dotarli do namiotu, w którym pułkownik Sostelo wraz ze swym zastępcą ślęczeli nad mapą. Mężczyźni podnieśli wzrok na wchodzących strażnika i kobietę.

- Przepraszam, panie pułkowniku. To siostra Teresa z klasztoru cysterek.

Pułkownik Sostelo przyjrzał się nowo przybyłej z niedowierzaniem. Od trzech dni całą swą energię poświęcał na znalezienie Jaimego Miro i zakonnic, a teraz miał przed sobą jedną z nich. Jednak Bóg istnieje.

- Proszę usiąść, siostrze. „Nie ma czasu” - pomyślała siostra Teresa. Musi mu uświadomić, jaka to pilna sprawa.

- Trzeba się spieszyć. Próbuje zabrać mnie z powrotem do Eze.

Pułkownik poczuł się zakłopotany.

- Kto próbuje zabrać siostrę do Eze?

- Ludzie Jaimego Miro. Sostelo zerwał się na równe nogi.

- Czy siostra wie przypadkiem, gdzie są ci ludzie?

- Oczywiście - odpowiedziała zakonnica niecierpliwie. - Odwróciła się i wskazała. - Ukrywają się na tych wzgórzach, nad wami.

Alan Tucker przybył do Avila następnego dnia po rozmowie z Ellen Scott. Lot trwał długo, ale Tucker zamiast spodziewanego wyczerpania czuł się ożywiony. Ellen Scott nie miała kaprysów.

„Za tym wszystkim kryje się coś dziwnego - rozmyślał Alan. - A coś mi mówi, że jeśli właściwie rozegram swoje karty, mogę na tym nieźle zarobić”.

Zameldował się w hotelu Cuatro Postes, a potem zagadnął siedzącego za biurkiem recepcjonistę:

- Jest tu w pobliżu jakieś biuro prasowe?

- W dole ulicy, *señor*. Musi pan pójść w lewo, dwie przecznice dalej. Nie da się go przeoczyć.

- Dziękuję.

- *De nada**. Idąc główną ulicą wracającego do życia po popołudniowej sjeście miasta, Tucker myślał o tajemniczej dziewczynce, którą miał odszukać. To musi być coś ważnego. Ale dlaczego? Doskonale pamiętał słowa pracodawczyni:

- Jeżeli żyje, sprowadź ją do mnie. I nie wolno ci tego z nikim omawiać.

- Oczywiście, proszę pani. Co mam dziewczynie powiedzieć?

- Tylko tyle, że chce ją poznać przyjaciel ojca. Wtedy przyjedzie. Tucker odnalazł biuro prasowe. Wszedł i zwrócił się do jednego z zajętych pracą ludzi.

- *Perdone*** , chciałbym się widzieć z redaktorem na czelnym.

Mężczyzna wskazał biuro.

- Tam, *señor*.

- *Gracias*. Alan podszedł do otwartych drzwi i zajrzał do środka. Za biurkiem siedział trzydziestoparoletni mężczyzna, zajęty redagowaniem jakiegoś tekstu.

- Przepraszam - odezwał się detektyw. - Mógłbym zamienić z panem parę słów?

Redaktor podniósł wzrok.

- Czym mogę służyć?

- Szukam *señority*. Dziennikarz uśmiechnął się.

- Podobnie jak my wszyscy, *señor*.

- Jako dziecko została pozostawiona na pobliskiej farmie.

Uśmiech zniknął.

**De nada - (hiszp.) nie ma za co.

***Perdone - (hiszp.) przepraszam

- Och. Porzucona?

- Tak.

- A pan próbuje ją odszukać?

- Tak.

- Kiedy to miało miejsce, *señor*?

- Dwadzieścia osiem lat temu. Młody mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie moje czasy. „Może nie pójść tak łatwo, jak myślałem” - stwierdził

Tucker.

- Czy jest pan w stanie wskazać kogoś, kto mógłby mi pomóc?

Redaktor odchylił się w krześle i popadł w zadumę.

- Właściwie tak. Sugerowałbym rozmowę z ojcem Berrendo.

Aby wysłuchać obcego, duchowny usiadł w swej pracowni, otulając chude nogi sutanną.

Gdy Alan Tucker wyjaśnił, co go sprowadza, ksiądz zapytał:

- Czemu interesuje się pan tą sprawą, *señor*? To dawne dzieje.

Tucker zawahał się, a potem powiedział, starannie dobierając słowa.

- Nie wolno mi tego zdradzić. Mogę tylko zapewnić księdza, że kobiecie tej nie grozi nic złego. Czy mógłby ksiądz choćby wskazać mi farmę, na której znaleziono dziecko?

„Farma”.

Wartkim strumieniem napłynęły wspomnienia dnia, w którym Morasowie, oddawszy dziewczynkę do szpitala, przyszli po radę.

- Ona chyba umiera, proszę księdza. Co powinniśmy zrobić?

Duchowny zadzwonił do swego przyjaciela dona Morago, szefa policji.

- Wydaje mi się, że dziecko zostało porzucone przez odwiedzających Avila turystów. Mógłbyś sprawdzić w hotelach i zajazdach, czy ktoś wprowadził się z niemowlęciem, a wyjechał bez niego?

Policja przejrzała karty meldunkowe, do których wypełniania zobowiązane były wszystkie hotele, ale nic to nie dało.

- Zupełnie, jakby ta mała spadła z nieba - stwierdził don Morago.

Nie miał pojęcia, jak bliski był rozwiązania zagadki. Gdy ojciec Berrendo przywiózł niemowlę do sierocińca, Mercedes Angeles zapytała:

- Jak ma na imię?

- Nie wiem.

- Nie znaleźliście kocyka czy czegoś innego z imieniem?

- Nie. Mercedes popatrzyła na dziecko, które ksiądz trzymał w ramionach.

- Więc musimy jakoś ją nazwać, prawda? - Właśnie skończyła czytać romans, którego bohaterka nosiła ładne imię, więc zdecydowała: - Megan. Nazwiemy dziewczynkę Megan.

Czternaście lat później ojciec Berrendo zabrał Megan do klasztoru cysterek.

A teraz szuka jej ten obcy.

„W życiu wszystko wraca do punktu wyjścia - pomyślał ksiądz. - I w jakiś dziwny sposób spotkało to również Megan. Nie, nie Megan. Tak została nazwana w sierocińcu”.

- Proszę usiąść, *señor* - zaprosił duchowny. - Mam panu wiele do powiedzenia.

I opowiedział całą historię.

Gdy ojciec Berrendo skończył, Alan Tucker chwilę milczał, próbując opanować nawałę myśli. Ellen Scott musi mieć niebagatelny powód, żeby interesować się dzieckiem porzuconym na hiszpańskiej farmie dwadzieścia osiem lat temu. Kobieta o imieniu Megan, jeśli rację ma ksiądz.

„Powiedz, że chce ją poznać przyjaciel ojca”.

Jeśli dobrze pamiętał, wiele lat temu w katastrofie samolotowej gdzieś w Hiszpanii zginęli Byron Scott z żoną i córką. Czy te dwie sprawy przypadkiem się nie wiązały? Alan Tucker poczuł narastające podniecenie.

- Proszę księdza... chciałbym pojechać do klasztoru zobaczyć się z nią. To bardzo ważne.

Duchowny pokręcił głową.

- Niestety, spóźnił się pan. Dwa dni temu klasztor został zaatakowany przez rządowych agentów.

Tucker wytrzeszczył na księdza oczy.

- Zaatakowany? A co się stało z zakonnicami?

- Aresztowano je i przewieziono do Madrytu. Detektyw wstał.

- Dziękuję księdzu. - Miał zamiar złapać pierwszy samolot do stolicy.

Ojciec Berrendo miał jeszcze coś do powiedzenia.

- Cztery zakonnice uciekły. Jest wśród nich siostra Megan.

Sprawy zaczynały się komplikować.

- Gdzie znajduje się obecnie?

- Nikt nie wie. Zbiegłe siostry poszukiwane są przez policję i wojsko.

- Rozumiem. W innych okolicznościach zadzwoniłby do Ellen Scott, by poinformować chlebodawczynię, że sprawa utknęła w martwym punkcie. Jednak tym razem instynkt podpowiadał detektywowi, że rzecz wymaga dokładniejszego śledztwa.

Tucker odbył z panią Scott rozmowę telefoniczną.

- Są pewne komplikacje - zaczął, po czym złożył relację ze swej rozmowy z księdzem.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła dłuższa cisza.

- Nikt nie wie, gdzie są?

- Uciekła z pozostałymi zakonnkami, ale nie mogą się ukrywać w nieskończoność.

Szuka ich policja i połowa hiszpańskiej armii. Kiedy wypłyną, będę na miejscu.

Znów chwila ciszy.

- To dla mnie bardzo ważne, Tucker.

- Rozumiem, pani Scott.

Detektyw wrócił do biura prasowego. Miał szczęście i zastał je nadal otwarte.

Zwrócił się z prośbą do redaktora:

- Jeśli można, chciałbym przejrzeć wasze akta.

- Szuka pan czegoś konkretnego?

- Tak. Wiadomości o katastrofie lotniczej.

- Kiedy miała miejsce, *señor*?

- Dwadzieścia osiem lat temu. W 1948 roku. Piętnaście minut zajęło Tuckerowi dotarcie do informacji, której szukał. Nagłówek należał do tych rzucających się w oczy.

RODZINA ZNANEGO PRZEMYSŁOWCA GINIE W KATASTROFIE

7 października 1948. Byron Scott, prezydent Scott Industries, jego żona Susan oraz ich roczna córka Patricia splonęli we wraku samolotu, który rozbił się...

„Trafiłem w dziesiątkę! - Detektyw poczuł przyspieszone bicie serca. - Jeśli jest tak, jak myślę, będę bogaty... bardzo bogaty”.

Leżała w łóżku naga i w pachwinie czuła dotyk męskości Benita Patasa. Cudowny ucisk sprawił, że przysunęła się do mężczyzny i napała na niego biodrami, rozpalając ogień własnego pożądania. Pragnąc podniecić kochanka, zaczęła ocierać się o niego biodrami. Ale coś tu się nie zgadzało.

„Zabiłam Patasa - pomyślała nagle. - On nie żyje”.

Lucia otworzyła oczy i wstrząsana dreszczem, usiadła, rozglądając się gorączkowo. Benita nie było. Znajdowała się w lesie, do połowy schowana w śpiworze. Na udzie czuła jakiś ucisk.

Sięgnęła do śpiwora i wyjęła owinięty w płótno krzyż. Zagapiła się na pakunek niedowierzająco.

„Prawdziwy cud boski” - stwierdziła w duchu.

Dziewczyna nie miała pojęcia, skąd krucyfiks wziął się na jej posłaniu, ale nie zamierzała się nad tym zastanawiać. Teraz musiała tylko wymknąć się cichaczem.

Wypelzła ze śpiwora i spojrzała tam, gdzie spała siostra Teresa. Starsza zakonnica zniknęła. Lucia rozejrzała się w ciemnościach, ale ledwie mogła dostrzec sylwetkę odwróconego do niej plecami Tomasza Sanjuro, który usadowił się na skraju polany. Rubia nie było nigdzie widać.

„Bez znaczenia. Czas się zbierać” - oceniła Lucia.

Nisko pochylona, by nikt jej nie dostrzegł, zaczęła przekradać się w stronę lasu, byle dalej od Sanjura.

W tej właśnie chwili rozpętało się piekło.

Pułkownik Fal Sostelo musiał podjąć poważną decyzję. Premier osobiście zalecił mu ścisłą współpracę z pułkownikiem Ramónem Acocą w celu schwytania Jaimego Miro i zakonnic. Jednak los uszczęśliwił pułkownika prezentem w postaci jednej z poszukiwanych sióstr. Po co dzielić się sukcesem z Acocą, jeśli można dopaść terrorystów i całą zasługę przypisać sobie?

„Pieprzyć Acocę - stwierdził Fal Sostelo. - Teraz mój ruch. Może OPUS MUNDO zechce wykorzystać mnie zamiast Acoki, z tym jego gównianym gadaniem o szachach i wchodzeniu w skórę wroga. Najwyższy czas, żeby olbrzym z blizną dostał dobrą szkołę”.

Swym ludziom Sostelo wydał szczegółowe rozkazy.

- Nie brać jeńców. Macie do czynienia z terrorystami. Strzelać, żeby zabić.

Major Ponte zawahał się.

- Z ludźmi Miro są zakonnice, panie pułkownika. Może powinniśmy...?

- Pozwolić terrorystom ukryć się za zakonnkami? Nie, nie damy im najmniejszej szansy.

Sostelo wybrał kilkunastu żołnierzy, którzy mieli wziąć udział w akcji, i dopilnował, żeby byli należycie uzbrojeni. Cała grupa bezszelestnie zniknęła w ciemności, wspinając się po zboczu góry. Księżyc skrył się za chmurami. Widzialność spadła prawie do zera.

„Dobrze. Nie zauważają, że się zbliżamy”.

Gdy ludzie zajęli pozycje, pułkownik Sostelo, ze względów czysto formalnych, krzyknął:

- Rzućcie broń. Jesteście otoczeni. - I na tym samym oddechu wydał rozkaz: - Ognia! Nie przerywać bez rozkazu!

Karabiny maszynowe zaczęły zasypywać polanę pociskami.

Tomas Sanjuro nie miał szans. Grad kul trafił go w pierś i Bask był martwy, jeszcze zanim upadł na ziemię.

Gdy zaczęła się strzelanina, Rubio Arzano znajdował się na odległym końcu poręby. Zobaczywszy, jak Sanjuro pada, zrobił nagły zwrot i już podnosił karabin, żeby odpowiedzieć ogniem, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Gęsta jak smoła ciemność sprawiała, że żołnierze strzelali na oślep. Rozpoczynając walkę, zdradziłby swoją pozycję.

Z wielkim zdziwieniem pół metra od siebie zauważył rozpląszczoną na ziemi Lucię.

- Gdzie siostra Teresa? - wyszeptał.

- Zniknęła.

- Nie podnoś się - polecił Rubio. Chwyił Lucię za rękę i zygzakami zaczął sunąć w stronę lasu, oddalając się od źródła nieprzyjacielskiego ognia. Przez pewien czas kule gwizdały niebezpiecznie blisko, ale po chwili uciekinierów osłoniły drzewa. Polana zostawała coraz dalej z tyłu.

- Proszę się mnie trzymać, siostró - powiedział Arzano.

Za sobą słyszeli głosy napastników, ale stopniowo wszystkie dźwięki ucichły. W atramentowej czerni lasu prowadzenie pościgu było niemożliwe.

Rubio zatrzymał się, żeby Lucia mogła złapać oddech.

- Na razie ich zgubiliśmy - stwierdził. - Ale musimy iść dalej.

Dziewczyna oddychała z trudem.

- Jeżeli chce siostra chwilę odpocząć...

- Nie - odparła. Wyczerpanie wyczerpaniem, ale nie miała zamiaru dać się złapać. Nie teraz, z krzyżem. - Nic mi nie jest. Wyośmy się stąd.

Pułkownik Fal Sostelo musiał pogodzić się z faktem, że poniósł klęskę. Jeden terrorysta został zabity, ale Bóg tylko wie, ilu uciekło. Nie schwycił Jaimego Miro i miał zaledwie jedną zakonnice. Wiedział, że musi poinformować pułkownika Acocę o tym, co zaszło, ale wcale się do tego nie palił.

Druga rozmowa telefoniczna Alana Tuckera z Ellen Scott była zdecydowanie bardziej niepokojąca niż pierwsza.

- Zdobyłem pewne interesujące informacje, pani Scott - ostrożnie powiedział detektyw.

- Tak?

- Chcąc znaleźć więcej wiadomości o dziewczynie, przejrzałem tu wycinki ze starych gazet.

- I? - Ellen zebrała siły, wiedząc, co za chwilę usłyszy. Tucker mówił normalnym tonem.

- Wygląda na to, że dziewczynkę porzucono wtedy, gdy miała miejsce katastrofa samolotowa.

Cisza.

- Ta, w której zginęli pani szwagier z żoną i ich córeczka Patricia.

„Szantaż”. A więc dowiedział się.

- Zgadza się - odparła Ellen po prostu. - Chyba o tym wspominałam. Wyjaśnię wszystko po pańskim powrocie. Są jakieś nowe wiadomości o dziewczynie?

- Nie, ale nie może się długo ukrywać. Szuka jej cała Hiszpania.

- Proszę mnie zawiadomić, gdy tylko się znajdzie. Połączenie zostało przerwane.

Alan Tucker siedział nieruchomo, wpatrując się w trzymaną w rękę milczącą słuchawkę.

„Twarda babka - pomyślał z podziwem. - Ciekawe, co powie na współnika”?

„Popełniłam błąd, wysyłając Tuckera - stwierdziła Ellen Scott. - Teraz muszę go powstrzymać. A co mam zrobić z dziewczyną? Zakonnica! Ale nie spieszmy się z oceną”.

Zabrzączał interkom i rozległ się głos sekretarki.

- Czekają na panią w sali konferencyjnej, pani Scott.

- Już idę.

Lucia i Rubio nadal szli przez lasy, potykając się i ślizgając, walcząc z nieposłusznymi gałęziami i krzakami, atakowani przez insekty. Każdy krok oddalał ich od prześladowców.

Wreszcie Rubio zdecydował:

- Możemy się zatrzymać. Tu nas nie zauważą. Znajdowali się wysoko w górach, w środku gęstego lasu. Lucia położyła się na ziemi, z trudem próbując chwycić oddech. Wciąż wracała pamięcią do okropnej sceny, której świadkiem była tak niedawno. Tomas zastrzelony bez ostrzeżenia.

„A te dranie chciały zamordować nas wszystkich” - pomyślała dziewczyna. Życie zawdzięczała wyłącznie siedzącemu obok mężczyźnie.

Zobaczyła, że Rubio wstaje i zaczyna sprawdzać teren.

- Możemy tu spędzić resztę nocy, siostrzo.

- W porządku.

Bardzo chciała ruszyć dalej, ale wiedziała, że potrzebuje odpoczynku. Jakby czytając w myślach dziewczyny, Rubio oznajmił:

- Wyruszymy o świcie. Lucię gwałtownie zassało w żołądku. Jeszcze nie zdążyła się nad tym dobrze zastanowić, gdy jej towarzysz powiedział:

- Musi siostra być głodna. Pójdę poszukać czegoś do jedzenia. Da sobie siostra radę sama?

- Tak. Nic mi nie będzie. Wysoki mężczyzna przykucnął obok.

- Niech siostra spróbuje opanować lęk. Rozumiem, że ciężko jest znaleźć się poza murami klasztoru po tylu latach. Wszystko musi się siostrze wydawać bardzo dziwne.

Lucia spojrzała na Rumia i powiedziała tonem bez wyrazu:

- Staram się do tego przyzwyczać.

- Jest siostra bardzo odważna. - Wstał. - Niedługo wrócę. Śledziła mężczyznę wzrokiem, dopóki nie zniknął między drzewami.

Nadszedł czas, by podjąć decyzję. Istniały dwie możliwości: mogła uciec teraz, próbować dotrzeć do najbliższego miasta i tam wymienić złoty krzyż na paszport i kwotę pieniędzy wystarczającą na dotarcie do Szwajcarii, albo zostać z tym Baskiem do chwili, gdy bardziej oddalą się od żołnierzy.

„I tak będzie bezpieczniej” - zdecydowała.

Usłyszawszy jakiś hałas, odwróciła się gwałtownie. To wrócił Rubio. Podszedł do dziewczyny uśmiechnięty. W rękach trzymał beret pełen pomidorów, winogron i jabłek.

Mężczyzna usiadł na ziemi, obok Lucii.

- Śniadanie. Miałem w zasięgu ręki ładnego, tłustego kurczaka, ale ogień potrzebny do pieczenia mógłby nas zdradzić. Tuż u podnóża góry jest farma.

Lucia łakomym wzrokiem wpatrywała się w zawartość beretu.

- Wygląda wspaniale. Umieram z głodu. Rubio wręczył jej jabłko.

- Proszę skosztować. Kończyli już posiłek, podczas którego Rubio nie przestawał mówić, ale dziewczyna, pogrążona we własnych myślach, nie zwracała na niego uwagi.

- Powiedziała siostra, że była w klasztorze przez dziesięć lat?

Pytanie wyrwało Lucię z zadumy.

- Co takiego?

- Była siostra w klasztorze dziesięć lat?

- Och. Tak. Bask pokręcił głową.

- W takim razie nie ma siostra pojęcia, co się przez ten czas działo.

- Eee... nie.

- W ciągu ostatnich dziesięciu lat świat bardzo się zmienił, siostrzo.

- Doprawdy?

- *Si* - odparł Rubio z przekonaniem. - Umarł Franco.

- Nie!

- Ależ tak. W zeszłym roku. „I wyznaczył don Juana Carlosa swoim następcą” - skomentowała w duchu.

- Może trudno będzie siostrze w to uwierzyć, ale człowiek stanął już na księżycu. Naprawdę.

- Rzeczywiście? „Właściwie to dwóch ludzi - pomyślała. - Jak to się nazywali? Neil Armstrong i Buzz jakiś tam”.

- O tak. Amerykanie. I zbudowano samolot pasażerski, który porusza się szybciej niż dźwięk.

- Niewiarygodne. „Nie mogę się doczekać przejażdżki concordem”. Rubio był jak dziecko, uradowany uaktualnianiem jej wiedzy o wydarzeniach na świecie.

- W Portugalii miała miejsce rewolucja, a prezydent Stanów Zjednoczonych, Nixon, zaplątał się w wielki skandal i musiał złożyć rezygnację.

„Rubio jest naprawdę słodki” - stwierdziła Lucia. Mówiąc wyjął paczkę papierosów Ducados, z ciężkiego, czarnego hiszpańskiego tytoniu.

- Mam nadzieję, że nie poczuje się siostra urażona, jeśli zapalę?

- Nie, proszę bardzo. Przyglądała się, jak Rubio zapala, i w chwili, gdy poczuła zapach dymu, gwałtownie zapragnęła się zaciągnąć.

- Mogłabym się poczęstować?

Mężczyzna spojrzał zdziwiony.

- Chce siostra spróbować papierosa?

- Tylko zobaczę, jak smakuje - zapewniła go pośpiesznie.

- Och. Oczywiście. Rubio wyciągnął w stronę dziewczyny całą paczkę. Lucia wyjęła papierosa, włożyła między wargi i przyjęła podany ogień. Zaciągnęła się głęboko, a dym cudownie wypełnił jej płuca.

Rubio przyglądał się temu, zbity z tropu.

Zakaszła.

- Więc tak smakują papierosy.

- Podoba się siostrze?

- Właściwie nie, ale... Jeszcze jeden głęboki, uspokajający wdech. Boże, jak za tym tęskniła. Ale wiedziała, że musi uważać. Nie może wzbudzić podejrzeń. Więc odłożyła papierosa, celowo niezgrabnie trzymanego w palcach. Przebywała w klasztorze zaledwie kilka miesięcy, a jednak Rubio miał rację. Dziwnie czuła się znów poza murami. Zastanawiała się, jak radzą sobie Megan i Graciela. I co się stało z siostrą Teresą? Schwytali ją żołnierze?

Lucię zapiekły oczy. Noc była długa i pełna napięcia.

- Chyba trochę się zdrzemnę.

- Bez obaw. Popilnuję siostry.

- Dziękuję - powiedziała z uśmiechem. Po chwili już spała. Rubio Arzano patrzył na nią i myślał: „Nigdy nie spotkałem podobnej kobiety”. - Uduchowionej, bo poświęciła życie Bogu, a jednocześnie tak po ziemsku konkretnej. I w nocy zachowała się odważnie, zupełnie jak mężczyzna. - „Jesteś zupełnie wyjątkową osobą - stwierdził Rubio, obserwując śpiącą. - Siostrzyczko w Jezusie”.

Pułkownik Fal Sostelo palił dziesiątego papierosa.

„Dłużej nie mogę tego odkładać - stwierdził. - Złe wiadomości lepiej przekazywać od razu”.

Wziął kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić, i wykręcił numer. Gdy Acoca podszedł do telefonu, powiedział:

- Panie pułkowniku, dziś w nocy zorganizowaliśmy atak na obóz terrorystów, gdzie, jak mnie poinformowano, prze bywał Jaime Miro. Pomyślałem, że powinien pan o tym wiedzieć.

Zapadła groźna cisza.

- Schwytał go pan?

- Nie.

- Przeprowadził pan tę operację bez uzgodnienia ze mną?

- Nie było czasu na...

- Ale starczyło go, żeby Miro uciekł. - Głos Acoki drżał z wściekłości. - Co sprawiło, że przedsięwziął pan tę wspaniale zaplanowaną akcję?

Pułkownik Sostelo z trudem przełknął ślinę.

- Schwytaliśmy jedną z zakonnicek. Ona doprowadziła nas do Miro i jego ludzi. Jeden terrorysta zginął podczas ataku.

- A pozostali zbiegli?

- Tak, panie pułkowniku.

- Gdzie jest w tej chwili zakonnica? A może jej też pozwolił pan uciec? - Pytanie zostało zadane tonem co najmniej jadowitym.

- Nie, panie pułkowniku - pośpiesznie odparł Sostelo. - Jest tu, w obozie. Przesłuchujemy ją i...

- Nie róbcie tego. Sam ją przesłucham. Będę na miejscu za godzinę. Zobaczmy, czy da pan radę upilnować ją do czasu mojego przyjazdu. - Acoca rzucił słuchawkę.

Pułkownik Ramon Acoca zjawił się w obozie, w którym przetrzymywano siostrę Teresę dokładnie w godzinę później. Wraz z nim przybyło kilkunastu ludzi z GOE.

- Przyprować zakonnicek do mnie - polecił. Siostrę Teresę wprowadzono do namiotu dowództwa, gdzie już czekał pułkownik Acoca. Wojskowy wstał grzecznie na powitanie i uśmiechnął się.

- Jestem pułkownik Acoca. „Nareszcie!”.

- Wiedziałam, że pan przyjdzie. Bóg mi powiedział. Olbrzymi mężczyzna uprzejmie pokiwał głową.

- Doprawdy? To dobrze. Proszę spocząć, siostrze. Zakonnica była zbyt zdenerwowana, by siadać.

- Musi mi pan pomóc.

- Pomożemy sobie nawzajem - zapewnił kobietę Acoca. - Uciekła siostra z klasztoru cysterek w Avila, zgadza się?

- Tak. To było okropne. Ci ludzie. Zachowywali się bezbożnie i... - Zakonnicek zawiódł głos.

„I głupio. Pozwoliliśmy jej i innym uciec”.

- Jak się siostra tu dostała?

- Bóg mnie przyprowadził. Wystawia mnie na próbę jak już kiedyś...

- Czy prócz Boga doprowadzili tu siostrę jacyś mężczyźni? - cierpliwie zapytał pułkownik.

- Tak. Zostałam porwana. Musiałam im uciec.

- Powiedziała siostra pułkownikowi Sostelo, jak może do tych ludzi trafić.

- Tak. Tych złych. Widzi pan, za tym wszystkim stoi Raoul. Przysłał mi list, w którym...

- Siostrze, szukamy przede wszystkim Jaimego Miro. Czy widziała go siostra? Kobieta zadrżała.

- Tak. O tak. On... Pułkownik pochylił się do przodu.

- Doskonale. A teraz musi mi siostra powiedzieć, gdzie mogę go znaleźć.

- On i pozostali są w drodze do Eze. Pułkownik zmarszczył brwi, zbity z tropu.

- Do Eze? We Francji? Słowa zakonniczy przeszły w nieskładny bełkot.

- Tak. Monika opuściła Raoula, i on przysłał tych ludzi, żeby mnie porwali, z powodu dziecka, i...

Acoca z trudem opanował rosnące zniecierpliwienie.

- Miro i jego ludzie udali się na północ. Eze leży na wschodzie.

- Nie może pan pozwolić, żeby zabrali mnie z powrotem do Raoula. Nigdy więcej nie chcę go widzieć. Chyba pan to rozumie. Nie mogłabym spojrzeć mu w twarz...

- Guzik mnie obchodzi ten cały Raoul - szorstko przerwał Acoca. - Chcę wiedzieć, gdzie mogę znaleźć Jaimego Miro.

- Już mówiłam. Czeka na mnie w Eze. Chce...

- Siostra kłamie. Sądzę, że próbuje siostra chronić Miro. Nie chcę siostry skrzywdzić, więc zapytam jeszcze raz. Gdzie jest Jaime Miro?

Zakonnica spojrzała na wojskowego bezradnie.

- Nie wiem - wyszeptwała. Rozejrzała się niespokojnie. - Nie wiem.

- Przed chwilą mówiła siostra, że w Eze. - Głos Acoki przypominał trzaśnięcie z bata.

- Tak. Bóg mi to powiedział. Pułkownik Acoca usłyszał już dosyć. Kobieta albo oszalała, albo była genialną aktorką. Tak czy owak niedobrze mu się robiło od tego gadania o Bogu. Zwrócił się do Patricia Arriety, swego adiutanta.

- Pamięć siostry wymaga odświeżenia. Zabierz zakonnicę do namiotu kwatermistrzostwa. Może ty i twoi ludzie pomożecie siostrze przypomnieć miejsce pobytu Jaimego Miro.

- Tak jest, panie pułkowniku. Patricia Arrieta i pozostali przybyli z Acocą należeli do grupy, która zaatakowała klasztor w Avila. Czuli się odpowiedzialni za ucieczkę czterech zakonnic.

„Teraz mamy szansę się zrehabilitować” - pomyślał Arrieta, a potem zwrócił się do

zakonnicy.

- Proszę za mną, siostrzo.

- Tak. „Dzięki Ci, słodki Jezu”.

- Czy już wyruszamy? Nie pozwoli pan zabrać mnie do Eze, prawda? - plotła od rzeczy.

- Nie - zapewnił kobietę Arrieta. - Nie pojedzie siostra do Eze. „Pułkownik ma rację - zdecydował. - Ona bawi się z nami w kotka i myszkę.

No, pokażemy jej parę innych zabaw. Ciekawe, czy będzie leżała cicho, czy zacznie krzyczeć”?

Gdy dotarli do namiotu kwatermistrzostwa, Arrieta odezwał się:

- Damy siostrze jeszcze jedną, ostatnią szansę. Gdzie jest Jaime Miro?

„Chyba już mnie o to pytali? A może pytał ktoś inny? Tutaj czy... wszystko to jest strasznie zagmatwane”.

- Porwał mnie dla Raoula, bo Monika go opuściła i myślał...

- *Bueno*. Jeśli tego siostra chce - stwierdził Arrieta. - Przekonamy się, czy zdołamy odświeżyć pamięć siostry.

- Tak. Proszę. Wszystko to jest takie kłopotliwe. Do namiotu weszło sześciu ludzi Acoki i kilku umundurowanych żołnierzy Sostela.

Siostra Teresa spojrzała na nich i nieprzytomnie zamrugała oczyma.

- Czy ci ludzie zabiorą mnie teraz do klasztoru?

- O wiele lepiej - wyszczerzył zęby Arrieta. - Zabiorą siostrę wprost do nieba.

Mężczyźni podeszli bliżej i otoczyli zakonnice.

- Jak jesteś ślicznie ubrana - zagadnął któryś. - Na pewno jesteś zakonnica, kochanie?

- O, tak - odparła. Raoul nazywał ją kochaniem. Czy to Raoul? - Musiałyśmy zmienić stroje, żeby uciec przed żołnierzami. - Ale to byli żołnierze. Wszystko stawało się zagmatwane.

Jeden z wojskowych pchnął siostrę Teresę na leżankę.

- Żadna z ciebie piękność, ale zobaczymy, co tam masz pod ubraniem.

- Co robicie? Sięgnął w dół i rozdarł bluzkę, podczas gdy jego kolega rozrywał spódnicę.

- Jak na staruszkę, to nie najgorsze ciało, co chłopcy?

Siostra Teresa krzyknęła. Z dołu patrzyła na krąg otaczających ją mężczyzn.

„Bóg ich wszystkich zgładzi. Nie pozwoli, żeby mnie dotknęli, bo jestem Jego naczyniem. Jestem jednością w Panu, czerpię z fontanny Jego czystości”.

Pierwszy wojskowy rozpiął pas. Chwilę później poczuła, że ktoś brutalnie rozsuwa jej nogi. Gdy została przygnieciona przez żołnierza, który wtargnął w nią bezwzględnie, krzyknęła ponownie.

- Teraz! Boże! Pokarz ich teraz. Czekala na uderzenie pioruna i jasne światło błyskawicy, mającej zniszczyć ich wszystkich.

Opadł na nią następny. Przed oczyma kobiety pojawiła się czerwona mgła. Siostra Teresa leżała, czekając, by Bóg uderzył, prawie nieświadoma obecności gwałcącego ją mężczyzny. Nie czuła już bólu.

Porucznik Arrieta stał obok posłania. Gdy wszyscy mężczyźni skończyli, zapytał:

- Wystarczy, siostrze? Możemy to przerwać w każdej chwili. Musisz nam tylko powiedzieć, gdzie jest Jaime Miro.

Siostra Teresa nie słyszała go. W myślach krzyczała:

„Poraż ich Swoją mocą, Panie. Obróć ich w proch, jak obróciłeś nikczemników z Sodomy i Gomory”.

Niewiarygodne, ale Bóg nie odpowiadał. Jak to możliwe, skoro jest wszędzie? I nagle zrozumiała. Gdy szósty z kolei mężczyzna wtargnął w jej ciało, doznała nagłego objawienia. Bóg nie słuchał, bo nie było żadnego Boga. Przez wszystkie te lata oszukiwała sama siebie, z czcią służąc wiernie najwyższej sile. Ale nie było żadnej najwyższej siły.

„Gdyby istniał Bóg, ocaliłby mnie”.

Czerwona mgła ustąpiła i siostra Teresa po raz pierwszy zyskała jasny obraz sytuacji. W namiocie znajdował się co najmniej tuzin żołnierzy, czekających, żeby ją zgwałcić. Porucznik Arrieta stał przy łóżku i przyglądał się temu. Wojskowi wyczekiwali w kolejce w pełni umundurowani, nie zwracając sobie głowy rozbieraniem. Jeden podnosił się z kobiety, opadał na nią następny i chwilę później było po wszystkim.

„Nie ma Boga, ale istnieje szatan, a to są jego słudzy - pojęła siostra Teresa. - I wszyscy muszą umrzeć. Wszyscy”.

Sięgając do kabury leżącego na niej żołnierza, zakonnica chwyciła pistolet i zanim ktokolwiek zdążył zareagować, skierowała broń w stronę Arriety. Pocisk trafił porucznika w gardło. Kobieta celowała w kolejnych żołnierzy i naciskała spust. Zanim zaskoczeni zdolali się pozbierać i odpowiedzieć ogniem, dalszych czterech upadło na podłogę. Z powodu przykrywającego siostrę kolegi mieli kłopot z wycelowaniem.

Siostra Teresa i ostatni z jej gwałcicieli umarli w tej samej chwili.

Jaime Miro, wyrwany ze snu ruchem na skraju polany, obudził się całkowicie przytomny. Wyślizgnął się ze śpiwora i wstał z bronią w ręce. Gdy podszedł bliżej, zobaczył klęczącą Megan, pogrążoną w modlitwie. Przez chwilę uważnie przyglądał się zakonnicy. W widoku tej uroczej kobiety modlącej się w lesie w środku nocy było jakieś niezwykłe piękno, którym Jaime poczuł się osobiście znieważony.

„Gdyby Felix Carpio nie wygadał się, że idziemy do San Sebastian, nie musiałbym się użerać z tą mniszką”.

Dotarcie do San Sebastian najszybciej, jak to możliwe, było sprawą nadrzędnej wagi. Wszędzie czyhali ludzie pułkownika Acoki i prześlizgnięcie się przez oka ich sieci nawet w pojedynkę nie należało do łatwych zadań. A z dodatkowym obciążeniem, w postaci kobiety spowalniającej marsz, niebezpieczeństwo wzrastało dziesięciokrotnie.

Jaime, zły, zbliżył się do Megan i powiedział głosem bardziej szorstkim niż zamierzał:

- Kazałem siostrze spać. Nie chcę, żeby jutro opóźniała siostra marsz.

Zakonnica podniosła na niego spojrzenie i cicho odparła:

- Przepraszam, że pana rozgniewałam.

- Oszczędzam swój gniew na ważniejszych sprawach. Osoby pokroju siostry raczej mnie nudzą. Spędzacie życie ukryte za murami, w oczekiwaniu na darmową podróż na tamten świat. Niedobrze mi się robi, gdy o was wszystkich myślę.

- Dlatego, że wierzymy w życie przyszłe?

- Nie, siostrze. Ponieważ nie wierzycie w życie teraźniejsze. Uciekacie od niego.

- Aby się za was modlić. Oddajemy się modlitwie - właśnie za was.

- I wydaje się wam, że to rozwiąże problemy tego świata?

- Z czasem, tak.

- Nie ma już czasu. Wasz Bóg nie może dosłyszeć modłów przez huk dział i krzyki dzieci, ginących od bomb.

- Gdy ma się wiarę...

- Och, mam masę wiary, siostrze. Wierzę w to, o co walczę. Wierzę w moich chłopców i w moją broń. Ale nie wierzę w ludzi, którzy chodzą po wodzie. Jeżeli uważasz, że twój Bóg nas teraz słucha, powiedz mu, żeby przeniósł nas do klasztoru w Mendavii, gdzie będę mógł się ciebie pozbyć.

Miro był zły na siebie, że tak dał się ponieść. To nie jej wina, że Kościół z założonymi rękoma przyglądał się, jak frankistowscy falangiści torturują i mordują Basków i

Katalończyków, gwałcą ich kobiety.

„To nie jej wina - powtarzał w duchu Jaime Miro - że moja rodzina znalazła się wśród ofiar”.

To, czego Jaime doświadczył jako mały chłopiec, odcisnęło się w jego pamięci na zawsze...

W środku nocy zbudził go łoskot rozrywających się pocisków. Spadając z nieba, rozkwitały w zabójcze kwiaty, rozsiewające dokoła nasiona zniszczenia.

- Wstawaj, Jaime. Szybko!! Strach brzmiący w głosie ojca przeraził małego chłopca bardziej niż potężny ryk, który towarzyszył nalotowi.

Baskowie umocnili się w Guernice i generał Franco postanowiwszy dać nieposłusznym pokazową lekcję, wydał rozkaz:

- Zniszczyć. Owiany złą sławą nazistowski Legion Condor i sześć włoskich samolotów przysłało zmasowany atak na miasto. Żołnierze nie znali litości. Mieszkańcy usiłowali schronić się przed spadającym na nich śmiertelnym deszczem, ale nie było dokąd uciekać.

Jaime, jego rodzice i dwie starsze siostry umykali wraz z innymi.

- Do kościoła - rozkazał ojciec. - Nie zbombardują świątyni.

Miał rację. Wszyscy wiedzieli, że Kościół stoi po stronie caudillo, odwracając wzrok od okrucieństw popełnionych na jego wrogach.

Rodzina Miro zmierzała do świątyni, z trudem przepychając się przez ogarnięty paniką tłum szukających schronienia.

Chłopiec kurczowo ścisnął rękę ojca i starał się nie słuchać okropnych dźwięków. Przypominał sobie czasy, w których tata się nie bał i nie uciekał.

- Czy wybuchnie wojna, tato? - zapytał kiedyś.

- Nie, Jaime. To tylko takie dziennikarskie gadanie. Chcemy jedynie, żeby rząd przyznał nam niezależność, i to w rozsądnych granicach. Baskowie i Katalończycy są przywiązani do własnego języka, flagi i świąt. Ale wciąż jesteśmy jednym narodem. Hiszpanie nigdy nie powstaną przeciw Hiszpanom.

Jaime jako dziecko nie mógł zrozumieć, że chodziło o coś więcej niż sprzeciwienie się żądaniom Katalończyków i Basków. Problem leżał w głębokim konflikcie ideologicznym pomiędzy republikańskim rządem a prawicowymi nacjonalistami i iskra niezgody wystarczyła, by wywołać w kraju nieopanowany pożar, który ogarnął także kilka państw ościennych.

Gdy poplecznicy Franco pokonali republikanów i władzę w Hiszpanii całkowicie

przejęli nacjonaści, generalissimus zwrócił uwagę na nieprzejednanych Basków.

- Ukarać ich. I popłynęła krew. Najważniejsi z przywódców baskijskich sformowali ETA, ruch na rzecz Wolnego Kraju Basków, i ojciec Jaime otrzymał propozycję włączenia się w działalność organizacji.

- Nie. Ich założenia są błędne. Musimy osiągnąć to, co słusznie się nam należy, za pomocą działań pokojowych. Wojna niczego nie rozwiązuje.

Jastrzębie jednak okazały się silniejsze od gołębi i ETA w niedługim czasie stała się potężną siłą.

Ojcowie przyjaciół Jaimego należeli do organizacji i chłopiec wysłuchiwał opowieści o ich bohaterskich wyczynach.

- Mój ojciec z kilkoma kolegami podłożyli bombę w kwaterze głównej Guardia Civil - zwierzał się jeden z malców.

- Słyszałeś o napadzie na bank w Barcelonie? Teraz mogę kupić broń do walki z faszystami - mówił inny.

A ojciec Jaimego twierdził:

- Przemoc jest złem. Musimy negocjować.

- Wyszadziliśmy ich fabrykę w Madrycie. Czemu twój ojciec nie stoi po naszej stronie? Jest tchórzem?

- Nie słuchaj kolegów, synku - przykazywał pan Miro. - Oni łamią prawo.

- Franco wydał rozkaz rozstrzelania kilkunastu Basków bez procesu. Przygotowujemy strajk generalny. Czy twój ojciec przyłączy się do nas?

- Tato?

- Wszyscy jesteśmy Hiszpanami. Nie wolno nam dopuścić do podziałów. Chłopiec cierpiał, rozdarty wewnątrz. „Czy koledzy mają rację? Czy mój ojciec jest tchórzem?”

A jednak Jaime wierzył ojcu.

I teraz - Armageddon. Dobrze znany świat ulegał zagładzie. Na ulicach Guerniki tłoczył się krzyczący tłum, który próbował uciec przed padającymi bombami. Budynki, posągi, chodniki eksplodowały fontannami betonu i krwi.

Jaime z matką, ojcem i siostrami dotarli do dużego kościoła, jedynej nienaruszonej budowli w całym kwartale. Kilka osób pięściami waliło w drzwi.

- Wpuście nas! Otwierać, w imię Chrystusa!

- Co się dzieje? - krzyknął pan Miro.

- Księża zamknęli kościół. Nie chcą nas wpuścić.

- Wyłammy drzwi!

- Nie! Jaime zaskoczony spojrział na ojca.

- Nie musimy włamywać się do domu Bożego - stwierdził pan Miro. - Bóg ochroni nas, gdziekolwiek będziemy.

Za późno dostrzegli oddział falangistów wylaniający się zza rogu i z karabinów maszynowych otwierający ogień do tłumu nie uzbrojonych mężczyzn, kobiet i dzieci, zgromadzonych przed kościołem.

Czując, że został trafiony, ojciec Jaimego chwycił syna i dla bezpieczeństwa przycisnął go do ziemi, własnym ciałem odgradzając dziecko od zabójczej serii kul.

Po ataku świat spowiała dziwna cisza. Odgłosy strzałów, tupot nóg i krzyki umilkły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Jaime otworzył oczy i długą chwilę leżał nieruchomo, w pełnym miłości schronieniu ojcowskiego ciała. Rodzice i siostry zginęli wraz z setkami innych. A przed stosem martwych ciał wznosiły się zamknięte drzwi kościoła.

Tej samej nocy Jaime opuścił miasto i dwa dni później dotarł do Bilbao, gdzie wstąpił do ETA.

Nadzorujący rekrutację oficer powiedział:

- Jesteś za młody, żeby się do nas przyłączyć, synku. Powinieneś chodzić do szkoły.

- Wy będziecie moją szkołą - cicho odparł Jaime Miro. - Nauczycie mnie, jak pomścić morderstwo dokonane na rodzinie.

Nigdy nie oglądał się za siebie. Walczył w imieniu własnym i rodziny, a jego wyczyny wkrótce przeszły do legendy. Jaime planował i przeprowadzał śmiało napady na fabryki i banki, wykonywał wyroki na ciemiężcach. Gdy którykolwiek z jego ludzi dostawał się do niewoli, Miro podejmował szalone akcje, by go oswobodzić.

Usłyszawszy o formowaniu COE, które miało ścigać Basków, uśmiechnął się i stwierdził:

- Dobrze. Zostaliśmy zauważeni.

Nigdy nie zadawał sobie pytania, czy ryzyko, które podejmuje, ma coś wspólnego z okrzykiem „Twój ojciec jest tchórzem”, albo czy próbuje udowodnić cokolwiek sobie i innym. Wystarczało, że wciąż dowodzi swej odwagi czynem, że nie boi się zaryzykować życia dla sprawy, w którą wierzy.

A teraz, ponieważ jeden z jego podwładnych powiedział za dużo, Jaime miał na głowie zakonnice.

„Jak na ironię, w obecnej chwili Kościół stoi po naszej stronie. Co za szkoda, że tak późno. Ale może nie wszystko stracone, może zorganizują powtórne przyjście Chrystusa, który przyprowadzi ze sobą moją matkę, ojca i siostry” - z goryczą pomyślał Miro.

Nocą przeszli przez lasy poznaczone plamami księżycowego światła. Omijali miasta i główne drogi, wyczuleni na najmniejsze oznaki niebezpieczeństwa. Jaime ignorował zakonnicę. Szedł ramię w ramię z Felixem, wspominając dawne przygody. Megan była coraz bardziej zaintrygowana. Dotychczas nie spotkała nikogo podobnego do Miro. Sprawiał wrażenie niezwykle pewnego siebie.

„Jeśli ktoś może doprowadzić mnie do Mendavii - pomyślała - to właśnie ten człowiek”.

Chwilami Jaime litował się nad siostrą Megan, a nawet czuł coś na kształt podziwu dla sposobu, w jaki znosiła tę wyczerpującą podróż. Zastanawiał się, jak pozostali radzą sobie z narzuconym im świątobliwym brzemieniem.

On miał przynajmniej Amparo Jirón, w ramionach której nocami znajdował ukojenie.

„Amparo, jak ja, jest pełna poświęcenia dla sprawy - rozmyślał Jaime. - Powody, żeby nienawidzić rządu, ma poważniejsze nawet od moich”.

Cała rodzina kochanki Miro została wymordowana przez nacjonalistów. Amparo była bardzo niezależna, przepelniona żądzą zemsty.

O świcie znaleźli się w pobliżu Salamanki, na brzegu rzeki Tormes.

- Na tutejszy uniwersytet przyjeżdżają studenci z całego kraju - wyjaśnił Megan Felix Carpio. - To chyba najlepsza uczelnia w całej Hiszpanii.

Jaime nie słuchał. Planował następny ruch. „Gdzie zastawiłbym pułapkę, gdybym to ja był myśliwym”?

Po namyśle zwrócił się do Felixa.

- Obejdziemy Salamankę. Zaraz za miastem jest *parador*. Tam się zatrzymamy.

Parador, mały zajazd, leżał na uboczu głównego szlaku turystycznego. Kamienne stopnie prowadziły do holu, którego strzegł rycerz w starodawnej zbroi. Gdy cała grupa znalazła się przed wejściem, Jaime polecił kobietom:

- Zaczekajcie tu. Potem skinął na Felixa i obaj zniknęli w środku.

- Dokąd poszli? - zapytała Megan. Amparo Jirón zmierzyła towarzyszkę pogardliwym spojrzeniem.

- Może szukają twojego Boga.

- Mam nadzieję, że Go znajdą - gładko odcięła się zakonnica. Dziesięć minut później mężczyźni wrócili.

- Teren czysty - powiedział Jaime do Amparo. - Ty i siostra zajmiecie jeden pokój. Felix zostaje ze mną. - Wręczył kochance klucz.

Amparo odezwała się z rozdrażnieniem:

- *Querido*, chcę być z tobą nie...

- Rób, co każę. Miej na nią oko. Obrażona, zwróciła się do Megan.

- *Bueno*. Proszę ze mną siostró.

Zakonnica posłusznie weszła za Amparo do zajazdu, a potem schodami na górę.

Miały zająć jedno z wielu pomieszczeń, do których wchodziło się z szarego, pozbawionego ozdób korytarza, Jirón przekreśliła klucz i kobiety znalazły się w środku. Pokój był mały, bezbarwny i skąpo umeblowany, z drewnianą podłogą i ozdobionymi sztukaterią ścianami. Mieściły się w nim łóżko, wąska leżanka, poobijana toaletka i dwa krzesła.

Megan rozejrzała się i oświadczyła:

- Prześliczny.

Amparo Jirón okręciła się w miejscu, wściekła, że zakonnica pozwala sobie na sarkazm.

- Na co, do cholery, siostra narzeka?

- Taki duży - kontynuowała Megan.

Amparo przez chwilę przyglądała się swej współlokatorce, a potem wybuchnęła śmiechem. W porównaniu do cel, w których mieszkały siostry, pokój rzeczywiście mógł się wydawać duży.

Potem zaczęła się rozbierać.

Megan nie odrywała od niej wzroku. Po raz pierwszy miała możliwość zobaczenia Amparo w dziennym świetle. Kochanka Miro była piękna, choć o rysach raczej pospolitych, rudowłosa, o białej skórze, pełnych piersiach i smukłej talii. Chodząc ponętnie kręciła biodrami.

Amparo zauważyła, że jest obserwowana.

- Czy może siostra coś mi powiedzieć? Po co wstępuje się do klasztoru?

Bardzo proste pytanie.

- A czy może być coś wspanialszego, niż poświęcić się dla chwały Bożej?

- Od ręki mogę wymienić z tysiąc rzeczy. - Rudowłosa podeszła do łóżka i usiadła. - Siostra śpi na leżance. Z tego, co słyszałam o klasztorach, wasz Bóg nie popiera nadmiernych wygod. Megan uśmiechnęła się.

- To bez znaczenia. Dusza nie potrzebuje luksusów.

W pokoju po przeciwnej stronie korytarza Jaime Miro wyciągnął się na łóżku. Felix Carpio próbował jakoś ulokować się na leżance. Obaj mężczyźni byli kompletnie ubrani. Jaime włożył pistolet pod poduszkę, Felix swój umieścił małym, podniszczonym stoliku.

- Jak myślisz, czemu to robią? - zastanawiał się głośno Carpio.

- Co takiego, *amigo*?

- Zamykają się w klasztorze na całe życie jak w więzieniu. Jaime Miro wzruszył ramionami.

- Zapytaj siostrę. Żałuję jak cholera, że nie idziemy sami. Mam w związku z tym złe przeczucia.

- Jaime, Bóg wynagrodzi nam dobry uczynek.

- Naprawdę w to wierzysz? Nie rozśmieszaj mnie. Felix nie podtrzymał tematu. Dyskusowanie z Jaimem o kościele katolickim nie byłoby zbyt taktowne. Mężczyźni zamilkli, każdy pogrążony we własnych myślach.

„Musimy bezpiecznie odprowadzić je do klasztoru” - dumiał Carpio. Był pewien, że to sam Bóg postawił zakonnice na ich drodze.

Jaime myślał o Amparo. Strasznie jej teraz pragnął.

„Ta przeklęta zakonnica”.

Już zaczął owijać się kołdrą, gdy zdał sobie sprawę, że ma jeszcze coś do zrobienia.

* * *

W małym, ciemnym holu na parterze, recepcjonista bez słowa czekał, aż nowi goście zasną. Gdy wreszcie podnosił słuchawkę i wykreślał numer, serce waliło mu jak szalone.

Odezwał się leniwy głos:

- Posterunek policji.

Pracownik hotelu zaczął szeptać przez telefon do swego bratanka:

- Florian, mam u siebie Jaimego Miro i trójkę jego ludzi. Co powiesz na zaszczyt schwytania ich osobiście?

Sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód, w głębi zalesionego obszaru, ciągnącego się wzdłuż drogi do Peñafiel, leżała pogrążona we śnie Lucia Carmina.

Siedzący obok Rubio Arzano przyglądał się jej, nie mogąc jakoś zmusić się do przerwania słodkiej ciszy.

„We śnie wygląda jak anioł” - pomyślał.

Ale już był niemal świt, czas ruszać.

Rubio pochylił się i cichutko wyszeptał:

- Sostro Lucio... Dziewczyna otworzyła oczy.

- Musimy się zbierać.

Ziewnęła i przeciągnęła się leniwie. Bluzka, którą miała na sobie, rozpięła się i Rubio dostrzegł fragment kobiecej piersi. Pospiesznie odwrócił wzrok. „Muszę się pilnować. To oblubienica Jezusa”.

- Sostro...

- Tak?

- Zastanawiam się, czy mógłbym siostrę o coś prosić. - Prawie się przy tym zarumienił.

- Tak?

- Ja... od dawna się nie modliłem, ale wychowano mnie po katolicku. Mogłaby siostra zmówić modlitwę?

Tego Lucia zupełnie się nie spodziewała. „Kiedy to ostatni raz się modliłam”?

Zaczęła intensywnie myśleć. Klasztor się nie liczył. Podczas gdy zakonnice oddawały się modlitwie, była zajęta układaniem planów ucieczki.

- Nie wiem, czy...

- Z pewnością potem oboje lepiej się poczujemy.

Jak miała wyjaśnić, że nie pamięta żadnej modlitwy?

- Ale... „Już wiem”. Coś jednak sobie przypomniała. Jako mała dziewczynka klękała przy łóżku, a ojciec stawał obok, czekając, by otulić ją przed snem. Z wolna odszukała w pamięci słowa psalmu dwudziestego trzeciego:

- Pan jest moim pasterzem, nie brak mi niczego. Pozwala mi leżeć na zielonych pastwiskach. Prowadzi mnie nad wody, gdzie mogę odpocząć: orzeźwia moją duszę. Wiedzie mnie po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię...

Wspomnienia napłynęły wzburzoną falą.

Mieli z ojcem na własność cały świat. A tata taki był z niej dumny. „Urodziłaś się pod szczęśliwą gwiazdą, *faccia d'angelo*”. Słuchając tych słów, Lucia czuła się szczęśliwa i piękna. Nic nie mogło jej zranić. Czyż nie była piękną córką wielkiego Angela Carmine?

- Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę... Sługami zła okazali się wrogowie ojca i braci. Ale zmusiła ich, by zapłacili za swe winy.

- ...bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja łaska są tym, co mnie pociesza...

„Gdzie był Bóg, kiedy potrzebowałam pociechy”?

- Stół dla mnie zastawiasz wobec mych przeciwników; namaszczasz mi głowę olejkami; mój kielich jest prze obfity...

Mówiła teraz wolniej, głosem zniżonym do szeptu. Co się stało z dziewczyną w białej komunijskiej sukience? Przyszłość wyglądała tak różowo. I wszystko potoczyło się niewłaściwym torem. Wszystko.

„Straciłam ojca i braci, zagubiłam samą siebie”.

W klasztorze nie myślała o Bogu. Ale teraz, z tym prostodusznym wieśniakiem...

„Mogłaby siostra pomodlić się za nas”?

- Tak, dobroć i łaska pójdą w ślad za mną przez wszystkie dni mego życia i zamieszkać w domu pańskim po najdłuższe czasy - zakończyła Lucia.

Rubio przyglądał się dziewczynie, wyraźnie poruszony.

- Dziękuję, siostrze.

Nie mogąc wykrztusić słowa, skinęła głową. „Co się ze mną dzieje?” - zadała sobie pytanie.

- Jest siostra gotowa? Lucia spojrzała na Rubia Arzano i odparła:

- Tak. Jestem gotowa. Pięć minut później ruszyli w drogę.

Złapała ich nagle ulewa i schronili się w opuszczonej chacie. Strugi wody wściekle waliły o dach i ściany jak pięści.

- Czy ta burza nigdy nie ustanie? Rubio uśmiechnął się.

- To nie jest prawdziwa burza, siostrze. My, Baskowie, nazywamy ten rodzaj deszczu *sirimiri*. Przystanie padać równie szybko, jak zaczął. Ziemia jest sucha. Potrzebuje deszczu.

- Naprawdę?

- Tak. Wiem, bo jestem rolnikiem. „To widać” - w myśli skomentowała Lucia.

- Proszę wybaczyć, że to mówię, siostrze, ale my dwoje mamy wiele wspólnego.

Dziewczyna przyjrzała się pozbawionemu ogłady prostakowi i pomyślała: „To będzie dzień”.

- Naprawdę?

- Tak. Uważam, że pod wieloma względami praca na farmie przypomina pobyt w klasztorze.

Jakoś umknęła jej istota tego porównania.

- Nie rozumiem.

- W klasztorze wiele się myśli o Bogu i Jego cudach, zgadza się?

- Owszem.

- W pewnym sensie farma jest Bogiem. Człowiek obserwuje cud stworzenia. Wszystko to, co wyrasta z ziemi, bez znaczenia czy zboże, oliwki czy winorośl - wszystko pochodzi od Boga, prawda? To właśnie są cuda, a kiedy patrzy się na nie co dzień i pomaga im rosnąć, samemu staje się częścią cudu. Entuzjizm w głosie Rubia zmusił Lucię do uśmiechu. Nagle deszcz przestał padać.

- Możemy iść dalej, siostrze.

- Niedługo zaczniemy się zbliżać do rzeki Duero - odezwał się Arzano. - Przed sobą mamy wodospad Peñafiel. Przez Aranda de Duero dojdziemy do Logroño, gdzie spotkamy się z resztą.

„Sam tamtędy pójdziesz - pomyślała Lucia. - Powodzenia. Ja będę w Szwajcarii, przyjacielu”.

Huk wody usłyszeli na pół godziny przed dotarciem do wodospadu. Spadająca kaskadami do rzeki o bystrym nurcie woda przedstawiała piękny widok. Na brzegu panował hałas niemal ogłuszający.

- Chcę się wykapać - stwierdziła Lucia. Poprzednią kąpiel brała całe wieki temu.

Rubio Arzano obrzucił swą towarzyszkę zdumionym spojrzeniem. Tutaj? „Nie, ty idioto, w Rzymie”.

- Tak.

- Niech siostra uważa. Po deszczu rzeka jest wzburzona.

- Proszę się o mnie nie martwić. Stała spokojnie i cierpliwie czekała.

- Och. Odejdę, żeby mogła się siostra rozebrać.

- Ale nie za daleko - szybko poprosiła Lucia. W po bliskich lasach mogły żyć jakieś dzikie zwierzęta.

Gdy dziewczyna zaczęła się rozbierać, Rubio pospiesznie odwrócił się plecami i odszedł parę metrów dalej.

- Proszę nie wchodzić za głęboko, siostrze - zawołał. - Nurt jest zdradliwy.

Lucia odłożyła zapakowany krzyż tak, by mieć go cały czas na oku. Chłodne powietrze poranka cudownie gładziło jej skórę. Rozebrawszy się do naga, weszła do wody,

zimnej i orzeźwiającej. Odwróciła się i popatrzyła na Rubia, który siedział zwrócony do brzegu plecami. Lucia uśmiechnęła się. Każdy inny mężczyzna, jakiego znała, próbowałby podglądać.

Zanurzyła się głębiej, chcąc ominąć kamienie, których wszędzie było pełno, i opryskała wodą, czując, jak rzeka gwałtownie usiłuje pociągnąć ją za sobą.

Metr dalej woda niosła drzewko. Lucia poruszyła się, chcąc odprowadzić je wzrokiem, nagle straciła równowagę, poślizgnęła się i upadła z krzykiem. Głową mocno uderzyła o wystający otoczek.

Rubio poderwał się i z przerażeniem patrzył, jak Lucię unosi prąd i dziewczyna znika w rozszalałej wodzie.

Gdy sierżant Florian Santiago z posterunku policji w Salamance odkładał słuchawkę, trzęsły mu się ręce.

„Mam u siebie Jaimego Miro i trójkę jego ludzi. Co powiesz na zaszczyt schwytania ich osobiście?”

Za głowę Miro rząd wyznaczył sporą nagrodę i oto sierżant miał baskijskiego zbrodniarza w zasięgu ręki. Pieniądze zmieniłyby całe życie Floriana Santiago. Mógłby sobie pozwolić na posłanie dzieci do lepszej szkoły, kupićby pralkę dla żony i biżuterię dla kochanki. Oczywiście, musiałby podzielić się z wujem.

„Dam mu dwadzieścia procent - postanowił Santiago. - No, może dziesięć”.

Miro cieszył się w pełni zasłużoną złą sławą i sierżant nie zamierzał ryzykować życia podczas próby schwytania terrorysty.

„Pozwólmy innym stawić czoło niebezpieczeństwu i zdobyć dla mnie nagrodę”.

Policjant usiadł przy biurku, zastanawiając się nad najlepszym sposobem wybrnięcia z sytuacji, i natychmiast przyszedł mu na myśl pułkownik Acoca. Wszyscy wiedzieli, że pomiędzy wojskowym a terrorystą trwa krwawa rywalizacja. Poza tym, pułkownik miał na swe rozkazy całe COE. Tak, do niego właśnie należało się zwrócić.

Santiago podniósł słuchawkę i dziesięć minut później rozmawiał już z samym pułkownikiem.

- Mówi sierżant Florian Santiago z posterunku w Salamance. Wytropiłem Jaimego Miro.

Acoca z trudem zapanował nad głosem.

- Jesteście pewni?

- Tak jest, panie pułkowniku. Znajduje się w *Parador Nacional Raimundo de Borgon*, tuż za miastem. Zatrzymał się tam na noc. Mam wuja, który pracuje w zajeździe jako recepcjonista. Osobiście mnie zawiadomił. Z Miro zjawili się jeszcze jeden mężczyzna i dwie kobiety.

- Wasz wuj jest pewien, że to Miro?

- Tak, panie pułkowniku. Terrorysty zajęli dwa pokoje na tyłach, na pierwszym piętrze.

- Proszę słuchać uważnie, sierżancie - powiedział Acoca. - Macie bezzwłocznie udać się do *parador* i przypilnować, żeby nikt stamtąd nie wyszedł. Powinienem dotrzeć na miejsce za jakąś godzinę. Nie wolno wam wchodzić do środka. I nie rzucajcie się w oczy.

Wszystko jasne?

- Tak jest. Udam się tam natychmiast. - Santiago zawahał się. - Jeżeli chodzi o tę nagrodę, panie pułkowniku...

- Jeśli schwytamy Miro, jest wasza.

- Dziękuję, panie pułkowniku. Chciałbym...

- Proszę ruszać.

- Tak jest. Florian Santiago odłożył słuchawkę. Kusiło go, żeby zadzwonić z podniecającą nowiną do kochanki, ale to mogło poczekać. Na niespodzianki przyjdzie czas później. Póki co, trzeba zająć się pracą. Wezwał jednego z odbywających służbę kolegów.

- Zastąp mnie. Mam coś do załatwienia. Wrócę za parę godzin.

„...jako człowiek bogaty - dokończył w myśli. - Przede wszystkim kupię nowy samochód. Seata. Niebieskiego. Nie, może raczej białego”.

Pułkownik Ramon Acoca odłożył słuchawkę i przez chwilę siedział nieruchomo, zbierając myśli. Tym razem żadnych wpadek. Nareszcie finałowe posunięcie w rozgrywanej z Baskiem partii. Trzeba zachować szczególną ostrożność. Miro na pewno rozstawił strażę.

Acoca wezwał swego adiutanta.

- Tak, panie pułkowniku?

- Wybierz dwudziestu czterech najlepszych snajperów. Dopilnuj, żeby zabrali broń automatyczną. Za piętnaście minut wyjeżdżamy do Salamanki.

- Tak jest. Tym razem Miro się nie wymknie. Pułkownik już planował przebieg akcji.

Parador zostanie otoczony kordonem szybko i cicho.

„Podkradniemy się, zanim ten rzeźnik zdąży zaatakować i pomordować kolejnych ludzi. Zabijemy ich wszystkich we śnie”.

Adiutant wrócił po piętnastu minutach.

- Jesteśmy gotowi do wymarszu, panie pułkowniku.

Sierżant Santiago bez zwłoki udał się do *parador*. Pułkownik nie musiał mu mówić, że ma się trzymać z dala od terrorystów. Teraz jednak, w obliczu rozkazów Acoki, sierżant zajął dogodną pozycję w mroku, dwadzieścia metrów od zajazdu, skąd roztaczał się dobry widok na frontowe drzwi. Noc była chłodna, ale myśl o nagrodzie działała na Santiago rozgrzewające. Policjant umiłował sobie oczekiwanie rozważaniami, czy kobiety z zajazdu są ładne i czy leżą z mężczyznami w łóżku. Tak czy owak jednego mógł być pewien: za parę godzin wszyscy oni będą martwi.

Wojskowa ciężarówka cicho wjechała do miasta i skierowała się w stronę *parador*.

Pułkownik Acoca zapalił latarkę i śledził trasę na mapie, a gdy znaleźli się półtora

kilometra od zajazdu, rozkazał:

- Zatrzymać wóz. Resztę drogi przejdziemy pieszo. Zachować ciszę.

Santiago zauważył przybycie grupy antyterrorystycznej dopiero w chwili, gdy ktoś przeraził go szeptem wprost w ucho:

- Kim jesteś?

Policjant odwrócił się i stanął oko w oko z pułkownikiem Acocą. „Mój Boże, tego bym nie chciał spotkać w ciemnej ulicy” - pomyślał.

- Jestem sierżant Santiago, proszę pana.

- Czy ktoś wychodził z zajazdu?

- Nie, proszę pana. Wszyscy są w środku, pewnie już zasnęli. Pułkownik zwrócił się do adiutanta:

- Połowa naszych ludzi ma otoczyć hotel. Jeżeli ktoś będzie próbował uciekać, zastrzelić go. Reszta pójdzie ze mną. Zbiegowie są w pokojach od tyłu, na pierwszym piętrze. Idziemy.

Santiago przyglądał się, jak pułkownik i jego ludzie bezszelestnie znikają we frontowych drzwiach *parador*. Policjant zastanawiał się, czy wyniknie strzelanina. A jeśli tak, czy jego wuj zginie, dostawszy się w krzyżowy ogień. Byłoby szkoda. Ale z drugiej strony, nie trzeba by się z nikim dzielić nagrodą.

Gdy żołnierze weszli na górę, Acoca wyszeptał:

- Nie ryzykować. Strzelać bez ostrzeżenia.

- Czy mam iść przed panem, pułkowniku? - zapytał adiutant.

- Nie.

Przyjemność zabicia Jaimego Miro Acoca chciał zarezerwować dla siebie. Dwa pokoje, zajmowane przez Miro i jego ludzi, znajdowały się w końcu korytarza. Pułkownik gestem rozdzielił podwładnych na dwie sześciuosobowe grupy, do obstawienia jednych drzwi każda.

- Teraz! - krzyknął.

Na ten właśnie moment czekał z utęsknieniem. Na dany sygnał żołnierze kopniakami jednocześnie otwarli obie pary drzwi i wpadli do pokojów z bronią gotową do strzału. Przez chwilę stali w pustych pomieszczeniach, gapiąc się na zmiętą pościel.

- Rozproszyc się. Szybko! Na dół! - wrzasnął Acoca. Podwładni pułkownika błyskawicznie sprawdzali wszystkie pokoje, wyłamując drzwi i budząc przerażonych gości. Acoca jak burza wpadł do holu, żeby odszukać recepcjonistę. Nigdzie go nie było.

- Hej! - zawołał. - Hej tam!

Brak odpowiedzi. Nędzny tchórz się ukrywał. Jeden z żołnierzy zajrzał za biurko.

- Panie pułkowniku... Acoca podszedł bliżej i spojrzał na podłogę. Związany i zakneblowany pracownik hotelu oparty został o ścianę. Na szyję założoną miał wywieszkę z napisem: NIE PRZESZKADZAĆ.

Rubio Arzano z przerażeniem patrzył, jak Lucia znika, uniesiona strumieniem rwącej wody. W ułamku sekundy poderwał się i popędził z biegiem rzeki, przeskakując przez zwalone pnie i krzaki. W miejscu, gdzie nurt zakręcał, mężczyźni mignęło ciało Lucii, znoszone w jego stronę. Zanurkował i walcząc z silnym prądem, jak szalony rzucił się w pław, by chwycić dziewczynę. Sprawa wyglądała beznadziejnie. Czuł, że woda go odpycha. Lucia znajdowała się zaledwie parę metrów dalej, ale równie dobrze mogłyby to być całe kilometry. Rubio podjął ostatni, heroiczny wysiłek i chwycił kobiece ramię, omal nie wypuszczając go w chwilę potem. Silnie objąwszy bezwładne ciało, z najwyższym trudem wywlókł je na bezpieczny brzeg.

Gdy wreszcie wydostali się z wody, Rubio złożył swój ciężar na trawie i dłuższy czas leżał nieruchomo, z wysiłkiem chwyając oddech. Lucia była nieprzytomna i nie oddychała. Mężczyzna odwrócił ją na plecy, usiadł na niej okrakiem i zaczął uciskać klatkę piersiową leżącej. Minęła minuta, potem druga i gdy już zaczął tracić nadzieję, z ust dziewczyny wytrysnął strumień wody. Potem jęknęła. Rubio zmówił modlitwę dziękczynną.

Nie przerywał masażu, teraz mniej intensywnego, aż do chwili, gdy serce Lucii wyrównało rytm. Dziewczyna zaczęła drżeć z zimna. Rubio pobiegł do kępy drzew, zerwał pełne gańskie liści, pospiesznie wrócił i zaczął wycierać nimi półprzytomną zakonnice. Sam również przemókł i zmarzł, ale nie zwracał na to uwagi. Panicznie bał się, że siostra Lucia umrze. Gdy tak delikatnie osuszał nagie ciało leżącej, naszły go nieczyste myśli.

„Ma ciało bogini. Wybacz, Panie, ona należy do Ciebie i nie wolno mi myśleć o takich rzeczach...”

Pod wpływem czułego dotyku Lucii stopniowo wracała świadomość. Była na plaży z Ivo, miękki język kochanka przesuwiał się wzdłuż jej ciała.

„O, tak - pomyślała. - O, tak. Nie przestawaj, caro”.

Podniecenie ogarnęło dziewczynę, jeszcze zanim otworzyła oczy.

Gdy upadła w wodzie, ostatnią, jej myślą, było to, że umrze. Ale jednak żyła i patrzyła na mężczyznę, który ją uratował. Bez namysłu przytuliła Rubia i pociągnęła na siebie. Na twarzy Baska pojawił się wyraz pełnego przestachu zaskoczenia.

- Siostró - zaprotestował Arzano - nie wolno nam...

- Cśśś! Lucia przywarła do ust mężczyzny, zapalczywa, spragniona, pożądliva, i wpiła się w nie językiem. Dla Rubia tego już było za wiele.

- Szybko - szeptała. - Szybko. Przyglądała się, jak Rubio nerwowo zrzuca

przemoczoną odzież.

„Zasługuje na nagrodę - pomyślała. - Ja też”. Mężczyzna, z wahaniem przysuwając się w stronę leżącej, powiedział:

- Siostró, nie powinniśmy... Lucia nie miała nastroju do rozmowy. Wreszcie poczuła, jak ciało Rubia łączy się z jej ciałem w ponadczasowym, pozarozumowym rytuale, i poddała się przepelniającym ją cudownym emocjom. Niedawne otarcie się o śmierć dodawało temu, co robili, słodczy.

Rubio okazał się zaskakująco dobrym kochankiem, jednocześnie delikatnym i zapalczwym. Jego nieoczekiwana wrażliwość zupełnie podbiła serce dziewczyny. W oczach mężczyzny Lucia dostrzegła tak wielką czułość, że nagle ścisnęło ją w gardle.

„Mam nadzieję, że ten łamaga się we mnie nie zakocha. Tak się stara mnie zadowolić. Kiedy poprzednio mężczyzna martwił się o to, czy mnie zadowoli?” - zadała sobie pytanie. I pomyślała o ojcu. Ciekawe, czy spodobałby mu się Rubio Arzano. A potem zaczęła się zastanawiać, czemu rozmyśla o tym, co ojciec powiedziałby o Rubiu.

„Chyba oszalałam. Ten facet jest rolnikiem, a ja Lucią Carmine, córką Angela Carmine. Nie mamy ze sobą nic wspólnego. Zetknął nas jedynie głupi zbieg okoliczności”.

Rubio trzymał dziewczynę w ramionach i powtarzał:

- Lucia. Moja Lucia.

A lśnienie jego oczu zdradziło pannie Carmine, co czuje. „Kochany” - pomyślała. A zaraz potem: - „Co się ze mną dzieje? Czemu w ogóle tak się nad nim roztkliwiam? Uciekam przed policją i...” - Nagle przypomniała sobie o złotym krzyżu i aż straciła dech. - „O mój Boże! Jak mogłam zapomnieć choćby na chwilę”.

Gwałtownie usiadła.

- Rubio, zostawiłam na brzegu pakunek. Czy mógłbyś go przynieść? I moje rzeczy?

- Oczywiście. Zaraz wrócę. Lucia czekała, przerażona, że krzyżowi coś mogło się stać. A jeśli zginął? A jeżeli zabrał go ktoś przechodzący nad rzeką?

Zobaczywszy Rubia zbliżającego się z owiniętym w płótno pakunkiem pod pachą, doznała potężnego uczucia ulgi.

„Nie spuszczę go już z oka” - postanowiła.

- Dziękuję - zwróciła się do mężczyzny. Rubio wręczył Lucii odnalezione ubranie. Dziewczyna spojrzała na niego z dołu i powiedziała miękko:

- Na razie nie będzie mi potrzebne. Pieszczota słońca na nagiej skórze sprawiała, że Lucia czuła się ociężała i rozgrzana, a uścisk ramion Rubia dodawał otuchy. Zupełnie jakby znaleźli się w zacisznej oazie. Niebezpieczeństwa, przed którymi uciekali, zdawały się

odległe o całe lata świetlne.

- Opowiedz mi o swojej farmie - leniwie poprosiła dziewczyna.

Twarz Rubia rozjaśniła się, w jego głosie zadźwięczała duma.

- To była mała farma za niewielką wioską w pobliżu Bilbao. Należała do rodziny od wielu pokoleń.

- Co się z nią stało? Zachmurzył się.

- Ponieważ jestem Baskiem, rząd madrycki ukarał mnie dodatkowymi podatkami. Gdy odmówiłem ich zapłacenia, skonfiskowali farmę. Wtedy poznałem Jaimego Miro. Przy stałem do niego, żeby walczyć przeciw rządowi o to, co słuszne. Mam matkę i dwie siostry i pewnego dnia odzyskam naszą farmę i znów będę uprawiał ziemię.

Lucia pomyślała o ojcu i braciach, na zawsze zamkniętych w więzieniu.

- Jesteś blisko związany z rodziną? Rubio uśmiechnął się ciepło.

- Oczywiście. Rodzina zawsze jest najważniejsza, prawda?

„Tak - milcząco zgodziła się z nim dziewczyna. - Ale ja swojej już nigdy nie zobaczę”.

- Opowiedz mi coś o sobie - poprosił. - A ty, zanim wstąpiłaś do klasztoru, byłaś zżyta z rodziną?

Rozmowa przybrała niebezpieczny obrót.

„I co mam teraz zrobić? Wyznać, że ojciec jest mafiosem? Że on i bracia siedzą w więzieniu za morderstwo”?

- Tak. Byliśmy ze sobą blisko.

- Czym się zajmuje twój ojciec?

- Jest... jest biznesmenem.

- Masz rodzeństwo?

- Dwóch braci. Pracują dla taty.

- Lucia, czemu wstąpiłaś do klasztoru?

„Bo policja poszukiwała mnie za zamordowanie dwóch ludzi. Muszę zakończyć tę pogawędkę” - postanowiła dziewczyna. Głośno zaś odparła:

- Potrzebowałam odosobnienia. „To nawet dość bliskie prawdy”.

- Czulaś, że... że nie nadążasz za życiem?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie mam prawa tego mówić, Lucio, ale zakochałem się w tobie.

- Rubio...

- Chcę się z tobą ożenić. Nigdy w życiu nie powiedziałem tego żadnej kobiecie.

W jego żarliwości było coś wzruszającego.

„Nie potrafi flirtować - zorientowała się Lucia. - Muszę uważać, żeby go nie zranić. Co za pomysł, żeby córka Angela Carmine została żoną rolnika!” Niemal roześmiała się w głos. Rubio źle zinterpretował uśmiech dziewczyny.

- Nie będę się wiecznie ukrywał. Rząd musi zawrzeć z nami pokój. A wtedy wrócę na swoją farmę. *Querida*, chcę poświęcić resztę życia, by uczynić cię szczęśliwą. Będziemy mieli masę dzieci, dziewczynki podobne do ciebie i...

„Nie mogę tego przedłużyć - stwierdziła. - Muszę go powstrzymać”.

Ale jakoś nie potrafiła się do tego zmusić. Słuchała Rubia, roztaczającego romantyczny obraz życia we dwoje, i niemal żałowała, że nic z tego się nie spełni. Ta ciągła, męcząca ucieczka. Cudownie byłoby znaleźć bezpieczne schronienie pod opieką kogoś kochającego.

„Chyba zwariowałam” - uznała Lucia.

- Nie mówmy o tym teraz - powiedziała. - Powinniśmy już ruszać.

Posuwali się na północny wschód, wzdłuż krętych brzegów Duero, podziwiając pagórkowaty krajobraz i soczystą zieleń drzew. W malowniczej wiosce Villalba de Duero zatrzymali się, by kupić chleb, ser i wino, a potem na łące urządzili sobie sielankowy piknik.

Przy boku Rubia Lucia czuła się zupełnie spokojna. W mężczyźnie drzemała jakaś ukryta siła, która i dziewczynie dodawała mocy.

„To facet nie dla mnie, ale uczyni jakąś kobietę bardzo szczęśliwą” - myślała.

Po skończonym posiłku Rubio odezwał się:

- Najbliższe miasto to Aranda de Duero. Jest dosyć spore i najlepiej, żebyśmy je ominęli, unikając spotkania z GOE i żołnierzami.

Nadeszła chwila prawdy, czas rozstania. Lucia czekała przecież, aż dotrą do większego miasta. Rubio Arzano i jego farma należeli do świata marzeń; ucieczka do Szwajcarii była rzeczywistością. Dziewczyna wiedziała, jak bardzo zrani swego wybawcę, i jakoś nie mogła się zmusić, żeby patrzeć mu w oczy, gdy mówiła:

- Rubio... chciałabym pójść przez miasto. Zmarszczył brwi.

- Ale to może być niebezpieczne, *querida*. Żołnierze...

- Nie będą nas tam szukać. - Starła się szybko coś wymyślić. - Poza tym, muszę zmienić ubranie. To się już nie nadaje.

Pomysł przejścia przez miasto wyraźnie nie przypadł Rubiowi do gustu, ale powiedział tylko:

- Jak chcesz.

Z oddali wyłoniły się przed nimi mury Aranda de Duero, monumentalne jak góry, tyle że wypiętrzone ludzką ręką. Rubio podjął jeszcze jedną próbę.

- Lucia... na pewno chcesz iść przez miasto?

- Tak. Na pewno.

Długim mostem weszli na główną ulicę, Avenida Castilla, i udali się do centrum. Przeszli obok cukrowni, kościołów i stoisk z drobiem. W powietrzu unosiła się ciężka mieszanina zapachów. Wzdłuż przemierzanej przez nich alei mieściły się sklepy i domy mieszkalne. Szli niespiesznie, uważając, by nie zwrócić na siebie uwagi. Wreszcie Lucia z ulgą dostrzegła to, czego szukała - znak z napisem: *Case de Empeños* - lombard. Nic jednak nie powiedziała.

Dotarli do placu, wokół którego usadowiły się sklepy, stragany i kafejki. Minęli *Taberna Cueva*, z długim barem i drewnianymi stołami. W lokalu stała szafa grająca, a z dębowego, belkowanego sufitu zwieszały się szynki i warkocze czosnku. Lucia postanowiła skorzystać ze sposobności.

- Napiłabym się czegoś - stwierdziła. - Możemy tam wejść?

- Oczywiście.

Rubio ujął ją za rękę i wprowadził do środka. Przy barze tłoczyło się kilku mężczyzn. Lucia i jej towarzysz zajęli stolik w rogu.

- Na co masz ochotę, *querida*?

- Zamów dla mnie szklankę wina. Zaraz wrócę. Mam coś do załatwienia. Dziewczyna wstała i opuściła lokal, zostawiając Rubia, który odprowadził ją zaskoczonym spojrzeniem.

Po wyjściu zawróciła i pospiesznie cofnęła się do Casa de *Empehos*, przyciskając do piersi ciasno zawinięty pakunek. Po przeciwnej stronie ulicy dostrzegła drzwi zaopatrzone w czarną tabliczkę, na której białymi literami wypisano: POLICIA. Przez chwilę wpatrywała się w napis z odrobinę przyspieszonym biciem serca, a potem weszła do lombardu.

Za ladą ledwie zza niej widoczny, stał zasuszony człowieczek z wielką głową.

- *Buenos dias, señorita.*

- *Buenos dias, señor.* Mam coś do sprzedania.

Była tak zdenerwowana, że musiała ścisnąć kolana, by opanować drżenie nóg.

- *Si?*

Lucia odwinęła złoty krzyż i wyciągnęła go w stronę staruszka.

- Jest pan zainteresowany zakupem? Zauważyła błysk w oczach właściciela lombardu, gdy ten brał krucyfiks do ręki.

- Czy mogę zapytać, jak weszła pani w jego posiadanie?

- Odziedziczyłam krzyż po wuju, który niedawno zmarł. Gardło miała zaschnięte i mówiła z najwyższym trudem. Stary człowiek obmacał krzyż, wolno go obracając.

- Ile pani za niego chce? Sen zaczynał stawać się jawą.

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy peso. Starzec zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Nie. Jest wart najwyżej sto tysięcy.

- Prędzej sprzedałabym własne ciało.

- Może mógłbym zaoferować podniesienie ceny do stu pięćdziesięciu tysięcy.

- Wolałabym go stopić i pozwolić złotu spłynąć do rynsztoka.

- Dwieście tysięcy peso. To moja ostateczna oferta. Lucia wyjęła krzyż z rąk pasera.

- To jawny rozbój, ale zgadzam się. Dostrzegła podniecenie swego rozmówcy.

- *Bueno, señorita.* - Sięgnął po przedmiot targów. Lucia odsunęła krucyfiks dalej.

- Jednak pod pewnym warunkiem.

- Pod jakim, *señorita*?

- Skradziono mi paszport. Potrzebuję nowego, żeby wyjechać z kraju w odwiedziny do chorej ciotki.

Teraz starzec spojrzał na dziewczynę ze zrozumieniem. Skinął głową.

- Ach tak.

- Jeśli pomoże mi pan rozwiązać ten problem, krzyż jest pański. Paser westchnął.

- W dzisiejszych czasach ciężko o paszporty, *señorita*. Władze ściśle kontrolują ich wydawanie.

Lucia patrzyła tylko, nie nie mówiąc.

- Nie potrafię pani pomóc.

- W każdym razie dziękuję, *señor*. - Odwróciła się w stronę wyjścia. Właściciel lombardu pozwolił jej dotrzeć aż do drzwi, zanim odezwał się:

- *Momentito.* Lucia przystanęła.

- Właśnie coś mi się przypomniało. Mam kuzyna, który czasem angażuje się w podobnie delikatne sprawy. To naturalnie daleki kuzyn.

- Rozumiem.

- Mógłbym z nim pomówić. Na kiedy potrzebuje pani paszport?

- Na dziś. Powoli skinął wielką głową.

- I jeśli uda mi się to załatwić, dobijemy targu?

- Gdy dostanę paszport.

- Zgoda. Proszę wrócić o ósmej, a zastanie tu pani mego kuzyna. Sam zrobi pani zdjęcie i umieści je w paszporcie.

Lucia poczuła, że serce zaczyna jej walić.

- Dziękuję, *señor*.

- Może chciałaby pani zostawić tu krzyż na przechowanie, dla bezpieczeństwa?

- Ze mną będzie bezpieczny.

- Zatem o ósmej. Hasta *luego*. Dziewczyna opuściła lombard. Ostrożnie ominęła posterunek policji i udała się do *taberna*, w której czekał na nią Rubio. Szła powoli. Nareszcie się udało. Za pieniądze uzyskane z sprzedaży krzyża dotrze do Szwajcarii. Na wolność. Wiedziała, że powinna się cieszyć, ale zamiast tego odczuwała dziwne przygnębienie.

„Co się ze mną dzieje? Ruszam swoją drogą. Rubio wkrótce o mnie zapomni. Znajdzie sobie kogoś”.

I nagle przypomniała sobie wyraz jego oczu, gdy wyznał:

„Chcę się z tobą ożenić. Nigdy w życiu nie powiedziałem tego żadnej kobiecie”.

„W cholerę z nim - pomyślała. - W końcu to nie mój problem”.

Media z rozkoszą karmiły się zaistniałą sensacją. Nagłówki gazet krzyczały jeden przez drugi. Atak na klasztor, zbiorowe aresztowanie zakonnic pod zarzutem udzielania schronienia terrorystom, ucieczka czterech sióstr, zabicie przez jedną z zakonnic pięciu żołnierzy, pojmanie i unieszkodliwienie zabójczyni. Międzynarodowe łącza telekomunikacyjne były rozpalone do białości.

W Madrycie zjawili się reporterzy z całego świata i premier Leopoldo Martinez, chcąc uspokoić sytuację, zgodził się wziąć udział w konferencji prasowej.

W gabinecie premiera zgromadziło się prawie pięćdziesięciu dziennikarzy. Przy boku szefa rządu znaleźli się pułkownicy Ramon Acoca i Fal Sostelo. Zdążyli już przeczytać nagłówek z popołudniowego wydania londyńskiego *Timesa*: **TERRORYŚCI I ZAKONNICE WODZĄ ZA NOS HISZPAŃSKĄ ARMIE ORAZ POLICJĘ.**

Pytanie zadawał reporter z *Paris Matcha*:

- Panie premierze, czy ma pan choćby ogólne pojęcie, gdzie w chwili obecnej znajdują się zaginione zakonnice?

Martinez odparł:

- Za akcję poszukiwawczą odpowiedzialny jest pułkownik Acoca. Pozwólmy jemu się wypowiedzieć.

- Mamy powody przypuszczać, że zakonnice znajdują się w rękach baskijskich terrorystów. Przykro mi to mówić, ale posiadamy dowody, że siostry współpracują z terrorystami - oznajmił Acoca.

Dziennikarze gryzmoлили jak szaleni.

- A co ma pan do powiedzenia o śmierci siostry Teresy i żołnierzy?

- Według naszych informacji zakonnica ta współpracowała z Jaimem Miro. Pod pretekstem udzielenia nam pomocy w odnalezieniu Miro przedostała się do obozu wojskowego i zanim udało się ją powstrzymać, zastrzeliła pięciu żołnierzy. Mogę państwa zapewnić, że armia i GOE dadzą z siebie wszystko, aby doprowadzić przestępców przed oblicze sprawiedliwości.

- A co z zakonnicami, które aresztowano i przewieziono do Madrytu?

- Są przesłuchiwane - odrzekł Acoca. Premier niecierpliwił się i chciał zakończyć spotkanie. Panował nad sobą z najwyższym trudem. Fakt, że nie udało się zlokalizować miejsca pobytu zakonnic ani schwytać terrorystów, sprawił, że rząd - i on osobiście - znalazł się w wyjątkowo niekorzystnej sytuacji. Martinez po prostu wyszedł na głupca, a prasa

skwapliwie z tego korzystała.

- Czy może pan zdradzić nam personalia zakonnic, które zbiegły, panie premierze? - zapytał reporter z *Oggi*.

- Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć nic więcej. Panie i panowie, powtarzam, że rząd robi wszystko, co w jego mocy, by odnaleźć zakonnice.

- Panie premierze, pojawiły się doniesienia o niezwyklej brutalności ataku na klasztor w Avila. Czy może pan to skomentować?

Temat ten był dla Martineza drażliwy, gdyż doniesienia polegały na prawdzie. Acoca znacznie przekroczył swoje kompetencje. Ale z pułkownikiem załatwi się tę sprawę później. Teraz nadszedł czas na pokaz jednomyślności.

Szef rządu zwrócił się do Acoki i gładko odparł:

- Pułkownik Acoca sam to wyjaśni.

- Do mnie również dotarły te nie potwierdzone pogłoski. Fakty są proste. Otrzymaliśmy wiarygodną informację, że terrorysta Jaime Miro i kilkunastu jego ludzi ukrywają się w klasztorze cysterek. Poszukiwani mieli być silnie uzbrojeni. Zanim jednak opanowaliśmy klasztor, przestępcy zbiegli.

- Pułkowniku, słyszeliśmy, że niektórzy z pańskich podwładnych napastowali...

- To oburzające pomówienie. Premier Martinez stwierdził:

- Dziękuję, panie i panowie. To wszystko. Zostaniecie poinformowani o dalszym rozwoju sytuacji.

Gdy dziennikarze wyszli, szef rządu zwrócił się do Acoki i Sostela.

- Przedstawiają nas światowej opinii publicznej jako barbarzyńców.

Acoca w najmniejszym stopniu nie był zainteresowany zdaniem premiera. Przejmował się natomiast rozmową telefoniczną, którą odbył poprzedniej nocy.

- Pułkownik Acoca? Głos, który znał aż za dobrze, Acocę natychmiast odeszła senność.

- Tak jest.

- Rozczarował nas pan. Mieliśmy nadzieję doczekać się jakichś rezultatów wcześniej.

- Osaczam ich, proszę pana. - Stwierdził, że intensywnie się poci. - Proszę o jeszcze odrobinę cierpliwości. Nie rozczaruję was. - Czekał na odpowiedź, wstrzymał oddech.

T - Kończy się panu czas. Połączenie przerwano.

Pułkownik Acoca odłożył słuchawkę i siedział nieruchomo, sfrustrowany.

„Gdzie jest ten drań, Miro”?

„Zabiję ją - myślał Ricardo Mellado. - Mógłbym ją zadusić gołymi rękoma, zrzucić w przepaść albo po prostu zastrzelić. Nie, jednak duszenie sprawiłoby mi największą przyjemność”.

Siostra Graciela była najbardziej irytującą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał. Nie mógł jej znieść. Z początku, gdy Jaime Miro wyznaczył go do eskortowania tej właśnie zakonnicy, Ricardo Mellado ucieszył się. Mniszka, co prawda, ale zdumiewająco piękna. Mellado zdecydował, że musi ją poznać, dowiedzieć się, dlaczego postanowiła na resztę życia ukryć tę wstrząsającą urodę za klasztornym murem. Pod noszoną przez Gracielę spódnicą i bluzką dopatrzył się pełnych, dojrzałych kształtów.

„Podróż zapowiada się bardzo interesująco” - stwierdził.

Jednak sprawy przybrały zupełnie nieoczekiwany obrót. Problem polegał na tym, że siostra Graciela nie odzywała się. Od chwili rozpoczęcia wędrówki nie powiedziała nawet jednego słowa i, co kompletnie zbiło Ricarda z tropu, nie okazała złości, strachu czy zdenerwowania. Nawet w najmniejszym stopniu. Zakonnica jakby wycofała się w głąb siebie. Sprawiała wrażenie zupełnie obojętnej na obecność Ricarda i otaczającą ją rzeczywistość.

Mimo upału szybkim krokiem przemierzali zapyłone boczne drogi, mijali łąny pszenicy, falującej złościście w promieniach słońca, pola jęczmienia i owsa oraz winnice. Okracali leżące na szlaku wędrówki wioski, przechodzili przez pola słoneczników, których szerokie, żółte twarze podążają za słońcem.

Gdy przecięli rzekę Moros, Ricardo zapytał:

- Chciałaby siostra chwilę odpocząć? Milczenie. Zbliżali się do Segowii, skąd mieli udać się na północny wschód, w stronę ośnieżonych wierzchołków gór Guadarrama. Ricardo podejmował kolejne próby nawiązania uprzejmej rozmowy, ale wszystkie zakończyły się porażką.

- Niedługo będziemy w Segowii, siostro. Żadnej reakcji. „Czy w jakiś sposób ją obraziłem”?

- Jest siostra głodna? Nic. Zupełnie jakby nie istniała. Nigdy w życiu nie czuł się tak sfrustrowany.

„A może jest opóźniona w rozwoju - pomyślał. - Pewnie w tym rzecz. Bóg obdarzył ją nieziemską urodą i jednocześnie obciążył ułomnym umysłem”.

Ale jakoś w to nie wierzył.

Już na przedmieściach Segowii Ricardo zorientował się, że miasto jest zatłoczone, a to

oznaczało wzmożoną czujność Cuardia Civil.

Gdy doszli do Plaža del Conde de Cheste, zauważył zbliżających się żołnierzy.

- Proszę wziąć mnie za rękę, siostró. Musimy wyglądać na parę zakochanych na spacerze - szepnął.

Zignorowała go.

„Jezu - jęknął w duchu Ricardo. - Może jest głuchoniema”. Sięgnął po dłoń zakonnicy i zaskoczył go jej nagły, gwałtowny opór. Kobieta szarpnęła się jak ukłuta szpilką. Strażnicy byli coraz bliżej. Ricardo pochylił się w stronę Gracieli.

- Nie złość się - powiedział głośno. - Moja siostra też tak uważa. Wczoraj po kolacji, kiedy położyła dzieciaki, mówiła, że lepiej by było, gdybyśmy my, mężczyźni, nie przesiadywali tyle czasu, paląc te cuchnące cygara i opowiadając historyjki, podczas gdy kobiety wychodzą same. Założę się...

Żołnierze poszli dalej. Ricardo odwrócił się, żeby spojrzeć na Gracielę. Twarz zakonnicy była kompletnie bez wyrazu. Ricardo zaczął w myślach przeklinać Jaimego za to, że nie przydzielił mu pod opiekę którejś z pozostałych sióstr. Ta przypominała kamień, do którego zimnego wnętrza nie jest w stanie dotrzeć nawet najtwardsze dłuto.

Przy całej swej skromności Ricardo Mellado wiedział, że podoba się kobietom. Wystarczająco wiele z nich mu o tym mówiło. Miał jasną cerę, był wysoki i dobrze zbudowany, w jego inteligentnej twarzy o rzymskim nosie lśniły doskonale białe zęby. Pochodził z jednej z najbardziej wpływowych rodzin baskijskich. Ojciec Ricarda był bankierem z północy kraju Basków i dopilnował, by syn otrzymał należyte wykształcenie. Posłał więc chłopaka na uniwersytet w Salamance i niecierpliwie czekał, aż ukończywszy naukę, włączy się w rodzinny interes.

Po powrocie z college'u Ricardo posłusznie podjął pracę w banku, ale po niedługim czasie zaangażował się w problemy swych podwładnych. Zaczął organizować spotkania, wiecze, protesty przeciw działaniom rządu i wkrótce został jednym z przywódców ETA. Ojciec, dowiedziawszy się o działalności syna, wezwał go do swego ogromnego, wyłożonego boazerią biura i udzielił mu pouczenia:

- Jestem Baskiem jak i ty, Ricardo, ale jestem też biznesmenem. Nie możemy kłaść własnego gniazda, zachęcając do rewolucji w kraju, w którym zarabiamy na życie.

- Nikt z nas nie chce obalać rządu, ojczyste. Żądamy tylko wolności. Rząd gnębi Basków i Katalończyków w okropny sposób.

Mellado senior odchylił się w krześle i uważnie przyjrzał synowi.

- Odbylem wczoraj poufną rozmowę z moim przyjacielem, burmistrzem. Dał mi do

zrozumienia, że wyszłoby ci na dobre, gdybyś przestał uczęszczać na zebrania. Lepiej by było, gdybyś zużytkował energię na załatwianie spraw bankowych.

- Ojciec...

- Posłuchaj mnie, Ricardo. W czasach młodości też miałem gorącą krew, ale są różne sposoby, by ją ostudzić. Zareczyłeś się ze śliczną dziewczyną. Mam nadzieję, że będziecie mieli masę dzieciaków. - Zatoczył ręką łuk, wskazując otoczenie. - I masz na co czekać.

- Ale nie widzisz...?

- Widzę wyraźniej niż ty, synu. Twego przyszłego teścia również nie zachwyca to, czym się zajmujesz. Nie chciałbym, żeby cokolwiek stało na przeszkodzie ślubowi. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, ojciec. Następnego soboty Ricardo Mellado został aresztowany, gdy przewodził wiecowi w sali zebrań w Barcelonie. Nie pozwolił, aby ojciec wpłacił za niego kaucję, o ile nie wpłaci jej także za pozostałych zatrzymanych. Mellado senior odmówił. Tak zakończyła się kariera Ricarda, podobnie zresztą jak narzeczeństwo. Zdarzenia te miały miejsce pięć lat temu. Pięć lat życia w ciągłym zagrożeniu i ucieczek w ostatniej chwili. Pięć lat wypełnionych podnieceniem, towarzyszącym walce o sprawę, w której słuszość gorąco wierzył. A teraz był uciekinierem, zbiegiem ukrywającym się przed policją, w dodatku prowadzącym przez Hiszpanię opóźnioną w rozwoju, niemą zakonnicę.

- Pójdziemy tędy - powiedział Mellado do Gracieli. Bardzo uważał, żeby nawet nie dotknąć jej ramienia.

Z głównej ulicy skręcili w Calle de San Valentin. Na rogu mieścił się tam sklep, w którym sprzedawano instrumenty muzyczne. Ricardo odezwał się:

- Mam pewien pomysł. Proszę tu poczekać, siostrze. Zaraz wrócę.

Wszedł do środka i spojrzał na stojącego za ladą młodego sprzedawcę.

- *Buenos dias*. Mogę w czymś panu pomóc?

- Tak. Chciałbym kupić dwie gitary. Ekspedient uśmiechnął się.

- A, ma pan szczęście. Akurat mamy parę ramirezów. Są najlepsze.

- Wolałbym coś trochę niższej jakości. Moja przyjaciółka i ja jesteśmy tylko amatorami.

- Jak pan sobie życzy. Może te? - Sprzedawca podszedł do stojaka, na którym wystawiono kilkanaście gitar. - Mogę zaproponować dwie konos, w cenie pięć tysięcy peso za sztukę.

- Raczej nie skorzystam - Ricardo wybrał dwa niedrogie instrumenty. - Te się świetnie nadają - oznajmił.

Kilka chwil później Mellado opuścił sklep, niosąc swój zakup. Miał słabą nadzieję, że może siostra Graciela zniknęła, ale cierpliwie czekała tam, gdzie ją zostawił.

Ricardo założył na jedną z gitar taśmę i podał instrument zakonniccy.

- Proszę, niech siostra przewiesi to przez ramię. Patrzyła bez słowa.

- Nie musi siostra grać - spokojnie wyjaśnił Mellado. - To tylko kamuflaż.

Wepchnął gitarę w oporne ręce Gracieli. Krętymi uliczkami Segowii doszli aż pod ogromny wiadukt, przed wiekami zbudowany przez Rzymian.

Ricardo postanowił podjąć jeszcze jedną próbę.

- Widzi siostra ten wiadukt? Pomiędzy kamieniami nie ma cementu. Legenda głosi, że dwa tysiące lat temu zbudował go diabeł, do spajania bloków używając jedynie swej piekielnej mocy.

Oczekując jakiejś reakcji, spojrzał na towarzyszkę wyczekująco.

Nic.

„Do diabła z nią - stwierdził Ricardo Mellado. - Poddaję się”.

Członkowie Guardia Civil byli wszędzie i ilekroć mijali patrol, Ricardo udawał, że pogrążony jest w zajmującej rozmowie z Gracielą. Cały czas starannie unikał jakiegokolwiek fizycznego kontaktu z idącą obok kobietą.

Policjantów i żołnierzy przybywało, ale mimo to Mellado czuł się dość bezpiecznie. Będą wypatrywać zakonnic w habitach i grupy ludzi Jaimego Miro. Nie ma powodu, by niepokoił parę młodych turystów niosących gitary.

Ricardo zgłódniał i chociaż siostra Gracielą nic nie mówiła, był pewien, że i ona odczuwa głód. Podeszli do niewielkiej kafejki.

- Wstąpimy tu, żeby coś zjeść, siostrze. Stała nieruchomo, obserwując mężczyznę bez słowa. Westchnął.

- W porządku. Jak siostra chce.

Wszedł do środka. Chwilę później dołączyła do niego Graciela. Gdy zajęli miejsca, Ricardo zapytał:

- Co siostra chce zamówić? Brak odpowiedzi. Ta zakonnica była po prostu nie do zniesienia.

- Dwa *gazpacho* i dwa razy specjalność zakładu - po wiedział kelnerce.

Gdy podano zupę i kielbaski, Graciela zaczęła jeść postawione przed nią dania. Ricardo zauważył, że posila się mechanicznie, bez przyjemności, jakby dopełniając jakiegoś obowiązku. Siedzący przy pozostałych stolikach mężczyźni bezwstydnie gapili się na zakonnicę. Mellado wcale się im nie dziwił.

„Tę urodę umiałby uchwycić tylko młody Goya” - myślał.

Pomimo odpychającego zachowania Gracieli, Ricardo za każdym razem, gdy na nią spojrzał, czuł ucisk w gardle. W duchu wyzywał się od romantycznych głupców. Miał przed sobą ucieleśnioną zagadkę, ukrytą za nieprzebytym murem milczenia. Ricardo Mellado znał wiele pięknych kobiet, ale do tej pory żadna tak bardzo nie zaprzętnęła jego uwagi. W urodzie Gracieli było coś niemal mistycznego. I jak na ironię nie miał pojęcia, co kryje się pod zapierającą dech pięknnością. Inteligencja czy głupota? Osobowość czy pospolita miernota? Chłód czy namiętność?

„Mam nadzieję, że jest głupia, nudna i oziębła - pomyślał Ricardo - bo inaczej nie zniosę rozstania z nią. Zachowuję się, jakbym mógł ją mieć. Przecież należy do Boga”.

Ostrożnie podniósł wzrok na swą towarzyszkę, pełen obaw, że wyczuła jego pragnienia.

Po skończonym posiłku Ricardo uregulował rachunek i oboje z Graciela wstali. Już wcześniej, podczas wędrówki, Mellado zauważył, że zakonnica lekko utyka.

„Muszę postarać się o jakiś transport - postanowił. - Przed nami wciąż daleka droga”.

Ruszyli w dół ulicy i w odległym końcu miasta, przy Manzanares el Real, natknęli się na tabor cygański, złożony z czterech ciągniętych przez konie, barwnie udekorowanych wozów. Z tyłu, spod plandek, wychylały się kobiety i dzieci, poubierane w malownicze stroje.

- Niech siostra tu zaczeka. Spróbuję zorganizować przejażdżkę - powiedział Ricardo. Podszedł do woźnicy pierwszego wozu, krzepkiego mężczyzny w kompletnym cygańskim rynsztunku z kolczykami włącznie.

- *Buenas tardes, señor**. Byłbym wielce zobowiązany, gdyby zgodził się pan podwieźć mnie i moją narzeczoną.

Cygan spojrzał w stronę Gracieli.

- Czemu nie. Dokąd chcecie jechać?

- W stronę Guadarrama.

- Mogę zabrać was do Cerezo de Abajo.

- To by nam bardzo pasowało. Dziękuję. Ricardo uścisnął rękę woźnicy i podał mu pieniądze.

- Wsiadajcie do ostatniego wozu.

- *Gracias*.

- Cyganie zabiorą nas do Cerezo de Abajo - wyjaśnił. - Pojedziemy w ostatnim wozie.

Przez chwilę był pewien, że Graciela się sprzeciwi. Zawahała się, potem jednak

*Buenas tarde - (hiszp.) dobry wieczór.

ruszyła w stronę pojazdu.

Mieszkający tam Cyganie posunęli się, by zrobić miejsce dla nowych towarzyszy podróży. Ricardo chciał pomóc siostrze wspiać się na górę, ale gdy tylko dotknął jej ramienia, został przez Gracielę odepchnięty z zaskakującą gwałtownością.

„W porządku, do diabła z tobą” - pomyślał.

Gdy zakonnica podciągała się do wnętrza wozu, mężczyźni mignęły przed oczami jej gołe nogi i nie był w stanie powstrzymać myśli:

„Ma najlepsze nogi, jakie w życiu widziałem”.

Usadowili się na twardej, drewnianej podłodze najwygodniej, jak tylko się dało, i rozpoczęła się długa jazda. Graciela siedziała w kącie z zamkniętymi oczami, jej wargi poruszały się w modlitwie. Ricardo nie mógł oderwać od niej oczu.

W ciągu dnia słońce grzało jak rozpalony piec, zalewając ziemię żarem, a bezchmurne niebo nabrało głębokiego odcienia błękitu. Od czasu do czasu, gdy wóz przecinał równiny, w górę wzbijały się ogromne ptaki.

„*Buitre leonado*” - pomyślał Ricardo. Sępy płowe.

Późnym popołudniem tabor zatrzymał się i do ostatniego wozu podszedł przywódca Cyganów.

- Dalej nie możemy was podwieźć - oznajmił, zwracając się do Ricarda. - Jedziemy do Vivelas.

„To nam nie pasuje”.

- W porządku - zapewnił Mellado. - Dziękuję. Zaczął wyciągać rękę w kierunku Gracieli, ale szybko się zreflektował.

- Byłbym bardzo zobowiązany, gdyby zechciał pan sprzedać trochę żywności dla mnie i mojej narzeczonej - zwrócił się do Cygana.

Mężczyzna skinął na jedną z kobiet i powiedział coś w obcym języku. Chwilę później wręczono Ricardowi dwa pakunki z jedzeniem.

- *Muchas gracias*. - Mellado sięgnął po pieniądze. Przywódca Cyganów przyglądał się mu przez chwilę.

- Ty i siostra zapłaciliście już za jedzenie. „Ty i siostra”. Więc wiedział. Jednak Ricardo nie poczuł się zagrożony. Cyganie byli gnębieni przez rząd na równi z Baskami i Katalończykami.

- *Vayan con Dios**. Mellado odprowadził wzrokiem znikający w oddali tabor, a potem odwrócił się do Gracieli. Zakonnica obserwowała go, milcząca i obojętna.

**Vayan con Dios* - (hiszp.) Idźcie z Bogiem.

- Już niedługo będzie siostra musiała znosić moje towarzystwo - zapewnił swą towarzyszkę. - Wkrótce dotrzemy do Logroño. Stamtąd, po spotkaniu z przyjaciółkami, ruszy siostra do klasztoru w Mendavii.

Żadnej reakcji. Jakby mówił do ściany. „Mówię do ściany”.

Cyganie wysadzili ich w spokojnej dolinie, zarośniętej sadami jabłkowymi, gruszkowymi i figowymi. Parę metrów dalej toczyła swe obfitujące w tłuste pstrągi wody rzeka Duratón. Dawniej Ricardo często przychodził tu na ryby. Miejsce było wprost stworzone do odpoczynku, ale mieli przed sobą długą drogę.

Mężczyzna odwrócił się, by spojrzeć na góry Guadarrama, pasmo leżące wprost przed nimi. Dobrze znał ten teren. Przez łańcuch prowadziło kilka krętych szlaków, którymi chadzały *cabras*, dzikie kozły górskie i wilki, i gdyby Ricardo podróżował sam, wybrałby najkrótszą drogę. Ponieważ jednak była z nim kobieta, zdecydował się trasę najłagodniejszą.

- No, lepiej ruszajmy - odezwał się. - Czekają nas długa wspinaczka.

Nie miał najmniejszego zamiaru spóźnić się na spotkanie w Logroño. Niech milcząca siostrzyczka kogo innego przyprawia o ból głowy.

Graciela stała spokojnie, czekając, aż Ricardo wskaże drogę. Mężczyzna rozpoczął wspinaczkę. Gdy ruszyli pod górę stromą ścieżką, kobieta poślizgnęła się na kamykach i Ricardo odruchowo wyciągnął rękę, żeby jej pomóc. Zakonnica szarpnęła się gwałtownie i dopiero po chwili odzyskała równowagę.

„Dobra - pomyślał Mellado ze złością - skręć kark”.

Posuwali się wciąż naprzód, ku wyniosłemu szczytowi. Szlak stał się bardziej stromy i węższy, chłodne powietrze rozrzedziło się. Wędrowcy szli na wschód, mijając sosnowy las. Przed sobą mieli wioskę, istny raj dla narciarzy i alpinistów. Ricardo wiedział, że można tam liczyć na gorący posiłek i zaciszne miejsce do odpoczynku. Kuszące.

„Zbyt niebezpieczne” - ocenił.

W osadzie Acoca mógłby zorganizować doskonałą zasadzkę.

- Ominiemy wioskę - oznajmił Gracieli. - Może siostra przejść jeszcze kawałek bez odpoczynku?

Spojrzała tylko i zamiast odpowiedzi ruszyła dalej. Poczul się urażony tą nieuzasadnioną nieuprzejmością i pomyślał: „Dzięki Bogu, w Logroño się jej pozbędę. Tylko czemu mam w związku z tym takie mieszane uczucia”?

Okrążyli osadę, idąc brzegiem lasu, i wkrótce ponownie znaleźli się na prowadzącej w górę ścieżce. Oddychanie zaczęło sprawiać im trudność, a szlak znów ostrzej ruszył w górę. Za którymś zakrętem natknęli się na puste orle gniazdo. Minawszy kolejną górską wioskę,

cichą i spokojną w promieniach popołudniowego słońca, zatrzymali się na krótki odpoczynek przy strumieniu, z którego napili się lodowatej wody.

O zmierzchu dotarli do dzikich terenów, na których znajdowały się słynne jaskinie. Dalej szlak zaczynał prowadzić w dół.

„Teraz już pójdzie łatwo - pomyślał Ricardo. - Najgorsze mamy za sobą”.

Skądś z wysoka doleciało go słabe brzęczenie. Spojrzał w górę, starając się zlokalizować jego źródło. Nad wierzchołkiem wzniesienia ukazał się nagle wojskowy samolot, lecący wprost na nich.

- Na ziemię! - krzyknął Mellado. - Na ziemię! Graciela szła dalej. Samolot zatoczył krąg i zaczął obniżać lot.

- Padnij! - ponownie ryknął Ricardo. Rzucił się na zakonnice i całym swym ciężarem przycisnął kobietę do ziemi.

To, co stało się później, było dla Mellado kompletnym zaskoczeniem. Graciela zniecka zaczęła histerycznie wrzeszczeć, usiłując go z siebie zrzucić. Kopała Ricarda w krocze i paznokciami ryła mu twarz, próbując wydrapać oczy. Ale najbardziej zdumiewające było to, co mówiła. Wyrzucała z siebie strumień przekleństw, który zaszokował Ricarda, zalewała mężczyznę potokiem słownych nieczystości. Nie mógł uwierzyć, że z pięknych, niewinnych ust padają podobne słowa.

By uchronić się przed ostrymi paznokciami, usiłował schwycić ręce zakownicy, która rzucała się pod nim jak rozwścieczona dzika kotka.

- Przestań! - krzyknął. - Nie zrobię ci krzywdy. To wojskowy samolot zwiadowczy. Mogli nas zobaczyć. Musimy się stąd wynosić.

Przyciskał ją do ziemi tak długo, aż wreszcie przestała się wrywać. Usłyszał, że Graciela wydaje jakieś dziwne, zduszone dźwięki, i po chwili zdał sobie sprawę, że to łkanie. W tym momencie Ricardo, mimo całego swego doświadczenia z kobietami, poczuł się zupełnie zbity z tropu. Siedział okrakiem na rozhisteryzowanej zakownicy, która klęła jak szewc, i nie miał bladego pojęcia, co robić dalej.

Zmusił się, by mówić jak najspokojniej i rozsądnie.

- Siostro, musimy szybko znaleźć jakąś kryjówkę. Ten samolot może zgłosić naszą obecność i wtedy za parę godzin okolica zaroi się od żołnierzy. Jeśli chce siostra jeszcze kiedykolwiek zobaczyć klasztor, proszę wstać i pójść ze mną.

Odczekał chwilę, a potem wstał z niej i usiadł obok. Czekał tak długo dopóki łkanie nie ucichło. W końcu Graciela podniosła się. Twarz miała poznaczoną smugami brudu, włosy w nieładzie, a oczy czerwone od płaczu. Mimo to była tak piękna, że Ricardo patrząc na nią,

odczuł jakiś dziwny ból.

- Przepraszam, że siostrę przestraszyłem. Chyba nie wiem, jak się przy siostrze zachowywać. W przyszłości po staram się bardziej uważać - powiedział cicho.

Graciela spojrzała na mężczyznę świetlistymi, ciemnymi oczyma, które wypełniały ły. Nie sposób było stwierdzić, o czym myśli. Ricardo westchnął i wstał. Graciela poszła za jego przykładem.

- W pobliżu jest kilkanaście jaskiń - wyjaśnił. - Na noc ukryjemy się w którejś z nich. O świcie znów będziemy mogli ruszyć w drogę.

Mimo że twarz krwawiła mu obficie z miejsc rozerwanych przez kobiece paznokcie, zdał sobie sprawę z dręczącego Gracielę uczucia bezbronności. Odkrył, jak zakonnica jest bezradna, i to sprawiło, że chciał powiedzieć jej coś pokrzepiającego. Jednak milczał. Nie był w stanie złożyć nawet jednego zdania.

Wieki działania wiatrów, wód i rozliczne trzęsienia ziemi wyrzeźbiły groty o nieskończonym bogactwie form. Niektóre były zwykłymi zagłębieniami w skałach, inne płataniną korytarzy, nigdy nie zbadanych przez człowieka.

Półtora kilometra od miejsca, gdzie zauważyli samolot, Ricardo znalazł jaskinię, której położenie uznał za zadowalające. Niskie wejście do niej prawie całkowicie maskowały zarośla.

- Proszę tu zostać - powiedział. Schylając głowę, wszedł do groty. W środku było ciemno, jedynie przez otwór wejściowy wpadło trochę słabego światła. Nie dało się stwierdzić, jak długa jest jaskinia, ale nie miało to znaczenia, gdyż nie widział powodu, by ją zwiedzać. Mellado wyszedł do Gracieli.

- Wygląda na bezpieczną - powiedział. - Niech siostra poczeka w środku. Przyniosę trochę gałęzi, żeby zasłonić wejście. Wrócę za parę minut.

Przyglądał się bez słowa Gracieli wchodzącej do groty i zastanawiał, czy kobieta będzie tam, gdy on wróci. I zdał sobie sprawę, że rozpaczliwie chce ją tam zastać.

Z wnętrza jaskini Graciela obserwowała, jak Ricardo odchodzi, i wreszcie w rozpaczy opadła na zimną ziemię.

„Dłużej tego nie zniosę - myślała. - Gdzie jesteś, Jezu? Uwolnij mnie z tego piekła”.

Bo rzeczywiście przeżywała piekło. Od pierwszej chwili Graciela usiłowała zwalczyć w sobie pociąg do Ricarda. Wspominała Maura.

„Boję się samej siebie. Zła w sobie. Pragnę tego mężczyzny, a to zabronione”.

I wzniosła pomiędzy nim a sobą mur milczenia, milczenia jak to, w którym żyły zakonnice. Jednak bez klasztornej dyscypliny, modlitw, oparcia w sztywno przestrzegany

rozkładzie dnia, nie była w stanie oszukać swej wewnętrznej ciemności. Lata całe walczyła z diabelskimi popędami własnego ciała, próbując wymazać z pamięci utrwalone dźwięki, jęki i westchnienia pochodzące z matczynej sypialni.

Maur przyglądający się jej nagiemu ciału:

„Jesteś jeszcze dzieckiem. Weź swoje rzeczy i wynoś się stąd...”

„Jestem kobietą!”

Zmarnowała tyle lat, starając się zapomnieć o tym, co czuła mając Maura w sobie, próbując wyrzucić z pamięci wspomnienie rytmu ich poruszających się razem ciał, uczucie spełnienia, wrażenie, że nareszcie żyje.

Krzyk matki: „Ty dziwko!”

Słowa lekarza: „Odrynator chirurgii osobiście założył ci szwy. Powiedział, że jesteś zbyt piękna, żeby mieć blizny”.

Całe lata modlitw po to, by oczyścić się z winy, i wszystko na próżno.

Przeszłość powróciła, gdy Graciela zobaczyła Ricarda Mellado po raz pierwszy. Już jako mała dziewczynka marzyła o mężczyźnie takim jak on, przystojnym, delikatnym i uprzejmym. Gdy był w pobliżu, dotykał jej, ciało zakonnicy ogarniał płomień. Później przeżywała męki wstydu.

„Jestem oblubienicą Chrystusa i moje myśli są zdradą wobec Boga. Należę do Ciebie, Jezus. Proszę, pomóż mi teraz. Oddał ode mnie nieczyste myśli”.

Rozpaczliwie usiłowała utrzymać między sobą a Ricardem mur milczenia, mur, przez który przeniknąć mógł tylko Bóg, mur, który miał chronić ją przed diabłem. Tylko, czy rzeczywiście chciała być chroniona? Gdy Ricardo skoczył i pchnął ją na ziemię, miała wrażenie, że to Maur się z nią kocha, że to próbuje ją zgwałcić zakonnik i z nimi walczyła wśród narastającej paniki.

„Nie - przyznała sama przed sobą - to nieprawda”.

Walczyła z własnym, głębokim pożądaniem. Była rozdarta między potrzebami ducha a żądzą ciała.

„Nie wolno mi się poddać. Muszę wrócić do klasztoru. On zaraz się tu zjawi. Co powinnam zrobić”?

Z tyłu jaskini doleciał Gracielę słaby pisk i pospiesznie się odwróciła. Z ciemności wpatrywało się w nią czworo zielonych oczu, które powoli się przybliżały. Serce zakonnicy zaczęło bić szybciej.

Z kąta wyszły dwa małe wilczki i na swych miękkich łapkach zbliżyły się do Gracieli. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do nich rękę. Przy wejściu do grotty rozległ się nagły szelest.

„Ricardo wrócił” - pomyślała.

W następnej chwili do gardła rzucił się jej ogromny, szary wilk.

Lucia Carmine przystanęła przed *taberna* w Aranda de Duero i wzięła głęboki oddech. Przez okno lokalu widziała czekającego wiernie Rubia Arzano.

„Nie mogę dopuścić, żeby zaczął coś podejrzewać - pomyślała. - O ósmej będę miała nowy paszport i ruszę do Szwajcarii”.

Zmusiła się do uśmiechu i weszła do knajpki.

Rubio zareagował na widok Lucii pełną ulgi radością. Wyraz jego oczu sprawił, że dziewczynę zakłuło serce.

- Bardzo się martwiłem, *querida*. Nie było cię tak długo. Bałem się, czy nie spotkało cię coś złego.

Lucia położyła rękę na jego dłoni.

- Nic się nie stało.

„Tylko kupiłam sobie drogę do wolności. I jutro opuszczę ten kraj”.

Rubio samym spojrzeniem i uściskiem ręki tak silnie dawał wyraz przepełniającemu go uczuciu miłości, że Lucia poczuła się nieswojo.

„Czy nie wie, że nic by z tego nie wyszło? Nie wie. Bo nie miałam odwagi mu powiedzieć. Nie zakochał się we mnie, a w swoim o mnie wyobrażeniu. O wiele lepiej ułoży sobie życie, gdy odejdę”.

Odwróciła się i po raz pierwszy rozejrzała po sali. Lokal pełen był miejscowych, w większości natrętnie przyglądających się dwójce obcych.

Jeden z obecnych w kawiarni młodych ludzi zaczął śpiewać, a pozostali mu zawtórowali. Do stolika, przy którym siedzieli Lucia i Rubio, podszedł jakiś mężczyzna.

- Pan nie śpiewa, *señor*. Niech się pan przyłączy. Rubio przecząco pokręcił głową.

- Nie.

- W czym problem, *amigo*?

- To wasza piosenka. - Arzano zauważył zaskoczoną twarz swej towarzyszki i wyjaśnił: - To jedna ze starych piosenek sławiących Franco.

Wokół stolika zaczęli się gromadzić inni mężczyźni. Rzucali się w oczy, że są podpici.

- Pan był przeciwnikiem Franco, *señor*? Lucia zobaczyła, że Rubio zaciska pięści.

„Boże, tylko nie teraz. Nie wolno mu zrobić nic, co zwróci na nas uwagę”.

- Rubio... - odezwała się ostrzegawczo. I, dzięki Bogu, zrozumiał.

Spojrzał na młodych ludzi i odparł uprzejmie:

- Nie mam nic przeciw Franco. Po prostu nie znam słów.

- A... Wobec tego przynajmniej razem zanucimy. Stali, czekając, żeby odmówił.

Rubio zerknął na Lucię.

- *Bueno.*

Mężczyźni podjęli przerwany śpiew, a Arzano głośno nucił. Dziewczyna czuła, z jakim wysiłkiem zachowywał spokój. „Robi to dla mnie”. Gdy piosenka dobiegła końca, młodzieniec poklepał Rubia po plecach.

- Nieźle, staruszk. Wcale nieźle.

Arzano siedział w milczeniu, czekając, żeby intruzi odeszli.

Któryś z mężczyzn dostrzegł paczkę, trzymaną przez Lucię na kolanach.

- Co tam chowasz, *querida*? Jego towarzysz dodał:

- Założę się, że coś lepszego ma pod spódnicą. Wszyscy się roześmieli.

- Może ściągniesz majtki i pokażesz nam, co tam masz?

Rubio zerwał się na równe nogi i chwycił natręta za gardło. Potem wymierzył mu cios tak silny, że mężczyzna poleciał w drugi koniec sali, łamiąc po drodze stolik.

- Nie! - krzyknęła Lucia. - Nie!

Ale już było za późno. W jednej chwili zajście zmieniło się w ogólną bijatykę, do której ochoczo przyłączali się wciąż nowi goście. Celnie rzucona butelka wina roztrzaskała szkło za barem. Wywrzaskujący przekleństwa mężczyźni, padając, wywracali krzesła i stoły. Dwóch napastników Rubio zbił z nóg, jednak trzeci podbiegł i uderzył go w żołądek. Bask jęknął z bólu.

- Wynośmy się stąd! - krzyknęła Lucia. Rubio skinął głową. Ręce przyciskał do brzucha. Przepchnawszy się między walczącymi, wydostali się na ulicę.

- Musimy uciekać - stwierdziła dziewczyna. „Dostanie pani swój paszport dziś wieczorem. Proszę wrócić po ósmej”.

Do tego czasu muszą się gdzieś ukryć.

„W cholerę z nim! Nie mógł się opanować”?

Skręcili w Calle Santa Maria i odgłosy bijatyki stopniowo ucichły. Dwie przecznice dalej natrafili na duży kościół, Iglesia Santa Maria. Lucia wbiegła na schody, otworzyła drzwi świątyni i zajrzała do środka. Zupełnie pusto.

- Tu będziemy bezpieczni - powiedziała. Zagłębili się w kościelny półmrok. Rubio nadal trzymał się za brzuch.

- Możemy chwilę odpocząć.

- Tak. Arzano opuścił dłoń i pomiędzy palców trysnęła krew. Lucię zemdliło.

- Boże! Co się stało?

- Nóż - wyszeptał. - Miał nóż. I osunął się na podłogę. Dziewczyna, ogarnięta paniką, uklękła przy jego boku.

- Nie ruszaj się. Zdjęła z Rubia koszulę i przycisnęła ją do rany, starając się zatamować upływ krwi. Twarz mężczyzny była kredowo blada.

- Nie powinieneś się wdawać w bójkę, ty idioto - powiedziała ze złością.

- Nie mogłem pozwolić, żeby tak się do ciebie odzywali - wyszeptał bełkotliwie.

„Nie mogłem pozwolić, żeby tak się do ciebie odzywali”. Lucię jego słowa poruszyły jak nic do tej pory. Zastygła bez ruchu, patrzyła na Rubia i myślała:

- Nie pozwolę ci umrzeć - oznajmiła zawzięcie. - Nie mam zamiaru pozwolić ci umrzeć. - Gwałtownie wstała. - Zaraz wrócę.

W przebieralni księży na tyłach kościoła znalazła wodę oraz ręczniki i obmyła ranę. Rubio miał rozpaloną twarz i intensywnie się pocił. Dziewczyna położyła mu na czole mokry ręcznik. Nie otworzył oczu, wyglądało na to, że śpi. Kołysała mężczyznę w ramionach i przemawiała do niego. Co mówiła, nie miało znaczenia. Robiła to, żeby utrzymać Rubia przy życiu, słowami chcąc zmusić go, by nie wypuszczał z rąk wątlej nitki swego losu. Plotła byle co, bojąc się zamilknąć nawet na sekundę.

- Będziemy razem pracować na twojej farmie. Chciałabym poznać twoją matkę i siostry. Myślisz, że mnie polubią? Bardzo bym tego chciała. I jestem dobrym pracownikiem, caro. Zobaczysz. Nigdy jeszcze nie zajmowałam się farmą, ale nauczę się. Nasze gospodarstwo będzie najlepsze w Hiszpanii.

Spędziła całe popołudnie, przemawiając do Rubia, ochładzając jego rozpalone gorączką ciało, zmieniając opatrunki. Krwawienie prawie ustało.

- Widzisz, caro? Polepsza ci się. Wyzdrowiejesz. Mówi łam ci. Przeżyjemy razem wspaniałe chwile. Tylko, proszę, nie umieraj. Proszę!

Zorientowała się, że płacze.

Lucia obserwowała, jak światło popołudnia, przefiltrowane przez szkło witraży, barwi ściany kościoła, a potem powoli znika. Po zejściu słońca niebo pociemniało i wreszcie zapadł mrok. Kolejny raz zmieniła rannemu opatrunek i wtedy, tak blisko, że drgnęła przestraszona, zaczął bić kościelny dzwon. Wstrzymując oddech, liczyła uderzenia. Raz... trzy... pięć... siedem... osiem. Ósma. To wezwanie, sygnał, że czas wrócić do Casa de *Empehos*. Czas wyrwać się z tego koszmaru i ratować siebie.

Uklękła przy Rubiu i dotknęła jego czoła. Było rozpalone gorączką. Ciało mężczyzny sphywało potem, oddychał słabo i chrapliwie. Nie zauważyła śladów krwawienia, ale mogło to

oznaczają krwotok wewnętrzny.

„Do diabła z tym. Ratuj siebie, Lucia”.

- Rubio... kochany... Półprzytomnie otworzył oczy.

- Muszę na chwilę wyjść - powiedziała. Chwycił rękę dziewczyny.

- Proszę...

- Wszystko w porządku - szepnęła. - Wróć. Wstała i przez długą chwilę patrzyła na Baska. Po raz ostatni.

„Nie mogę mu pomóc” - pomyślała.

Podniosła złoty krzyż i z oczyma pełnymi łez pospieszyła do drzwi. Potykając się wypadła na ulicę i zaczęła szybko iść w stronę lombardu. Staruszek i jego kuzyn będą tam na nią czekać z paszportem do wolności.

„Rano, kiedy zaczną się msze, znajdą Rubia i zawiozą do lekarza. Wyleczą go i wydobrzeje. Chyba że nie przeżyje nocy - rozważała. - Ale to nie mój problem”.

Casa de Empehos było tuż obok. Spóźniła się zaledwie pięć minut. Widziała, że w sklepie palą się światła. Czekali na nią.

Przyspieszyła kroku, potem zaczęła biec. Przebiegła ulicę i przez otwarte drzwi wpadła do środka.

Na posterunku policji za biurkiem siedział umundurowany oficer. Gdy zjawiła się Lucia, podniósł wzrok.

- Potrzebuję pana - krzyknęła dziewczyna. - Mężczyzna został pchnięty nożem. Może umiera.

Policjant nie zadawał pytań. Podniósł słuchawkę telefonu i coś powiedział. Potem zwrócił się do Lucii:

- Zaraz ktoś z panią pójdzie. Dwaj detektywi zjawili się niemal natychmiast.

- Ktoś został pchnięty nożem, *señorita*?

- Tak. Proszę za mną, tylko szybko!

- Po drodze wstąpimy po lekarza - oznajmił jeden z detektywów. - Potem może nas pani zaprowadzić do swego przyjaciela.

Odebrali doktora spod domu i ponaglani przez Lucię zajechali pod kościół. Gdy weszli do świątyni, lekarz podszedł do leżącej na podłodze nieruchomej postaci i ukląkł obok.

Po chwili podniósł wzrok.

- Żyje, ale jest w ciężkim stanie. Zadzwoń po karetkę.

Lucia padła na kolana i powiedziała w duchu:

„Dzięki Ci, Boże. Zrobiłam, co mogłam. A teraz pozwól mi bezpiecznie się stąd

wydostać i już nigdy o nic cię nie poproszę”.

Jeden z detektywów przyglądał się pannie Carmine przez całą drogę do kościoła. Dziewczyna wydawała mu się znajoma. I wreszcie uświadomił sobie, dlaczego. Zdradzała niesamowite podobieństwo do fotografii, które rozesłał Interpol, oznaczając poszukiwania widocznej na niej Sycylijki jako sprawę najwyższej wagi.

Policjant szepnął coś na ucho swemu koledze, a potem obaj zaczęli bacznie przypatrywać się Lucii. Wreszcie podeszli do dziewczyny.

- Przepraszamy, *señorita*. Czy byłaby pani tak dobra i wróciła z nami na posterunek? Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań.

Ricardo Mellado znajdował się już niedaleko grotty, gdy spostrzegł zmierzającego ku wejściu do niej dużego, szarego wilka. Na chwilę zamarł, a potem pobiegł tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu. Dopadł otworu wejściowego i rzucił się do środka.

- Siostró!

W słabym świetle zobaczył, że wielki szary kształt skacze na Gracielę. Odruchowo sięgnął po pistolet i strzelił. Wilk zaskamlał z bólu i zwrócił się w stronę Ricarda. Mężczyzna poczuł, że ostre kły rannej bestii rozrywają mu ubranie. Doleciał go cuchnący oddech zwierzęcia. Wilk był silniejszy niż Ricardo przypuszczał, potężnie umięśniony i groźny.

Mellado próbował się uwolnić, ale nie dawał rady. Zaczął tracić przytomność. Resztkami świadomości zdał sobie sprawę, że Graciela zbliża się w ich stronę, i krzyknął:

- Uciekaj! Potem zobaczył, że znajdująca się na wysokości jego głowy zakonnica wznosi rękę. Gdy kobieta zaczęła opuszczać ramię, w jej dłoni dostrzegł wielki odłamek skalny i pomyślał:

„Chce mnie zabić”.

Chwilę później kamień przeleciał obok i uderzył w wilczą czaszkę. Rozległ się ostatni charkot i zwierzę nieruchomo legło na ziemi. Rozciągnięty obok Ricardo z trudem chwycił oddech. Graciela uklękła przy mężczyźnie.

- Nic ci nie jest? - zapytała głosem drżącym z obawy. Udało mu się skinać głową. Za sobą usłyszał piszczenie i odwrócił się. Zobaczył stłoczone w kącie szczenięta. Przez chwilę zbierał siły, a potem z wysiłkiem wstał.

Chwiejnym krokiem, drżący, wyszli na świeże, górskie powietrze. Ricardo oddychał głęboko, oczyszczając płuca, dopóki nie rozjaśniło mu się w głowie. Fizyczny i emocjonalny szok spowodowany otarciem się o śmierć obojgu porządnie dał się we znaki.

- Zbierajmy się. Mogą nas tu szukać. Graciela zadrżała na myśl o tym, w jak wciąż wielkim są niebezpieczeństwie.

Przez następną godzinę wędrowali stromą górską ścieżką i gdy wreszcie dotarli do niewielkiego strumienia, Ricardo powiedział:

- Zatrzymajmy się tu. Nie mając bandaży ani środków dezynfekcyjnych, oczyścili skałeczenia najlepiej jak mogli, obmywając je w czystej, chłodnej wodzie źródlanej. Ramię Ricarda tak zeszywniało, że z trudem nim poruszał. Ku zaskoczeniu Mellady Graciela zaproponowała:

- Pozwól, że ja to zrobię. Jeszcze bardziej zaskoczyła go delikatność, z jaką się nim

zajęła.

I nagle, zupełnie niespodziewanie, zakonnica zaczęła gwałtownie dygotać, odreagowując przeżyty szok.

- Wszystko w porządku - odezwał się Mellado. - Już po wszystkim.

Nie mogła opanować drżenia.

Ricardo wziął Gracielę w ramiona i powiedział uspokajająco:

- Cśśś. Wilk nie żyje. Już nie ma się czego bać. Mocno tulił dziewczynę i czuł, jak przywiera do niego biodrami, przyciska do jego warg swe miękkie usta, oddaje uściski i szepcze coś niezrozumiale.

Było tak, jakby znał Gracielę od zawsze. A jednocześnie nic o niej nie wiedział.

„Tylko tyle, że jest cudem danym przez Boga”.

Graciela również myślała o Bogu.

„Dzięki Ci, Boże, za tę radość. Dziękuję, że pozwoliłeś mi odczuć, czym jest miłość”.

Doświadczała emocji, których nie umiała nazwać, wzruszeń, jakich nawet sobie nie wyobrażała.

Ricardo przyglądał się kobiecie, którą trzymał w objęciach. Jej uroda wciąż zapierała mu dech.

„Teraz należy do mnie - cieszył się. - Nie musi już wracać do klasztoru. Pobierzemy się i będziemy mieć piękne dzieci - silnych synów”.

- Kocham cię - powiedział. - Nigdy nie pozwolę ci odejść, Gracielo.

- Ricardo...

- Kochana, chcę się z tobą ożenić. Wyjdiesz za mnie? Bez zastanowienia odparła:

- Tak. O tak.

Ponownie znalazła się w uścisku męskich ramion i pomyślała: „Tego właśnie pragnęłam. Nie sądziłam, że czegoś takiego doświadczę”. Ricardo mówił:

- Przez jakiś czas pomieszkamy we Francji, tam będziemy bezpieczni. Walka niedługo się skończy i wrócimy do Hiszpanii.

Graciela wiedziała, że poszłaby za tym mężczyzną wszędzie, a jeśli przyszłoby mu zmierzyć się z niebezpieczeństwem, stałaby u jego boku.

Rozmawiali o tak wielu sprawach. Ricardo opowiedział dziewczynie o tym, jak zaangażował się w działalność Jaimego Miro, o zerwanych zaręczynach i niezadowoleniu ojca. Jednak gdy czekał na opowieść o przeszłości swej wybranki, ta milczała.

Patrzyła na niego i myślała:

„Nie mogę mu powiedzieć. Znienawidziłby mnie”.

- Przytul mnie - poprosiła.

Zasnęli i obudzili się o świcie, by obserwować, jak słońce wypełzające zza łańcucha górskiego zalewa szczyty ciepłym, czerwonym blaskiem.

- Bezpieczniej będzie, jeśli dziś tu przeczekamy. Ruszy my w drogę, gdy się ściemni - stwierdził Ricardo.

Posilili się jedzeniem otrzymanym od Cyganów i robili plany na przyszłość.

- Hiszpania jest krajem nieograniczonych możliwości - mówił Mellado. - A raczej będzie, gdy zawrzemy pokój. Mam masę pomysłów. Założymy własny interes. Kupimy wspaniały dom i wychowamy przystojnych synów.

- I piękne córki.

- I piękne córki. - Uśmiechnął się. - Nie wiedziałem, że można być tak szczęśliwym.

- Ja też nie, Ricardo.

- Za dwa dni dojdziemy do Logroño i spotkamy pozostałych - zauważył Ricardo. - Wziął Gracielę za rękę. - Powiemy im, że nie wracasz do klasztoru.

- Ciekawa jestem, czy zrozumieją. - Potem roześmiała się. - Właściwie nic mnie to nie obchodzi. Bóg rozumie. Kochałam klasztorne życie - odezwała się miękko dziewczyna - ale... - Pochyliła się i pocałowała Ricarda.

- Tyle zaległości musisz odrobić.

- Nie rozumiem - odparła zakłopotana.

- Te lata, które spędziłaś w klasztorze, zamknięta za murami. Powiedz, kochana, czy martwi cię, że straciłaś tyle czasu?

Jak miała mu to wyjaśnić?

- Ricardo... ja nic nie straciłam. Czy naprawdę tyle mnie ominęło?

Zastanowił się przez chwilę, nie wiedząc, od czego zacząć. I zdał sobie sprawę, że wydarzenia, które uważał za istotne, dla odizolowanych od świata zakonnic nie miały znaczenia. Wojny, jak ta arabsko - izraelska? Mur berliński? Zabójstwa przywódców politycznych takich jak amerykański prezydent John Kennedy i jego brat Robert? Zamordowanie Martina Luthera Kinga juniora, przywódcy pokojowego ruchu na rzecz równouprawnienia czarnych? Klęski głodu? Powodzie? Trzęsienia ziemi? Strajki i demonstracje przeciw nieludzkiemu traktowaniu człowieka przez człowieka?

Tak właściwie, to jak bardzo wydarzenia te wpłynęły na jego osobiste życie? Na życie większości ludzi, na...

- W pewnym sensie niewiele straciłaś - powiedział wreszcie. - Jednak z drugiej strony, i owszem. Działo się coś ważnego. Życie. Podczas gdy ty byłaś przez lata w zamknięciu,

rodziły się i dorastały dzieci, pobierali się zakochani, ludzie cierpieli i radowali się, umierali. Każdy z nas brał w tym udział, był częścią życia.

- Myślisz, że ja nigdy nie byłam? - zapytała Graciela. I zanim zdołała się opanować, wyrwało się jej parę zdań. - Żyłam kiedyś życiem, o którym mówisz, i poznałam piekło na ziemi. Miałam matkę kurwę, która co noc sprowadzała sobie innego wujka. Gdy skończyłam czternaście lat, oddałam się mężczyźnie, bo mi się spodobał i zazdrościłam matce tego, co robiła. - Słowa płynęły teraz strumieniem. - Gdybym została, żeby uczestniczyć w życiu, które uważasz za takie cenne, sama byłabym kurwą. Nie, nie sądzę, żebym od czegoś uciekła. Ja uciekłam do czegoś. Odkryłam bezpieczny świat, w którym panują pokój i dobro.

Ricardo wpatrywał się w nią przerażony.

- Ja... ja., przepraszam. Nie chciałem... Dziewczyna już szlochała, więc ogarnął ją ramionami i powiedział:

- Cśśś! Wszystko w porządku. Już po wszystkim. Byłaś wtedy dzieckiem. Kocham cię.

Czuła się zupełnie, jakby Ricardo udzielił jej rozgrzeszenia. Wyznała mu, jak straszne rzeczy robiła w przeszłości, a on mimo to wybaczył. I - najcudowniejsze ze wszystkiego - kochał ją.

Przytulił Gracielę bardzo mocno.

- Jest taki wiersz Federico Garcii Lorci:

Noc nie chce nadejść więc ty nie możesz przyjść a ja odejść...

Ale przyjdiesz z gorzkim smakiem słonego deszczu na języku.

Dzień nie chce nadejść więc ty nie możesz przyjść a ja odejść...

Ale przyjdiesz przez grząskie bagno ciemności.

Noc ani dzień nie chcą nadejść więc mogę umrzeć za ciebie i za mnie.

Graciela przypomniała sobie nagle o tropiących ich żołnierzach i zapagnęła wiedzieć, czy ona i Ricardo będą żyć wystarczająco długo, by mieć wspólną przyszłość.

Alan Tucker był zdecydowany odnaleźć brakujące ogniwo, tę wskazówkę z przeszłości. Gazety nie wspominały o opuszczonym dziecku, ale ustalenie daty umieszczenia go w sierocińcu nie powinno być trudne. Jeśli pokryłaby się z datą katastrofy samolotowej, Ellen Scott musiałyby złożyć niezmiernie interesujące wyjaśnienia.

„Nie byłaby taka głupia - myślał Tucker. - Podjąć ryzyko upozorowania śmierci spadkobierczyni Scottów, a potem zostawić dziewczynkę przed drzwiami farmerskiego domu? Ryzykowne. Bardzo ryzykowne. Tylko z drugiej strony, gra była warta świeczki: szło o Scott Industries. Owszem, mogła to zrobić. No, jeśli przez całe lata utrzymywała wszystko w tajemnicy, rozgrzebanie całej sprawy powinno nieźle dać jej w kość.

I po kieszeni”.

Detektyw wiedział, że powinien zachować daleko posuniętą ostrożność. Miał pełną świadomość tego, z kim zadziera. Mierzył się z potężną siłą i żeby wykonać swój ruch, musiał trzymać wszystkie dowody w garści.

Pierwsze co zrobił, to ponownie odwiedził ojca Berrendo.

- Proszę księdza, chciałbym pomówić z farmerem i jego żoną, którzy znaleźli Patricię - Megan.

Stary ksiądz uśmiechnął się.

- Niestety rozmowa ta nie odbędzie się jeszcze przez dłuższy czas.

- Co ksiądz ma na myśli? - Tucker ze zdziwieniem wpatrywał się w duchownego.

- Ludzie ci zmarli wiele lat temu. „Cholera”. Do celu musiały jednak prowadzić również inne drogi.

- Wspominał ksiądz, że dziecko z zapaleniem płuc trafiło do szpitala?

- Tak. „Tam będą akta”.

- Do jakiego?

- Spłonął w 1961. Teraz mamy nowy. - Ojciec Berrendo dostrzegł wyraz zakłopotania na twarzy swego gościa. - Proszę pamiętać, *señor*, że poszukuje pan informacji dotyczących czegoś, co zdarzyło się dwadzieścia osiem lat temu. Od tamtej pory wiele się zmieniło.

„Nic mnie nie powstrzyma - stwierdził Tucker. - Nie teraz, gdy jestem tak blisko rozwiązania. Gdzieś musi istnieć jakaś o niej informacja”.

Pozostało mu do sprawdzenia jeszcze jedno miejsce: sierociniec.

Raporty składał teraz Ellen Scott codziennie.

- Proszę mnie informować o rozwoju sytuacji. O odnalezieniu dziewczyny chcę być

powiadomiona natychmiast - zarządziła.

Alana Tuckera zastanowił ton przynaglenia w głosie szefowej. „Skąd taki pośpiech po tylu latach? Dlaczego? Cóż, dowiem się w swoim czasie. Najpierw muszę zdobyć jakieś dowody”.

Tucker udał się do sierocińca rankiem. Rozejrzył się po ponurym pokoju rekreacyjnym, w którym bawiły się grupki hałaśliwych, rozgadanych dzieci, i pomyślał:

„A więc to tu dorastała dziedziczka fortuny Scottów, podczas gdy ta suka w Nowym Jorku trzymała w ręku całą władzę i pieniądze. Cóż, teraz podzieli się jednym i drugim ze swym oddanym sługą. Tak jest, Ellen Scott i ja stworzymy świetny zespół”.

Do detektywa podeszła młoda dziewczyna.

- Czy mogę w czymś pomóc, *señor*? Uśmiechnął się. „Możesz mi pomóc zdobyć miliard dolarów”.

- Chciałbym rozmawiać z kierownikiem.

- To znaczy z *señorą* Angeles.

- Czy to możliwe?

- *Si, señor*. Zaprowadzę pana. Idąc za pracownicą sierocińca przez główny korytarz dotarł do małego biura, położonego na tyłach budynku.

- Proszę wejść.

Alan Tucker wkroczył do pokoju. Za biurkiem siedziała kobieta po osiemdziesiątce. Kiedyś była tęga, ale z wiekiem skurczyła się i jej ciało przypominało za duże o parę numerów ubranie. Włosy miała rzadkie i siwe, oczy zaś jasne i bystre.

- Dzień dobry, *señor*. Czym mogę służyć? Przybył pan, żeby adoptować któreś z naszych wspaniałych dzieci? Zapewniam, że jest z czego wybierać.

- Nie, *señora*. Chciałbym zasięgnąć informacji o dziecku, które pozostawiono tu wiele lat temu.

Mercedes Angeles zmarszczyła brwi.

- Nie rozumiem.

- Dziewczynkę przywieziono - udał, że sprawdza na kartce - w październiku 1948 roku.

- To było tak dawno. Nie ma jej tutaj. Widzi pan, *señor*, mamy tu przepisy, zgodnie z którymi po ukończeniu piętnastego roku życia...

- Nie o to chodzi, *señora*. Wiem, że dziewczynki tu nie ma. Chciałbym tylko poznać dokładną datę umieszczenia jej w sierocińcu.

- Obawiam się, że nie mogę panu pomóc, *señor*. Tucker zmarł.

- Widzi pan, tyle dzieci tu trafiło. Chyba że zna pan nazwisko...

„Patricia Scott” - powiedział w myślach. Głośno oznajmił:

- Megan. Na imię ma Megan. Mercedes Angeles rozjaśniła się.

- Megan nie można zapomnieć. Była prawdziwą diabolicą i wszyscy ją uwielbiali. Wie pan, kiedyś...

Tucker nie miał czasu na wysłuchiwanie anegdot. Instynkt podpowiadał mu, że część fortuny Scottów ma już w zasięgu ręki. A kluczem do bogactwa była ta gadatliwa staruszka.

„Muszę zachować cierpliwość”.

- *Señora* Angeles... mam niewiele czasu. Czy w swoich aktach zapisała pani datę przyjęcia Megan?

- Oczywiście. Rządowe polecenia zobowiązują nas do prowadzenia ścisłej ewidencji.

Tucker poczuł przyływ nadziei.

„Powinienem był przynieść aparat do sfotografowania akt. Nic nie szkodzi. Sporządzę fotokopie”.

- Czy mógłbym zobaczyć te akta? Kobieta zawahała się.

- No, nie wiem. Nasze dane są poufne i...

- Rozumiem - odparł Tucker gładko - i naturalnie respektuję to. Jednak wspomniała pani o swej sympatii do małej Megan. Z pewnością pragnęłaby pani przysłużyć się wychowance. Mnie przyświeca podobny cel. Mam dla niej dobre wiadomości.

- I dlatego potrzebna jest panu data umieszczenia dziewczynki w domu dziecka?

- Tylko po to, by zyskać dowód, że jest osobą, za którą ją uważam. Zmarł ojciec Megan. Pozostawił po sobie niewielki spadek i chcę dopilnować, żeby go otrzymała.

Mercedes Angeles ze zrozumieniem skinęła głową.

- Ach tak. Detektyw wyjął z kieszeni zwitek banknotów.

- By okazać, że doceniam pani trud, chciałbym wpłacić sto dolarów na konto sierocińca.

Kobieta patrzyła na pieniądze, niezdecydowana. Wyciągnął kolejny banknot.

- Dwieście. Przełożona zmarszczyła brwi.

- Dobrze. Pięćset. Mercedes Angeles rozpromieniła się.

- To bardzo wspaniałomyślnie z pana strony. Pójdę po akta.

„Udało mi się! - pomyślał Tucker tryumfalnie. - Jezu Chryste, udało mi się! Ukradła Scott Industries i gdyby nie ja, uszłoby to jej na sucho”.

Gdy przedstawi Ellen Scott zdobyty dowód, nie będzie mogła się wyprzeć. Samolot

rozbił się pierwszego października. Megan przebywała w szpitalu dziesięć dni. Zatem do sierocińca musiała trafić około jedenastego tego miesiąca.

Mercedes Angeles wróciła do biura z teczką w rękach.

- Znalazłam - oznajmiła z dumą.

Alan Tucker z trudem powstrzymał chęć wyrwania kobiecie papierów.

- Mogę rzucić na to okiem? - zapytał grzecznie.

- Naturalnie. Był pan taki hojny. - Starsza pani zawahała się. - Mam nadzieję, że nikomu pan o tym nie wspomni. Nie powinnam tak postępować.

- Będzie to nasz wspólny sekret, *señora*. Wręczyła detektywowi akta. Tucker głęboko zaczerpnął tchu i otworzył teczkę. Na górze kartki widniał napis:

„Megan. Dziewczynka. Rodzice nieznani”. A dalej data. Ale tu zaszła jakaś pomyłka.

- Megan przywieziono do sierocińca czternastego czerwca 1948?

- *Si, señor*. - To niemożliwe! - Podniósł głos prawie do krzyku. „Samolot rozbił się pierwszego października, cztery miesiące później”.

Na twarzy kobiety odmalowało się zakłopotanie.

- Niemożliwe, *señor*? Nie rozumiem.

- Kto... kto sporządza te wpisy?

- Ja. Gdy dziecko do nas trafia, zapisuję datę i wszystkie uzyskane informacje.

Marzenia detektywa właśnie obracały się w gruzy.

- Nie mogła się pani pomylić? Co do daty... czy nie mogło to być dziesiątego lub jedenastego października.

- *Señor* - stwierdziła przełożona z oburzeniem - umiem odróżnić czternastego czerwca od jedenastego października.

Zatem koniec. Wysnuł zbyt pochopne wnioski. Więc Patricia Scott naprawdę zginęła w katastrofie, a Ellen Scott jedynie przypadkiem poszukiwała dziewczynki urodzonej mniej więcej w tym samym czasie.

- Alan Tucker ociężale podniósł się z krzesła i powiedział:

- Dziękuję, *señora*.

- *De nada, señor*. Mercedes Angeles przyglądała się, jak wychodził. Co za miły człowiek. A jaki hojny. Za otrzymane od niego pięćset dolarów kupi wiele rzeczy dla sierocińca. Podobnie jak za sto tysięcy przesłane czekiem przez tę miłą kobietę z Nowego Jorku.

„Jedenasty października z pewnością był dla naszego domu szczęśliwym dniem. Dziękuję Ci, Panie”.

- Wciąż żadnych konkretnych wiadomości, pani Scott. Podobno zmierzają na północ. Z tego, co wiem, dziewczyna jest bezpieczna - zdawał relację Alan Tucker.

„Zupełna zmiana tonu - pomyślała Ellen Scott. - Żadnych grózb. Więc już odwiedził sierociniec i z powrotem jest tylko moim pracownikiem. Cóż, gdy odnajdzie Patricję, to również się zmieni”.

- Proszę się zgłosić jutro.

- Tak jest, pani Scott.

„Zachowaj mnie, Boże, bo chronię się u Ciebie. Tyś jest Panem moim: nie ma dla mnie dobra poza Tobą. Miłuję Cię, Panie, Mocy moja, Panie Ostojo moja i Twierdzo, mój Wybawicielu...”

Megan podniosła wzrok i zobaczyła przyglądającego się jej z niepokojem Felixa Carpio.

„Siostra jest naprawdę przestraszona” - myślał Bask.

Już na początku podróży wyczuł zdenerwowanie zakonnicy.

„Oczywiście to całkiem zrozumiałe. Bóg jeden wie, ile czasu była zamknięta w klasztorze, a teraz nagle wypchnięto ją w dziwny, przerażający świat. Musimy być dla biednej dziewczyny bardzo wyrozumiali”.

Siostra Megan rzeczywiście odczuwała niepokój. Od chwili gdy opuściła klasztor, nie przestawała modlić się gorąco.

„Wybacz, Panie, że ekscytuje mnie sytuacja, w jakiej się znalazłam. Wiem, że to niegodziwe z mojej strony”.

Jednak mimo żarliwych modlitw, nie mogła oprzeć się grzesznej myśli:

„Jeszcze nigdy tak dobrze się nie bawiłam”.

Megan przeżywała przygodę swego życia. W dzieciństwie wielokrotnie snuła plany zuchwałych ucieczek z sierocińca, ale nie przekroczyła nigdy granic zabawy. Teraz, znajdując się w rękach terrorystów, których poszukiwała policja oraz wojsko, zamiast spodziewanego strachu odczuwała dziwne podniecenie.

Szli całą noc i zatrzymali się dopiero o świcie. Jaime Miro i Felix Carpio pochyłili się nad mapą, a dziewczyny stanęły z boku, czekając na wynik narady.

- Do Medina del Campo mamy sześć kilometrów - powiedział Jaime. - Lepiej omińmy miasto. Stale stacjonuje tam garnizon wojska. Dalej kierujemy się na północny wschód, do Valladolid. Powinniśmy dotrzeć na miejsce wczesnym popołudniem.

„I to bez wysiłku” - pomyślała radośnie Megan.

Mimo że mieli za sobą długą, męczącą noc bez odpoczynku, dziewczyna czuła się wspaniale. Jaime zupełnie niepotrzebnie tak poganiał, ale Megan wiedziała, co nim kieruje. Sprawdzał ją, czekał, czy się załamie.

„No i się zdziwi” - postanowiła.

Jaime Miro był zaintrygowany zachowaniem siostry Megan. Połączona z ucieczką wędrowniaki przez nieznane tereny, o całe kilometry odległe od klasztoru, zdawała się ją bawić.

Po zakonnicy spodziewał się całkiem innego zachowania.

„Dziwna z niej mniszka” - ocenił.

Na Amparo Jirón postawa Megan zrobiła zdecydowanie mniejsze wrażenie.

„Pozbędę się jej z prawdziwą radością” - myślała.

Trzymała się w pobliżu Jaimego, zakonnicy pozostawiając towarzystwo Felixa.

Wiatr pieścił im twarze i napełniał płuca słodkim zapachem lata. Tereny, które przemierzali, były dzikie i piękne.

Mijali niewielkie wioski, opustoszałe i zapomniane, a wysoko na zboczu jakiego wzgórza dostrzegli wiekowy, opuszczony zamek.

Amparo przypominała Megan dzikie zwierzę - bez wysiłku pokonujące wzniesienia, bez śladu zmęczenia przebiegające doliny.

Gdy po kilku godzinach marszu w oddali ukazało się Valladolid, Jaime nakazał wszystkim zatrzymać się, a potem zagadnął Felixa:

- Wszystko przygotowane?

- Tak. Ciekawość Megan, dotycząca przedmiotu tych przygotowań, bardzo szybko została zaspokojona.

- Tomas jest powiadomiony. Ma się z nami skontaktować przy arenie.

- O której zamykają bank?

- O piątej. Będziemy mieli masę czasu. Jaime skinął głową.

- Dziś powinny być duże wpływy. „Dobry Boże, chcą obrabować bank!” - pomyślała Megan.

- Co z wozem? - zapytała Amparo.

- Nie ma problemu - zapewnił dziewczynę Miro. „Chcą ukraść samochód”

- domyśliła się zakonnica. Wycieczka zaczynała być odrobinę zbyt podniecająca. - „Panu Bogu się to nie spodoba”.

Gdy dotarli na przedmieścia Valladolid, Jaime uprzedził wszystkich:

- Wmieszajcie się w tłum. Dziś są walki byków i będą tu setki ludzi. Tylko nie dajcie się rozdzielić.

Jaime Miro dobrze wiedział, co mówi. Megan nigdy nie widziała tylu ludzi naraz. Na ulicach roili się piesi, samochody i motocykle. Walki byków ściągnęły do Valladolid nie tylko turystów, ale i mieszkańców sąsiednich miast. Nawet dzieci bawiły się w korridę.

Megan urzekły tłumy, hałas i zgiełk. Przyglądała się twarzom przechodniów i zastanawiała, jak się im żyje.

„Niedługo znów znajdzie się w klasztorze, gdzie nie wolno mi będzie patrzeć nikomu w

twarz. Muszę korzystać z wolności, póki się da”.

Na chodnikach porozkładali swe kramy sprzedawcy błyskotek, medalików i krzyżyków. Wszędzie unosił się ostry zapach smażonych na wrzącym oleju placków.

Megan nagle zdała sobie sprawę, że umiera z głodu.

- Wszyscy jesteśmy głodni, Jaime - odezwał się Fe - lix. - Zjedzmy trochę tych placków.

Kupił cztery i jednego wręczył Megan.

- Proszę skosztować. Będzie siostrze smakował. Racuch był pyszny. Przez tyle lat jadła wyłącznie po to, by na chwałę bożą podtrzymać przy życiu ciało.

„To jem tylko dla własnej przyjemności” - pomyślała Megan bez odrobiny pokory.

- Do areny tędy - wskazał Jaime.

Przez mieszczący się w środku miasta park wraz z tłumem doszli do Plaża Pointe, który następnie przechodził w Plaża de Toros. Arena znajdowała się wewnątrz wzniesionego z suszonej na słońcu cegły amfiteatru, wysokiego na trzy piętra. Przy wejściu znajdowały się cztery kasy. Napis na tymi po lewej głosił *SOL*, po prawej *SOMBRA*. Słońce albo cień. W kolejkach po bilety stały setki ludzi.

- Zaczekajcie tu - polecił Jaime.

Przeglądali się, jak podchodzi do kilku rozprowadzających bilety koników.

- Będziemy oglądać walkę byków? - zagadnęła Felixa zakonnica.

- Tak, ale proszę się nie niepokoić. Zobaczysz siostra, jakie to podniecające - zapewnił Carpio.

„Martwić się”? Megan rozczuliła okazana jej troska. W sierocińcu często wyobrażała sobie, że ojciec był wielkim *torrero*, i przeczytała o korridzie wszystko, co tylko wpadło jej w ręce.

- Prawdziwe walki byków organizuje się w Madrycie i Barcelonie - wyjaśnił Felix. - Tu zamiast zawodowców występują *novilleros*, amatorzy. Im nie przysługuje *alterna*.

Wiedziała, że to nobilitacja dostępna tylko najlepszym matadorom.

- Ci, których dziś obejrzymy, występują w wypożyczonych kostiumach, a nie wyszywanych złotem strojach. Walczą z bykami o niebezpiecznych, spiłowanych rogach, z którymi zawodowcy nie chcą mieć do czynienia.

- Więc czemu to robią? Felix wzruszył ramionami.

- *El hambre hace mas dano que los cuernos*. Głód bodzie silniej niż rogi.

Wrócił Jaime, trzymając w ręku cztery bilety.

- Załatwione - powiedział. - Wchodzimy. Megan poczuła narastające podniecenie.

W pobliżu wejścia na wielką arenę wisiał plakat. Megan stanęła i zapatrzyła się na niego.

- Spójrzcie!

Było to zdjęcie Jaimego Miro z podpisem: JAIME MIRO POSZUKIWANY ZA MORDERSTWO MILION PESO NAGRODY ZA DOSTARCZENIE ŻYWEGO LUB MARTWEGO Nagle dziewczyna z przeraźliwą jasnością zdała sobie sprawę, że zapomniała, z kim podróżuje. Z terrorystą który trzyma ją w szachu.

Jaime przyglądał się plakatowi. Zuchwale zdjął kapelusz, ciemne okulary i stanął przed swym portretem.

- Całkiem podobny. - Zerwał go ze ściany, zwinął i włożył do kieszeni.

- I co to da? - odezwała się Amparo. - Pewnie rozkleili setki. Jaime wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Ten przyniesie nam fortunę, *querida*. - Założył kapelusz i okulary.

„Dziwny komentarz” - pomyślała zakonnica. Z całego serca podziwiała opanowanie Jaimego. Otaczająca go aura pewności siebie działała na Megan krzepiąco. - „Żołnierze nigdy go nie złapią”.

- Wejdźmy.

- Do amfiteatru wiodło dwanaście szerokich wejść. Oznaczone numerami, pomalowane na czerwono żelazne drzwi szeroko otwarto. Wewnątrz znajdowały się liczne *puestos* z coca - colą i piwem, dalej niewielkie przenośne toalety. Miejsca na podzielonych na sektory trybunach były numerowane. Rzędy kamiennych ław regularnym kręgiem otaczały wysypaną piaskiem arenę. Wszędzie widniały reklamy: *BANCO CENTRAL... BOUTIQUE CAZADOS... SCHWEPPS... RADIO PO PULAR...*

Jaime nabył bilety na miejsca po zaciemnionej stronie. Gdy usiedli, Megan rozejrzała się ciekawie. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażała. Jako dziewczynka widziała romantyczną kolorową fotografię, przedstawiającą arenę w Madrycie, ogromną, starannie uporządkowaną. Tu wszystko sprawiało wrażenie prowizorki.

Trybuny szybko napełniały się widzami. Zagrała trąbka. Zaczęło się.

Megan pochyliła się w przód z rozszerzonymi oczyma. Na arenę wpadł wielki byk. Zza ustawionej z boku, wąskiej drewnianej przegrody wysunął się matador i zaczął drażnić zwierzę.

- Teraz wejdą pikadorzy - powiedziała z podnieceniem w głosie.

Jaime Miro przyjrzał się zakonnicy, zdziwiony. Niepokoił się, że walka przyprawi ją o mdłości, że zachowanie dziewczyny zwróci na nich uwagę innych widzów. A tymczasem

siostra najwyraźniej świetnie się bawiła.

„Dziwne”.

Pikador, jadący na okrytym grubą derką koniu, zbliżał się do byka. Zwierzę pochyliło głowę i rozpoczęło szarżę. Gdy rogi dotknęły derki, pikador zatopił w byczym karku ponad dwumetrową lancę.

Megan przyglądała się temu zafascynowana.

- Chce go w ten sposób osłabić - powiedziała, przypominając sobie dawno przeczytane, ulubione książki.

Felix Carpio zamrugnął zaskoczony.

- Zgadza się, siostrze. Dziewczyna obserwowała wbijanie w łopatki zwierzęcia kolorowo przyozdobionych *banderillas*.

Nadeszła kolej matadora. Wszedł na arenę, trzymając u boku czerwoną płachtę, pod którą ukryta była szpada. Byk zawrócił i zaczął szarżować. Podniecenie Megan wzrosło.

- Teraz będzie robił uniki - oznajmiła. - Najpierw pasę *verónica*, potem *media verónica*, a na końcu *rebolera*.

Jaime nie mógł już dłużej powściągnąć ciekawości.

- Skąd siostra wie to wszystko? Bez namysłu odparła:

- Mój ojciec był torreadorem. Patrz!

Walka nabrała takiego tempa, że trudno było rozróżnić poszczególne ruchy. Za każdym razem, gdy rozwścieczony byk atakował matadora, ten odводził w bok trzymaną w ręku czerwoną płachtę, odwracając w ten sposób uwagę zwierzęcia od swej osoby. Megan zaczęła się martwić.

- Co będzie, jeżeli matador zostanie ranny? Jaime wzruszył ramionami.

- Miejscowy felczer pozszywa go w jakiejś szopie. Byk zaatakował ponownie i tym razem mężczyzna na arenie uskoczył mu z drogi. Tłum zawył.

- Przykro mi, że to taka kiepska walka - odezwał się przepaszająco Felix. - Powinna siostra zobaczyć prawdziwych mistrzów. Ja widziałem Manolete, el Cordobę i Ordoneza. Zmieniali walkę w niezapomniane widowisko.

- Czytałam o nich - odparła Megan.

- Słyszała siostra tę wspaniałą historię o Manolete? - zapytał Carpio.

- Jaką historię?

- Mówią że kiedyś Manolete był takim samym torreadorem jak setki innych, ani lepszym, ani gorszym. Zaręczył się z piękną dziewczyną ale pech chciał, że pewnego dnia na arenie byk ugodził go w krocze. Lekarz stwierdził, że Manolete nie będzie mógł mieć dzieci.

Matador kochał swoją narzeczoną tak bardzo, że o niczym jej nie uprzedził. Bał się, że nie zechce go poślubić. Pobrali się i parę miesięcy później młoda żona z dumą oznajmiła Manolete, że jest w ciąży. Cóż, wiedział, że to nie jego dziecko, i zostawił ją. Złamał tym dziewczynie serce. Zabiła się. Manolete zareagował jak szaleniec. Nie chciał już żyć, więc wyczyniał na arenie rzeczy, o jakich innym matadorom nawet się nie śniło. Pragnął śmierci i w jej poszukiwaniu narażał życie, aż stał się największym matadorem na świecie. Dwa lata później znów się zakochał i ożenił z pewną młodą kobietą. Niewiele miesięcy po ślubie żona powiadomiła go, że będą mieli dziecko. Wtedy właśnie Manolete odkrył, że lekarz się pomylił.

- Okropne - wzdrygnęła się Megan. Jaime roześmiał się głośno.

- Całkiem interesująca opowiadka. Ciekawe, czy jest w niej coś z prawdy.

- Chciałbym w to wierzyć - odrzekł Felix. Amparo przysłuchiwała się im z kamienną twarzą. Ze złością obserwowała Jaimego i jego rosnące zainteresowanie zakonnica. „Siostrzyczka niech lepiej uważa”.

Między rzędami siedzeń przesuwali się odziani w fartuchy sprzedawcy, głośno zachwalający swój towar. Jeden z nich podszedł do rzędu, w którym siedziała grupa Jaimego.

- *Empanadas* - wołał. - *Empanadas caliente**. Miro wyciągnął do niego rękę.

- *Aqui***.

Ponad głowami siedzących mężczyzna zręcznie podał Jaimemu paczuszkę. Siedzącemu obok człowiekowi Miro podał dziesięć peso, które przekazano sprzedawcy. Megan przyglądała się, jak Jaime kładzie pakiecik z *empanadas* na kolanach i ostrożnie go rozchyła. Wewnątrz znajdował się kawałek papieru. Jaime przeczytał go raz, potem drugi i siostra dostrzegła, że zaciska szczęki. Wsunął otrzymaną kartkę do kieszeni i oznajmił szorstko:

- Wychodzimy. Pojedynczo. Ty pierwsza - zwrócił się do Amparo. - Spotkamy się przy bramie.

Amparo bez słowa wstała i zaczęła się przeciskać do przejścia.

Po chwili Jaime skinął na Felixa, a ten podniósł się i podążył za kobietą.

- O co chodzi? - zapytała Megan. - Czy coś się stało?

- Wyruszamy do Logroño. Niech siostra mnie obserwuje. Jeżeli nie zostaną zatrzymani, proszę iść do bramy.

Dziewczyna w napięciu śledziła go wzrokiem. Doszedł do przejścia między ławami i

**Empanadas - (hiszp.) gorące placki.

***Aqui - (hiszp.) tutaj.

skierował się ku wyjściu. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Gdy Jaime zniknął jej z oczu, Megan opuściła swe miejsce. Tłum ryknął, więc spojrzała na arenę. Młody matador leżał na ziemi, atakowany przez rozwścieczonego byka. Piasek wokół niego nasiąkł krwią. Siostra przymknęła powieki i zmówiła cichą modlitwę.

„Dobry Jezu, ulituj się nad tym człowiekiem. Niech zachowa życie. Panie, ciężko go doświadczasz, ale wyrwij go z rąk śmierci. Amen”.

Potem otworzyła oczy i pospieszyła na umówione miejsce.

Jaime, Amparo i Felix czekali na nią przy wejściu.

- Idziemy - zarządził Miro. Ruszyli.

- Co się stało? - chciał wiedzieć Carpio.

- Żołnierze postrzelili Tomasa - padła zwięzła odpowiedź. - Nie żyje. A policja ma Rubia. Ktoś dźgnął go nożem podczas bójki w barze.

Megan przeżegnała się.

- A siostra Teresa i siostra Lucia? - zapytała bez tchu.

- O siostrze Teresie nic nie wiem, Lucia również została zatrzymana przez policję. - Teraz Jaime zwrócił się do pozostałych. - Musimy się spieszyć. - Zerknął na zegarek. - W banku powinien być ruch.

- Może powinniśmy poczekać - zasugerował Felix. - Zabierać się za bank we dwóch, właśnie teraz, to dość niebezpieczne.

Megan, słuchając tych słów, pomyślała: „To go nie powstrzyma”. Miała rację.

Trójka Basków oddaliła w stronę znajdującego się na zapleczu amfiteatru olbrzymiego parkingu. Gdy zakonnica ich dogoniła, Felix oglądał właśnie niebieskiego seata sedana.

- Ten się nada - stwierdził. Pogrzebał w zamku, otworzył go i zajrzał do wnętrza wozu. Kucnął, pomajstrował pod deską rozdzielczą i w chwilę później silnik już chodził.

- Wsiadajcie - rzucił Jaime. Megan stała bez ruchu, z niepewną miną.

- Kradniecie samochód?

- Na litość boską! - syknęła Amparo. - Przestań odgrywać świętoszkę i wskakuj.

Mężczyźni usiedli z przodu, Miro za kierownicą. Amparo wgramoliła się na tylne siedzenie.

- Idziesz czy nie? - zniecierpliwiał się Jaime. Megan głęboko nabrała tchu i usadowiła się obok kobiety. Ruszyli. Zamknęła oczy.

„Dobry Boże, dokąd mnie prowadzisz”?

- Jeśli to poprawi siostrze samopoczucie - odezwał się Jaime - nie kradniemy tego wozu. Konfiskujemy go w imieniu baskijskich sił zbrojnych.

Zakonnica chciała coś powiedzieć, ale zmilczała. Nic nie odwiódłoby go od powziętego zamiaru. Siedziała więc bez słowa, a Miro jechał w stronę miasta.

„Chcę obrabować bank - myślała - a w oczach Boga ja będę temu współwinna”. Przeżegnała się i bezgłośnie zaczęła modlić.

Banco de Bilbao mieścił się na parterze dziewięciopiętrowego budynku przy Calle de Cervantes, od strony Plaža de Circular.

Gdy zatrzymali się przed wejściem, Miro zwrócił się do Felixa:

- Trzymaj go na chodzie. W razie kłopotów ruszaj i spotkaj się z pozostałymi w Logroño.

Carpio spojrzał na szefa ze zdumieniem.

- O czym ty mówisz? Chyba nie wejdiesz tam sam? Nie możesz. Nie masz szans, Jaime. To zbyt niebezpieczne.

Jaime poklepał go po ramieniu.

- Raz kozie śmierć - powiedział, uśmiechając się szeroko. Wsiadł.

Patrzyli, jak wchodzi do mieszczącego się w pobliżu sklepu ze skórą. Po chwili wyłonił się z jego wnętrza z aktówką w rękę. Skinąwszy głową grupce w samochodzie, wkroczył do banku.

Megan oddychała z trudem. Zaczęła się modlić:

Modlitwa jest wezwaniem. Modlitwa jest nasłuchiowaniem. Modlitwa jest zastanowieniem.

Modlitwa jest obecnością. Modlitwa jest lampą, którą podsyca Jezus.

„Jestem opanowana, przepełnia mnie spokój”. Nie była jednak opanowana i przepełniona spokojem.

Jaime Miro przez podwójne drzwi wszedł do wyłożonego marmurem holu. Dostrzegł zamontowaną wysoko na ścianie kamerę. Obrzucił ją obojętnym spojrzeniem, potem rozejrzał się po sali. Oddzielone od reszty pomieszczenia barierką schody prowadziły na piętro, gdzie za biurkami pracowali urzędnicy. Czas urzędowania dobiegał już końca i bank pełen był niecierpliwych klientów, pragnących sfinalizować transakcje. Przed trzema kasami ustawiły się kolejki. Jaime zauważył, że kilku oczekujących dźwiga rozmaite paki. Ustawił się w ogonku i cierpliwie czekał.

Gdy stanął wreszcie przed okienkiem, uśmiechnął się uprzejmie i powiedział:

- *Buenas tardes.*

- *Buenas tardes, señor.* Czym mogę panu służyć? Miro oparł się o dzielący go od kasjera kontuar i sięgnął do kieszeni po zwinięty plakat. Wręczył go urzędnikowi.

- Zechce pan rzucić na to okiem?

- Naturalnie, *señor* - z uśmiechem odparł kasjer. Rozwinął papier, a gdy zobaczył, co trzyma w rękach, oczy mu się rozszerzyły. Spojrzał na Jaimego z przerażeniem.

- Podobny, prawda? - rzekł ten łagodnie. - Jak pan widzi, zabiłem wielu ludzi, więc jeden więcej naprawdę nie zrobi mi różnicy. Czy wyrażam się jasno?

- N - najzupełniej, *señor*. N - najzupełniej. Mam rodzinę. Błagam pana...

- Cenię życie rodzinne, więc powiem, co ma pan zrobić, by nie uczynić swych dzieci sierotami. - Jaime pchnął w stronę kasjera aktówkę. - Proszę ją napęlnić szybko i dyskretnie. Natomiast jeśli uważa pan, że ważniejsze niż pańskie życie są pieniądze, proszę się nie krępować i uruchomić alarm.

Urzędnik potrząsnął głową.

- Ależ nie, nie. Zaczął wyjmować banknoty z kasy i upychać je w teczce. Drżały mu ręce. Gdy aktówka była pełna, powiedział:

- Proszę, *señor*. Obiecuję, że nie uruchomię alarmu.

- Bardzo mądrze - pochwalił Jaime. - Powiem panu dlaczego, *amigo*. - Odwrócił się i wskazał na stojącą przy końcu kolejki kobietę w średnim wieku, która trzymała owiniętą w brązowy papier paczkę. - Widzi pan? To jedna z naszych. Ma w tym pakunku bombę. Jeśli usłyszysz dzwonek alarmu, natychmiast ją zdetonuje.

Kasjer zbladł jeszcze bardziej.

- Proszę, nie!

- Po jej wyjściu proszę odczekać dziesięć minut, zanim kogokolwiek pan zawiadomi - zarządził Miro.

- Przysięgam na głowy moich dzieci - wyszeptał kasjer.

- *Buenas tardes*. Jaime zabrał aktówkę i ruszył do drzwi. Czuł na plecach wzrok kasjera, zatrzymał się przy kobiecie z paczką.

- Chciałbym pani pogratulować - zwrócił się do niej. - Ma pani niezwykle twarzową sukienkę.

Splonęła rumieńcem.

- Ależ dziękuję, *señor*, *gracias*.

- *De nada*. Miro odwrócił się, by skinąć głową kasjerowi, a potem opuścił bank. Minie co najmniej piętnaście minut, zanim kobieta pozałatwia swoje sprawy i wyjdzie. Do tego czasu on i pozostali będą daleko stąd.

Gdy Megan zobaczyła wychodzącego Jaimego, poczuła, że słabnie z ulgi. Felix wykrzywił się w uśmiechu.

- Udało się skurczybykowi. - Zwrócił się do zakonnicy: - Przepraszam, siostrze.

Megan jeszcze nigdy w życiu nie ucieszyła się tak na niczym widok. „Zrobił to - pomyślała. - I to sam. Jak opowiem o tym siostrze...” I nagle przypomniała sobie. Nic nikomu nie powie. Gdy z powrotem znajdzie się w klasztorze, przez resztę życia będzie milczeć. Poczła się jakoś dziwnie.

- Posuń się, *amigo* - zwrócił się do Carpia Jaime. - Ja poprowadzę. - Cisnął aktówkę na tylne siedzenie.

- Wszystko dobrze poszło? - zagadnęła Amparo. Miro roześmiał się.

- Nie mogło być lepiej. Muszę pamiętać, żeby po dziękować pułkownikowi Acoce za te wizytówki.

Jechali w dół ulicy. Na pierwszym skrzyżowaniu Jaime skręcił w lewo. Nagle przed maską samochodu, znikąd, wyrósł policjant i podniósł rękę, nakazując im zatrzymanie się. Jaime zahamował. Serce Megan zaczęło walić jak młotem. Policjant zbliżył się.

- Co się stało? - spokojnie zapytał funkcjonariusza Miro.

- A to, *señor*, że wjechał pan pod prąd w jednokierunkową. Jeżeli nie potrafi pan udowodnić, że jest niewidomy, będą kłopoty. - Wskazał umieszczony przy wjeździe znak. - Ulica jest wyraźnie oznaczona. Po to ustalono przepisy, żeby kierowcy ich przestrzegali.

- Proszę mi wybaczyć - przepraszająco zaczął Miro. - Tak się zagadaliśmy z przyjaciółmi, że nie zauważyłem zakazu.

Policjant nachylił się ku kierowcy. Przyglądał się mu z zakłopotaniem.

- Dokumenty wozu, poproszę.

- Oczywiście.

Jaime sięgnął po ukryty pod marynarką rewolwer, udając jednocześnie, że przeszukuje kieszenie. Felix był gotów w każdej chwili wkroczyć do akcji. Megan wstrzymała oddech.

- Na pewno gdzieś tu je mam - mówił Miro. W tym momencie po drugiej stronie placu ktoś głośno krzyknął i policjant odwrócił się, by tam spojrzeć. W zaułku jakiś mężczyzna bił kobietę, okładając ją pięściami po głowie i ramionach.

- Ratunku! - krzyczała. - Pomocy! Zabije mnie! Policjant wahał się przez ułamek sekundy.

- Proszę tu poczekać - polecił i pobiegł w kierunku walczącej pary.

Jaime wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Wóz pomknął jednokierunkową ulicą, roztrącając jadące nią samochody, gniewnie trąbiące na intruza. Za rogiem skręcili w stronę mostu, a następnie na wylotową Avenida Sanchez de Arjona.

Megan zerknęła na Jaimego Miro i uczyniła znak krzyża. Oddychała z trudem.

- Zabiłbyś policjanta, gdyby nie ta para? Jaime nie raczył odpowiedzieć.

- Ta kobieta nie została napadnięta, siostró - wyjaśnił Felix. - To nasi ludzie. Nie jesteśmy sami. Mamy - wielu przyjaciół.

Miro był ponury.

- Musimy się pozbyć tego samochodu. Mijali właśnie rogatki Valladolid. Potem skręcili w N620, autostradę do Burgos i Logroño. Jaime uważał, żeby nie przekroczyć dozwolonej prędkości.

- Porzucimy samochód, gdy tylko miniemy Burgos - oznajmił.

„Nie mogę uwierzyć, że to spotyka mnie - myślała Megan. - Uciekłam z klasztoru, umykam przed wojskiem, jadę kradzionym samochodem, z terrorystami, którzy właśnie obrabowali bank. Panie, co jeszcze dla mnie szykujesz?”

Pułkownik Ramon Acoca i kilku członków GOE odbywali spotkanie robocze. Z uwagą studiowali wielką mapę okolicy.

- Jest oczywiste, że Miro kieruje się na północ, w stronę kraju Basków - stwierdził olbrzym z blizną.

- To może oznaczać Burgos, Vitorię, Logroño, Pampelunę albo San Sebastian.

„San Sebastian - pomyślał Acoca. - Ale muszę go dostać, zanim tam dotrze”. W uszach wciąż dźwięczał mu głos z telefonu: „Kończy się panu czas”. Nie mógł sobie pozwolić na porażkę.

Jechali przez falisty teren, który sygnalizował, że zbliżają się do Burgos. Jaime siedział za kierownicą, milczący.

- Felix, w San Sebastian chcę wszystko tak zorganizować, żeby wydostać Rubia z łap policji - powiedział wreszcie.

Carpio skinął głową.

- Z przyjemnością. Dostaną szalu.

- A co z siostrą Lucią? - zapytała Megan.

- Jak to?

- Mówiłeś przecież, że ją też złapali.

- Owszem, ale okazało się, że twoja siostra Lucia jest poszukiwana za morderstwo - z kwaśną miną wyjaśnił Miro.

Wiadomość ta wstrząsnęła Megan. Pamiętała, jak siostra Lucia przejęła dowodzenie i rozkazała im ukryć się na wzgórzach. Lubiła ją.

- Skoro zamierzacie ratować Rubia, powinniście i o nią się zatroszczyć.

„Co to za cholerna zakonnica”? - zdumiał się Jaime.

Jednak miała rację. Wykradzenie sprzed nosa policji Rubia i Lucii zrobiłoby im wspaniałą reklamę i zapewniło miejsce na pierwszych stronach gazet.

Amparo tonęła w posępnym milczeniu.

Nagle w pewnej odległości przed sobą zauważyli trzy wojskowe ciężarówki pełne ludzi.

- Lepiej zjedziemy - postanowił Jaime.

Na najbliższym rozjeździe skręcił z autostrady na wschód.

- Przed nami Santo Domingo de la Calzada. Jest tam stary opuszczony zamek. Możemy w nim przenocować.

Już wkrótce dostrzegli wysoko na zboczu sylwetkę budynku. Jaime wybrał boczną drogę, omijającą miasto, i w miarę jak się zbliżali, zamek rósł im w oczach. Paręset metrów od budowli znajdowało się jezioro.

Jaime zahamował.

- Proszę wysiadać. Gdy opuścili wóz, Jaime ustawił go przodem do jeziora, wcisnął gaz do oporu, zwolnił ręczny hamulec i pospiesznie wyskoczył. Przez chwilę wszyscy stali bez ruchu, przyglądając się, jak samochód pogrąża się w wodzie.

Megan już miała zapytać, jak dostaną się do Logroño, ale w ostatnim momencie ugryzła się w język.

„Głupie pytanie. On po prostu ukradnie inny wóz”.

Całą grupką podeszli, by przyjrzeć się opuszczonemu zamkowi. Otaczał go wysoki kamienny mur, z rozsypującymi się wieżyczkami na każdym rogu.

- W dawnych czasach - zwrócił się Felix do zakonnicy - księżniczki więziły w takich zamkach swych wrogów.

„Jaime jest wrogiem państwa, ale jeśli zostanie schwytany, nie będą go więzić. Po prostu zabiją - pomyślała dziewczyna. - A on się nie boi”.

Doskonale pamiętała słowa Baska:

„Wierzę w to, o co walczę. Wierzę w moich chłopców i w moją broń”.

Wspięli się po kamiennych stopniach, prowadzących do żelaznej bramy. Przerdzewiała tak dalece, że pchając uchylili ją i przecisnęli się na wyłożony płytami dziedziniec. Wnętrze zamku wydało się Megan ogromne. Były tam wąskie korytarze i wielkie sale, a na wprost wejścia otwory strzelnicze, przez które obrońcy twierdzy mogli razić napastników. Kamienne schody wiodły na piętro, gdzie mieściło się jeszcze jedno *claustr*, patio. Stopnie zwężały się w miarę jak wchodzili na drugie piętro, potem na trzecie. Budynek rzeczywiście był całkowicie opuszczony.

- No, przynajmniej nie zabraknie nam tu miejsca do spania - powiedział Jaime. - Felix i ja wyprawimy się po coś do jedzenia. Wybierzcie sobie pokoje.

Gdy mężczyźni zeszli po schodach, Amparo zwróciła się do Megan:

- Chodźmy, siostrze.

Przeszły przez hol. Megan wszystkie sale wydawały się jednakowe. Puste kamienne pomieszczenia, zimne i surowe, niektóre większe od innych. Amparo wybrała największe.

- Jaime i ja będziemy spać tutaj. - Spojrzała na zakonnice i zagadnęła figlarnie: - Chcesz spać z Felixem?

Megan nic nie odpowiedziała.

- A może wolałabyś spędzić noc z Jaimem? - Amparo przysunęła się bliżej. - Niech ci nic nie chodzi po głowie, siostrzyczko. To mężczyzna nie dla ciebie.

- Nie musisz się martwić. Nie jestem zainteresowana.

Jednak mówiąc to Megan zastanawiała się intensywnie, czy Jaime Miro to rzeczywiście mężczyzna nie dla niej.

Jaime i Felix wrócili do zamku godzinę później, przynosząc dwa króliki i drewno na opał. Po wejściu Felix zarygłował drzwi. Megan przyglądała się, jak mężczyźni rozpalają ogień w ogromnym kominku. Jaime obdarł króliki ze skóry i upiekł je na rożnie nad ogniem.

- Przykro mi, że nie możemy zapewnić paniom prawdziwej biesiady - tłumaczył się Felix - ale najemy się w Logroño. A póki co - smacznego.

Po skromnym posiłku Miro zarządził:

- Idziemy spać. Chcę wyruszyć wczesnym rankiem.

- Chodź, *querido*. Wybrałam już dla nas sypialnię - oznajmiła Amparo.

- *Bueno*. Chodźmy.

Megan przyglądała się, jak ramię w ramię wchodzą na górę.

- A siostra ma gdzie spać? - zapytał Felix.

- Tak, dziękuję.

I oni razem weszli po schodach.

- Dobranoc - powiedziała dziewczyna. Carpio wręczył jej śpiwór.

- Dobrej nocy, siostrze. Megan miała ochotę zagadnąć Felixa o Jaimego, ale zrezygnowała.

Przestraszyła się, że wyjdzie na wścibską. A bardzo chciała, żeby Miro miał o niej dobre zdanie.

„Naprawdę dziwne - zamyśliła się. - To terrorysta, morderca napadający na banki i Bóg wie co jeszcze, a ja martwię się, co o mnie pomyśli. - W głębi duszy wiedziała jednak, że to nie takie proste. - Ale przecież walczy o wolność. Napada na banki, by wspomóc sprawę. Naraża życie za to, w co wierzy. To odważny człowiek”.

Mijając salę, w której ulokowali się Jaime i Amparo, usłyszała ich śmiech. Weszła do maleńkiego pokoiku o nagich ścianach i uklękła na zimnej posadzce.

- Dobry Boże, wybac mi... - „Wybac co? Co takiego zrobiłam”?

Pierwszy raz w życiu nie potrafiła się modlić. Czy tam, w górze, Bóg rzeczywiście słuchał?

Wsunęła się do śpiwora, który dał jej Felix, ale sen nie nadchodził, równie daleki jak zimne gwiazdy, widoczne przez wąskie okienko.

„Co ja tu robię? - zastanawiała się. Powróciła myślami do klasztoru... potem sierocińca. A wcześniej? - Czemu mnie porzucono? Nie wierzę, że ojciec był dzielny żołnierzem czy wielkim matadorem. Ale mimo to wspaniale byłoby poznać prawdę”.

Już prawie świtało, gdy Megan wreszcie zapadła w sen.

Obecność Lucii Carmine w więzieniu w Aranda de Duero była wielkim wydarzeniem.

- Jesteś grubą rybą w naszym małym stawie - oznajmił jej strażnik. - Rząd włoski wysłał kogoś, kto odtransportuje cię do domu. Sam chętnie bym się tym zajął, *puta bonita*. Co takiego straszego zrobiłaś?

- Obcięłam jednemu facetowi jaja za nazywanie mnie *puta bonita*. Powiedz, jak się ma mój przyjaciel?

- Będzie żył.

Lucia zmówiła cichą modlitwę dziękczynną. Potem rozejrzała się po ponurej, ciemnej celi i pomyślała: „Jak, do diabła, mam się stąd wydostać”?

Doniesienie o napadzie na bank przesłano zwykłymi kanałami policyjnymi, więc Acoca został o nim powiadomiony dopiero po upływie dwóch godzin. W Valladolid pułkownik znalazł się po kolejnych sześćdziesięciu minutach, wściekły z powodu zaistniałej zwłoki.

- Dlaczego nie zawiadomiono mnie natychmiast?

- Przykro mi, panie pułkowniku, ale nie przyszło nam do głowy, że...

- Mielicie go w zasięgu ręki i pozwoliliście uciec!

- To nie nasza...

- Przysłać mi tu kasjera. Pracownika banku przepelniało poczucie własnej ważności.

- To do mojego okienka podszedł. Po oczach poznałem, że to morderca. On...

- Nie ma pan wątpliwości, że obrabował was właśnie Jaime Miro?

- Żadnych. Pokazał mi plakat ze swoją podobizną. Był...

- Czy przyszedł do banku sam?

- Tak. Wskazał na stojącą w kolejce kobietę i powiedział, że należy do jego gangu, ale po jego wyjściu poznałem, że to sekretarka, nasza stała klientka, i ...

- Czy widział pan, w którą stronę udał się Miro? - niecierpliwie przerwał pułkownik.

- Do głównego wyjścia. Przesłuchiwany policjant z drogówki nie okazał się bardziej pomocny.

- W wozie znajdowały się cztery osoby, panie pułkowniku. Jaime Miro, jeszcze jeden mężczyzna i dwie kobiety na tylnym siedzeniu.

- W którą stronę odjechali? Policjant zawahał się.

- Po opuszczeniu tej jednokierunkowej mogli pojechać gdziekolwiek. - Funkcjonariusz rozjaśnił się. - Ale mogę opisać ich samochód.

Pułkownik Acoca z niechęcią pokręcił głową.

- Proszę się nie trudzić.

Śniła. We śnie słyszała głosy pospólstwa, nadchodzącego, by spalić ją na stosie za obrabowanie banku. „Nie kradłam dla siebie. To było dla sprawy”. Głosy przybliżyły się.

Megan otworzyła oczy i usiadła, rozglądając się po nieznanym pomieszczeniu. Naprawdę coś słyszała. Dźwięk głosów dobiegał z zewnątrz.

Wstała i spiesznie podeszła do wąskiego okna. Dokładnie poniżej, przed wejściem do zamku, rozłożyli się żołnierze. Poczwała nagły przypływ paniki.

„Schwytili nas. Muszę odszukać Jaimego”.

Popędziła do sali, w której położył się z Amparo. Nikogo. Zbiegła do holu na parterze. Jaime i jego kobieta stali w pobliżu zaryglowanych drzwi, szepcząc coś do siebie.

Podbiegł do nich Felix.

- Sprawdziłem tyły. Nie ma stąd innego wyjścia.

- A okna?

- Za małe. Jedyna droga to frontowe drzwi. „A tam są żołnierze - pomyślała Megan. - Jesteśmy w pułapce”.

- Co za cholerny pech, że akurat tu musieli rozbić obóz - złościł się Jaime.

- Co zrobimy? - zaszepiała Amparo.

- Nie mamy wyboru. Musimy zostać tu, dopóki nie odejdą. Jeżeli... W tej samej chwili usłyszeli głośne pukanie do drzwi. Rozległ się apodyktyczny głos:

- Otwierać. Jaime i Felix wymienili spojrzenia i bez słowa sięgnęli po broń.

Głos odezwał się ponownie:

- Wiemy, że ktoś tam jest. Otwierać.

- Zejdźcie z drogi - polecił Miro kobietom. „Beznadziejne - stwierdziła zakonnica, gdy Amharo stanęła za mężczyznami. - Tam jest ze dwudziestu uzbrojonych żołnierzy. Nie mamy szans”.

Zanim ktokolwiek zdążył ją powstrzymać, szybko podeszła do frontowych drzwi i otworzyła je.

- Dzięki Bogu, żeście się zjawili! - wykrzyknęła. - Mu sicie mi pomóc.

Oficer zagapił się na Megan.

- Kim pani jest? Co pani tu robi? Jestem kapitan Rodriguez. Szukamy...

- Zjawił się pan w samą porę, kapitanie. - Dziewczyna chwyciła go za rękę. - Moi synkowie mają tyfus i muszę zawieźć ich do lekarza. Musi pan wejść i mi pomóc.

- Tyfus?

- Tak. - Megan usiłowała wciągnąć mężczyznę do środka. - To okropne. Są rozpaleni, pokryci wrzodami. Naprawdę źle z nimi. Proszę sprowadzić swoich ludzi i pomóc mi zanieść ich do...

- *Señora!* Pani chyba oszalała. To strasznie zaraźliwe.

- Mniejsza z tym. Potrzebują pańskiej pomocy - ciągnęła wojskowego za rękę.

- Proszę mnie puścić.

- Nie może mnie pan zostawić. Co ja zrobię?

- Proszę wejść do środka i pozostać tam, dopóki nie zawiadomimy policji, by przysłano tu karetkę albo lekarza.

- Ale...

- To rozkaz, *señora*. Do środka - polecił oficer i zawołał: - Sierzancie, wynosimy się stąd.

Megan zamknęła drzwi i oparła się o nie, wyczerpana. Jaime wpatrywał się w nią osłupiały ze zdumienia.

- Mój Boże, to było genialne. Gdzie się nauczyłaś tak kłamać?

Dziewczyna odwróciła się do niego z westchnieniem.

- W sierocińcu musieliśmy umieć jakoś się bronić. Mam nadzieję, że Bóg mi to wybaczy.

- Żałuję, że nie widziałem miny tego kapitana - wybuchnął śmiechem Miro. - Tyfus! Jezu Chryste! - Uchwycił spojrzenie zakonnicy. - Przepraszam, siostró.

Z zewnątrz dobiegały ich odgłosy likwidowania obozowiska i zwijania namiotów. Gdy żołnierze odeszli, Jaime powiedział:

- Niedługo będzie tu policja. A poza tym mamy spotkanie w Logroño.

Kwadrans później Miro stwierdził:

- Chyba możemy już bezpiecznie wyjść. - Zwrócił się do Carpia: - Rozejrzyj się w mieście, co jest do wzięcia. Najlepszy byłby sedan.

- Nie ma sprawy - szeroko uśmiechnął się Felix.

Po półgodzinie zmierzali na wschód zdezelowanym, szarym sedanem. Ku swemu zaskoczeniu Megan siedziała obok Jaimego. Felix i Amparo umieścili się z tyłu. Miro zerknął na zakonnicę z uśmiechem.

- Tyfus - powiedział i roześmiał się.

- Zaczął się strasznie spieszyć, prawda? - stwierdziła pogodnie.

- Dobrze zrozumiałem, że była siostra w sierocińcu?

- Tak.

- Gdzie?

- W Avila.

- Nie wygląda siostra na Hiszpankę.

- Już mi to mówiono.

- Musiała siostra przejść tam przez piekło. Zaskoczyła ją ta nagła troska.

- Mogło tak być, ale nie było - odparła. „Nie dopuściłabym do tego”.

- Wie siostra coś o swoich rodzicach?

Megan przywołała swe rojenia.

- O tak. Ojciec był dzielnym Anglikiem, kierowcą ambulansu. Popierał lojalistów. Matka zginęła podczas walk, a mnie pozostawiono na progu niewielkiej farmy. - Wzruszyła ramionami. - A może był raczej księciem z innego kraju, który wdał się w romans z wieśniaczką i porzucili mnie, żeby uniknąć skandalu.

Jaime spojrział na swą towarzyszkę bez słowa.

- Ja... - zamilkła nagle. - Nie mam pojęcia, kim byli moi rodzice.

Jakiś czas jechali w milczeniu.

- Jak długo przebywała siostra w klasztorze?

- Prawie piętnaście lat.

- Jezu! - zdumiał się Jaime. I pospiesznie dodał: - Przepraszam, siostrze. Ale to jak spotkać kogoś z innej planety. Nie ma siostra pojęcia, co zaszło podczas tych piętnastu lat.

- Z pewnością wszystkie zmiany są tymczasowe. Wszystko znów się zmieni.

- Nadal chce siostra wrócić do klasztoru? Pytanie zaskoczyło Megan.

- Oczywiście.

- Ale dlaczego? - Jaime wykonał dłonią szeroki gest. - To znaczy... w klasztorze tyle siostra traci. Tu mamy muzykę i poezję. Hiszpania dała światu Cervantesa i Picassa, Lorce, Pizzara, de Soto, Cortesa. To magiczny kraj.

Milczała, zaskoczona nieoczekiwaną łagodnością mężczyzny, żarem jego wypowiedzi. Nagle Jaime dodał:

- Przepraszam, że wcześniej chciałem się siostry pozbyć. Nic przeciw siostrze nie mam, ale miałem przykre doświadczenia z siostry Kościołem.

- Trudno mi w to uwierzyć.

- A jednak - powiedział z goryczą. Przed oczyma stanął mu obraz Cuerniki, eksplodujących ulic, budynków, pomników. Wciąż słyszał huk rozrywających się pocisków, zmieszany z krzykami bezbronnych ofiar. Jedynym schronieniem przed deszczem bomb był kościół. „Księża zamknęli drzwi. Nie wpuszczą nas”.

A potem zabójczy grad, który pozbawił życia matkę, ojca i siostry. „Nie, to nie pociski. To Kościół” - myślał Jaime.

- Twój Kościół popierał Franco i pozwolił na niewyobrażalne cierpienia cywilów.

- Jestem pewna, że Kościół protestował przeciw temu.

- Nie. Dopiero gdy falangiści zaczęli gwałcić zakonnice, mordować księży i palić kościoły, dopiero wtedy papież potępił Franco. Ale to nie przywróciło życia mojej rodzinie.

Pasja, z jaką mówił, była przerażająca.

- Przykro mi. Ale to było dawno temu. Wojna się skończyła.

- Nie. Nie dla nas. Rząd nadal nie pozwala nam wywiesić baskijskiej flagi, obchodzić narodowych świąt, mówić własnym językiem. Nie, siostrzo. Wciąż jesteśmy ciemżeni. Nie ustaniemy w walce, póki nie uzyskamy niezależności. W Hiszpanii jest pół miliona Basków, we Francji jeszcze sto pięćdziesiąt tysięcy. Chcemy niezawisłości - a twój Bóg jest zbyt zajęty, żeby nam pomóc.

- Bóg nie może brać niczyjej strony - odezwała się Megan poważnie. - Jest w każdym z nas. Wszyscy do Niego należymy i próbując Go zniszczyć, niszczymy samych siebie.

Ku zaskoczeniu dziewczyny Jaime uśmiechnął się.

- Jesteśmy do siebie podobni, siostrzo.

- Tak?

- Wierzymy w różne rzeczy, ale wierzymy głęboko. Większość ludzi idzie przez życie, niczym się nie przejmując. Siostra poświęciła się Bogu, ja sprawie, ale obojgu nam na czymś zależy.

„Czy rzeczywiście? - zamyśliła się Megan. - Bo jeśli tak, to czemu sprawia mi radość przebywanie z tym mężczyzną? Powinnam myśleć tylko o powrocie do klasztoru”. - W Jaime Miro tkwiła jakaś magnetyczna moc. - „Czy jest taki jak Manolete? Naraża życie, przyjmując wyzwania losu, bo nie ma nic do stracenia”?

- Co się stanie, jeżeli schwytają cię żołnierze?

- Zostanę stracony.

Powiedział to tak spokojnie, że do Megan znaczenie jego słów dotarło z opóźnieniem.

- Nie boisz się?

- Oczywiście, że się boję. Tak jak wszyscy. Nikt nie chce umierać, siostrzo. I tak dość szybko spotkamy się z twoim Bogiem. Nie chcemy tego przyspieszać.

- Popełniłeś jakieś potworności?

- To zależy od punktu widzenia. Różnica między patriotą a rebeliantem polega na tym, kto w danej chwili sprawuje władzę. Rząd nazywa nas terrorystami. My uważamy się za bojowników o wolność. Jean Jacques Rousseau twierdził, że wolność to możliwość wyboru krępujących nas więzów. I taką wolność ja wybrałem. - Miro przez moment przyglądał się Megan. - Ale przecież siostra nie musi się tym przejmować. Po powrocie do klasztoru przestanie się siostra interesować światem zewnętrznym.

„Czy to prawda”?

Wyjście na świat przewróciło całe jej życie do góry nogami. Czy zrezygnowała ze swej wolności? Tak wiele chciała się dowiedzieć i nauczyć. Własne życie jawiło się jej na kształt czystego płótna, na którym malarz jeszcze nie zaczął szkicować.

„Jeśli wrócę do klasztoru - pomyślała - znów odetnę się od świata. - Megan przeraziło to małe słówko: jeśli. - Gdy wrócę - poprawiła się pospiesznie. - Oczywiście, że wracam. Przecież nie mam dokąd pójść”.

Tej nocy rozbili obóz w lesie.

- Jesteśmy niespełna pięćdziesiąt kilometrów od Logroño, a z resztą mamy się spotkać dopiero za dwa dni. Bezpieczniej będzie do tego czasu pozostać w ruchu, więc jutro pojedziemy do Vitorii. Pojutrze dotrzemy na miejsce i parę godzin później znajdzie się siostra w klasztorze w Mendavii - wyjaśnił Jaime.

„Na zawsze”.

- A tobie nic się nie stanie? - zapytała dziewczyna.

- Martwi się siostra o moją duszę czy ciało? Megan poczuła, że się rumieni.

- Wszystko będzie dobrze. Na pewien czas ukryję się we Francji.

- Będę się za ciebie modlić - przyrzekła.

- Dziękuję - odparł poważnie. - Myśląc o tobie, będę się czuł bezpieczniej. A teraz prześpij się.

Gdy Megan zaczęła układać się do snu, dostrzegła wpatrującą się w nią z odległego końca polany Amparo. Kobieta przyglądała się zakonnicy z nie ukrywaną nienawiścią.

„Nikt mi nie zabierze mojego mężczyzny. Nikt”.

Następnego dnia wczesnym rankiem dotarli do Nanclares, małej wioski leżącej na zachód od Vitorii. Zatrzymali się na stacji benzynowej, przy której mieścił się warsztat. W garażu stał pochylony nad jakimś wozem mechanik. Jaime podjechał wprost do niego.

- *Buenos dias* - pozdrowił przybyłych mężczyzn. - Co się stało?

- Gdybym wiedział - odparł Miro - sam bym to naprawił i zaoszczędził parę groszy. Ten wóz jest powolny jak muł. Rzęzi jak stara baba i nie ma zrywu.

- Zupełnie jak moja żona - wyszczerzył zęby mechanik. - To może być coś z gaźnikiem, *señor*.

Jaime wzruszył ramionami.

- Nie znam się na samochodach. Wiem tylko, że mam jutro ważne spotkanie w Madrycie. Da pan radę naprawić go przed wieczorem?

- Mam przed panem jeszcze dwie naprawy, ale... - nie wypowiedziane słowa zawisły w powietrzu.

- Oczywiście zapłacę podwójnie. Mechanik rozpromienił się.

- Na drugą pasuje?

- Cudownie. Zjemy coś i wrócimy o drugiej. - Jaime zwrócił się do pozostałych, w zdumieniu przysłuchujących się rozmowie. - Mamy szczęście - powiedział. - Facet naprawi naszego grata. Chodźmy coś zjeść.

Wysiedli z samochodu i opuścili garaż.

- O drugiej - przypomniał mechanik.

- O drugiej. Gdy oddalili się kawałek, Felix zagadnął:

- Co ty wyprawiasz? Przecież wóz był w porządku. „Tylko że pewnie już szuka go policja - pomyślała Megan. - Ale będą przepatrywać drogi, nie garaże. Sprytny sposób na pozbycie się kłopotu”.

- Do drugiej już się stąd wyniesiemy, prawda? - za pytała.

Jaime spojrzał na nią z szerokim uśmiechem.

- Muszę zadzwonić. Zaczekajcie tu. Amparo wzięła Miro pod rękę.

- Pójdę z tobą. Megan i Felix odprowadzili ich wzrokiem. Po chwili Carpio zagadnął:

- Zaczynacie się z Jaimem nieźle rozumieć, co?

- Tak. - Nagle się zawstydziała.

- Jego niełatwo poznać. Ale to człowiek honoru, do tego bardzo odważny. I troszczy się o ludzi. Jedyne w swoim rodzaju. Opowiadałem siostrze, jak uratował mi życie?

- Nie. Chętnie posłucham.

- Kilka miesięcy temu rząd stracił sześciu naszych. W odwecie Jaime postanowił wysadzić tamę w Puente la Reina, na południe od Pampeluny. W pobliskim mieście kwaterował główny sztab armii. Przeprowadzaliśmy akcję nocą, ale ktoś zawiadomił GOE i ludzie Acoki schwytali trzech z nas. Dostaliśmy wyroki śmierci. Żeby szturmować więzienie, w którym nas trzymali, potrzeba by armii, ale Jaime znalazł sposób. Wypuścił przeznaczone na korridę w Pampelunie byki, a potem, korzystając z zamieszania, wy dostał nas dwóch. Trzeciego strażnicy zatłukli na śmierć. Tak, Jaime Miro to zupełnie wyjątkowy człowiek.

Gdy Jiron i Miro wrócili od telefonu, Felix zagadnął:

- I co jest grane?

- Wybieramy się na wycieczkę do Vitorii. Przyjaciele nas podwiozą. Pół godziny później zajęła po nich ciężarówka ze skrzynią zakrytą plandeką.

- Witam - pogodnie pozdrowił grupę kierowca. - Wskakujcie.

- Dzięki, *amigo*.

- Cieszę się, że mogę być pomocny, *señor*. Dobrze, że pan zadzwonił. W okolicy roi się od tych cholernych żołnierzy. Nie powinniście kręcić się w pobliżu.

Cała grupa wspięła się na tył ciężarówki i olbrzymi pojazd ruszył na północ.

- Gdzie się zatrzymacie? - zapytał kierowca.

- U przyjaciół - odparł Jaime. A Megan pomyślała: „Nikommu nie ufa. Nawet tym, którzy mu pomagają. Ale jakże by mógł? Jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie”. Uświadomiła sobie jak okropne musi być życie z deptającą po piętach policją i wojskiem. A wszystko dlatego, że Jaime wierzył w ideę na tyle mocno, by za nią umrzeć. Co takiego powiedział? „Różnica między patriotą a rebeliantem polega na tym, kto w danej chwili sprawuje władzę”.

Przejażdżka była przyjemna. Plandeka, jakkolwiek cienka, zapewniała bezpieczeństwo i Megan dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak bardzo, w obliczu pewności, że są poszukiwani, bała się przebywania na otwartych przestrzeniach.

„A Jaime stale żyje w takim napięciu. Ależ jest odporny”.

Rozmawiali i przychodziło im to z taką łatwością, jakby znali się od zawsze. Amparo Jirón przysłuchiwała się temu z kamienną twarzą, nie zabierając głosu.

- Kiedy byłem mały - powiedział Jaime - chciałem zostać astronomem.

Zaciekawił dziewczynę.

- Skąd takie pragnienie?

- Widziałem jak zginęli matka, ojciec i siostry, widziałem śmierć przyjaciół i nie

potrafiłem stawić czoła temu, co dzieje się na tej parszywej ziemi. Gwiazdy stanowiły ucieczkę. Są odległe o miliony lat świetlnych, więc marzyłem, że pewnego dnia polecę do nich, wydostanę się z tej ohydnej planety.

Megan obserwowała go bez słowa.

- Ale nie ma ucieczki, prawda? Koniec końców wszyscy musimy zmierzyć się z własnym przeznaczeniem. Więc prze stałem marzyć. Myślałem kiedyś, że jeden człowiek nie może niczego zmienić, ale teraz wiem, że to nieprawda. Jezus, Mahomet i Candhi, i Einstein, i Churchill zmienili. - Uśmiechnął się niewesoło. - Proszę mnie źle nie zrozumieć, siostrzo. Nie porównuję się do nich. Ale na miarę moich skromnych możliwości robię, co mogę. Jak wszyscy.

Megan próbowała odgadnąć, czy chciał tymi słowy przekazać jej coś szczególnego.

- Kiedy przestałem patrzeć w gwiazdy, studiowałem, żeby zostać inżynierem. Uczyłem się wznosić budowle. Teraz je wysadzam. I jak na ironię, niektóre sam zbudowałem.

Do Vitorii dotarli o zmierzchu.

- Dokąd mam was podwieźć? - zapytał kierowca.

- Możesz nas wyrzucić tu na rogu, *amigo*. Kierowca ciężarówki skinął głową.

- Dobra. Trzymajcie się. Jaime pomógł Megan wysiąść. Amparo przyglądała się temu gorejącymi oczyma. Jej mężczyzna nie miał prawa dotykać żadnej innej kobiety.

„Co za dziwka - myślała. - A Jaime lata za nią jak pies za suką. Ale to nie potrwa długo. Przekona się. Jemu potrzeba prawdziwej kobiety”.

Żeby nie kusić losu, poszli bocznymi uliczkami. Dwadzieścia minut później zatrzymali się przed stojącym w wąskim zaułku piętrowym domem. Budynek otoczony był wysokim płotem.

- To tu - powiedział Miro. - Prześpimy się i jutro o zmierzchu ruszymy.

Minęli bramę. Jaime w mgnieniu oka uporał się z zamkiem i znaleźli się w środku.

- Czyj to dom? - chciała wiedzieć Megan.

- Zadajesz za dużo pytań - ucięła Amparo. - Ciesz się, że z tobą nie skończyliśmy.

Jaime spojrzał na Jirón i powiedział:

- Dowiodła już, że ma prawo pytać. - Zwracając się do zakonnicy, wyjaśnił: - Dom należy do przyjaciela. Jesteś my już w kraju Basków i od tej chwili podróż będzie łatwiejsza. Wszędzie tu mamy sprzymierzeńców, którzy nas chronią i otaczają opieką. Pojutrze znajdzie się siostra w klasztorze.

Megan wzdygnęła się nieznacznie i ogarnęło ją coś jakby żal.

„Co się ze mną dzieje? - pomyślała. - Oczywiście, że chcę wrócić. Przebacz mi, Panie.

Prosiłam, żebyś bezpiecznie przywiódł mnie do domu i spełniłeś tę prośbę”

- Konam z głodu - odezwał się Felix. - Rozejrzyjmy się po kuchni.

Spizarnia okazała się znakomicie zaopatrzona.

- Zostawił nam masę jedzenia - ucieszył się Miro. - Przygotuję same wspaniałości. -

Uśmiechnął się do Megan. - Coś się nam należy, prawda?

- Nie wiedziałam, że mężczyźni gotują - odparła dziewczyna. Felix roześmiał się.

- Baskowie szczycą się swymi kulinarnymi zdolnościami. Czeka cię prawdziwa uczta, zobaczysz.

Pomogli Jaimemu wyszukać potrzebne produkty i przyglądali się, jak przyrządza *piperade* z zielonej papryki, pokrojonej w plasterki cebuli, pomidorów, jajek i szynki razem przysmażonych.

- Pachnie wspaniale - oznajmiła Megan, gdy wszystko zaczęło apetycznie skwierczeć.

- To tylko przystawka. Chcę przygotować dla ciebie słynne baskijskie danie *polio al chilindrón*.

„Nie powiedział «dla nas» - zauważyła Amparo. - Powiedział «dla ciebie». Dla tej dziwki”.

Jaime pokroił mięso kurczaka na paseczki, które oprószył solą i pieprzem, a potem przyrumienił na rozgrzanej oliwie, podczas gdy na drugiej patelni dusiły się cebula, czosnek i pomidory.

- Teraz przez pół godziny potrzymamy to na wolnym ogniu.

Felix znalazł butelkę czerwonego wina i wyciągnął szklanki.

- Czerwone wino z La Rioja. Będzie wam smakować. - Podsunął napełnione naczynie w stronę Megan. - Siostro?

Ostatnio zakonnica kosztowała wina przy komunii.

- Dziękuję. Powoli uniosła szklankę do ust i pociągnęła łyk. Cudowne. Upiła jeszcze trochę i poczuła rozlewające się po ciele ciepło. Wspaniałe uczucie.

„Muszę się tym cieszyć, dopóki jeszcze mogę - pomyślała. - Niedługo wszystko się skończy”.

Podczas kolacji Jaime siedział głęboko zamyślony.

- Co cię martwi, *amigo*? - zapytał Felix. Jaime wahał się przez chwilę.

- Mamy w organizacji zdrajcę. Zapadła śmiertelna cisza.

- Co... czemu tak myślisz? - zająknął się Carpio.

- Z powodu Acoki. Trzyma się zbyt blisko. Felix wzruszył ramionami.

- To lis. My jesteśmy królikami.

- To coś więcej.

- Co? - włączyła się Amparo.

- Ktoś go zawiadomił, że chcemy wysadzić tamę w Puentę la Reina. - Miro spojrzał na Felixa. - Zastawił pułapkę i schwytał ciebie z Ricardem i Zamorą. Gdybym się nie spóźnił, mnie też by złapali. I przypomnijcie sobie, co było w *parador*.

- Usłyszałeś jak recepcjonista dzwoni na policję - przypomniała Amparo. Jaime potaknął.

- Zgadza się. Bo miałem przeczucie, że coś nie gra.

- Kogo podejrzewasz? - zapytała pochmurnie. Miro pokręcił głową.

- Nie jestem pewien. Ale kogoś, kto zna wszystkie nasze plany.

- Więc zmienmy je - zaproponowała kobieta. - Spotkamy się z resztą w Logroño i ominiemy Mendavię.

Jaime zerknął na Megan.

- Nie możemy. Musimy dostarczyć siostry do klasztoru. Megan patrzyła na Miro i myślała: „Dość już dla mnie zrobił. Nie mogę narażać go na jeszcze większe niebezpieczeństwo”.

- Jaime, mogę sama... Wiedział, co dziewczyna chce powiedzieć.

- Nie przejmuj się, Megan. Wszyscy bezpiecznie do trzemy na miejsce.

„Zmienił się - stwierdziła Amparo. - Z początku nie chciał mieć nic wspólnego z klechami. A teraz chce dla jednej z nich zaryzykować życie. I nazywa ją Megan. Bez «siostry».

- Co najmniej piętnaście osób zna nasze plany - kontynuował Miro.

- Musimy się dowiedzieć kto to - nalegała Jirón.

- Jak? - Felix nerwowo skubał brzeg obrusa.

- Paco w Madrycie coś dla mnie sprawdza. Umówiłem się, że tu zadzwoni. - Jaime przez moment patrzył na Carpia, potem odwrócił wzrok.

Przemilczał fakt, że dokładną marszrutę trzech grup znało nie więcej niż sześć osób. To prawda, że Felix został przez Acocę uwięziony, ale to właśnie zapewniało mu idealne wprost alibi. W odpowiedniej chwili można było zaplanować jego ucieczkę.

„Tylko że ich ubiegłem - pomyślał Jaime. - Paco go sprawdza. Mam nadzieję, że niedługo zadzwoni”.

Amparo wstała i zwróciła się do Megan:

- Pomóż mi przy zmywaniu. Kobiety zaczęły sprzątać ze stołu, a mężczyźni przeszli do salonu.

- Zakonnica nieźle się trzyma - zauważył Felix.

- Owszem.

- Lubisz ją, co? Jaime jakoś nie mógł patrzeć na Felixa.

- Tak. Lubię. - „A ty chciałbyś zdradzić i ją, i nas”.

- A co z tobą i Amparo?

- Jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, ona wierzy w sprawę tak jak i ja. Falangiści Franco wymordowali całą jej rodzinę. - Miro wstał i przeciągnął się. - Czas do łóżka.

- Coś mi się zdaje, że dziś nie zasnę. Jesteś pewien co do tego szpiega?

- Pewien - powiedział Jaime, patrząc przyjacielowi prosto w oczy.

Gdy Miro zszedł rano na śniadanie, Megan go nie poznała. Zmieniony, ciemniejszy kolor karnacji, peruka, wąsy i niechlujne ubranie postarzyły Jaimego o jakieś dziesięć lat.

- Dzień dobry. Znajomy głos, którym przemówiła obca postać, zaskoczył ją.

- Skąd...?

- Czasem korzystam z tego domu. Trzymam tu parę rzeczy, które mogą być przydatne.

Powiedział to bez szczególnego nacisku, ale Megan nagle zrozumiała, jakie prowadził życie. Ilu jeszcze domów i masek potrzebował, żeby przeżyć? Ile razy, oprócz tych znanych jej przypadków, unikał śmierci o włos? Doskonale pamiętała bezwzględne okrucieństwo mężczyzn, którzy zaatakowali klasztor, i pomyślała:

„Jeśli schwytają Jaimego, nie darują mu. Tak bym chciała umieć go ochronić”.

Przepełniały ją myśli, których snuć nie miała prawa.

Amparo przygotowała śniadanie: *bacalao* - gotowanego solonego dorsza - kozie mleko, ser i gęstą gorącą czekoladę. Gdy jedli, Felix zapytał:

- Jak długo się tu zatrzymamy?

- Ruszymy o zmroku - zdawkowo odparł Miro. Nie zamierzał jednak pozwolić, by Carpio skorzystał z tej informacji. - Muszę załatwić parę spraw - zwrócił się do Felixa. - Potrzebna mi twoja pomoc.

- Jasne. Jaime odwołał Amparo na stronę.

- Jeżeli zadzwoni Paco, powiedz mu, że niedługo wrócę. I niech ci przekaże wiadomość.

Skinęła głową.

- Bądź ostrożny.

- Nie martw się. - Spojrzał na Megan. - Twój ostatni dzień. Jutro będziesz w klasztorze. Pewnie nie możesz się doczekać.

Zakonnica przyglądała mu się dłuższą chwilę.

- Tak. - „Nie potrafię odegnać niepokoju. Chciałabym, żeby tak nie było, ale... Zamknę się w klasztornych murach, ale do końca życia będę się zastanawiać, co spotkało Jaimego, Felixa i resztę”.

Obserwowała wychodzących mężczyzn. Wyczuła pomiędzy nimi niezrozumiałe napięcie. Zauważyła, że Amparo nie spuszcza z niej wzroku i przypomniała sobie słowa kobiety: „To mężczyzna nie dla ciebie”.

- Pościel łóżka. Ja przygotuję obiad - sucho poleciła Jirón.

- Dobrze. Megan skierowała się do sypialni. Amparo odprowadziła ją spojrzeniem, a potem weszła do kuchni.

Przez następną godzinę Megan nie przerywała pracy, koncentrując się na czyszczeniu, odkurzaniu i polerowaniu, próbując odsunąć natrętnie powracające obrazy.

„Muszę przestać o nim myśleć” - postanowiła.

Niemożliwe. Był jak pierwotna siła natury, pochłaniał wszystko, co stało mu na drodze.

Zaczęła polerować bardziej energicznie.

Amparo czekała na powrót Jaimego i Felixa stojąc w drzwiach. Carpio był dziwnie blady.

- Kiepsko się czuję. Chyba trochę się położy. Przyglądali się, jak znika w sypialni.

- Dzwonił Paco - oznajmiła Amparo nerwowo.

- Co powiedział?

- Ma dla ciebie wiadomość, ale nie chciał o tym mówić przez telefon. Przyśle kogoś, żeby się z tobą spotkał. W południe na skwerze.

Jaime zamyślony zmarszczył brwi.

- Nie powiedział, kto to?

- Nie. Tylko, że sprawa jest pilna.

- Cholera. A, nieważne. Dobrze, pójdę na spotkanie. A ty miej oko na Felixa.

Amparo spojrzała zaskoczona.

- Nie rozu...

- Nie chcę, żeby korzystał z telefonu.

Przez twarz kobiety przemknął błysk zrozumienia.

- Myślisz, że Felix jest...?

- Daj spokój. Zrób, o co proszę. - Zerknął na zegarek. - Prawie dwunasta. Pójdę już.

Wrócę za jakąś godzinę. Trzymaj się, *querida*.

- Nie martw się.

Megan przysłuchiwała się ich rozmowie.

„Nie chcę, żeby korzystał z telefonu. Myślisz, że Felix jest...? Daj spokój. Zrób, o co proszę”.

„Więc zdrajcą jest Felix” - pomyślała. Widziała, jak Carpio wszedł do sypialni i zamknął drzwi. Usłyszała, że Jaime wychodzi i pospieszyła do salonu.

Amparo spojrzała w jej stronę.

- Skończyłaś?

- Niezupełnie. - Chciała zapytać, dokąd poszedł Jaime, co zrobią z Felixem, co będzie dalej, ale nie miała ochoty omawiać niczego z tą kobietą. - „Poczekam do powrotu Jaimego”.

- To skończ.

Megan odwróciła się na pięcie i wyszła. Myślała o Feliksie. Wydawał się taki przyjacielski, taki serdeczny. Fakt, że zadawał jej tyle pytań - uznała to za oznakę życzliwego zainteresowania - teraz nabrał odmiennego znaczenia. Pogodny brodacz po prostu zdobywał informacje, by później przekazać je pułkownikowi Acoce. Życie całej grupy wisiało na włosku.

„Może przydam się na coś Amparo” - stwierdziła Megan. Już miała wejść do salonu, gdy usłyszała głos mówiący:

- Właśnie wyszedł. Będzie na ławce na skwerze, sam. Ma perukę i wąsy. Pańscy ludzie powinni zgarnąć go bez problemu.

Stanęła jak wryta.

- Poszedł piechotą, więc dojdzie na miejsce zajmie mu jakieś piętnaście minut.

Megan słuchała z rosnącym przerażeniem.

- Proszę pamiętać o naszej umowie, pułkowniku - powiedziała Amparo do telefonu. - Obiecał pan, że go nie zabiją.

Zakonnica wycofała się do holu. Czowała zamęt. Więc to Amparo zdradziła. Posłała Jaimego prosto w pułapkę.

Skradając się na palcach, żeby nie usłyszała jej rozmawiająca przez telefon kobieta, Megan pospieszyła do tylnych drzwi. Nie miała pojęcia, jak mogłaby pomóc Jaimemu, wiedziała tylko, że musi coś zrobić. Minęła bramę i najszybciej jak tylko się dało bez zwracania na siebie uwagi poszła w stronę centrum.

„Proszę, Boże, pozwól mi zdążyć” - modliła się w duchu.

Spacer ocienioną przez wyniosłe drzewa stroną ulicy był przyjemny, ale Jaime nie zwracał uwagi na otoczenie. Myślał o Feliksie. Byli jak bracia, darzył go pełnym zaufaniem. Co sprawiło, że przyjaciel stał się zdrajcą? Dlaczego narażał życie ich wszystkich? Może

posłaniec przyniesie odpowiedź.

„Czemu Paco nie chciał omówić tego przez telefon?”

Dochodził już do placu - na środku fontanna, cieniste drzewa i parę ławek. Dzieci bawiły się w berka, staruszkowie grali w *boule*. Kilku rozpartych wygodnie mężczyźni cieszyło się słońcem, czytając, drzemiąc lub karmiąc gołębie. Jaime przeciął ulicę, przeszedł parę kroków ścieżką i usiadł na wolnej ławce. Zerknął na zegarek dokładnie w chwili, gdy zegar na wieży zaczął wydzwaniać południe.

„Kurier powinien tu być lada chwila”.

Kątem oka zauważył zatrzymujący się przy skwerze samochód policyjny. Spojrzał w drugą stronę. I tam podjechał radiowóz. Policjanci, którzy z niego wysiedli, weszli do parku. Jaime poczuł, że zaczyna mu walić serce. Pułapka. Tylko kto ją zastawił? Paco, który przesłał wiadomość, czy Amparo, która ją przekazała? To ona wysłała go do parku. Ale dlaczego? Dlaczego? Nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Trzeba uciekać.

Jaime wiedział, że jeśli zacznie biec, zastrzelą go w jednej chwili. Mógłby spróbować zablefować, ale policjanci wiedzieli, kogo szukają. „Myśl! Szybko!”

Przecnicę dalej Megan pędziła w stronę parku. Zbliżywszy się, ogarnęła całą scenę jednym rzutem oka. Zobaczyła, że Jaime siedzi na ławce, a policjanci podchodzą do niego z obu stron.

Umysł zakonnicy pracował na najwyższych obrotach. Jaime nie miał szans na ucieczkę.

Megan mijając właśnie sklep spożywczy. Parę kroków przed nią blokowała chodnik kobieta, prowadząca wózek dziecięcy. Młoda matka zatrzymała się, ustawiła dziecko pod ścianą i weszła po jakieś zakupy. Megan bez chwili wahania chwyciła rączkę wózka i popychając go przeszła przez ulicę, do parku.

Funkcjonariusze policji zatrzymywali się przy każdej kolejnej ławce, wypytując odpoczywających mężczyzn. Megan przepchnęła się między policjantami i podeszła do Jaimego.

- *Madre de Dios!* - wrzasnęła. - Tu jesteś, Manuel! Wszędzie cię szukam. Mam tego dosyć! Obiecałeś rano wymalować w domu, a siedzisz sobie w parku jak jakiś bogacz! Mama miała rację. Jesteś nicpoń i próżniak. Po co ja za ciebie wysłałam!

Jaime zareagował w ułamku sekundy. Wstał.

- Twoja matka świetnie się zna na próżniakach, bo sama za jednego wyszła. Jak...

- I kto to mówi? Gdyby nie moja matka, dziecko by nam umarło z głodu. Kto jak kto, ale ty na chleb nie zarabiasz...

Policjanci stanęli, przysłuchując się kłótni.

- Gdyby to była moja żona - mruknął jeden z nich - odesłałbym ją do matki.

- Dość mam tego zrzędzenia, kobieto - ryknął Jaime. - Już cię ostrzegałem. Niech no tylko wrócimy do domu, to popamiętasz!

- Dobrze jej tak - stwierdził policjant.

Jaime i Megan szli ścieżką, pchając wózek i kłócąc się hałaśliwie. Funkcjonariusze wrócili do odpoczywających mężczyzn.

- Proszę dokumenty.

- O co chodzi, panie władzo? W całym parku mężczyźni sięgali po portfele, żeby wyciągnąć papiery dowodzące ich tożsamości. Gdzieś zaczęło płakać dziecko. Policjant podniósł wzrok. Porzucony wózek stał pod krzakiem. Kłócąca się para zniknęła.

Pół godziny później Megan otworzyła frontowe drzwi domu. Amparo nerwowo przechadzała się po pokoju.

- Gdzie byłaś? - zaczęła z pretensją w głosie. - Powinnaś mnie uprzedzić, że wychodzisz.

- Musiałam coś załatwić.

- Co takiego? - zagadnęła Jirón podejrzliwie. - Nikogo tu nie znasz. Jeżeli...

Do pokoju wszedł Jaime. Na jego widok z twarzy Amparo odpłynęła cała krew, jednak kobieta szybko doszła do siebie.

- Co... co się stało? - zająknęła się. - Nie poszedłeś do parku?

- Dlaczego, Amparo? - cicho zapytał Miro. Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że wszystko skończone.

- Czemu się zmieniłaś? Pokręciła głową.

- To ty się zmieniłeś. W tej głupiej wojnie, którą prowadzisz, straciłam wszystko, co kochałam. Dość mam tej krwawej łaźni. Możesz znieść prawdę o sobie, Jaime? Jesteś równie zły jak rząd, z którym walczysz. Gorszy, bo oni chcą zawrzeć pokój, a ty nie. Myślisz, że pomagasz krajowi? Ty go niszczysz. Napadasz na banki, wysadzasz samochody, mor dujesz niewinnych ludzi i uważasz się za bohatera. Kochałam cię i kiedyś w ciebie wierzyłam, ale... - Głos Amparo załamał się. - Trzeba przerwać ten rozlew krwi.

Jaime zbliżył się do niej i zmierzył lodowatym spojrzeniem.

- Powinienem cię zabić.

- Nie! - Megan z trudem nabrała tchu. - Proszę! Nie możesz.

Chwilę wcześniej do pokoju wszedł Felix i przysłuchiwał się rozmowie.

- Jezu Chryste! Więc to ona. Co z tą dziwką zrobimy?

- Musimy zabrać ją ze sobą i nie spuszczać z oka - zdecydował Jaime. - Ujął kobietę za ramiona i powiedział miękko: - Nie próbuj żadnych sztuczek. Obiecuję, że przy następnym numerze umrzesz. - Odepchnął Amparo, zwrócił się do Felixa i Megan: - Wynośmy się stąd, zanim zjawią się jej przyjaciele.

- Miał pan Miro w zasięgu ręki i pozwolił mu uciec?

- Panie pułkowniku - z całym szacunkiem - moi ludzie...

- Pańscy ludzie to durnie. I wy uważacie się za policjantów? Przynosicie hańbę mundurowi.

Komendant policji kulił się pod zjadliwymi słowami Acoki. Nic więcej nie mógł zrobić, gdyż pułkownik miał wpływy dostatecznie duże, by skrócić go o głowę. A Acoca jeszcze z nim nie skończył.

- Pociągnę Pana do odpowiedzialności. Dopilnuję, żeby został pan zdymisjonowany.

- Panie pułkowniku...

- Wynoś się. Niedobrze mi się robi na twój widok. Acoca kipiał z wściekłości. Nie zdążył dotrzeć do Vitorii dość szybko, by osobiście ująć Jaimego Miro. Musiał zdać się na lokalną policję, a ci spaprali sprawę. Bóg jeden wie jak daleko Miro zdążył uciec do tej pory.

Pułkownik podszedł do mapy rozłożonej przed nim na stole.

„Oczywiście zatrzymają się w kraju Basków. A to może oznaczać albo Burgos, albo Logroño, albo Bilbao, albo San Sebastian. Skupię się na północnym wschodzie. Gdzieś muszą się pojawić”. Przypomniawszy sobie poranną rozmowę z premierem.

- Kończy się panu czas, pułkowniku. Czytał pan dzisiejsze gazety? Światowa prasa robi z nas błaznów. Miro i te zakonnice wystawili nas na pośmiewisko.

- Zapewniam pana, panie premierze...

- Król Juan Carlos nakazał mi podjąć w tej sprawie oficjalne śledztwo. Nie mogę dłużej się z tym ociągać.

- Proszę odłożyć sprawę na jeszcze kilka dni. Do tej pory będę miał Miro i zakonnice.

Na chwilę zapadła cisza.

- Czterdzieści osiem godzin. Jednak to nie premiera ani nawet króla obawiał się rozczarować pułkownik Acoca. Bał się OPUS MUNDO. Kiedy wezwano go do wyłożonego boazerią biura jednego z najpotężniejszych w Hiszpanii przemysłowców, otrzymał jasne rozkazy.

- Jaime Miro wywołuje nastroje szkodliwe dla naszej organizacji. Powstrzymaj go, a zostaniesz sownie nagrodzony.

Acoca wiedział, że dalsza, nie dopowiedziana część zdania brzmiała: „Zawieź, a będziesz ukarany”. Cała jego kariera stanęła teraz pod znakiem zapytania. A wszystko z powodu głupich policjantów, którzy pozwolili, żeby ten terrorysta wymknął się im sprzed

nosa. Teraz Jaime Miro mógł się ukrywać dosłownie wszędzie. A zakonnice... Pułkownika Acoę przeszył dreszcz emocji. Zakonnice! One stanowiły klucz. Jaime Miro był w stanie ukryć się gdziekolwiek, ale siostrzyczki mogły znaleźć azyl jedynie w jakimś klasztorze. I prawie na pewno będzie to klasztor o tej samej regule.

Pułkownik ponownie przyjrzał się mapie. Jest: Mendavia. Klasztor cysterek znajdował się w Mendavii.

„Tam właśnie zmierzają - tryumfalnie stwierdził Aco. - Cóż, więc ja także. Będę pierwszy i zaczekam na nich”.

Podróż Ricarda i Gracieli zbliżała się do końca. Przez kilka ostatnich dni Ricardo był szczęśliwszy niż kiedykolwiek dotąd. Ścigany przez wojsko i policję, w razie schwytania narażony na pewną śmierć, zdawał się tym nie przejmować. Było zupełnie tak, jakby Graciela i on wykroili dla siebie wyspę w czasie, raj, w którym nic nie mogło ich dotknąć. Desperacką ucieczkę zmienili we wspólną cudowną przygodę. Mówili bez końca, odkrywając się i poznając, a słowa były niemi wiążącymi ich coraz mocniej. Rozmawiali o przeszłości, chwili obecnej, przyszłości. Zwłaszcza o przyszłości.

- Pobierzemy się w kościele - planował Ricardo. - Będiesz najpiękniejszą panną młodą na całym świecie...

Na myśl o tej chwili Graciela drżała ze szczęścia.

- I zamieszkamy w cudownym domu... „Nigdy nie miałam własnego domu ani nawet pokoju” - myślała. Najpierw było maleńkie *casa*, które dzieliła z matką i wujkami, potem klasztorna cela, współwłasność wszystkich sióstr.

- Będziemy mieć przystojnych synów i piękne córki... „I dam im wszystko to, czego sama nigdy nie miałam.

Będę ich tak bardzo kochać”.

Serce Gracieli przepełniała radość. Martwiło ją tylko jedno. Czy Ricardo, żołnierz walczący za sprawę, w którą żarliwie wierzy, będzie szczęśliwy we Francji, z dala od walki? Wiedziała, że muszą to sobie wyjaśnić.

- Ricardo... jak myślisz, czy długo jeszcze potrwa ta rewolucja?

„Już trwa za długo” - pomyślał. Rząd podjął próby nawiązania pokojowych rokowań, ale ETA nie chciała o niczym słyszeć. Gorzej, odpowiedziała na propozycję nasileniem akcji terrorystycznych.

Ricardo próbował przedyskutować to z Jaimem.

- Chcą pójść na kompromis. Nie powinniśmy wyjść im naprzeciw?

- To podstęp. Tak naprawdę chcą nas zniszczyć. Sami zmuszają nas do kontynuowania

walki.

Ricardo kochał Jaimego i wierzył w niego, nie przestał więc go popierać. Jednak nie wyzbył się wątpliwości. Wraz ze wzmożonym rozlewem krwi rosła niepewność. A teraz Graciela pytała „Jak myślisz, czy długo jeszcze potrwa ta rewolucja?”

- Nie wiem - odpowiedział. - Chciałbym, żeby już się skończyła. I powiem ci coś, kochana. Nic nas nie rozdzieli - nawet walka. Nie ma słów zdolnych wyrazić, jak bardzo cię kocham. I dalej snuli marzenia.

Całą noc szli przez żyzny, zielony kraj, mijając El Burgo i Soria. O świcie ze szczytu wzgórza w oddali dostrzegli Logroño. Po lewej od drogi, za skupiskiem sosen, widniał las linii wysokiego napięcia. Graciela i Ricardo zeszli krętą ścieżką ku przedmieściom gwarne miasta.

- Gdzie spotkamy się z resztą? - zapytała dziewczyna. Ricardo wskazał jej plakat, umieszczony na ścianie mijanego budynku, głoszący:

CIRQUE JAPON!

ŚWIATOWEJ SŁAWY CYRK PROSTO Z JAPONII!

OD 24 LIPCA PRZEZ TYDZIEŃ

AVENIDA CLUB DEPORTIVO

- Tam - odpowiedział. - Zobaczymy ich dziś po południu.

W innej części miasta Megan, Jaime, Amparo i Felix również przyglądali się plakatowi reklamującemu cyrk. W grupie dało się wyczuć niezwykle napięcie. Od czasu zajścia w Vitorii mężczyźni traktowali Amparo jak wyrzutka, niemal zupełnie ignorując dziewczynę i odzywając się do niej jedynie w razie konieczności, jednak nawet na moment nie spuścili jej z oka.

Jaime spojrział na zegarek.

- Przedstawienie zaraz się zacznie - powiedział. - Chodźmy.

W komendzie głównej policji w Logroño pułkownik Ramon Acoca finalizował swój plan.

- Ustawiliście ludzi wokół klasztoru?

- Tak jest, panie pułkowniku. Wszystko przygotowane.

- Świetnie. Acoca był w doskonałym nastroju. Tym razem zastawił pułapkę głupcoszczelną.

Tym razem nie pokrzyżują mu planów żadni policyjni partacze. Osobiście dowodził operacją. OPUS MUNDO będzie z niego dumne. Ponownie omówił z oficerami szczegóły akcji.

- Zakonnice podróżują z Miro i jego ludźmi. Ważne jest, żebyśmy ich złapali, zanim wejdą do klasztoru. Będziemy rozstawieni w pobliskich lasach. Nie wolno wam się ujawnić, dopóki nie dam sygnału.

- Jakie są rozkazy w przypadku oporu ze strony Miro?

- Mam nadzieję, że spróbuje się opierać - miękko odparł Acoca. Do sali wszedł ordynans.

- Przepraszam, panie pułkowniku. Chciałby z panem rozmawiać jakiś Amerykanin.

- Nie mam teraz czasu.

- Tak jest. - Żołnierz zawahał się. - Twierdzi, że chodzi o jedną z zakonnice.

- Co? Amerykanin, powiedziałeś?

- Tak, panie pułkowniku.

- Przyślij go. Chwilę później do pokoju wprowadzono Alana Tuckera.

- Przepraszam, że przeszkadzam, pułkowniku. Jestem Alan Tucker. Mam nadzieję, że może mi pan pomóc.

- Tak? A w jaki sposób, panie Tucker?

- Jeśli dobrze rozumiem, szuka pan jednej z sióstr cysterek, Megan. Rozparty w krześle pułkownik przyglądał się Amerykaninowi.

- A dlaczego to pana interesuje?

- Ja również jej szukam. Odnalezienie Megan jest dla mnie bardzo ważne. „Interesujące - pomyślał Acoca. - Dlaczego temu Amerykaninowi tak zależy na odszukaniu jakiejś zakonnicy?” - Wie pan, gdzie może być?

- Nie. Gazety... „Znów ta cholerna prasa”. - Może wyjaśni pan, dlaczego jej szuka.

- Obawiam się, że nie wolno mi tego omawiać.

- W takim razie ja obawiam się, że nie mogę panu pomóc.

- Czy mógłby mnie pan zawiadomić, kiedy ją odnajdziecie?

Acoca obdarzył gościa zdawkowym uśmiechem.

- Dowie się pan.

Cały kraj śledził hidżrę zakonnice. Prasa opisała brawurową ucieczkę Miro i jednej z sióstr z Vitorii.

„Więc zmierzają na północny wschód - myślał Tucker. - Najpewniej zechcą opuścić kraj przez San Sebastian. Muszę ją dostać”.

Przeczuwał, że czekają go kłopoty z Ellen Scott. - „Kiepsko to rozegrałem. Mogę się wybronić jedynie sprowadzając jej Megan” - uznał.

Po czym zamówił rozmowę z chlebodawczynią.

Cirque japon rozbił swój olbrzymi namiot w odległej dzielnicy Logroño. Na dziesięć minut przed rozpoczęciem przedstawienia wypełniony był po brzegi. Megan, Jaime, Amparo i Felix zatłoczonym przejściem przepchnęli się do zarezerwowanych dla nich miejsc.

Dwa siedzenia obok Jaimego były wolne. Miro spojrzał na nie i powiedział: - Coś się stało. Ricardo i siostra Graciela powinni już tu być. - Zwrócił się do Amparo. - Czy ty...?

- Nie. Przysięgam. Nic o nich nie wiem.

Światła przygasły i rozpoczęło się przedstawienie. Tłum zahuczał, więc spojrzeli na arenę. Zataczał na niej koła rowerzysta, któremu podczas jazdy na ramiona wskoczył akrobata. Po chwili na kierownicy i bagażniku balansowali kolejni cyrkowcy, aż rower zginął pod piramidą ciał. Publiczność nagrodziła artystów oklaskami. Później odbyła się tresura niedźwiedzi, po niej występ linoskoczka. Widzowie bawili się znakomicie, ale Jaime i pozostali byli zbyt zdenerwowani, żeby zwracać uwagę na przedstawienie. Czas uciekał.

- Zaczekamy jeszcze piętnaście minut - postanowił Jaime. - Jeżeli nie przyjdą...

- Przepraszam - odezwał się jakiś głos - czy te miejsca są wolne?

Jaime spojrzał w górę i zobaczywszy Ricarda i Gracielę, wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Tak. Proszę siadać. - Po czym dodał pełnym ulgi szeptem: - Cholernie się cieszę, że was widzę.

Ricardo kiwnął głową Megan, Amparo, Felixowi i rozejrzał się dookoła. Gdzie reszta?

- Nie czytałeś gazet?

- Gazet? Nie. Byliśmy w górach.

- Mam złe wiadomości - powiedział Jaime. - Rubio jest w więziennym szpitalu.

- Jak...? - chciał wiedzieć zaskoczony Ricardo.

- Został dźgnięty nożem podczas bójki w barze i zgarnęła go policja.

- *Mierda!* - Ricardo na chwilę zamilkł, potem westchnął. - Chyba musimy go wyciągnąć, co?

- Taki mam plan - przyznał Jaime.

- Gdzie siostra Lucia? - zapytała Graciela. - I siostra Teresa? Odpowiedziała Megan:

- Siostra Lucia została aresztowana. Była... poszukiwano ją za morderstwo. Siostra Teresa nie żyje.

Graciela przeżegnała się.

- O mój Boże. Właśnie trwał występ klauna, który trzymając pod każdą pachą pudła chodził po linie. W przepastnych kieszeniach niósł dwa syjamskie koty. Psy usiłowały dosięgnąć kotów, lina chwiała się niebezpiecznie i klaun udawał, że z trudem stara się zachować

równowagę. Publiczność ryczała ze śmiechu. W hałaśliwym tłumie trudno było cokolwiek usłyszeć, a Megan i Graciela miały sobie tyle do powiedzenia, że niemal jednocześnie zaczęły rozmawiać w klasztorным języku znaków. Pozostali patrzyli na nie zaskoczeni.

- *Ricardo i ja chcemy się pobrać...*

- *To cudownie...*

- *A co się z tobą działo?* Megan zaczęła odpowiadać i zdała sobie sprawę, że nie ma znaków pozwalających przekazać to, co miała do powiedzenia. Trzeba zaczekać.

- Chodźmy - zarządził Jaime. - Na zewnątrz czeka furgonetka, która zabierze nas do Mendavii. Podrzucimy siostry i ruszamy dalej.

Zaczęli posuwać się do wyjścia. Jaime trzymał Amparo za rękę. Na parkingu przed namiotem Ricardo oznajmił:

- Jaime, Graciela i ja pobieramy się. Jaime rozjaśnił się w uśmiechu.

- Wspaniale! Gratulacje. Nie mogłaś lepiej wybrać - zwrócił się do dziewczyny.

Megan objęła Gracielę.

- Taka jestem szczęśliwa z powodu was obojga. „Czy łatwo jej przyszło podjąć decyzję porzucenia klasztoru? - myślała. - I czy dziwię się Gracieli czy sobie?”

- Jakąś godzinę temu widziano ich w cyrku - meldował pułkownikowi Acoco podniecony adiutant. - Wyszli, zanim zdążyliśmy wezwać posiłki. Odjechali niebiesko - białą furgonetką. Miał pan rację, pułkowniku. Kierują się w stronę Mendavii.

„Zatem nareszcie koniec”. - pomyślał Acoca. Pościg był ekscytujący. Musiał przyznać, że ten Jaime Miro okazał się godnym przeciwnikiem. „OPUS MUNDO powierzy mi teraz ważniejsze zadanie”.

Przez silną zeissowską lornetkę pułkownik Acoca obserwował niebiesko - białą furgonetkę, która pojawiła się na szczycie wzgórza i zmierzała w stronę leżącego niżej klasztoru. Pomiędzy drzewami po obu stronach drogi i wokół samego klasztoru czekały w ukryciu oddziały ciężko uzbrojonych żołnierzy. Baskowie nie mieli dokąd uciekać.

Gdy ciężarówka dojechała do klasztornej bramy i zahamowała, pułkownik Acoca warknął w krótkofalówkę:

- Otoczyć ich! Teraz! Manewr wykonano perfekcyjnie. Dwa oddziały wyposażone w broń automatyczną gładko zajęły wyznaczone pozycje, otaczając furgonetkę. Acoca przez chwilę w milczeniu napawał się swoim tryumfem. Potem, z pistoletem w dłoni, wolno podszedł do samochodu.

- Jesteście otoczeni - zawołał. - Nie macie żadnych szans. Wychodzić z rękami nad głową, pojedynczo. Jeżeli spróbowacie się opierać, wszyscy zginiecie.

Po długiej chwili drzwi furgonetki powoli się otworzyły. Z samochodu wysiadło trzech mężczyzn i trzy kobiety, wszyscy roztrzęsieni, z uniesionymi wysoko rękoma.

Sześć przypadkowych osób.

Na wzgórzu, wysoko ponad klasztorem, Jaime i pozostali obserwowali Acoę i jego ludzi otaczających furgonetkę. Widzieli wysiadających z podniesionymi rękoma przerażonych pasażerów, przypatrywali się całej rozgrywającej się na ich oczach pantomimie.

Jaime niemal słyszał dialog:

- *Kim jesteście?*

- *Pracujemy w hotelu, w pobliżu Logroho.*

- *Skąd się tu wzięliście?*

- *Taki facet dał nam pięć tysięcy peso za dostarczenie tej furgonetki do klasztoru.*

- *Kto to był?*

- *Nie wiem. Nigdy przedtem go nie widziałem.*

- *Czy to jego zdjęcie?*

- *Tak, to on.*

- *Wynośmy się stąd - powiedział Jaime.*

Siedzieli w białej półciężarówce, zmierzając z powrotem do Logroño. Megan z podziwem wpatrywała się w Jaimego.

- *Skąd wiedziałeś?*

- *Że pułkownik Acoca będzie na nas czekał w klasztorze? Od niego.*

- *Co?*

- *Lis musi myśleć tak jak myśliwy, Megan. Postawiłem się na miejscu Acoki. Gdzie zastawiłbym na siebie pułapkę? Zrobił dokładnie to, co zrobiłbym ja.*

- *A gdyby się nie pojawił?*

- *Wtedy mógłbym bezpiecznie odstawić cię do klasztoru.*

- *A co teraz? - zapytał Felix. Wszystkich dręczyło to samo pytanie.*

- *Przez pewien czas Hiszpania nie będzie dla nas bezpieczna - stwierdził Jaime. - Pojedziemy prosto do San Sebastian, a stamtąd do Francji. - Spojrzał na Megan. - Tam też są klasztory cysterek.*

Tego już Amparo nie mogła znieść.

- *Czemu się nie poddasz? Jeżeli dalej pójdziesz tą drogą, poleje się więcej krwi, zginą następni ludzie...*

- *Straciłaś prawo głosu - szorstko odparł Jaime. - Ciesz się, że jeszcze żyjesz. - Zwrócił się do Megan: - Z San Sebastian jest około dziesięciu przejść przez Pireneje do Francji. Tamtędy się przedostaniemy.*

- To zbyt niebezpieczne - zaproponował Felix. - Acoca będzie nas szukał. Domyśli się, że chcemy przekroczyć francuską granicę.

- Jeśli to niebezpieczne... - zaczęła Graciela.

- Nie martw się - uspokoił ją Jaime. - San Sebastian leży w kraju Basków.

Półciężarówka ponownie zbliżała się do przedmieść Logroño.

- Wszystkie drogi do San Sebastian będą pod obserwacją - ostrzegł Felix. - Masz jakiś plan, jak się tam dostać? Jaime już podjął decyzję. - Pojedziemy pociągiem.

- Na pewno będą przeszukiwane przez żołnierzy - za protestował Ricardo.

Jaime z namysłem spojrział na Amparo.

- Nie przypuszczam. Pomoże nam w tym nasza przyjaciółka. Wiesz, jak się skontaktować z pułkownikiem?

Dziewczyna zawahała się.

- Tak.

- Dobrze. Zadzwoń do niego.

Zatrzymali się przy jednej z budek telefonicznych obok autostrady. Jaime wszedł za Amparo do środka i zamknął drzwi. W ręce trzymał pistolet.

- Wiesz, co mówić?

- Tak.

Patrzył, jak wykręca numer. Gdy ktoś odebrał, powiedziała:

- Mówi Amparo Jirón. Pułkownik Acoca czeka na mój telefon... Dziękuję. - Spojrzała na Jaimego. - Przełączają mnie. - Broń wbiła się w bok dziewczyny. - Musisz...?

- Po prostu rób, co ci każę - lodowato uciął Miro. Chwilę później Jaime usłyszał w słuchawce głos Acoki.

- Gdzie jesteś? Pistolet naparł mocniej.

- Ja... my... właśnie opuszczamy Logroño.

- Wiesz, dokąd zmierzają nasi przyjaciele?

- Tak. - Bezlitosne oczy Jaimego wpatrywały się w nią z odległości zaledwie kilku centymetrów. - Postanowili zawrócić, żeby się pana pozbyć. Są w drodze do Barcelony. Miro prowadzi białego seata, pojedzie główną autostradą.

Jaime skinął głową.

- Muszę już kończyć. Samochód podjeżdża. Jaime odwiesił słuchawkę.

- Bardzo dobrze. Chodźmy. Damy mu pół godziny, żeby odwołał stąd swoich ludzi.

Trzydzieści minut później byli już na dworcu.

Z Logroño do San Sebastian kursują trzy rodzaje pociągów: luksusowe TALGO,

pociągi drugiej klasy TER i najgorsze, a jednocześnie najtańsze, zatłoczone i brudne *expreso*. Nie należy dać się wprowadzić w błąd tej nazwie - zatrzymują się na każdej, nawet najmniejszej, stacji.

- Pojedziemy *expreso* - oznajmił Jaime. - Do tej pory ludzie Acoki są już zajęci zatrzymywaniem wszystkich białych seatów jadących w stronę Barcelony. Bilety kupimy oddzielnie i spotkamy się w ostatnim wagonie. - Zwrócił się do Amparo. - Idź pierwsza. Będę tuż za tobą.

Wiedziała, dlaczego Miro posłał ją przodem i nienawidziła go za to. Jeśli pułkownik Acoca zastawił pułapkę, ona spełni rolę przynęty. Cóż, Amparo Jirón miała swoją dumę. Nie zamierzała stchórzyć.

Weszła na dworzec, czując na plecach spojrzenia Jaimego i reszty. Żołnierzy nie było nigdzie widać.

„Wszyscy obstawiają autostradę do Barcelony. Będzie niezły dom wariatów - pomyślał Jaime z krzywym uśmiechem. - Co drugi samochód na drodze to biały seat”.

Jeden po drugim wszyscy członkowie grupy nabyli bilety i przeszli na peron. Do pociągu dotarli bez przeszkód. Jaime zajął miejsce obok Megan. Amparo usiadła naprzeciw nich, przy Feliksie. Tuż obok usadowili się Ricardo i Graciela.

- W San Sebastian będziemy za trzy godziny - powiedział Miro do Megan. - Tam zanocujemy, a wcześniej rano przedostaniemy się do Francji.

- A kiedy już się tam znajdziemy?

Chciała wiedzieć, co stanie się z Jaimem, ale on inaczej zrozumiał pytanie.

- Nie martw się. Klasztor cysterek jest tylko kilka godzin od granicy. - Zawahał się. - Jeśli ciągle tego chcesz.

Więc rozumiał jej niepewność.

„Czy tego właśnie chcę?”

Mieli przekroczyć coś więcej niż granicę dzielącą dwa państwa. Ta granica rozdzieliła na dwoje także jej dotychczasowe życie. Przyszłość... tylko jaka? Megan najpierw rozpaczliwie pragnęła wrócić do klasztoru, teraz przepełniały ją wątpliwości. W zakonie zapomniała, jak ekscytujący był świat poza murami.

„Nigdy nie czułam się taka pełna życia”.

Zerknęła na Jaimego i przyznała sama przed sobą że on jest jednym z tego powodów. Miro złowił spojrzenie Megan i przez chwilę patrzył jej w oczy.

„On wie” - pomyślała.

Expreso zatrzymywał się w każdej osadzie i wiosce. Pełen był rolników z żonami,

kupców i domokrażców. Na każdej stacji podróży hałaśliwie ładowali się do przedziałów i równie gwarnie je opuszczali.

Pociąg wolniutko sunął przez góry, z trudem pokonując stromizny.

- Już po wszystkim. To nasze miasto. Załatwiłem samo chód, który nas odbierze - zapewnił Megan Jaime, gdy wreszcie wtoczyli się na stację w San Sebastian.

Przed dworcem czekał spory sedan. Kierowca w *chapella*, obszernym baskijskim berecie z opadającym brzegiem, na powitanie gorąco uściskał Jaimego i cała grupa wsiada do wozu.

Megan zauważyła, że Miro trzyma się blisko Amparo, przygotowany na schwytanie jej w razie próby ucieczki.

„Co zamierza z nią zrobić?” - zamyśliła się.

- Martwiliśmy się o ciebie, Jaime - powiedział kierowca. - Prasa twierdzi, że pułkownik Acoca urządził na ciebie wielkie polowanie.

Miro roześmiał się.

- Niech poluje dalej, Gil. Skończył się na mnie sezon. Pojechali w stronę plaży, w dół Avenida Sancho el Sabio.

Był bezchmurny letni dzień i na ulicach tłoczyły się szukające rozrywki pary. W porcie roilo się od jachtów i niedużych stateczków. Odległe góry tworzyły dla miasta malowniczą ramę. Wszystko zdawało się takie spokojne.

- Przygotowaliście coś dla nas? - zapytał Jaime kierowcę.

- Hotel *Niza*. Largo Cortez już czeka.

- Z przyjemnością znów zobaczę tego starego drania.

Niza, hotel średniej kategorii, mieścił się na Plaża Juan de Olezabal, przy końcu Calle de San Martin, tuż przy ruchliwym bazarze. Był to biały budynek z brązowymi okiennicami i dużym niebieskim znakiem na dachu. Tylnym wyjściem wychodziło się na plażę.

Gdy samochód zatrzymał się przed frontem, cała grupa wysiadła i za Jaimem wkroczyła do holu.

Largo Cortez, właściciel, wybiegł im na powitanie. Ten potężny mężczyzna jedno ramię stracił w akcji. Poruszał się niezgrabnie, jakby z trudem utrzymywał równowagę.

- Witajcie - powiedział z promiennym uśmiechem. - Czekam na was od tygodnia.

Jaime wzruszył ramionami.

- Mieliśmy po drodze drobne kłopoty, *amigo*.

- Czytałem - wyszczerzył zęby Largo. - Gazety nie piszą o niczym innym. - Zwrócił się do Megan i Graciel. - Szukają was i wszystko przewracają do góry nogami. Pokoje macie

przygotowane.

- Zostaniemy przez noc - wyjaśnił Jaime. - Wyruszymy skoro świt i przedostaniemy się do Francji. Chcę dobrego przewodnika, który zna wszystkie przejścia. Może być albo Cabrera Infante albo Jose Cebrian.

- Wszystko załatwię - zapewnił właściciel hotelu. - Będzie was sześcioro? Jaime spojrzął na Amparo.

- Pięcioro.

Amparo odwróciła wzrok.

- Proponuję, żebyście się nie meldowali - powiedział Cortez. - Policja... cóż, czego oczy nie widzą tego sercu nie żal. Może zaprowadzę was do pokoi, żebyście się odświeżyli? Potem zjemy wspaniałą kolację.

- Amparo i ja pójdziemy do baru na drinka - stwierdził Jaime. - Później do was dołączymy.

Largo Cortez skinął głową.

- Jak chcesz, Jaime.

Megan obserwowała Miro, zdezorientowana. Zastanawiała się, co ma zamiar zrobić z Amparo. „Czy chce z zimną krwią..?” Nawet nie mogła o tym myśleć.

Amparo zastanawiała się nad tym samym, jednak duma powstrzymała ją od zadania pytań.

Jaime poprowadził dziewczynę do baru, który mieścił się przy końcu holu, i zajął stolik w rogu. Gdy podszedł do nich kelner, Jaime poprosił:

- Szklanek wina, *por favor*.

- Jedną?

- Jedną. Amparo przyglądała się, jak Jaime wyjmuje i otwiera małą paczuszkę. Pakiecik zawierał jakąś drobno sproszkowaną substancję.

- Jaime... - w głosie dziewczyny zabrzmiała desperacja. - Wysłuchaj mnie, proszę! Spróbuj zrozumieć, dlaczego zrobiłam to, co zrobiłam. Rozdzierasz ten kraj. Sprawa, o którą walczysz, jest beznadziejna. Musisz przerwać to szaleństwo.

Kelner zjawił się ponownie i postawił wino na stole. Gdy odszedł, Jaime ostrożnie wsypał zawartość zawiniątka do szklanki i zamieszał. Potem pchnął naczynie w stronę Amparo.

- Wypij to.

- Nie!

- Niewielu ma szansę wybrać sposób, w jaki umrą - cicho odezwał się Jaime. - Tak

będzie szybko i bezboleśnie. Jeśli oddam cię w ręce moich ludzi, nie mogę tego obiecać.

- Jaime... Kochałam cię kiedyś. Musisz mi uwierzyć. Proszę...

- Wypij. Amparo przez długą chwilę patrzyła na Miro, potem uniosła szklanke.

- Wypiję za twoją śmierć. Przyglądał się, jak dziewczyna unosi naczynie do ust i jednym haustem przełyka wino. Zadrzała.

- Co się teraz stanie?

- Pomogę ci wejść na górę i położę do łóżka. Zaśniesz. Oczy Amparo wypełniły się łzami.

- Jesteś głupcem - wyszeptła. - Jaime, umieram i chcę ci powiedzieć, że kochałam cię tak... - zaczęła bełkotać.

Jaime pomógł jej wstać. Miała problemy z zachowaniem równowagi. Sala wirowała.

- Jaime... Wyprowadził Amparo z baru i podtrzymywał podczas przejścia przez hol. Largo Cortez czekał na nich z kluczem.

- Zabiorę ją do pokoju - powiedział Jaime. - Dopilnuj, żeby nikt jej nie przeszkadzał.

- Dobrze.

Cortez przyglądał się, jak Miro na wpół wnosi Amparo na schody.

Siedząc samotnie w pokoju Megan myślała, jakie to dziwne uczucie znajdować się w hotelu, w miejscowości wypoczynkowej. San Sebastian pełne było rozbawionych wczasowiczów, nowożeńców i kochanków, cieszących się sobą w setkach innych apartamentów hotelowych. Nagle zapragnęła, żeby był z nią Jaime. Chciała poznać smak miłości. Wszystkie uczucia, które tak długo tłumila, zalały umysł dziewczyny gwałtownym strumieniem emocji.

„Tylko co z Amparo? Czy mógłby... nie, nie zrobiłby czegoś takiego. A może? Pragnę go - pomyślała. - Boże, co się ze mną dzieje? Co mam robić?”

Ricardo gwizdał przy ubieraniu. Był we wspaniałym nastroju. „Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na świecie - uznał. - We Francji się pobierzemy. Za granicą, w Bayonne, jest przepiękny kościół. Jutro...”

W swoim pokoju Graciela brała kąpiel, rozkoszując się ciepłą wodą. Myślała o Ricardzie.

„Uczynię go takim szczęśliwym. Dzięki ci, Boże” - uśmiechnęła się do siebie.

Felix Carpio rozmyślał o Jaimem i Megan.

„Nawet ślepy by zauważył, że skaczą między nimi iskry. Ściągnie na nas pecha. Zakonnice należą do Boga. Już wystarczająco źle się stało, że dla Ricarda siostra Graciela wyrzeka się swojego powołania. Ale Jaime zawsze był lekkomyślny. Co chce zrobić tym

razem?”

Cała piątka spotkała się w hotelowej jadalni przy kolacji. Nikt nie wspomniał o Amparo.

Megan, patrząc na Jaimego, poczuła nagle zażenowanie, jakby mógł czytać w jej myślach.

„Lepiej nie będę pytać. Wiem, że nie zrobiłby niczego brutalnego.

Okazało się, że Largo nie przesadzał, zachwalając kolację. Posiłek rozpoczęło *gazapcho* - gęsty chłodnik z pomidorów, ogórków i namoczonego w wodzie chleba. Po nim podano sałatkę ze świeżych warzyw i olbrzymią *pasellę* - ryż, krewetki, kurczaka i warzywa we wspaniałym sosie. Ucztę zakończyła doskonała babka. Dla Ricarda i Gracieli był to pierwszy od bardzo dawna gorący posiłek.

Po kolacji Megan wstała.

- Pójdę już się położyć.

- Zaczekaj - poprosił Jaime. - Muszę z tobą pomówić. - Odprowadził dziewczynę w odległy kąt holu. - Co do jutra...

- Tak? I nagle zrozumiała, o co chce ją prosić. Nie wiedziała tylko, co ma mu odpowiedzieć.

„Zmieniłam się - stwierdziła Megan. - Przedtem byłam taka pewna, jak chcę przeżyć życie. Wierzyłam, że mam wszystko, czego pragnę”.

- Tak naprawdę nie chcesz wracać do klasztoru, zgadza się? - zapytał Miro.

„Czy rzeczywiście?” Czekał na jej odpowiedź.

„Muszę być z nim szczerą” - stwierdziła Megan. Patrząc mężczyźnie prosto w oczy, odparła:

- Nie wiem, czego chcę, Jaime. Jestem zdezorientowana. Miro uśmiechnął się. Zawahał się, starannie dobierał słowa:

- Megan... walka wkrótce się skończy. Dostaniemy to, czego chcemy, bo mamy za sobą ludzi. Nie mogę prosić, żebyś teraz dzieliła ze mną niebezpieczeństwo, ale chciałbym, żebyś na mnie czekała. Mam we Francji ciotkę. U niej byłabyś bezpieczna.

Megan, zanim odpowiedziała, długo patrzyła na Miro.

- Jaime - daj mi czas. Pozwól się nad tym zastanowić.

- Ale nie mówisz „nie”?

- Nie mówię „nie” - odparła cicho. Tej nocy nikt z grupy nie zmrużył oka. Musieli zbyt wiele przemyśleć, rozwiązać zbyt wiele problemów.

Megan przywołała z pamięci przeszłość. Lata w sierocińcu i klasztornej azyl.

Nagle wygnanie w świat, którego wyrzekła się na zawsze. Jaime Miro ryzykujący życiem w walce o to, w co wierzył.

„A w co ja wierzę? - zadała sobie pytanie. - Jak chcę spędzić resztę życia?” Już raz podjęła decyzję, a teraz ponownie musiała dokonać wyboru. Do rana.

Również Graciela wspominała klasztor. „To były takie szczęśliwe, spokojne lata. Czułam się tak bliska Bogu. Czy będzie mi tego brakowało?”

Jaime myślał o Megan.

„Nie może wrócić. Chcę ją mieć u swego boku. Co mi odpowie?”

Ricardo zbyt był podniecony snuciem ślubnych planów, by zasnąć. Kościół w Bayonne...

Felix rozważał, jak pozbyć się ciała Amparo. „Niech Largo Cortez się tym zajmie”.

Następnego dnia wczesnym rankiem grupa spotkała się w holu. Jaime podszedł do Megan.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Myślałaś o naszej rozmowie? Całą noc nie robiła nic innego.

- Tak, Jaime. Spojrzał w jej oczy, tam próbując wyczytać odpowiedź.

- Będziesz na mnie czekać?

- Jaime... W tej chwili pośpiesznie nadszedł Largo Cortez. Był z nim kościsty, spalony słońcem mężczyzna około pięćdziesiątki.

- Obawiam się, że nie ma czasu na śniadanie - stwierdził Cortez. - Powinniście ruszać. To Jose Cebrian, najlepszy przewodnik w San Sebastian. Przeprowadzi was do Francji.

- Dobrze cię widzieć, Jose - powitał przybysza Miro. - Jaki masz plan?

- Pierwszą część trasy pokonamy pieszo - oznajmił grupie Jose. - Załatwiłem, że za granicą będą na nas czekać samochody. Musimy się spieszyć. Chodźcie już.

Wyszli na ulicę, wyłożoną jasnymi promieniami słońca. Largo Cortez pożegnał ich przed hotelem.

- Bezpiecznej drogi - powiedział.

- Dziękuję ci za wszystko - odparł Jaime. - Wrócimy, *amigo*. Szybciej niż myślisz.

- Tędy - zarządził Jose Cebrian. Całą grupą skręcili w stronę placu. I w tym momencie na obu końcach ulicy zmaterializowało się kilkunastu żołnierzy i członków GOE. Całkowicie zablokowali przejście. Przewodzili im pułkownicy Ramon Acoca i Fal Sostelo.

Szukając drogi ucieczki, Jaime rzucił szybkie spojrzenie na plażę. Jednak i z tamtej strony nadchodziła spora grupa żołnierzy. Nie było dokąd uciekać. Musieli walczyć. Jaime

instynktownie sięgnął po broń.

- Nawet o tym nie myśl, Miro, bo wystrzelamy was jak stoicie - zawołał pułkownik Acoca.

Jaime gorączkowo usiłował znaleźć jakieś wyjście. Skąd Acoca wiedział, gdzie ich szukać? Odwrócił się i zobaczył stojącą w drzwiach Amparo. Na twarzy dziewczyny malował się wyraz głębokiego smutku.

- Co jest, do cholery! - krzyknął Felix. - Myślałem, że...

- Dałem jej tabletki nasenne. Powinna być nieprzytomna do czasu przekroczenia przez nas granicy.

- Co za dziwka! Pułkownik Acoca zbliżył się do Jaimego.

- Wszystko skończone. Rozbroić ich - polecił jednemu ze swoich ludzi.

Felix i Ricardo patrzyli na Miro oczekując rozkazów, gotowi pójść za jego przykładem. Jaime potrząsnął głową. Z ociąganiem oddał broń, więc poszli w jego ślady.

- Co chcecie z nami zrobić? - zapytał Miro. Kilku przechodniów stanęło, by przyjrzeć się akcji. Pułkownik Acoca odparł szorstko:

- Zabieram twoją bandę morderców z powrotem do Madrytu. Urządzimy wam ucziwy wojskowy proces, a potem powiesimy. Gdybym mógł, ciebie powiesiłbym tu, na miejscu.

- Wypuść siostry - poprosił Jaime. - Nie mają z tym nie wspólnego.

- Jesteście współodpowiedzialni. Są tak samo winne, jak wy. Acoca odwrócił się i dał swoim ludziom znak. Żołnierze podeszli do rosnącego tłumu gapiów, żeby rozsunać zebranych i zrobić miejsce dla trzech wojskowych ciężarówek.

- Ty ze swoimi zamachowcami pojedziesz w środkowej - wyjaśnił pułkownik. - Moi ludzie będą przed i za wami. Mają rozkaz zabić wszystkich przy pierwszym fałszywym ruchu. Zrozumiałeś?

Miro skinął głową. Acoca plunął mu w twarz.

- Dobrze. Do ciężarówki.

W okazałym już tłumie rozległ się groźny pomruk. Stojąca w drzwiach Amparo beznamytnie obserwowała, jak pod okiem uzbrojonych w pistolety maszynowe żołnierzy Jaime, Megan, Graciela, Ricardo i Felix wspinają się na platformę.

Pułkownik Sostelo podszedł do kierowcy pierwszego pojazdu.

- Jedziemy prosto do Madrytu. Po drodze żadnych przystanków.

- Tak jest, panie pułkowniku. Po obu stronach ulicy zgromadziło się wielu ludzi, którzy obserwowali, co się dzieje. Pułkownik Acoca wspiął się do kabiny prowadzącej

konwój ciężarówki.

- Z drogi! - krzyknął do stojących przed samochodem. - Zrobić przejazd.

Z bocznych ulic zaczęło napływać więcej ludzi.

- Ruszyć się - rozkazał Acoca. - Z drogi. A oni wciąż się zbliżali, wielu mężczyzn w dużych baskijskich *chapellas*. Jakby w odpowiedzi na niewidzialny sygnał: „Jaime Miro ma kłopoty”. Wychodzili ze sklepów i domów. Gospodynie porzucały to, co robiły, i schodziły na ulicę. Właściciele sklepów, którzy właśnie mieli otwierać interes, usłyszawszy wiadomość spieszyli do hotelu. Wciąż się schodzili: artyści i hydraulicy, lekarze i mechanicy, sprzedawcy i studenci. Wielu z pistoletami i strzelbami, siekierami i sierpami. Byli Baskami, a to była ich ojczyzna.

Najpierw zjawilo się kilku, potem setka, a w ciągu paru minut zebralo się ich ponad tysiąc. Stali na chodnikach i ulicach, szczelnym kordonem otaczając ciężarówkę. Zachowywali całkowitą ciszę.

Pułkownik Acoca ze zgrozą obserwował olbrzymi tłum.

- Wszyscy z drogi albo zaczniemy strzelać! - wrzasnął.

- Nie radziłbym - zawołał Jaime. - Ci ludzie nienawidzą was za to, co próbujecie z nimi zrobić. Jedno moje słowo, a rozerwą i ciebie, i twoich żołnierzy na strzępy. Zapomniał pan o jednym, pułkowniku. San Sebastian to baskijskie miasto. To moje miasto. Wynośmy się stąd - zwrócił się do całej grupy.

Pomógł Megan zejść na ziemię. Pozostali poszli za ich przykładem. Acoca przyglądał się temu bezradnie, z twarzą wykrzywioną wściekłością. Tłum czekał, milczący i wrogli. Jaime podszedł do pułkownika.

- Zabieraj swoje ciężarówkę i wracaj do Madrytu. Acoca rozejrzał się. Ludzi wciąż przybywało.

- Ja... to ci się nie uda, Miro.

- Już mi się udało. A teraz wynoś się stąd. - Plunął Acoce w twarz.

Pułkownik wpatrywał się w niego przez długą jak wieczność chwilę. „To się nie może tak skończyć - myślał z rozpaczą. - Byłem tak blisko. Dałem mu szacha i mata”. Wiedział, że spotkało go coś gorszego niż zwykła porażka. Wyrok śmierci. W Madrycie OPUS MUNDO będzie już czekać. Spojrzał na otaczające go morze ludzi. Nie miał wyboru. Zdławionym wściekłością głosem rozkazał szoferowi:

- Odjeżdżamy. Tłum cofnął się, śledząc wzrokiem wsiadających do ciężarówki żołnierzy.

Chwilę później, gdy samochody potoczyły się w dół ulicy, ludzie zaczęli wiwatować.

Najpierw wyrażali w ten sposób poparcie dla Jaimego Miro, ale stopniowo krzyki przybrały na sile i przerodziły się w spontaniczną manifestację na rzecz wolności, walki z tyranią i zbliżającego się zwycięstwa. Ulice wibrowały radosnym hałasem.

Dwóch nastolatków aż ochrypło od głośnych krzyków.

- Chodź, wstąpimy do ETA - zaproponował jeden z nich.

Para starszych ludzi wzięła się w objęcia.

- Może teraz oddadzą nam farmę - powiedziała kobieta.

Stojący samotnie starzec w milczeniu obserwował oddalające się ciężarówki.

- Pewnego dnia wrócą - powiedział. Jaime wziął Megan za rękę.

- Już po wszystkim. Jesteśmy wolni. Za godzinę minie my granicę. Zabiorę cię do mojej ciotki.

Dziewczyna spojrzała mu prosto w oczy.

- Jaime... Przez tłum przepchnął się jakiś mężczyzna, który pospiesznie podszedł do Megan.

- Przepraszam - zapytał bez tchu. - Czy siostra Megan?

Odwróciła się w jego stronę.

- Tak. Głęboko odetchnął z ulgi.

- Trochę trwało, zanim panią znalazłem. Nazywam się Alan Tucker. Czy mógłbym prosić o chwilę rozmowy?

- Tak.

- Na osobności.

- Przykro mi. Właśnie opuszczamy...

- Proszę. To bardzo ważne. Przyjechałem aż z Nowego Jorku, żeby panią odnaleźć.

Megan spojrzała na Tuckera oszołomiona.

- Znaleźć mnie? Nie rozumiem. Dlaczego...?

- Jeśli poświęci mi pani moment, wszystko wyjaśnię. Nie przestając mówić, nieznajomy ujął ją pod ramię i poprowadził w dół ulicy. Obejrzała się na czekającego na nią Jaimego Miro.

Rozmowa z Alanem Tuckerem postawiła świat Megan na głowie.

- Kobieta, którą reprezentuję, chciałyby się z panią zobaczyć.

- Nie rozumiem. Jaka kobieta? Czego ode mnie chce? „Sam chciałbym wiedzieć” - pomyślał Tucker.

- Nie jestem upoważniony do rozmów na ten temat. Moja pracodawczyni czeka na panią w Nowym Jorku.

To nie miało sensu. „To musi być jakaś pomyłka”.

- Czy jest pan pewien, że odnalazł właściwą osobę? Chodziło o siostrę Megan?

- Tak. Tylko nie ma pani na imię Megan, a Patricia. I nagle, z oślepiającą jasnością - wiedziała. Po wszystkich tych latach marzenia miały się ziścić. Nareszcie dowie się, kim jest. Myśl o tym była podniecająca i... i napawała przerażeniem.

- Kiedy mam jechać? - Megan nagle tak zaschło w gardle, że ledwo mogła wykrztusić parę słów.

„Chcę, żebyś ją odnalazł i sprowadził najszybciej, jak się da”.

- Natychmiast. Załatwię dla pani paszport. Odwróciła się i zobaczyła czekającego przed hotelem Jaimego.

- Przepraszam na chwilę. Wolno podeszła do Miro. Miała wrażenie, że śni.

- Dobrze się czujesz? - zapytał. - Czy ten człowiek ci się naprzykrza?

- Nie. On... nie. Jaime wziął Megan za rękę.

- Chcę, żebyś poszła ze mną. Należymy do siebie, Megan.

„Nie ma pani na imię Megan, a Patricia”.

Patrzyła w poważną, przystojną twarz Jaimego i myślała: „Chcę, żebyśmy byli razem, ale trzeba z tym poczekać. Najpierw muszę dowiedzieć się, kim jestem”.

- Jaime, chcę być z tobą. Ale najpierw muszę coś wyjaśnić.

Miro przyglądał się dziewczynie zakłopotany.

- Masz zamiar wyjechać?

- Na trochę. Ale wrócę. Długo patrzył na Megan, potem wolno skinął głową.

- Dobrze. Znajdziesz mnie przez Largo Corteza.

- Wrócę do ciebie. Obiecuję. I naprawdę miała taki zamiar. Przed spotkaniem z Ellen Scott.

- *Deus Israel conjungat vos; et ipse sit vobiscum, qui, misertus est duobus unicis... plenius benedicere te...* Połączył was Bóg Izraela i On niech będzie z wami... a teraz, Panie, pozwól im chwalić Cię pełniej. Błogosławieni niech będą wszyscy, którzy kochają Pana, którzy chodzą Jego ścieżkami... Chwała...

Ricardo odwrócił wzrok od księdza i spojrzął na stojącą obok Gracielę.

„Miałem rację. Jest najpiękniejszą panną młodą na świecie”.

Graciela, nieruchoma, słuchała słów kapłana odbijających się echem w ogromnym, wysoko sklepionym kościele. Co za spokój. Miała wrażenie, że nawiedzają ją duchy przeszłości, tysiące dusz. Ludzie, którzy pokolenie po pokoleniu przychodzili tu, by znaleźć przebaczenie, spełnienie i radość. Tak bardzo przypominało to klasztor.

„Czuję się, jakbym wróciła do domu - pomyślała Graciela - jakbym tu przynależała.

- *Exaudi nos, omnipotent et misericors Deus; ut, quod notro ministratur officio, tua benedictione potius impleatur Per Dominum...* Wysłuchaj nas wszechmogący, miłosierny Boże. Niech ten związek, który powagą Kościoła potwierdzam, dopełni Twoje błogosławieństwo.

„On już mnie pobłogosławił. Dał więcej, niż na to zasługuję. Muszę być Go warta”.

- *In te speravi, domine: dixi: Tu es Deus meus: in manibus tuis tempora mea...*

- W Tobie, Panie, mam nadzieję, Ty jesteś moim Bogiem, moje życie jest w Twoich rękach.

„Moje życie jest w Twoich rękach. Ślubowałam, że Jemu poświęcę resztę życia”.

- *Suscipe, quaesumus, Domine, pro sacra connubii lege munus oblatum...* Przyjmij, o Panie i Boże, ofiarę, którą Ci składamy w intencji tego świętego związku.

Słowa księdza wciąż rozbrzmiewały w głowie Gracieli. Miała wrażenie, że czas się zatrzymał.

- *Deus qui potestate virtutis tuae de nihilo cuncta iecisti...* Boże, który potęgą Swej mocy uczyniłeś wszystko z niczego...

- Boże, spójrz łaskawie na Twych poddanych, dzieło rąk Twoich, którzy mają połączyć się świętym węzłem małżeńskim i otocz ich swoją ochroną i opieką. Niech ich miłość, przez Ciebie umocniona, stanie się znakiem miłości Chrystusa i Kościoła...

„Jak może okazać mi łaskę, skoro Go zdradzam?” Nagle oddychanie zaczęło sprawiać Gracieli trudność. Ściany zaczęły ją przygniatać.

- *Nihil in ea ex actibus suis Ule auctor praevaricationis usurpet...* Niech władca zła

nie ma do niej przystępu...

W tym momencie zrozumiała. Doznała uczucia, że zdjęto z niej wielki ciężar. Graciele wypełniła podniosła, niewysłowiona radość. Ksiądz mówił:

- Niech dostąpi królestwa niebieskiego. Prosimy Cię, pobłogosław ten związek i...

- Już jestem zaślubiona - głośno odezwała się Graciela.

Zapadła wymuszona, pełna napięcia cisza. Ricardo i ksiądz wpatrywali się w dziewczynę. Twarz pana młodego była śmiertelnie blada.

- Gracielo, co ty...?

Wzięła go za rękę i powiedziała czule:

- Przepraszam, Ricardo.

- Ja... nie rozumiem. Czy... czy przestałaś mnie kochać?

Potrząsnęła głową.

- Kocham cię ponad życie. Ale ono już do mnie nie należy. Oddałam je Bogu, dawno temu.

- Nie, nie pozwolę, żebyś poświęciła swoją...

- Najdroższy Ricardo... To nie jest poświęcenie. To błogosławieństwo. W klasztorze po raz pierwszy w życiu znalazłam spokój. Ty jesteś częścią świata, którego się wyrzekłam - najlepszą częścią. Ale go porzuciłam. Muszę wrócić tam, gdzie moje miejsce.

Ksiądz przysłuchiwał się w milczeniu.

- Proszę, wybacz, że zadałam ci taki ból, ale nie mogę zaprzeczyć się swoich ślubów. Zdradziłabym wszystko, w co wierzę. Teraz to rozumiem. Nigdy nie uczyniłabym cię szczęśliwym, bo sama nie byłabym szczęśliwa. Zrozum to, proszę.

Ricardo wpatrywał się w nią wstrząśnięty i nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Coś w nim umarło.

Graciela spojrzała na ściągniętą bólem twarz Ricarda i poczuła, że serce wyrywa się jej do niego. Pocałowała mężczyznę w policzek.

- Kocham cię - powiedziała miękko. Oczy miała pełne łez. - Będę się za ciebie modlić. Za nas oboje.

W piątek, późnym popołudniem, pod wejście do izby przyjęć szpitala w Aranda de Duero zajeżdżał wojskowy ambulans. Sanitariusz i dwaj towarzyszący mu umundurowani policjanci minęli wahadłowe drzwi i podeszli do siedzącego za biurkiem pracownika administracji.

- Mamy rozkaz zabrać Rubia Arzano - powiedział jeden z mundurowych, wręczając mu jakiś dokument.

Administrator spojrział na pismo i zmarszczył brwi.

- Nie jestem uprawniony do wydania tego więźnia. Powinien się tym zająć dyrektor.

- Świetnie. Proszę go sprowadzić. Mężczyzna zawahał się.

- Jest pewien problem. Pan dyrektor wyjechał na weekend.

- Nas to nie obchodzi. Tu ma pan rozkaz wydania chorego podpisany przez pułkownika Acocę. Chce pan do niego zadzwonić i zawiadomić, że odmawia wykonania polecenia?

- Ależ nie - pospiesznie zapewnił administrator. - Nie ma takiej potrzeby. Zaraz każę przygotować więźnia.

Kilometr dalej, przed wejściem do miejskiego więzienia, zatrzymał się radiowóz, z którego wysiadło dwóch detektywów. Podeszli do sierżanta dyżurnego.

- Przyjechaliśmy po Lucię Carmine - oznajmił jeden z przybyłych pokazując odznakę. Sierżant przyjrzał się stojącym przed nim funkcjonariuszom i oznajmił:

- Nikt mnie o tym nie zawiadomił. Detektyw westchnął.

- Cholerna biurokracja. Nigdy człowieka nie poinformują na czas.

- Pokażcie ten rozkaz zwolnienia. Policjanci wręczyli mu papier.

- Podpisał pułkownik Acoca, tak?

- Zgadza się.

- Dokąd ją zabieracie?

- Do Madrytu. Pułkownik chce ją przesłuchać osobiście.

- Tak? Chyba lepiej to u niego sprawdzę.

- Nie ma potrzeby - zaprotestował detektyw.

- Dostaliśmy rozkazy, żeby nie spuszczać tej pani z oka, proszę pana. Włoski rząd mało się nie posika, żeby ją dostać z powrotem. Jeżeli pułkownik Acoca chce ją widzieć, musi mi to powiedzieć osobiście.

- Traciecie czas, sierżancie i...

- Czasu mam masę, *amigo*. Nie mam za to drugiego łba, ja mi ten ukreć. - Podniósł słuchawkę i poprosił: - Połączcie mnie z pułkownikiem Acocą w Madrycie.

- Jezu Chryste! - jęknął detektyw. - Znowu spóźnię się na obiad i żona mnie zabije. A poza tym, pułkownika pewnie i tak nie ma i...

Rozległ się dzwonek telefonu. Sierżant odebrał. Jakiś głos powiedział:

- Mam na linii biuro pułkownika. Sierżant rzucił policjantom tryumfalne spojrzenie.

- Halo? Tu sierżant dyżurny z posterunku policji w Aranda de Duero. Muszę pilnie mówić z pułkownikiem Acocą.

Jeden z detektywów ze zniecierpliwieniem zerknął na zegarek.

- *Mierda!* Mam do roboty lepsze rzeczy niż stać tu i...

- Halo? Pan pułkownik Acoca?

- Tak. O co chodzi? - zagrział głos z telefonu.

- Mam tu dwóch detektywów, panie pułkowniku, którzy chcą, żebym na pana odpowiedzialność zwolnił więźnia.

- Lucię Carmine?

- Tak jest.

- Pokazali wam rozkaz podpisany przez mnie?

- Tak jest.

- Więc po cholere zawracacie mi głowę? Zwolnić ją.

- Myślałem tylko...

- Nie myślcie. Wykonujcie rozkazy. Połączenie zostało przerwane. Sierżant nerwowo przełknął ślinę.

- Hmm... e...

- Z nim jest krótka rozmowa, co? - Policjant wy szerzył zęby w szerokim uśmiechu.

Sierżant wstał, próbując odzyskać nadwątloną godność.

- Przyprowadzę ją. W uliczce na tyłach posterunku mały chłopiec przyglądał się, jak siedzący na słupie telefonicznym mężczyzna zwalnia założony na kablu zacisk i schodzi na ziemię.

- Co pan robi? - zapytał malec. Mężczyzna wzburzył mu włosy.

- Pomagam przyjacielowi, *muchacho*. Pomagam przyjacielowi.

Trzy godziny później, na znajdującej się na północy kraju samotnej farmie, Lucia Carmine i Rubio Arzano spotkali się ponownie.

O trzeciej nad ranem pułkownika Acocę obudził dzwonek telefonu. Znajomy głos oznajmił:

- Komitet chciałby się z panem spotkać.

- Tak jest. Kiedy?

- Natychmiast, pułkowniku. Za godzinę przyjedzie po pana limuzyna. Proszę się przygotować.

- Tak jest. Odłożył słuchawkę, usiadł na brzegu łóżka. Potem zapalił papierosa i zaciągnął się, pozwalając, by dym wypełnił płuca.

„Za godzinę przyjedzie po pana limuzyna. Proszę się przygotować”.

Będzie gotowy.

Wszedł do łazienki i przyjrzał się swemu odbiciu w lustrze. Patrzył w oczy pokonanego.

„Byłem tak blisko - pomyślał z goryczą. - Tak blisko”.

Pułkownik zaczął się bardzo starannie golić, a kiedy skończył, wziął długi gorący prysznic. Następnie wybrał ubranie.

Dokładnie godzinę później podszedł do frontowych drzwi i po raz ostatni obrzucił spojrzeniem dom. Wiedział, że już nigdy go nie zobaczy. Oczywiście nie będzie żadnego spotkania. Nie mieli o czym z nim dyskutować.

Na zewnątrz czekała już długa czarna limuzyna. Drzwi otworzyły się, gdy tylko podszedł. Na przednim siedzeniu siedziało dwóch mężczyzn, na tylnym także dwóch.

- Proszę wsiadać, pułkowniku. Wziął głęboki oddech i zajął miejsce. Chwilę później mknęli przez noc.

„Aż trudno uwierzyć - myślała Lucia. - Widzę przez okno Alpy Szwajcarskie. Naprawdę tu jestem”.

Jaime Miro załatwił przewodnika, który dopilnował, by dziewczyna bezpiecznie dotarła do Zurychu. Dostała się tam późno w nocy.

„Rano wybiorę się do Bank Leu”.

Denerwowała się. A jeżeli coś źle poszło? Jeżeli pieniędzy już w banku nie ma? Jeżeli...?

Całą noc, aż do świtu, nie zmrużyła oka.

Opuściwszy hotel *Baurau Lac*, kilka minut przed dziewiątą Lucia stała przed bankiem, czekając na jego otwarcie.

Drzwi otworzył uśmiechnięty uprzejmie mężczyzna w średnim wieku.

- Proszę wejść. Mam nadzieję, że nie czekała pani zbyt długo?

„Tylko kilka miesięcy” - pomyślała.

- Nie, zupełnie - odparła głośno. Urzędnik wprowadził Lucię do środka.

- Czym możemy pani służyć? „Uczynić mnie bogatą”.
- Ojciec ma u państwa konto. Prosił mnie, żebym je na siebie przepisała.
- Czy to konto numerowe?
- Tak.
- Mogę w takim razie prosić o numer?
- B2A149207 Skinienie głową.

- Jedną chwileczkę. Przyglądała się, jak urzędnik znika w mieszczącym się z tyłu skarbcu. Bank powoli zapelniał się klientami.

„Muszą tu być - powtarzała w duchu Lucia. - Nic nie mogło...” Urzędnik wrócił. Z jego twarzy niepodobna było nic wyczytać.

- Mówiła pani, że rachunek jest na nazwisko ojca? Serce dziewczyny na moment przestało bić.

- Tak. Na nazwisko Angelo Carmine. Mężczyzna spojrzał na nią uważnie.
- Konto ma dwóch właścicieli. Czy to znaczy, że nie będzie mogła z niego skorzystać?
- Jak... - ledwie mogła mówić - Jak brzmi to drugie?
- Lucia Carmine.

W jednej chwili stała się właścicielką całego świata. Depozyt opiewał na trochę ponad trzysta milionów dolarów.

- Jak chciałaby pani zadysponować pieniędzmi? - zapytał bankier.

- Czy możecie przetransferować wszystko do któregoś ze współpracujących z wami banków w Brazylii? Do Rio?

- Naturalnie. Dokumenty prześlemy pani dziś po południu, posłańcem. Wszystko było takie proste. Po wyjściu z banku Lucia stanęła przed pobliskim biurem podróży. W oknie agencji wisiał duży plakat, reklamujący uroki Brazylii.

„To znak” - pomyślała dziewczyna radośnie. Weszła.

- Czym mogę służyć?

- Chciałabym kupić dwa bilety do Brazylii. „Tam nie obowiązuje prawo o ekstradycji”. Nie mogła się doczekać kiedy powie Rubiowi, że wszystko poszło gładko.

Czekał na jej telefon w Biarritz. Do Brazylii pojedą razem.

- Tam będziemy mogli żyć spokojnie przez resztę życia - powiedziała mu przed rozstaniem.

Nareszcie wszystko zostało załatwione. Po wszystkich tych przygodach i niebezpieczeństwach... Aresztowanie ojca i braci, zemsta na Benicie Patasie i sędzim Buscetcie... ucieczka przed policją do klasztoru... ludzie Acoki i fałszywy ksiądz... Jaime

Miro i Teresa, i złoty krzyż... i Rubio Arzano. Przede wszystkim kochany Rubio. Tyle razy ryzykował dla niej życiem, uratował przed śmiercią z rąk żołnierzy w lasach, przed pędzącym szaleńczo wodospadem, przed mężczyzną z baru w Aranda de Duero. Na samą myśl o tym robiło się jej ciepło na sercu.

Lucia wróciła do hotelu i podniosła słuchawkę. Czekala aż odbierze ktoś z centrali.

„Znajdzie sobie w Rio coś do roboty. Tylko co? Co on potrafi? Pewnie zechce kupić jakąś farmę za miastem. Ale co ja tam będę robić?”

- Proszę podać numer - poprosiła telefonistka.

Lucia wpatrywała się przez okno w ośnieżone Alpy. „Rubio i ja żyjemy zupełnie inaczej. Należymy do innych światów. Jestem córką Angela Carmine”.

- Proszę podać numer. „Jest rolnikiem i kocha swoją pracę. Jak mogę go tego pozbawić? Nie mogę mu tego zrobić”.

- Mogę w czymś pomóc? - Obsługująca centralę zaczynała się już niecierpliwić.

- Nie, dziękuję - wolno odparła Lucia. Odłożyła słuchawkę. Następnego dnia wczesnym rankiem weszła na pokład samolotu Swissair lecącego do Rio. Była sama.

Spotkanie miało się odbyć w zbytkownym salonie miejskiego domu Ellen Scott. Starsza pani niespokojnie chodziła tam i z powrotem, czekając na przybycie Alana Tuckera z dziewczyną. Kobieta. Zakonnica. Jaka będzie? Jak ukształtowało ją życie?

„Co ja jej zrobiłam?”

Do pokoju wkroczył lokaj.

- Przybyli pani goście, proszę pani. Wzięła głęboki wdech.

- Wprowadź ich. Chwilę później weszli Megan i Alan Tucker.

„Piękna” - pomyślała Ellen. Tucker uśmiechnął się.

- To Megan, pani Scott. Ellen spojrzała na detektywa i odezwała się cicho:

- Nie będziesz mi już potrzebny. - Ton jej głosu sugerował nieodwołalność decyzji.

Uśmiech mężczyzny zgasł.

- Żegnam. Tucker przez moment stał, niepewny jak ma się zachować, potem pochylił w ukłonie głowę i wyszedł. Nie mógł się pozbyć uczucia, że coś mu umknęło. Coś ważnego.

„Za późno - stwierdził w myślach. - Za późno, cholera”.

Ellen Scott przyglądała się dziewczynie.

- Usiądź, proszę. Megan zajęła miejsce na krześle i obie kobiety przez chwilę mierzyły się wzrokiem.

„Wygląda jak jej matka - myślała Ellen. - Wyrosła na piękną kobietę”. Przywołała z pamięci potworną noc, podczas której zdarzył się wypadek, burzę i płonący samolot.

„Powiedziałaś, że ona nie żyje... Coś jednak możemy zrobić. Pilot mówił, że jesteśmy w pobliżu Avila. Powinno tu być mnóstwo turystów. Nie ma powodu, żeby ktoś skojarzył dziecko z katastrofą samolotową... Zostawimy małą na jakiejś milej farmie za miastem. Ktoś ją adoptuje, a kiedy dorosnie będzie tu szczęśliwa... Musisz wybrać, Milo. Możesz albo mieć mnie, albo przez resztę życia pracować dla dziecka swojego brata”.

Teraz miała nastąpić konfrontacja z przeszłością. Od czego zacząć?

- Jestem Ellen Scott, prezydent Scott Industries. Słyszałaś o tej firmie?

- Nie.

„Oczywiście, że nie słyszała” - zbeształa się Ellen. Będzie trudniej niż przypuszczała. Przygotowała sobie co prawda opowieść o zmarłym przyjacielu rodziny i przyrzeczeniu zaopiekowania się jego córką, ale od pierwszego spojrzenia na Megan wiedziała, że nic z tego nie wyjdzie. Nie miała wyboru. Mogła tylko mieć nadzieję, że Patricia - Megan - nie zniszczy wszystkiego. Uświadomiła sobie, jaką krzywdę wyrządziła siedzącej przy niej kobiecie i

poczuła pod powiekami łzy.

„Za późno na płacze. Nadszedł czas, by wyrównać krzywdy. Powiedzieć prawdę”.

Ellen Scott pochyliła się ku Megan i ujęła dziewczynę za rękę.

- Muszę ci coś opowiedzieć - zaczęła cicho.

Miało to miejsce trzy lata wcześniej. Pierwszego roku, dopóki choroba jej tego nie uniemożliwiła, Ellen otaczała Megan opieką. Dziewczyna zaczęła pracować dla Scott Industries, a jej wrodzone zdolności i inteligencja sprawiły, że w pełni sprostała oczekiwaniom starszej pani. Ellen zyskała dzięki Megan świeże spojrzenie na firmę, nabrała też chęci do życia.

- Musisz ciężko pracować - powiedziała swej podopiecznej. - Nauczysz się tego, tak jak ja musiałam się nauczyć. Na początku będzie ci trudno, potem praca stanie się twoim życiem.

Miała rację.

Megan pracowała tak ciężko, że żaden z pracowników nie mógł nawet myśleć o tym, by dotrzymać jej kroku.

- Przychodzi pani do biura o czwartej rano i pracuje cały dzień. Jak pani to robi?

Megan uśmiechała się i myślała:

„Gdybym w klasztorze sypiała do czwartej, dostałaby mi się od siostry Betiny niezła bura”.

Gdy zabrakło Ellen Scott, Megan nie przestała się uczyć. Obserwowała, jak firma się rozrasta. Jej firma. Ellen adoptowała dziewczynę.

- W ten sposób nie będziemy musiały wyjaśniać, czemu nosisz nazwisko Scott - stwierdziła starsza pani. Nie mówiła tego jednak ze wstydem, a z nutką dumy w głosie.

„Co za ironia - rozważała Megan. - Przez wszystkie te lata w sierocińcu nikt nie chciał mnie adoptować, a teraz zrobiła to moja własna rodzina. Bóg ma cudowne poczucie humoru”.

Planowali uciekać samochodem. Kierowca był nowy. Jaime Miro jakoś się tym denerwował.

- Nie jestem go pewien - powiedział Felixowi. - A jeżeli odjedzie i nas zostawi?

- Spokojnie. To szwagier mojego kuzyna. Będzie dobry. Błagał, żeby mu pozwolić wziąć udział w akcji.

- Mam złe przeczucia - westchnął Jaime. Przyjechali do Sewilli wczesnym popołudniem i zanim wybrali odpowiedni obiekt, sprawdzili szereg różnych banków. Cel znajdował się przy bocznej uliczce, wąskiej, spokojnej. Tu musiały być deponowane pieniądze dla pobliskiej fabryki. Wszystko wyglądało idealnie. Wszystko, z wyjątkiem kierowcy.

- Tylko nim się martwisz? - zapytał Felix.

- Nie.

- A czym jeszcze? Jaimemu trudno było odpowiedzieć coś konkretnego.

- Nazwij to przeczuciem. - Starał się mówić żartobliwie, wykić samego siebie.

Felix jednak potraktował słowa przyjaciela całkiem serio.

- Chcesz odwołać akcję?

- Bo mam dziś przeczucia jak stara baba? Nie, *amigo*. Wszystko pójdzie jak po maśle.

Z początku rzeczywiście szło.

W banku znajdowało się kilku klientów, których Felix trzymał na muszce pistoletu maszynowego, podczas gdy Jaime opróżniał kasy. Gładko jak z płatka. Wychodzili już do samochodu i Miro zawołał:

- Pamiętajcie, *amigos*, że te pieniądze wspomogą szczytny cel.

To na ulicy wszystko się posypało. Wszędzie była policja. Kierowca klęczał na chodniku, jakiś mundurowy przykładał mu do potylicy rewolwer. Gdy Jaime i Felix wyszli na zewnątrz, detektyw zawołał:

- Rzućcie broń. Miro wahał się przez ułamek sekundy. Potem uniósł pistolet.

Boeing 727 znajdował się dwanaście tysięcy metrów nad Wielkim Kanionem. Dzień był długi i męczący.

„I jeszcze się nie skończył” - pomyślała Megan.

Leciała do Kalifornii podpisać dokumenty, dzięki którym Scott Industries miały wzbogacić się o czterysta hektarów nadającego się na budulec lasu, położonego na północ od San Francisco. Zrobiła na tym świetny interes.

„Sami są sobie winni - stwierdziła w duchu. - Nie powinni próbować mnie oszukać. Założę się, że byłam pierwszą klasztorną księgową z jaką mieli do czynienia”. Roześmiała się w głos.

Zjawił się steward.

- Mogę w czymś pomóc, pani Scott? Na półeczce zobaczyła cały plik gazet i magazynów. Wcześniej transakcja tak zaprzętała uwagę Megan, że dziewczyna nie miała czasu choćby przejrzeć prasy.

- Proszę mi podać *New York Timesa*. Artykuł znajdował się na pierwszej stronie i od razu rzucił się jej w oczy.

Zobaczyła zdjęcie Jaimego Miro. Tekst pod nim głosił: „Jaime Miro, przywódca ETA, radykalnej organizacji separatystów baskijskich w Hiszpanii, wczoraj po południu raniony podczas napadu na bank w Sewilli, został ujęty przez policję. Inny terrorysta, Felix Carpio, zginął w czasie akcji sił bezpieczeństwa. W ładze Hiszpanii poszukiwały Miro od...”

Megan dokończyła czytanie artykułu i przez długą chwilę siedziała nieruchomo, wspominając. Przeszłość zdawała się jej odległym snem, zamglonym i nierealnym.

„Walka niedługo się skończy. Dostaniemy to, czego chcemy, bo mamy za sobą ludzi... Chciałbym, żebyś na mnie czekała...”

Kiedyś, dawno temu, czytała o narodzie wierzącym, że człowiek, który ocali komuś życie, staje się za uratowanego przez siebie odpowiedzialny. A ona ocaliła Jaimego dwukrotnie - najpierw w zamku, potem w parku.

„Niech mnie diabli, jeżeli teraz pozwolę go zabić”.

Podniosła słuchawkę stojącego obok fotela telefonu i oznajmiła pilotowi:

- Proszę zmienić kurs. Wracamy do Nowego Jorku.

Z lotniska La Guardia odebrała Megan limuzyna. Do biura dotarła o drugiej nad ranem. Czekał tam na nią Lawrence Gray junior. Ojciec tego młodego, inteligentnego i ambitnego człowieka był przez lata prawnikiem firmy, ale odszedł na emeryturę.

- Jaime Miro. Co pan o nim wie? - bez wstępów zapytała Megan.

Odpowiedź uzyskała natychmiast.

- Baskijski terrorysta, przywódca ETA. Chyba coś czytałem, że wczoraj czy przedwczoraj go schwytano.

- Zgadza się. Rząd ma zamiar wytoczyć mu proces. Chcę tam kogoś posłać. Kto jest najlepszym w kraju adwokatem?

- Curtis Hayman, jak sądzę.

- Nie. Zbyt szarmancki. Potrzebujemy prawdziwego rzeźnika. - Zastanawiała się przez chwilę. - Załatw Mike'a Rosena.

- Zajęty przez następne sto lat, Megan.

- To go zwolnij. Chcę, żeby w czasie procesu był w Madrycie. Lawrence zmarszczył brwi.

- Nie możemy angażować się w publiczny proces w Hiszpanii.

- Jasne, że możemy. *Amicus curiae*. Jesteśmy przyjaciółmi oskarżonego. Prawnik przez chwilę przyglądał się pannie Scott.

- Mogę ci zadać osobiste pytanie?

- Nie. Bierz się do roboty.

- Postaram się.

- Larry...

- Tak?

- Nie staraj się. Załatw to. - W głosie Megan zadźwięczała stal.

Lawrence Gray junior wrócił do gabinetu szefowej dwadzieścia minut później.

- Mikę Rosen czeka przy telefonie. Chyba go obudziłem. Chce mówić z tobą.

Megan podniosła słuchawkę.

- Pan Rosen? Bardzo mi miło. Nigdy się nie spotkaliśmy, ale mam przeczucie, że zostaniemy przyjaciółmi. Wiele osób procesuje się ze Scott Industries po prostu dla sportu, więc szukam kogoś, kto mógłby nas reprezentować w sądzie i wpadło mi w oko pańskie nazwisko. Jestem naturalnie gotowa wypłacić panu sporą zaliczkę na poczet...

- Panno Scott?

- Tak.

- Nie mam nic przeciw odrobinie zalewania, ale pani chyba chce mnie utopić.

- Nie rozumiem.

- Pozwoli pani zatem, że użyję języka prawniczego. Skończmy z tym gównem. Jest druga nad ranem. O drugiej nad ranem nie zatrudnia się pracowników.

- Panie Rosen...

- Mike. Mamy zostać przyjaciółmi, pamiętasz? A przyjaciele powinni sobie ufać. Larry mówił, że chcesz mnie wysłać do Hiszpanii, żebym spróbował wybronić jakiegoś baskijskiego terrorystę, który wpadł w ręce policji.

Zacząła mówić:

- On nie jest terrorystą... - ale ugryzła się w język. - Owszem.

- I w czym problem? Skarży Scott Industries, bo zaciął mu się pistolet?

- On...

- Przykro mi, moja droga. Nie mogę ci pomóc. Rozkład zajęć mam tak napięty, że pół roku temu przestałem chodzić do kibla. Mogę jedynie polecić kilku prawników, którzy...

„Nie - pomyślała Megan. - Jaime Miro potrzebuje ciebie”. Nagle ogarnęło ją poczucie beznadziejności. Hiszpania to inny świat, inna epoka.

- Mniejsza z tym - odparła ze znużeniem. - To sprawa bardzo osobista. Przepraszam, że byłam taka obcesowa.

- Hej! Jeżeli tak, to całkiem co innego, Megan. Prawdę mówiąc, umieram z ciekawości, czemu Scott Industries jest zainteresowana ocaleniem hiszpańskiego terrorysty. Masz jutro jakieś plany na lunch?

Postanowiła, że teraz nic jej nie powstrzyma.

- Absolutnie żadnych.

- W *Le Cirque* o pierwszej? Megan poczuła przypływ nadziei.

- Świetnie.

- Zrób rezerwację. Jednak muszę cię ostrzec.

- Tak?

- Mam strasznie wścibską żonę.

Spotkali się w restauracji i gdy Sirio ich usadził, Rosen oznajmił:

- W rzeczywistości wyglądasz lepiej niż na zdjęciach. Ale pewnie wszyscy ci to mówią.

Był bardzo niski i niedbale ubrany, a mimo to sprawiał wrażenie człowieka niezwykle kompetentnego. Oczy Mike'a wprost błyszczały żywą inteligencją.

- Wzbudziłaś moją ciekawość - przyznał. - Dlaczego interesujesz się Jaimem Miro?

Tyle było do wyjaśnienia. Zbyt wiele. Megan powiedziała tylko:

- To przyjaciel. Nie chcę, żeby zginął. Rosen pochylił się w stronę dziewczyny.

- Przejrzałem dziś rano gazety. Miro będzie miał szczęście, jeżeli rząd Juana Carlosa powiesi go tylko raz. W sądzie dostaną chryпки od samego tylko odczytania twojemu

przyjacielowi oskarżeń. - Zauważył wyraz twarzy Megan. - Przykro mi, ale muszę być z tobą szczerą. Miro nieźle się napracował. Napady na banki, wysadzanie samochodów, morderstwa...

- Nie jest mordercą. To patriota. Walczy o swoje prawa.

- Dobra, dobra. Też go podziwiam. Co chcesz, żebym zrobił?

- Uratuj go.

- Megan, jesteśmy na tyle dobrymi przyjaciółmi, że wyznam ci całą prawdę. Nie uratowałby go nawet Jezus Chrystus we własnej osobie. Oczekujesz cudu tam, gdzie...

- Wierzę w cuda. Pomożesz mi? Adwokat przez chwilę przyglądał się swojej rozmówczyni.

- A niech tam. Od czego są przyjaciele? Próbowalaś pasztetu? Podobno jest koszerny.

Faks z Madrytu brzmiał: „Rozmawiałem z kilkoma europejskimi prawnikami. Odmówili reprezentowania Miro. Próbowalem sam wziąć udział w procesie jako *amicus curiae*. Sąd odrzucił moją prośbę. Chciałbym sprawić dla ciebie cud, przyjaciółko, ale Jezus Chrystus jeszcze nie zstąpił. Wracam do domu. Jesteś mi winna lunch. Mikę”.

Początek procesu wyznaczono na siedemnastego września.

- Odwołaj wszystkie spotkania - poleciła Megan swojej asystentce. - Muszę coś załatwić w Madrycie.

- Jak długo pani nie będzie?

- Nie wiem.

Podczas lotu przez Atlantyk Megan planowała, jaką przyjmie strategię. „Musi być jakiś sposób. Mam pieniądze i władzę. Kluczem jest tu premier.

Muszę się z nim zobaczyć przed rozpoczęciem procesu. Potem będzie za późno”.

Megan zorganizowała spotkanie z premierem Leopoldo Martinezem w czterdzieści osiem godzin po przybyciu do Madrytu. Otrzymała zaproszenie na lunch do *Monclao Palce*.

- Dziękuję, że tak szybko znalazł pan dla mnie czas - powiedziała. - Wiem, że jest pan bardzo zajęty.

Premier uniósł dłoń w uprzejmym geście zaprzeczenia.

- Droga panno Scott, gdy szefowa tak wpływowej korporacji jak Scott Industries przylatuje, żeby się ze mną zobaczyć, mogę się jedynie czuć zaszczycony. Czy mogę w czymś pani pomóc?

- Tak naprawdę to ja chcę pomóc panu - oznajmiła Megan. - Uświadomiłam sobie, że te kilka fabryk, które posiadamy w Hiszpanii, nie wykorzystuje potencjału pańskiego kraju w należyty sposób.

Martinez słuchał uważnie. Oczy mu błyszczały.

- Tak?

- Scott Industries planuje otwarcie wielkich zakładów elektronicznych. Znalazłoby w nich zatrudnienie około tysiąca pięciuset osób. Jeśli inwestycja okaże się tak zyskowna, jak oczekujemy, uruchomimy dalsze fabryki.

- I nie zdecydowała pani jeszcze, gdzie umieścić zakłady?

- Zgadza się. Ja osobiście stawiam na Hiszpanię, ale niektórzy z moich doradców... cóż, wasza ekscelencjo, szczerze mówiąc, niezbyt podoba się im kwestia przestrzegania u was praw obywatelskich.

- Doprawdy?

- Tak. Są zdania, że zbyt surowo traktujecie przeciwników pewnych trendów polityki państwowej.

- Czy myśli pani o kimś konkretnym?

- Prawdę powiedziawszy, tak. O Jaimem Miro. Premier dłuższą chwilę wpatrywał się w Megan.

- Rozumiem. Więc gdybyśmy okazali Miro wyrozumiałość, dostalibyśmy zakłady elektroniczne i...

- O wiele więcej - zapewniła. - Nasze fabryki spowodują podniesienie stopy życiowej każdego regionu, w którym powstaną.

Martinez zmarszczył brwi.

- Obawiam się, że jest pewien drobny problem.

- Co takiego? Możemy podjąć negocjacje.

- Tego nie da się wynegocjować, panno Scott. Honor Hiszpanii nie jest na sprzedaż. Nie można nas przekupić czy zastraszyć.

- Proszę mi wierzyć, nie miałam zamiaru...

- Przyjeżdża tu pani z jałmużną i spodziewa się, że nasze sądy na wyścigi pospieszą, by panią zadowolić? Proszę to przemyśleć, panno Scott. Nie potrzebujemy pani fabryk.

„Gorzej już być nie może” - uznała Megan.

Proces trwał sześć tygodni. Posiedzenia sądu odbywały się w pilnie strzeżonej i zamkniętej dla publiczności sali.

Megan nie opuściła Madrytu, na podstawie relacji prasowych starając się zorientować w przebiegu sprawy. Od czas do czasu dzwonił do niej Mikę Rosen.

- Wiem, przez co przechodzisz, moja droga. Uważam, że powinnaś wrócić do domu.

- Nie mogę, Mikę. Próbowала zobaczyć się z Jaimem Miro.

- Absolutnie żadnych gości.

Ostatniego dnia procesu Megan stała przed sądem, wmieszana w tłum. Gdy z budynku wylegli reporterzy, zatrzymała jednego.

- Co się stało?

- Uznali go za winnego wszystkich zarzutów. Dostanie garrotę.

W dniu egzekucji Jaimego Miro tłum zaczął się gromadzić przed centralnym więzieniem Madrytu o piątej rano. Ustawione przez Guardia Civil barykady zatrzymały rosnący tłum na wprost bramy więzienia, z dala od wejścia. Żelaznej bramy pilnowały uzbrojone oddziały wojska i czołgi.

Wewnątrz, w biurze dyrektora Gomeza de la Fuente, odbywało się nadzwyczajne zebranie. Obecni byli premier Leopoldo Martinez, Alonzo Sebastian, nowy szef GOE, oraz zastępcy dyrektora więzienia Juanito Molinas i Pedros Arrango.

De la Fuente, przysadzisty, ponury mężczyzna w średnim wieku, całe życie poświęcił na gorliwe wpajanie zasad dyscypliny wyrzutkom społeczeństwa, których rząd powierzył jego opiece. Z Molinasem i Arrango, swymi zaufanymi doradcami, współpracował od przeszło dwudziestu lat.

Mówił premier:

- Chciałbym wiedzieć, jakie środki ostrożności podjęto, by wykluczyć jakiegokolwiek kłopoty z egzekucją Miro.

- Jesteśmy przygotowani na każdą ewentualność, wasza ekscelencjo - odparł de la Fuente. - Jak miał pan możliwość zauważyć wchodząc, więzienia strzeże rozstawiona wokół murów kompania wojska. Żeby tu wejść, potrzeba by armii.

- A w samym budynku?

- Przygotowaliśmy się jeszcze staranniej. Miro przetrzymywany jest w podwójnie zabezpieczonej celi na pierwszym piętrze. Pozostali więźniowie z tego piętra zostali czasowo przeniesieni. Przed izolatką Miro postawiliśmy dwóch żołnierzy, na obu końcach korytarza także po dwóch. Wydałem zarządzenie, by wszyscy więźniowie pozostali w celach aż do egzekucji.

- O której to nastąpi?

- W południe, wasza ekscelencjo. Obiad przesunąłem na pierwszą, co da nam czas na pozbycie się ciała.

- Jak chce to pan rozegrać?

- Zastosowałem się do pańskich sugestii, ekscelencjo. Pochówek Miro w Hiszpanii mógłby postawić rząd w niewygodnej sytuacji, zwłaszcza gdyby Baskowie uczynili grób miejscem kultu. Jesteśmy w kontakcie z mieszkającą we Francji, na wsi pod Bayonne, ciotką skazanego. Zgodziła się tam go pochować.

Premier wstał.

- Doskonale. - Westchnął. - Nadal uważam, że publiczna egzekucja przez powieszenie byłaby bardziej odpowiednia.

- Tak jest, ekscelencjo. Nie byłbym jednak w stanie kontrolować tłumu.

- Zapewne ma pan rację. Nie ma potrzeby nadmiernie pobudzać emocji. Garrota jest bardziej bolesna. I powolna. Jeżeli ktoś na nią zasłużył, to z pewnością Jaime Miro.

- Proszę wybaczyć, ekscelencjo, ale jak rozumiem skład sędziowski spotka się, żeby rozpatrzyć apelację adwokata Miro. Co powinienem zrobić, jeżeli zostanie...

- Nie zostanie - przerwał premier. - Egzekucja odbędzie się zgodnie z planem.

Spotkanie zakończono.

O wpół do ósmej przed bramą więzienia zatrzymała się ciężarówka z pieczywem.

- Dostawa. Jeden z pilnujących wejścia strażników spojrzał na kierowcę.

- Nowy, co?

- Tak.

- Gdzie Julio?

- Chory. Został w domu.

- Więc czemu się do niego nie przyłączysz, *amigo*?

- Co?

- Dziś rano nie ma żadnych dostaw. Wróc po południu.

- Ale codziennie rano...

- Dziś nikt nie wejdzie i tylko jeden wyjdzie. Nogami do przodu. A teraz zbieraj dupę w troki i wynoś się zanim moi kumple się wkurzą.

Kierowca przyjrzał się obserwującym go uzbrojonym żołnierzom.

- Dobra, jasne. Strażnicy patrzyli, jak ciężarówka zawraca i znika w dole ulicy. Komendant posterunku zameldował o całym wydarzeniu naczelnikowi. Po sprawdzeniu okazało się, że stały dostawca leży w szpitalu. Potrafił go jakiś kierowca, który zbiegł.

O ósmej przed więzieniem eksplodował samochód pułapka, raniąc kilku przechodniów. W normalnych okolicznościach strażnicy opuściliby swoje posterunki, żeby rozpocząć śledztwo i udzielić pomocy rannym. Tego dnia jednak mieli ścisłe rozkazy. Sprawą zajęła się Guardia Civil.

O incydencie tym bezzwłocznie poinformowano dyrektora de la Fuente.

- Są doprowadzeni do ostateczności - stwierdził. - Bądźcie gotowi na wszystko.

Piętnaście po dziewiątej nad więzieniem pojawił się helikopter. Z obu stron miał wymalowany napis *La Prensa*, nazwę wpływowego hiszpańskiego dziennika.

Na dachu więzienia ustawione były dwa działka przeciwlotnicze. Dowodzący nimi

porucznik, chcąc ostrzec nadlatującego, zamachał chorągiewką. Bezskutecznie. Śmigłowiec wciąż wisiał w powietrzu. Oficer podniósł słuchawkę polowego telefonu.

- Mamy tu helikopter, panie naczelniku.

- Da się go zidentyfikować?

- Ma napisy *La Prensa*, ale wyglądają na świeżo wymalowane.

- Oddajcie strzał ostrzegawczy. Jeżeli się nie wyniesie, zestrzelcie go.

- Tak jest. - Porucznik skinął na obsługującego działko. - Wymierz blisko. Pociski minęły helikopter o jakieś pięć metrów. Żołnierze mogli dostrzec osłupiałą twarz pilota. Strzelec ponownie załadował. Helikopter skoczył w górę i zniknął gdzieś nad Madrytem.

„Ciekawe, co teraz?” - zamyślił się porucznik.

O jedenastej w kancelarii więziennej zjawiała się Megan Scott. Była blada i wymizerowana.

- Chcę się zobaczyć z panem dyrektorem de la Fuente.

- Czy jest pani umówiona?

- Nie, ale...

- Przykro mi, dziś rano pan naczelnik jest zajęty. Jeśli zadzwoni pani po południu...

- Proszę mu powiedzieć, że przyszła Megan Scott.

Urzędnik uważniej przyjrzał się stojącej przed nim kobiecie.

„Więc to jest ta bogata Amerykanka, która próbuje uwolnić Jaimego Miro. Nie miałbym nic przeciw temu, żeby spędziła ze mną kilka nocy”.

- Zawiadomię pana naczelnika. Pięć minut później Megan siedziała w gabinecie dyrektora. Przy spotkaniu obecnych było kilku pracowników więzienia.

- Czym mogę pani służyć, panno Scott?

- Chciałabym zobaczyć Jaimego Miro. Naczelnik westchnął.

- Obawiam się, że to niemożliwe.

- Ale ja...

- Doskonale wiem, kim pani jest, panno Scott. Zapewniam panią, że w innej sytuacji z przyjemnością wyświadczyli byśmy jej tę przysługę - z uśmiechem odparł de la Fuente. - My, Hiszpanie, jesteśmy bardzo wyrozumiali. Jesteśmy też sentymentalni i niekiedy na łamanie pewnych zasad czy przepisów patrzymy przez palce. - Uśmiech znikł. - Jednak nie dziś, panno Scott. Nie dziś. To wyjątkowy dzień. Schwytanie mężczyzny, z którym chce się pani widzieć, zabrało nam lata. Więc nadszedł czas na przestrzeganie zasad i przepisów. Następnym, którego zobaczy Jaime Miro, będzie jego Bóg. Jeśli go ma.

Megan wpatrywała się w niego zrozpaczona.

- Czy mogłabym... chociaż na niego spojrzeć? Jeden z pracowników więzienia, wzruszony malującą się na twarzy dziewczyny udręką, miał ochotę się za nią wstawić. Zmilczał jednak.

- Przykro mi - powiedział de la Fuente. - Nie.

- Mogę przesłać mu wiadomość? - zapytała zdławionym głosem.

- Nie warto. Zmarłemu na nic się nie przyda. - Dyrektor spojrział na zegarek. - Została mu niespełna godzina.

- Ale stara się o apelację. Przecież sędziowie mają się zebrać, żeby zadecydować, czy...

- Apelację odrzucono. Zawiadomiono mnie o tym kwadrans temu. Sędziowie głosowali przeciw. Wyrok zostanie wykonany. A teraz, jeśli pani wybaczy...

Wstał, za nim pozostali. Megan obrzuciła spojrzeniem otaczające ją twarze bez wyrazu i zadrzała.

- Niech wam Bóg wybaczy - powiedziała. W milczeniu przyglądali się, jak pospiesznie opuszcza gabinet.

Dziesięć minut przed dwunastą otwarto drzwi celi Jaimego Miro. Do środka wszedł dyrektor Gomez de la Fuente w towarzystwie swych dwóch zastępców, Molinasa i Arranga oraz doktora Miguela Anundon. W korytarzu stało czterech uzbrojonych strażników.

- Już czas - oznajmił naczelnik. Jaime wstał z pryczy. Miał skute ręce i nogi.

- Miałem nadzieję, że się spóźnicie. Zachowywał się z godnością, której naczelnik nie mógł nie podziwiać.

„Kiedy indziej, w innych okolicznościach, moglibyśmy zostać przyjaciółmi” - pomyślał.

Jaime wyszedł na opustoszały korytarz, niezdarny z powodu kajdanów. Otoczyli go strażnicy i zastępcy naczelnika.

- Garrota? - zapytał Jaime. Dyrektor skinął głową.

- Garrota. Okrutna, bolesna, nieludzka śmierć. Naczelnik był zadowolony, że egzekucja odbędzie się w zamkniętej sali, z dala od tłumu i prasy.

Pochód dotarł do końca korytarza. Z zewnątrz, z ulicy, słyszeli zawroźnienie tłumu: „Jaime... Jaime... Jaime...” Wyrwijący się z tysięcy gardel krzyk wzmagął się, rósł coraz głośniejszy i głośniejszy.

- Wołają cię - odezwał się Pedros Arrango.

- Nie. Wołają do siebie. Chcą wolności. Jutro znajdą sobie innego przywódcę. Ja umrę, ale zawsze ktoś się znajdzie.

Minęli dwie bramki zabezpieczające i podeszli do niewielkiego pomieszczenia z zielonymi żelaznymi drzwiami. Z cienia wynurzył się ksiądz w czarnej sutannie.

- Dzięki Bogu zdążyłem na czas. Przyszedłem udzielić skazanemu ostatniego namaszczenia.

Gdy chciał podejść do Miro, zastąpili mu drogę dwaj strażnicy.

- Przykro mi, ojcze - odezwał się de la Fuente. - Nikt nie może się do niego zbliżyć.

- Ale ja...

- Jeśli chce go ksiądz namaścić, musi to zrobić przez zamknięte drzwi. Proszę nas przepuścić.

Strażnik otworzył zielone drzwi. Wewnątrz, obok przyśrubowanego do podłogi krzesła z uchwytyami na ręce, stał potężny mężczyzna w masce. W rękach trzymał garrotę.

Naczelnik skinął na Molinasa, Arranga i lekarza. Razem z Jaimem weszli do małego pomieszczenia. Strażnicy pozostali na zewnątrz. Zielone drzwi zamknięto i zablokowano.

Molinas i Arrango podprowadzili Jaimego do krzesła. Pod okiem doktora Anuncion i de la Fuente rozkuli mu ręce i grubymi rzemieniami przymocowali ramiona do poręczy. Przez masywne drzwi głos księdza był ledwie słyszalny.

De la Fuente zerknął na Miro i wzruszył ramionami.

- Mniejsza z tym. Bóg zrozumie, co mówi. Olbrzym stanął za plecami Jaimego. Gomez de la Fuente zapytał:

- Zakryć ci twarz?

- Nie. Dyrektor spojrzał na kata i skinął głową. Olbrzym uniósł garrotę i pochylił się nad skazańcem.

Czekający przed drzwiami strażnicy słyszeli zawodzenie tłumu zebranego za murami.

- Wiesz co? - mruknął jeden z nich. - Wolałbym być z nimi na ulicy.

Pięć minut później zielone drzwi otwarto.

- Przynieście worek na zwłoki - polecił doktor Anuncion.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami ciało Jaimego Miro wyniesiono ukradkiem, tylnymi drzwiami. Worek ze zwłokami wrzucono do nie oznakowanej ciężarówki, jednak w chwili, gdy pojazd opuścił teren więzienia, ludzie ruszyli za nim jak pociągnięci tajemniczym magnesem.

- Jaime... Jaime... Krzyki osłabły. Mężczyźni i kobiety płakali, a niczego nie rozumiejące dzieci ze zdziwieniem przyglądały się łzom rodziców. Wreszcie ciężarówka przepchnęła się przez tłum i wyjechała na autostradę.

- Jezu - wysapał kierowca. - Upiorne. Facet musiał coś w sobie mieć.

- No. Nie ty jeden zauważyłeś.

O drugiej po południu naczelnik więzienia Gomez de la Fuente i jego dwaj zastępcy, Juanito Molinas i Pedros Arrango zjawili się w gabinecie premiera Martineza.

- Panowie, muszę wam pogratulować - zaczął dygnitarz. - Egzekucja była bardzo udana.

- Nie przyszliliśmy tu po słowa uznania - powiedział naczelnik. - Chcemy złożyć rezygnacje.

Martinez przyglądał się im, zbity z tropu.

- Nie rozumiem. Co...?

- To kwestia wrażliwości, wasza ekscelencjo. Przed chwilą asystowaliśmy przy śmierci człowieka. Być może na nią zasłużył, ale nie w taki sposób. To było barbarzyństwo. Nigdy więcej nie chcę brać w czymś takim udziału. Moi koledzy podzielają tę opinię.

- Może powinniście jeszcze to przemyśleć. Wasze pobory...

- Musimy postąpić zgodnie z sumieniem. - De la Fuente wręczył premierowi trzy kartki papieru. - Oto nasze rezygnacje.

* * *

Późną nocą granicę Francji przekroczyła pewna ciężarówka zmierzająca w stronę Bayonne. W wiosce Bidache zatrzymała się przed niewielką, skromną farmą.

- To tu. Pozbądźmy się trupa, zanim zacznie śmierdzieć.

Drzwi otworzyła im kobieta około pięćdziesiątki.

- Przywieźliście go?

- Tak, proszę pani. Gdzie mamy to... ee... go położyć?

- W salonie.

- Tak jest. Na pani miejscu nie zwlekałbym z pogrzebem. Rozumie pani. Przyglądała się, jak dwaj mężczyźni wnoszą worek i układają go na podłodze.

- Dziękuję.

- *De nada*. Starsza pani bez ruchu czekała, aż odjadą.

Z sąsiedniego pokoju wyszła inna kobieta, podbiegła do worka i niecierpliwie rozsunęła zamek.

Jaime Miro przyglądał się paniom z uśmiechem.

- Wiecie co? Od takiej garroty naprawdę może zaschnąć w gardle.

- Wino białe czy czerwone? - zapytała Megan.

Na lotnisku Barajas w Madrycie były dyrektor więzienia Gomez de la Fuente, jego byli zastępcy Molinas i Arrango, doktor Anunci6n i olbrzym, który poprzednio nosił maskę, siedzieli w sali odlot6w.

- Nadal uwazam, że robicie bład nie jadac ze mną do Kostaryki - powiedzial de la Fuente. - Z waszymi pięcioma milionami dolar6w możecie wykupić cały ten cholerny kraj.

Molinas pokręcił głową.

- Arrango i ja wybieramy się do Szwajcarii. Mam dość słońca. Kupimy sobie parę tuzin6w zaśniezonych „kr6liczk6w”.

- Ja też - dodal olbrzym.

- A co z panem, doktorze? - Zwrócili się do Miguela Anunci6n.

- Jadę do Bangladeszu.

- Co?

- Owszem. Za swoje pieniądze otworzę tam szpital. Myślałem o tym na długo, zanim przyjąłem propozycję Megan Scott. Uświadomiłem sobie, że jeśli pozwalając żyć jednemu terroryście, mogę ocalić życie wielu niewinnych, to robię dobry interes. A poza tym muszę się przyznać, że polubiłem Jaimego Miro.

Tego roku zbiory we Francji były udane, natura obsypała rolników obfitością wszelkich plonów.

„Żeby każdy rok mógł być taki - westchnął Rubio Arzano. - Taki udany w każdym sensie”.

Najpierw małżeństwo, potem, rok później, narodziny bliźniaków.

„Czy mężczyzna może być szczęśliwszy?”

Zaczął padać. Rubio zawrócił traktorem i podjechał do stodoły. Myślał o dzieciach. Chłopak wyrośnie duży i mocno zbudowany. A jego siostra! Będą z nią kłopoty.

„Da mężowi w kość - roześmiał się radośnie. - Wdała się w matkę”.

Ustawił traktor pod dachem i ruszył w stronę domu. Na twarzy czuł chłodny deszcz. Otworzył drzwi i wszedł.

- W samą porę - uśmiechnęła się Lucia. - Obiad na stole.

* * *

Wielebna matka Betina obudziła się z przeświadczeniem, że zdarzy się coś cudownego.

„Naturalnie zdarzyło się już dość dobrego” - pomyślała.

Klasztor cysterek został ponownie otwarty już jakiś czas wcześniej i znajdował się pod opieką króla Juana Carlosa. Siostra Graciela i pozostałe zakonnice bezpiecznie wróciły w jego mury, gdzie ponownie pograżyły się w błogosławionej samotności i ciszy.

Zaraz po śniadaniu matka przełożona weszła do kancelarii i zamarła na progu. Na jej biurku oślepiającym blaskiem lśnił złoty krzyż.

Zdarzenie to zakonnice uznały za cud.

POSŁOWIE

Madryt próbował kupić pokój, oferując Baskom ograniczoną autonomię, pozwalając im na używanie własnej flagi, języka i tworząc baskijski departament policji. ETA odpowiedziała na to zamordowaniem Constantina Ortina Gila, wojskowego gubernatora Madrytu, a później także Luisa Carrero Blanco, człowieka, którego Franco wyznaczył na swego następcę.

Eskalacja przemocy trwa.

W okresie trzech lat terroryści z ETA zabili ponad sześćset osób. Rzezi nie ma końca, akcje odwetowe policji są równie bezwzględne jak ataki terrorystów.

Jeszcze kilka lat temu członkowie ETA cieszyli się sympatią pół miliona Basków, jednak nasilający się terroryzm pozbawił ich tego oparcia. W Bilbao, samym sercu ojczyzny Basków, sto tysięcy osób wyszło na ulicę demonstrując przeciw ETA. Hiszpanie czują, że czas już na pokój, czas wyleczyć rany.

OPUS MUNDO jest potężniejsze niż kiedykolwiek, ale nie ma zbyt wielu chętnych, by o tym dyskutować.

Jeśli chodzi o klasztory sióstr cysterek, obecnie jest ich na świecie pięćdziesiąt cztery, z czego siedem w Hiszpanii.

Odwieczny obrządek bezustannego milczenia i odosobnienia pozostał w nich nie zmieniony.